

MIKOŁAJ MARCELA

The background of the cover is a vibrant illustration of a woman with long, flowing blonde hair and striking blue eyes. She is wearing a light blue, open jacket over a green top. The setting is a tropical beach with waves crashing onto the shore. In the background, there are palm trees and a modern, multi-story house built on a cliffside. The overall style is a mix of digital painting and illustration.

Oszustka

THE RITE SHOW

*Miała napisać powieść, wygrać 10 milionów dolarów
i uratować życie przyjaciela. Taki był plan.*

MIKOŁAJ MARCELA





THE RITE SHOW





**YOU &
YA**

Projekt okładki: © Fecit Studio/Szymon Wójciak

Redakcja: Maria Śleszyńska

Redaktorka prowadząca: Agata Then

Redakcja techniczna: Sylwia Rogowska-Kusz

Skład wersji elektronicznej: Robert Fritzkowski

Korekta: Beata Kozieł, Justyna Techmańska

Drogi Czytelniku / Droga Czytelniczko!

Ta książka porusza tematy i zawiera zachowania, które mogą urazić odbiorców bądź wywołać niepokój, zalecamy ostrożność podczas czytania.

Wszystkie wydarzenia i postaci przedstawione w książce są fikcyjne.

Ostrzeżenie dotyczące treści: rozwód rodziców, przemoc.

© for the tekst by Mikołaj Marcela

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2024

ISBN 978-83-287-3039-7

You&YA

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2024

*Wszystkim, którym brak wiary w siebie
uniemożliwił kiedyś sięgnięcie po to,
czego najbardziej pragnęli.*

*Ktoś kiedyś powiedział, że technika
to lekarstwo dla ludzkości.
Odpowiednia dawka
może rozwiązać niemal każdą bolączkę.
Jednak złe zastosowanie zamienia ją w truciznę,
która może ludziom zaszkodzić.
Czasami nawet zabić.
Podobno tak samo jest z miłością...*

Spis treści

Okladka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

Spis treści

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 1

Wyjęłam z torby telefon i błyskawicznie wstukałam palcami kolejną wiadomość na czacie Rite. I tym razem nie doczekałam się odpowiedzi. Nerwowo uderzyłam kilka razy paznokciami w marmurowy blat.

Nim zablokowałam ekran telefonu, przez moment przyglądałam się tak dobrze mi znanej fototapecie: zdjęciu roześmianego ośmiolatka z blond włosami postawionymi na żel. Można by pomyśleć, że to mój młodszy brat. Ale nie. Fotka przedstawiała mojego sąsiada z naprzeciwka, pierwszego chłopaka, którego poznałam po przeprowadzce do Kanady. Był też pierwszym i jedynym chłopakiem, który wręczył mi swoje zdjęcie. Pewnie dlatego, że dziesięć lat temu oboje – jak to dzieci – nie widzieliśmy w tym nic dziwnego. I od tamtej pory chodziliśmy z J.D. – bo tak się nazywał – do tych samych szkół, spotykaliśmy się co weekend i ciągle wspólnie się śmialiśmy. Nie zdawałam sobie jednak sprawy, że nie zawsze tak będzie. Dopiero niedawno zrozumiałam, że mogę go stracić.

Wielokrotnie słyszałam, że ludzie to egoiści. Może niektórzy rzeczywiście myślą tylko o sobie i innych mają gdzieś. Ja nie. Sądzę jednak, że w pewnych sytuacjach nawet egoiści są zdolni do naprawdę szalonych czy niewyobrażalnych rzeczy, gdy robią je dla innych. Gdy robią je dla ludzi, których kochają. Rodzice dla dzieci, ukochany dla ukochanej... przyjaciółka dla przyjaciela. Ten ostatni przykład to moja sytuacja. Byłam tu, gdzie byłam, dla J.D.

Stałam w damskiej toalecie przed wielkim owalnym lustrem w czarnej metalowej ramie. Łazienka była monochromatyczna, z szarymi marmurowymi ścianami i czarnymi matowymi umywalkami oraz bateriami, na podłodze położono gustowne płytki imitujące

drewniane deski, a wszystko to skąpane było w ciepłym, stonowanym świetle. Eleganckie, kojące nerwy wnętrze kontrastowało z tym, co działo się w moim sercu i głowie: z buzującymi we mnie emocjami i myślami. Zastanawiałam się, co za chwilę się wydarzy.

Był późny wieczór, a ja znajdowałam się w wysokim gmachu, który w środku bardziej przypominał luksusową willę jakiegoś celebryty niż typowy biurowiec. W dodatku nie było tu chyba nikogo oprócz mnie, mojej mamy i ludzi, z którymi miałyśmy się spotkać. No tak, był jeszcze ochroniarz przy wejściu, który pokierował nas na trzydzieste trzecie piętro. Wszystko wyglądało jak w gangsterskim filmie i tak też się czułam. Jakby otaczający mnie świat na moment przestał być prawdziwy.

Wtedy jednak mój wzrok znów padł na tapetę ze zdjęciem J.D. Po moim policzku spłynęła łza. Chorował na nieuleczalną chorobę, jaką była mukowiscydoza. Jak na ironię to ona w pewnym sensie nas połączyła. On był chory i przez to zawsze trzymał się z boku – a może to ludzie go tam trzymali? Ja ze swoim polskim akcentem, który bawił w Kanadzie wszystkich moich rówieśników – wszystkich poza J.D. – też wolałam margines. A gdy doszedł do tego rozwód rodziców... byłam przeszczęśliwa, że mogę być od wszystkich z daleka. Wystarczał mi J.D. Bo ciężko jest być samotnym wyrzutkiem, ale już dwoje wyrzutków – to co innego. Wtedy czujesz, że znalazłeś właściwego człowieka i to nie z tobą jest coś nie tak. Coś nie tak jest z ludźmi i światem wokół ciebie. I to przekonanie towarzyszyło mi w życiu. Aż do teraz.

Niestety nikt nie wiedział, ile czasu zostało J.D., a na domiar złego kilka miesięcy temu jego stan się pogorszył. Jednak ostatnio zupełnie niespodziewanie pojawiła się nadzieja, o jakiej nigdy nawet nie marzył: eksperymentalna terapia genowa – terapia, dzięki której J.D. mógł zostać całkowicie wyleczony. Problemy były dwa. Po pierwsze, terapia była przeznaczona dla osób do osiemnastego roku życia. Oznaczało to, że J.D. musi zostać na nią przyjęty w ciągu najbliższych dwóch miesięcy, czyli zanim stanie się pełnoletni. Po drugie, jej koszt to dwa miliony dolarów. Dwa. Miliony. Dolarów. Amerykańskich.

Kiedy otarłam łzy i wyszłam z toalety, moja mama siedziała dokładnie tam, gdzie ją zostawiłam dziesięć minut temu. Drobna, z burzą loków i jak zawsze piękna. Mogłam tylko mieć nadzieję, że w jej wieku będę wyglądać podobnie, choć jakoby już teraz pod wieloma względami ją przypominałam. Byłam jednak od niej nieco wyższa, a moje oczy, w odróżnieniu od jej szarych tęczówek, były zielone. Łączyły nas natomiast te same bujne blond włosy i wyraźnie zarysowane brwi.

Zapytałam mamę, czy ktoś się pojawił, ale ona tylko pokręciła przecząco głową i wróciła do czytania czegoś na swoim smartfonie. A to podobno moje pokolenie ma problem z elektroniką... Znając ją, domyślałam się, że próbuje zająć czymś myśli. Gdy dostałam zaproszenie na to spotkanie, nie chciała, żebym na nie szła. Twierdziła, że to podejrzane i że jeśli już mamy się na nie wybrać, to potrzebujemy prawnika. Tym bardziej że w zaproszeniu nie było mowy o tym, czego ma ono dotyczyć.

Wątpliwości budził też wymóg podpisania przed spotkaniem umowy wstępnej. Zgodnie z nią razem z mamą zobowiązywałyśmy się, że nikomu nie powiemy, z kim i gdzie się spotkałyśmy oraz czego rozmowa dotyczyła. Karą za złamanie jej warunków był milion dolarów, tym razem kanadyjskich.

No dobra, to było *creepy*. Może rzeczywiście trzeba było wziąć ze sobą jakiegoś prawnika. Było jednak jedno „ale”. A właściwie dwa. Po pierwsze, umowa mówiła też o tym, że w przypadku podpisania kolejnej istniała możliwość zdobycia pieniędzy, o jakich nawet nie marzyłam. A dokładniej dziesięciu milionów dolarów amerykańskich. Musiałabym więc być szalona, by nie sprawdzić, o co chodzi – mając taką kwotę, mogłabym przecież pomóc J.D.! A dopóki istniała na to jakakolwiek szansa, musiałam z niej skorzystać. Po drugie, miałyśmy zaledwie kilka godzin na podjęcie decyzji.

To wszystko oczywiście brzmiało jak szaleństwo, ale – tak jak wspominałam – do prawdziwie szalonych rzeczy jesteśmy zdolni, tylko gdy robimy je dla bliskiej nam osoby. I jestem pewna, że J.D. to samo zrobiłby dla mnie. Wystarczy powiedzieć, że zawsze, gdy miałam zły

dzień – a takie przecież zdarzają się każdemu – nawet nie musiałam go prosić, by wpaść do mnie z pizzą XXL i naszymi ulubionymi lodami na maraton serialowy na Netflixie. On po prostu to robił.

Znów odruchowo sięgnęłam do kieszeni. Nadal nie było żadnej wiadomości od J.D. Raz jeszcze otworzyłam Rite'a – aplikację, której używaliśmy do komunikowania się, w której nadal widniała informacja, że moja wiadomość nie została nawet wyświetlona. W pierwszej chwili wydało mi się to dziwne, bo J.D. zawsze odpisywał bardzo szybko, a teraz chciałam, żeby mi podpowiedział, co robić. Zagadka się rozwiązała, gdy sprawdziłam zasięg – albo coś było nie tak z moim telefonem, albo w tym budynku nie działał internet. Ciekawe.

Już miałam pójść poszukać miejsca, gdzie byłby lepszy sygnał, gdy otworzyły się drzwi, przed którymi od kilkunastu minut czekałyśmy razem z mamą. Na korytarz wyjrzał mężczyzna po czterdzieście w dobrze skrojonym czarnym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie, który wyglądał na prawnika. Uśmiechnął się do mnie, a potem do mojej mamy i ruchem ręki zaprosił nas do środka.

Za drzwiami znajdowała się sala konferencyjna. Jej centralne miejsce zajmował owalny stół ze szklanym blatem, stojący na dwóch masywnych czarnych nogach. Światła były przygaszone, dlatego widok za oknem na panoramę Toronto przypominał rozgwieżdżone niebo z tysiącami, jeśli nie setkami tysięcy gwiazd. Aż chciało się pomyśleć życzenie. Wrażenie było piorunujące i potęgował je fakt, że salę, w której się znalazłyśmy, spowijał półmrok. Nigdy bym nie przypuszczała, że miasto, w którym mieszkałam już dziesiąty rok, może wyglądać tak wspaniale. Cóż, jak się okazuje, wszystko jest kwestią perspektywy.

Prawnik w czarnym garniturze bez słowa dołączył do dwóch innych obecnych tu osób, które stały przy stole. Jedną z nich była nieco młodsza od niego kobieta w czarno-białej sukience, która – tak jak on – wyglądała na prawniczkę. Pomiedzy nimi stał mężczyzna, który był zdecydowanie najmłodszy z całej trójki. Powiedzieć, że wyróżniał się on na tle swoich towarzyszy, to jakby nie powiedzieć nic. Jego fryzura, włosy i broda były wystylizowane tak, jak gdyby zaraz miał wystąpić

w jakimś programie telewizyjnym. Pierwszym, co rzuciło się w oczy, był gigantyczny, jaskrawozielony zegarek, który zdawał się świecić w półmroku. Mężczyzna był ubrany w przecierane bojówki i golf, na który narzucił fioletową skórzaną kurtkę.

- Melanie Clark! - niemal wykrzyknął na mój widok, uśmiechając się szeroko. - Czy raczej powinienem zwracać się do ciebie po prostu Mela?

Jak na kogoś, kogo widziałam pierwszy raz w życiu, zachowywał się poufale. Nie wiedział zapewne, że w ten sposób mogą na mnie mówić tylko najbliżsi. I mam tu na myśli tych naprawdę najbliższych: swoją mamę i J.D.

Mężczyzna obszedł stół i ucisnął moją dłoń, kłaniając się przy tym nisko.

- To prawdziwy zaszczyt cię poznać! - kontynuował, a następnie zwrócił się w stronę mojej mamy i ujął także jej dłoń. - I oczywiście twoją matkę, Anne Miller.

No tak, moja mama nosiła inne nazwisko niż ja, ale pamiętałam czasy, kiedy ona także nazywała się Clark. Do swojego panińskiego nazwiska wróciła po rozstaniu z ojcem, a ja nigdy nie dziwiłam się, że tak właśnie postanowiła zrobić. Kto go znał, ten wiedział, że lepiej nie mieć z nim nic wspólnego - nawet nazwiska.

- Dziękuję, że znalazłyście dla nas czas i zgodziłyście się przybyć mimo późnej godziny i dość... naglej propozycji z naszej strony. Napijcie się czegoś?

Pokręciłam przecząco głową i siadłam na krześle, przyglądając się niesamowitej panoramie miasta za oknami. Było w niej coś hipnotyzującego. Moja mama poprosiła o wodę, którą po chwili przyniosła kobieta w czarno-białej sukience.

- Pewnie zastanawiacie się, po co was tutaj zaprosiliśmy - przerwał ciszę brodac w fioletowej kurtce, rozsiadając się w swoim fotelu i odchyłając się na nim do tyłu.

- Nie, to po prostu nasze hobby z mamą. Włoczemy się po luksusowych biurkach, gdzie uczestniczymy w tajemniczych spotkaniach. Zupełnie jakby ktoś chciał cię zwerbować do CIA...

– CIA! Dobre! – zaśmiał się brodac z powrotem pochylił się w naszą stronę. – Widać, że masz wyobraźnię. Wcale mnie to nie dziwi, w końcu napisałaś *Impostora*...

Tak, to ja napisałam *Impostora*. Jeszcze rok temu byłam zwykłą dziewczyną chodzącą do zwykłego liceum w Toronto. Przeciętne oceny, lekcje gry na gitarze raz w tygodniu i marzenie o tym, by w przyszłości pisać teksty do swoich piosenek i przede wszystkim zostać uznaną pisarką. No i nagle – zupełnie niespodziewanie dla wszystkich, także dla siebie – tego dokonałam. A to, jak do tego doszło, to naprawdę długa historia...

Moja babcia mawiała, że należy bardzo uważać na to, czego sobie życzymy, bo to może się spełnić. Tak mógłby brzmieć slogan marketingowy filmu o moim życiu, gdyby takowy kiedyś powstał: „Uważaj, czego sobie życzysz – to może się spełnić!”. Na pełną wersję reżyserską – pięć godzin filmu, bez żadnej wyciętej sceny i z komentarzem autorskim – nie ma teraz czasu. Na razie musi wystarczyć zwiastun z kilkoma najważniejszymi scenami z dotychczasowych siedemnastu lat życia Melanie Clark.

Pisałam od zawsze, czyli od szóstego roku życia. Zaczęłam, jeszcze gdy mieszkalam w Polsce. Marzyłam, że kiedyś to, co napiszę, nie trafi do szuflady, lecz na półki w księgarniach. Najpierw to były proste historyjki, które czytałam mamie. Potem fanfiki – tworzyłam je, by dłużej pobyc w światach, z których nie chciałam odchodzić po skończeniu książki. Tym bardziej że z rzeczywistością dookoła mnie nie było mi specjalnie po drodze. Gdyby nie J.D., pewnie w ogóle nie zamykałabym książki lub edytora tekstu, w którym pisałam kolejne opowiadanie. Kolejne opowiadanie, które nigdy nie miało ujrzeć światła dziennego. Jedyną osobą, której pozwalałam, by je przeczytała, był właśnie J.D.

Wszystko to zmieniło się tydzień po moich szesnastych urodzinach, gdy skończyłam pisać powieść. Nie kolejne opowiadanie, których tysiące zalegały w szufladzie mojego biurka czy pamięci laptopa, ale właśnie powieść. Zatyłowałam ją *Impostor*, a następnie pokazałam J.D. No i się zaczęło. Bardzo się nakręcił, jak to J.D. Przez kilka dni

dosłownie co chwilę pytał, czy skontaktowałam się z jakimś wydawnictwem. Potem sam przygotował listę z adresami mejlowymi i kazał mi jak najszybciej wysłać rękopis.

A ja się bałam. Z wielu powodów. Ale w końcu kto by się nie bał zrealizować swojego marzenia? Przecież mogło nie być tak pięknie, jak to sobie wyobrażaliśmy. Ostatecznie jednak uległam. Pomyślałam sobie, że i tak pewnie nic z tego nie będzie. Prawdopodobieństwo, że ktokolwiek odezwie się do mnie w sprawie tej książki, było bliskie zeru. Przynajmniej tak mi się wydawało. Może to była kwestia mojej osobowości, a może wieku, ale niestety często w siebie wątpiłam.

I pewnie dlatego, że właśnie tak myślałam, odezwało się do mnie siedem wydawnictw. S i e d e m. Wszystkie chciały jak najszybciej wydać *Impostora*! Razem z J.D. i moją mamą wybraliśmy najlepszą ofertę, a gdy powieść trafiła do księgarni, zaczęło się totalne szaleństwo. Po kilku tygodniach moja powieść dla nastolatków wspięła się na pierwsze miejsce rankingu literackich bestsellerów w Kanadzie! A potem – jakby tego było mało – odezwała się do mnie jedna z największych wytwórni filmowych (nie mogę jeszcze powiedzieć która!) z propozycją zekranizowania *Impostora*. Spełniło się to, czego sobie życzyłam. To było jak sen...

Szybko jednak musiałam zmierzyć się z brutalną rzeczywistością. W tym samym czasie J.D. zaczął się coraz gorzej czuć, a po serii badań usłyszał druzgocącą diagnozę: jego choroba postępowała. Dzięki sukcesowi książki miałam już trochę pieniędzy i byłam gotowa przeznaczyć je na leczenie mojego najlepszego i tak naprawdę jedyne przyjaciela... Ale to wciąż było za mało. Czas uciekał, a ja traciłam nadzieję.

Aż do dnia, gdy dostałam zaproszenie na spotkanie, w którym właśnie brałam udział.

– Pan chyba całkiem sporo o mnie wie. Znacznie więcej niż ja o panu – mruknęłam. Cała ta sytuacja z niewiadomego powodu nagle wydała mi się niezwykle irytująca. – Aha, wołałabym, aby jednak zwracał się pan do mnie Melanie, jeśli to oczywiście nie problem.

- Mela! - skarciła mnie mama, bardziej chyba z przyzwyczajenia. Widziałam, że i ona nie czuje się komfortowo, biorąc udział w tym... przedstawieniu. Bo właśnie tym to spotkanie dla mnie było.

- Nie, nie, pani Miller. Mela... Melanie ma rację i wcale się nie dziwię, że czuje się nieswojo. Rzeczywiście przygotowałem się do tej rozmowy. Chciałem po prostu zrobić na was jak najlepsze wrażenie. Głównie dlatego, że bardzo, ale to bardzo - mężczyzna złożył ręce jak do modlitwy - zależy mi, a właściwie nam, na współpracy z pani córką.

- Nam? - zapytałam, zerkając na siedzącą obok brodacza parę prawników.

- Nam, czyli mojej firmie. - Mój rozmówca się uśmiechnął. - Zacznijmy więc raz jeszcze, od początku. Nazywam się Peter Forsley i jestem jednym z dyrektorów firmy Rite...

- Rite?!

Każde pokolenie ma swoje social media. Boomerzy Facebooka, milenialsi Instagrama, zetki TikToka... Dla wielu jednak to już przeszłość. Nasze pokolenie ma Rite'a. A przynajmniej tak głosiła reklama nowego komunikatora i portalu, którego używały wszystkie osoby w moim wieku, które znałam. To na Ricie kilkanaście minut temu wysłałam kolejną już wiadomość do J.D. Zainstalowaliśmy tę apkę na swoich smartfonach już rok temu i od tamtego momentu właściwie nie używaliśmy do rozmów niczego innego. A jeśli Peter Forsley jest dyrektorem Rite'a i ze mną rozmawia, pewnie chodzi mu o...

- Jak zapewne wiesz, nasza firma szykuje coś, czego jeszcze nie było...

- *The RITE Show* - szepnęłam, tak jakbym się bała wypowiedzieć te słowa na tyle głośno, by naprawdę dotarły do moich uszu i bym uwierzyła, że to się dzieje naprawdę.

- Dokładnie tak, *The RITE Show*, który rusza za trzy dni...

ROZDZIAŁ 2

Wow, w całym Toronto nie było chyba osoby, która nie wiedziałaby, o co chodzi. Jak miasto długie i szerokie, już od tygodni billboardy w najważniejszych jego punktach informowały o tajemniczym reality show, w którym będą ze sobą rywalizować młodzi, obiecujący autorzy i autorki książek, a który ma być transmitowany wyłącznie w ramach aplikacji i portalu Rite. Co w tym takiego niesamowitego? Chodzi przede wszystkim o absolutnie nową formułę. Do tej pory znaliśmy programy typu reality show, które polegały na śledzeniu randomów marzących o sławie, choć na ogół niemających za wiele do zaoferowania. Tu miało być na odwrót – to miał być program ze sławnymi, utalentowanymi osobami, które na czas jego trwania staną się anonimowe. A cały świat będzie spekulował, kto w nim bierze udział. Przypuszczam, że Rite będzie rozgrzane do czerwoności od teorii fanowskich i dyskusji zagorzałych fanek i fanów, na temat tego, kto mógł napisać fragmenty powieści, które miały być publikowane na kolejnych etapach programu. Przecież ci, którzy będą śledzić *The RITE Show*, staną się świadkami rodzących się na ich oczach kolejnych światowych bestsellerów i jako pierwsi będą mogli się z nimi zapoznać. A jakby tego było mało, zgodnie z regulaminem pierwsza osoba, która prawidłowo wskaże autora lub autorkę fragmentu odrzuconego w danym tygodniu, będzie mogła się z tym kimś spotkać w realu na kolacji zaaranżowanej przez producentów programu. Gdy show wystartuje, na Ricie na pewno zapanuje istne szaleństwo...

Im więcej o tym wszystkim myślę, tym bardziej muszę przyznać, że nieźle to sobie wymyślili. To był show, który miał pójść w poprzek wszystkiego tego, co znaliśmy z różnych programów: tu najważniejsza była tajemnica, która miała zostać odkryta w wielkim finale.

- Sześcioro nastoletnich autorek i autorów z sześciu kontynentów dostaje możliwość spędzenia ze sobą pięciu tygodni na bajecznej wyspie na krańcu świata. Każde z nich pracuje w tym czasie nad powieścią, co tydzień anonimowo dzieląc się z użytkownikami aplikacji Rite jej kolejnymi rozdziałami lub fragmentami. Użytkownicy oceniają je, dając lajki, komentując i udostępniając w ramach naszego serwisu. Ci autorzy lub autorki, którzy w danym tygodniu zdobędą najmniejszą liczbę reakcji, będą musieli opuścić wyspę, a ich tożsamość zostanie ujawniona. Zwycięzca natomiast...

- „Wygrywa dziesięć milionów dolarów i otrzymuje możliwość wydania swojej nowej książki w tym samym dniu we wszystkich stu siedmiu państwach, w których działa aplikacja Rite” – wyrecytowałam z pamięci slogan radiowy, który słyszałam zdecydowanie zbyt dużo razy w trakcie jazdy z mamą do szkoły. Że też wcześniej tego nie skojarzyłam. Dziesięć milionów dolarów, kwota, którą można było zarobić po podpisaniu umowy...

- Dokładnie tak! A mówiłaś, że nic o mnie nie wiesz. Widzę, że doskonale znasz ideę tego programu. Cieszę się, bo mam cichą nadzieję, że to ułatwi mi moje zadanie.

- Chcecie mnie zaprosić do *The RITE Show*?!

- Nie chcemy, my m a r z y m y o tym, Melanie! Marzymy o tym, by zaprosić tylko najlepszych i najbardziej obiecujących autorów i autorki. To dlatego tutaj jesteśmy i rozmawiamy o reality show, który rusza za trzy dni, innej opcji nie ma. I nie ukrywam, że bardzo, ale to bardzo chciałbym, nie... marzę o tym, byś się zgodziła!

- Przepraszam... - Moja mama sprawiała wrażenie, jakby ocknęła się z letargu. - Mówi pan, że moja córka może wziąć udział w programie, w którym wygrana to dziesięć milionów dolarów? W tym programie z billboardów, reklam radiowych i internetowych? Nie przesłyszałam się?

- Pani Miller, po pierwsze, byłoby cudownie, gdybyśmy przeszli na „ty”. Ten „pan” jakoś do mnie nie pasuje – odpowiedział Peter Forsley, a następnie błysnął swoimi wybielonymi zębami. - Po drugie,

absolutnie się pani nie przesłyszała. Właśnie tak przedstawia się sytuacja. Melanie została wybrana jako najbardziej obiecująca pisarka młodego pokolenia z terenu Ameryki Północnej.

Gdy to usłyszałam, zakręciło mi się w głowie. A chwilę później poczułam, jakby ktoś z całej siły ścisnął mój żołądek.

– To niesamowite! Prawda, Mela?

Moja mama zwróciła się w moją stronę, ale nie miałam siły, by spojrzeć jej w oczy. Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, że drżą mi nogi i ręce. Musiałam naprawdę się skupić, by zęby nie zaczęły zgrzytać o siebie, a to był sygnał, że moje ciało zaczęło drżeć. W dodatku zbierało mi się na mdłości. Zrobiłam więc jedyną rzecz, którą mogłam zrobić w tej sytuacji: wybiegłam z sali, wpadłam do toalety i zwymiotowałam do muszli, nie zadawszy sobie trudu, by zamknąć drzwi. Nadal czułam, jak moje ciało drży, szum w uszach odbierał mi słuch, a serce waliło, jakby chciało wyrwać się z ciała razem z zawartością żołądka. Wzięłam głęboki wdech i pomału wypuściłam powietrze ustami. To zawsze pomagało.

Miewałam już ataki paniki. Pierwszy raz, kiedy dowiedziałam się, że ktoś naprawdę chce wydać moją powieść. Drugi – gdy *Impostor* został okrzyknięty najlepiej sprzedającą się książką w Kanadzie. Trzeci, kiedy wytwórnia filmowa zaproponowała mi ekranizację mojej książki. Czwarty atak przeżyłam przed chwilą.

Przetarłam usta, wciąż patrząc na swoje odbicie w lustrze. Przecież ja wcale nie jestem najbardziej obiecującą pisarką młodego pokolenia z Ameryki Północnej. To wszystko mnie przerastało. Chciałam pomóc J.D., ale nie w taki sposób. Jasne, napisałam powieść, która stała się światowym bestsellerem, ale obawiałam się – a nawet byłam pewna – że to się już nie powtórzy. Nic dwa razy się nie zdarza...

Nagle drzwi do toalety otworzyły się z impetem i do środka wparowała moja mama.

– No nareszcie! Tu jesteś. Martwiłam się o ciebie. Wszystko w porządku?

– Ann, ja nie mogę...

Ann. No właśnie. Za każdym razem, gdy zwracałam się do swojej mamy po imieniu, wszyscy dookoła patrzyli na nas jak na jakieś dziwadła. Bo jak córka może mówić do matki na „ty”? Ja mogłam. Moja mama zawsze mi na to pozwalała, a potem – gdy zostałyśmy same – wręcz na to nalegała. Nie była jedynie moją mamą, była przede wszystkim moją najlepszą przyjaciółką. Kimś, z kim zawsze mogłam być szczerą i której zawsze mogłam powiedzieć, co leży mi na sercu. Myślę, że było tak częściowo dlatego, iż była dla mnie nie tylko moją mamą, ale „najbliższą Ann”. W takich chwilach jak ta naprawdę doceniałam naszą relację. I uświadamiałam sobie, że nie mogłabym sobie wymarzyć lepszej matki.

– Czego nie możesz?

– Wziąć udziału w tym programie.

Do moich oczu napłynęły łzy.

– Ale dlaczego, kochanie?

– Nie dam rady. Ja nie potrafię pisać...

– Boisz się, że nie jesteś dość dobra. To naturalne. Chyba każdy normalny człowiek tak ma...

– Nie o to chodzi!

– A o co? Jeśli mi nie powiesz, nie będę mogła ci pomóc...

Odwrociłam się w jej stronę. Czułam, jak coś we mnie pęka. W końcu wykrzyczałam:

– Jestem oszustką! O to mi chodzi!

– Oszustką... – Mama zareagowała nad wyraz spokojnie, jak to miała w zwyczaju. – Nie mam pojęcia, co przez to rozumiesz, ale coś ci powiem. Czytałam ostatnio o „syndromie oszusta”, a właściwie „syndromie oszustki”, bo częściej dotyka on kobiety i dziewczęta.

– Ann, przestań!

– Mela, posłuchaj. Zrobisz, co zechcesz. Ja byłam sceptyczna wobec tego całego spotkania. Przyznaję, nie podobało mi się. Ale to jest szansa. Zdecydowana większość ludzi, te kilka miliardów osób, które żyją na tej planecie, nigdy takiej szansy nie otrzyma. Garstka, ułamek

procenta, raz w ciągu swojego życia usłyszy taką propozycję. I oczywiście tak samo dobrą decyzją jak jej przyjęcie, jest jej odrzucenie. To twoje życie i twoja decyzja. Pamiętaj jednak, że przyszedłszy tu, bo chcesz pomóc J.D. I szczerze mówiąc, czuję, że właśnie biorąc udział w tym programie, będziesz mogła to zrobić. Będziesz miała wystarczającą kwotę, by opłacić tę eksperymentalną terapię i pomóc mu we wszystkim innym, z czym być może będzie musiał sobie radzić po zakończeniu leczenia.

Gdy zamilkła, myślałam, że przydługi monolog mojej mamy się skończył. Jednak to była tylko dramatyczna pauza, po której kontynuowała, by postawić kropkę nad i:

– Przez ostatnie dziesięć lat miałam tylko ciebie. I nikt cię nie zna tak jak ja. Dlatego, Mela, chcę ci powiedzieć, że jeśli tylko chciałabyś wziąć udział w tym programie, nie masz się czego bać. Jesteś wspaniałą młodą kobietą z niebywałym talentem. Ja w ciebie wierzę. Pytanie, czy ty wierzysz w siebie. Może to dobra okazja, by sobie coś udowodnić?

Ale Ann, choć była moją przyjaciółką, była też moją kochaną mamą... jak zawsze nieugiętą w swojej bezgranicznej wierze w moje możliwości, zawsze waleczną i zawziętą, gdy chodziło o moje bezpieczeństwo i wsparcie w trudnych chwilach. Zawsze irytująco skuteczną, jak zwykle z gotową odpowiedzią – nawet (lub zwłaszcza) wtedy, gdy nie zdążyłam dokończyć swojego zdania. Czasami nic mnie tak nie wkurzało, jak ta jej determinacja, ale... jak zawsze zresztą, miała rację. Mogłam sobie udowodnić, że potrafię pisać. Że naprawdę jestem coś warta. A w dodatku mogłam zarobić tyle pieniędzy, ile potrzebne było dla J.D.

Spojrzałam jej w oczy jak zbity pies, a ona podała mi rękę i pomogła zebrać się z podłogi. Odgarnęła włosy z mojej twarzy i uśmiechnęła się troskliwie. Gdyby tylko wiedziała, jaki był prawdziwy powód moich wahań. Ale nie mogłam, po prostu nie mogłam jej tego zdradzić.

Wróciłyśmy razem do sali konferencyjnej, przerywając ożywioną dyskusję między prawnikami i Peterem Forsleyem.

– Melanie, dobrze cię znów widzieć. Mam nadzieję, że nic się nie stało...

– Nie, już wszystko w porządku.

– Czy w takim razie możemy przejść do podpisania umowy? Bo zakładałam, że...

Moje dłonie ponownie zaczęły drżeć. To było jak odruch warunkowy. Natychmiastowy powrót paniki. Bałam się, że jak prawda wyjdzie na jaw, będę musiała za to zapłacić. A może nawet zostaną pociągnięta do odpowiedzialności karnej? Drzenie przeniosło się na nogi... Zrobiło mi się niedobrze.

– Przykro mi, ale nie wezmę udziału w *The RITE Show*.

Gdy tylko łamiącym się głosem wypowiedziałam te słowa, odwróciłam się na pięcie i ruszyłam bez chwili zastanowienia w stronę wind. Za sobą usłyszałam tylko krótkie „Co?”, wypowiedziane najpierw przez Petera Forsleya, a potem przez moją mamę. Przyspieszone kroki dochodzące zza moich pleców sugerowały, że mama wybiegła za mną z sali.

– Mela, myślałam, że...

– To źle myślałaś.

Drzwi windy otworzyły się i w milczeniu weszliśmy do środka. Potem bez słowa opuściliśmy budynek i ruszyliśmy w stronę samochodu.

W tym momencie w kieszeni usłyszałam dźwięk, na który czekałam przez cały wieczór. To był sygnał wiadomości w aplikacji Rite. A może znak z niebios?

Wyjęłam telefon i spojrzałam na ekran. Były na nim trzy wiadomości, jedna pod drugą.

Super! Dawaj znaka, jak coś będzie wiadomo!

???

No co tam? Jak spotkanie?

Zaczęłam stukać palcami w ekran.

J.D., cholera, gdzieś ty był?!

Na ekranie pojawiła się chmurka z wielokropkiem, która oznaczała, że J.D. coś pisze.

Jak to, gdzie JA byłem?! To TY byłaś poza zasięgiem. Pewnie dopiero teraz doszły do ciebie moje wiadomości...

No, w sumie racja. Z tych emocji nie myślałam już jasno.

Sorry, chyba tak... Spotkanie... No, dziwnie. To nie dla mnie. W sensie... Kurde, mogłabym zarobić kupę kasy i... no wiesz, byłoby na tę terapię, ale... Kurde.

Zawahałam się przez chwilę, nie wiedząc, co napisać. Nie miałam pojęcia. Więc po prostu wysłałam to J.D.

Ej, nic na siłę. To raz. No i to nie twoje zadanie, żeby zebrać tę kasę. To dwa. Wiesz, że kocham cię niezależnie od wszystkiego. Jesteś najlepsza.

„Kocham cię”. To było słodkie. J.D. często tak mi mówił, a jeszcze częściej pisał. A wszystko zaczęło się w dniu, w którym dał mi swoje zdjęcie. Zdjęcie, które do dzisiaj nosiłam w portfelu. Zналиśmy się wtedy krótko, może kilka tygodni. Nie powiem, bardzo go lubiłam. Tamtego dnia przyszedł do mnie rano się pobawić i zanim się obejrzeliśmy, było już ciemno. J.D. powiedział mi wtedy, że to był najlepszy dzień w jego życiu. No cóż, w tamtym czasie nie brzmiało to zbyt spektakularnie, bo też oboje nie mieliśmy wielu przeżytych dni na karku. Ale to było przesłodkie. A potem jeszcze wyjął swoje zdjęcie i mi się oświadczył. Widział na filmie, że tak robią dorośli, no ale że nie dysponował pierścieniem zaręczynowym (a szkoda!), wręczył mi swoją fotografię. I od wtedy byliśmy razem. Jako najbliżsi przyjaciele.

I gdy przypomniałam sobie tę historię, to uderzyło mnie z pełną mocą. Wiadomości od J.D. – właśnie w tym momencie – były jak znak. Przypomnienie, że jeśli nie wezmę udziału w *The RITE Show*, mogę go stracić. Na zawsze.

Mama zamknęła drzwi do samochodu, po czym włączyła silnik.

– Mamo...

– Tylko mi nie mów, że teraz znów zmieniłaś zdanie...

Jak już wspominałam: do naprawdę szalonych rzeczy jesteśmy skłonni tylko dla tych najbliższych nam osób. Dla tych, których kochamy. Udział w *The RITE Show* był czystym szaleństwem. Mógł pokazać całemu światu, że nie jestem tym, za kogo wszyscy mnie uważają. Jednak w obliczu tego, co właśnie do mnie dotarło, nie pozostało mi nic innego, jak zdecydować się na to szaleństwo. A przy okazji sprawdzić, czy naprawdę potrafię pisać powieści.

Dzięki. Też cię kocham. I chyba jednak popełniłam błąd. Odezwę się niebawem!

Odpisałam J.D., a następnie spojrzałam na mamę i przytaknęłam.

ROZDZIAŁ 3

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Peter Forsley i dwójka prawników byli już spakowani i szykowali się do wyjścia. Moja ostateczna decyzja zaskoczyła ich równie mocno, jak mnie samą. Widać było ulgę na ich twarzach, szczególnie na twarzach prawników. Ci od razu podsunęli mnie i mojej mamie po jednym egzemplarzu umowy dotyczącej wzięcia przeze mnie udziału w *The RITE Show*. Następnie poprosili, byśmy się z nią zapoznaliśmy (bez pośpiechu), zastrzegając przy tym, że możemy ją podpisać tylko teraz. Drugiej szansy nie będzie.

Przebrnięcie przez szesnaście stron prawniczego bełkotu – bo tak to dla mnie brzmiało – było nie lada wyzwaniem. Rzeczywiście przydałby nam się prawnik, choć nie jestem pewna, czy i on dałby sobie radę z tą lekturą. Wprawdzie część zapisów brzmiała dość standardowo, jednak w wielu miejscach pojawiały się co najmniej zaskakujące żądania.

Po pierwsze, od momentu podpisania umowy obowiązywał mnie i moją mamę całkowity zakaz dzielenia się z kimkolwiek informacją, że biorę udział w programie. Jeśli któraś z nas złamałaby ten zapis, zapłaciłybyśmy dwa miliony dolarów kary.

Po drugie, byłam zobowiązana do tego, by jeszcze przed dotarciem na miejsce, w którym odbywać się miał program, oddać producentom reality show wszystkie swoje urządzenia elektroniczne, a w szczególności te z dostępem do internetu. W przypadku niewywiązania się z tego zapisu również groziła mi kara w wysokości dwóch milionów dolarów.

Po trzecie, w przypadku odpadnięcia z programu zobowiązywałam się do wzięcia udziału w działaniach promocyjnych, takich jak czat z użytkownikami aplikacji Rite i późniejsze wywiady dla prasy

i telewizji. Gdybym odpadła z programu, zastosowanie miały też zapisy, które odsyłały do kilku załączników do umowy. Te liczyły sobie kolejne dwadzieścia stron.

W końcu, po czwarte, przystępowałam do programu natychmiast po podpisaniu umowy. Innymi słowy, jeśli zdecydowałabym się wziąć udział w *The RITE Show*, od razu ruszyłabym z producentami programu w miejsce docelowe. Nie miałabym już możliwości wrócić do domu po swoje ubrania lub cokolwiek innego. Producenci zobowiązywali się zapewnić mi wszystko, czego tylko będę potrzebowała. Jednym słowem, reality show zaczynał się właśnie teraz.

Klamka jednak zapadła. Po prawie godzinnej lekturze umów, gdy zbliżała się już północ, najpierw ja, a potem moja mama – jako mój opiekun prawny, ponieważ wciąż byłam niepełnoletnia – złożyłyśmy swoje podpisy. Choć nie do końca zdawałyśmy sobie sprawę z tego, co tak naprawdę podpisujemy. Byłyśmy już zbyt zmęczone tym wszystkim. Odpowiednie egzemplarze umowy podpisał też najpierw Peter Forsley, a potem mężczyzna w czarnym garniturze. Ten ostatni przekazał jeden egzemplarz umowy mojej mamie.

– Damy wam chwilę. Zakładam, że chce się pani pożegnać z córką. My w tym czasie przygotowujemy się do podróży.

Peter Forsley i dwójka prawników opuścili salę. Moja mama podeszła bliżej i przytuliła mnie mocno. Wiele zapisów z umowy było dla nas niezrozumiałych, ale to, że nie zobaczymy się być może przez kolejne pięć tygodni – oczywiście o ile zostaną w programie do końca – stało się dla nas jasne.

– Po prostu rób swoje. Jak zawsze. Kocham cię – szepnęła mi do ucha, po czym uśmiechnęła się do mnie.

– Ja też cię kocham.

Chciałam powiedzieć coś jeszcze, ale do sali ponownie zajrzał mężczyzna w czarnym garniturze.

– Melanie, helikopter już na nas czeka.

Popatrzyłam na niego jak na szaleńca.

- Helikopter?! - Poczulałam się jak w filmie. Takim, w którym dzieje się zbyt dużo i za szybko, a ja nie potrafię połączyć się w fabule. Co prawda nie było w nim (jeszcze) pościgów i wybuchów, ale skoro był helikopter, to istniała szansa, że i one się pojawią.

Gdy wraz z Peterem Forsleyem i dwójką prawników wjechaliśmy windą na ostatnią kondygnację, a następnie weszliśmy na kolejne piętro schodami, by znaleźć się na dachu wieżowca, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Naprawdę czekał tu na nas helikopter. Czarny i lśniący w blasku księżyca. To nie może dziać się naprawdę. A jednak, kiedy śmigła poszły w ruch, a ja usłyszałam ich hałas, poczułam, że to wszystko prawda. Nogi się pode mną ugięły. Za moment miałam wsiąść do śmigłowca i ruszyć nim w bliżej nieokreślonym kierunku, by wziąć udział w *The RITE Show*...

Kilka minut później lecieliśmy już w śmigłowcu nad migotliwymi światłami Toronto. Widok był zachwycający, jednak nie byłam w stanie się nim cieszyć.

Doskonale pamiętam swój ostatni lot. Miałam dziesięć lat i razem z mamą odwiedziłyśmy po raz ostatni Polskę. Powodem był pogrzeb mojej babci Soni - tej, która mówiła mi, bym uważała, czego sobie życzę. Mama cały czas płakała i dopiero teraz rozumiem, dlaczego to było dla niej takie trudne. Babcia Sonia była dla mamy tym, czym moja mama dla mnie - oparciem. Gdy jej zabrakło, został tylko płacz i uczucie pustki, spotęgowane przez mroczną deszczową i wietrzną pogodę. Pamiętam, że złapałam jakieś przeziębienie i gdy leciałyśmy z powrotem do Kanady, miałam trzydzieści dziewięć stopni i nie do końca rejestrowałam, co się dzieje. Zaraz po wejściu do domu zwymiotowałam i oświadczyłam mamie, że już nigdy nigdzie nie polecę i że nie chcę wracać do Polski. I przez wiele lat faktycznie tak było. Może powinno tak już zostać, szczególnie jeśli chodzi o latanie samolotem lub helikopterem?

Teraz ogłuszający huk śmigieł dosłownie mnie paraliżował, i to mimo ochronnych słuchawek. Skupiałam się tylko na tym, by jakoś przetrwać tę niespodziewaną podróż, a po jej zakończeniu nadal zachować resztki słuchu. Łomot najwyraźniej jednak robił wrażenie tylko na mnie - Peter

Forsley, dwójka prawników i pilot śmigłowca wydawali się niewzruszeni.

– Wiem, to mało komfortowe, gdy się leci pierwszy raz! Jednak za niecałe dwie godziny będziemy na miejscu! – wykrzyczał głos Petera Forsleya w moich słuchawkach, z trudem przebijając się przez wszechogarniający hałas. Chyba jednak wolałabym tego nie słyszeć. Dwie godziny?! Czy oni oszaleli?! W tamtej chwili nie byłam pewna, czy jakiegokolwiek pieniądze są warte tych męczarni – nawet te cholerne dziesięć milionów dolarów. A potem przypominałam sobie, po co to robię.

Zacisnęłam mocno powieki. Huk nareszcie powoli stawał się coraz cichszy. W pewnym momencie zaczął dobiegać jakby z oddali, a moje powieki zaczęły mimowolnie opadać. I w końcu ustał.



Gwałtownie zerwałam się z miejsca. Dopiero po chwili zorientowałam się, że ktoś potrząsa moim ramieniem. To był Peter Forsley.

– No nareszcie. Zasnąłeś jak kamień, Melanie.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam, rozglądając się dookoła.

Przez otwarte drzwi przesuwne widać było budynek i niewysoką wieżę w oddali. Na zewnątrz panował mrok, który rozświetlały setki małych lampek ustawionych na ziemi jedna obok drugiej, formujących dwa świetliste pasy. Źródłem światła było tu też kilka rytmicznie migających punktów na wieży i na budynku oraz dwie duże latarnie oświetlające budynek.

– Na lotnisku. Potrzebujemy kilku godzin, by przygotować dla was odrzutowiec. On zabierze was na wyspę.

– Nas? Na wyspę?

Byłam zaspana, miałam wszystkiego dość i niewiele rozumiałam z tego, co się działo. Najchętniej z powrotem uciekłabym w sen.

– O wszystkim powiemy wam niebawem. Na ten moment najlepiej by było, gdybyś dołączyła do reszty uczestników i uczestniczek.

– Oni tutaj są?!

To wydało mi się dość zaskakujące, skoro mieli to być przedstawiciele wszystkich kontynentów. Zastanawiało mnie też, dlaczego to ja dołączałam do nich jako ostatnia. Tak naprawdę w głowie kłębiły mi się wtedy dziesiątki pytań, ale te dwa wybrzmiewały w niej szczególnie głośno.

– Są tam – odparł Peter, wskazując na budynek oświetlony dwiema latarniami. Następnie pomógł mi wysiąść ze śmigłowca. – Śmiało, idź do nich. Jestem pewien, że się polubicie. Ja mam jeszcze coś do załatwienia. Dołączę do was, gdy tylko będę mógł.

Nie czekając na moją odpowiedź, ruszył w stronę wieży. Mnie natomiast nie pozostało nic innego, jak skierować się do budynku. Tym bardziej że w tym miejscu – gdziekolwiek to było – noce najwyraźniej były dużo chłodniejsze niż w Toronto. A może po prostu było mi zimno, bo chociaż spałam, nie czułam się wypoczęta, i szczerze mówiąc, to cud, że w ogóle jeszcze jakoś funkcjonowałam.

Powłócząc nogami, ruszyłam przed siebie. Jeśli ktoś wtedy mnie obserwował, musiał uznać, że przypominam zombie. I okazało się, że byłam też głodna jak typowy żywy trup. Z tym zastrzeżeniem, że nie jem mięsa i jakichkolwiek produktów odzwierzęcych. Byłabym więc raczej wege zombie, o ile coś takiego w ogóle istnieje. Uczucie głodu dotarło do mnie nagle, w jednej sekundzie, ale tak już miałam – w jednej chwili byłam najedzona, w drugiej czułam, że umieram, bo od dawna nic nie jadłam. A w tamtej chwili nie pamiętałam swojego ostatniego posiłku. Co gorsza, kiedy czuję głód, potrafię być naprawdę nieznośna. Dlatego w duchu zaczęłam się modlić, by w budynku czekało na mnie coś, co będzie się dało zjeść...

Weszłam do środka. Najpierw uderzyło mnie bijące z wnętrza ciepło, zaraz potem poczułam coś jeszcze, coś, na co czekałam – zapach jedzenia. Rzuciłam się w stronę, z której dochodził. Nie widziałam wokół siebie innych ludzi, tak naprawdę nawet nie zarejestrowałam, czy

ktos prócz mnie jest w tej duzej, przypominajacej poczekalnie na lotniskach hali. Jak po sznurku zmierzalam w stronę stołu z bufetem.

Jednak gdy tylko przed nim stanęlam, przyszło rozczarowanie. Wprawdzie stało na nim kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt półmisek i tac z gorącymi daniami, ale... prawie żadne z tych naczyń nie zawierało potraw dla wegan. Byłam już do tego przyzwyczajona dzięki wakacyjnym wyjazdom z Ann; hotelowe śniadania były pod tym względem nie lada udręką. Myślałam jednak, że tu będzie to wyglądało inaczej. Że skoro ktoś zaprosił mnie do programu, to...

– Melanie Clark. Cieszę się, że zdecydowałaś się dołączyć do *The RITE Show*. – Moje uzalenie się nad sobą przerwał kobiecy głos, dolatujący zza moich pleców.

Odwrociłam się. Przede mną stała czarnoskóra kobieta po czterdziestce z bardzo krótko przystrzyżonymi jasnymi włosami i w okularach w grubych oprawkach. Uśmiechała się do mnie szeroko. W dłoni trzymała coś, co wyglądało na jakąś listę.

– Odpowiadam za ten tymczasowy bufet. Niestety w kuchni dowiedzieliśmy się w ostatniej chwili, że do nas lecisz, dlatego nie przygotowaliśmy jeszcze pełnej opcji wegańskiej. Zaraz coś dla ciebie przyrządzimy.

To była kolejna osoba, która dużo o mnie wiedziała. Nie obnosiłam się publicznie ze swoją dietą. Nikt nigdy nie zapytał mnie o to w żadnym wywiadzie. Skąd więc wiedzieli? Może po prostu wyglądałam na roślinożerczynię? Chyba tak właśnie było, co sugerować mogły dalsze słowa kobiety.

– Reszta to mięsożercy... – kontynuowała już dużo ciszej, zupełnie jakbym tylko ja miała usłyszeć to zdanie. Wskazała przy tym głową za swoje lewe ramię. – Choć zdążyłam już zauważyć, że przy tym niezłe z nich ziółka. Wyglądasz na najbardziej niewinną z nich, więc uważaj na siebie, mała.

Kobieta oddaliła się, a ja dopiero wtedy ich dostrzegłam... Dwie kobiety i trzech mężczyzn. Jeden z nich (nie powiem, całkiem przystojny, wysoki brunet w bomberce i okularach, zdecydowanie mój

typ) akurat mi się przypatrywał oceniająco – a przynajmniej tak to odebrałam. Siedział z boku z dużym notatnikiem na kolanach, zachowując dystans wobec reszty, która pogrążona była w głośnej rozmowie. Wyglądał na kogoś, z kim w pierwszej kolejności mogłabym się zaprzyjaźnić. Przypominał mi trochę J.D., który – tak jak ja – zawsze trzymał się nieco z boku. Byłam ciekawa, czy po bliższym poznaniu to się potwierdzi. Tym bardziej, że wszyscy poza nim wyglądali na mięsożerców, którzy z łatwością pożarliby także mnie...

W szkole i poza nią często prześladowała mnie myśl, że nie pasuję do tego świata. Nie byłam tak ładna, tak inteligentna, nie miałam takich osiągnięć i tak niezwykłych talentów jak inni. Nie byłam dość dobra. A przynajmniej tak mi się wydawało. Choć wszystko zawsze zaczynało się już na poziomie wyglądu. Nie wiem, czy tak było zawsze, czy to jedna z tych mitycznych rzeczy dotyczących „współczesnej młodzieży”, ale ludzie w moim wieku w liceum zaczęli wyglądać na co dzień, jakby zostali żywcem wyjęci z okładek magazynów modowych. Albo z jakiegoś serialu dla nastolatków.

Jednak to było niczym wobec widoku, jaki właśnie rysował się przed moimi oczami. Być może to była kwestia zmęczenia, być może głodu, a być może mojej wyobraźni, ale w tamtej chwili czułam się tak, jakbym trafiła nie do tego programu, do którego powinnam. Przypuszczałam, że spotkam tu autorów i autorki książek – pisarzy i pisarki w przetartych dzinsach i swetrach, nastolatków takich jak ja, bez make-upu i stylizacji z kosmosu. Cóż, pomyliłam się. Bo ci tutaj przypominali bardziej nastoletnie wersje celebrytów z Met Gali niż zwykłych ludzi.

I pocieszała mnie tylko jedna myśl: w Ricie nie można było udostępniać zdjęć i filmów. Jej główna idea – która podbiła serca wielu ludzi w moim wieku, w tym moje – głosiła potrzebę przeciwstawienia się dotychczasowej toksyczności social mediów związanej ze skupianiem się na ludzkiej fizyczności i jej ulepszaniu, także za pomocą rozmaitych filtrów i nakładek. W aplikacji liczyło się tylko to, co miałaś lub miałaś do przekazania – sednem były twoje słowa i to, co chciało się przy ich użyciu zakomunikować. Gdyby nie to, właściwie już na samym początku reality show sama siebie nominowałabym do odpadnięcia...

Głośne burknięcie w moim brzuchu przypomniało mi o priorytetach. Jeśli w ogóle kiedykolwiek mam się zmierzyć z tą grupą nastoletnich superbohaterów, lepiej zrobić to z pełnym żołądkiem. Bo koniec końców nic i nikt nie pociesza tak jak porządne *comfort food*. Nikt też nie rozumie cię bardziej niż *comfort food*. Smutek, żal, poczucie zagubienia i nieistotności – wszystko to znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy w twoim brzuchu lądują wegańskie pankejki, skąpane w odpowiedniej ilości bursztynowego syropu klonowego. A te właśnie pojawiły się na stole.

Czym prędzej wypełniłam nimi talerz aż po brzegi i zalałam je syropem, tak jak robiłam to co rano w domu. Pachniały nawet jak te, które robiła moja mama. I przez tę krótką chwilę zapomniałam, gdzie jestem. Na moment znów byłam w domu, Bóg jeden wie, jak daleko stąd i w którym kierunku. Nawet nie przypuszczałam, jak bardzo mi było to potrzebne.

Jednak równie szybko, jak uciekłam od tej nowej, obcej mi rzeczywistości, zostałam zmuszona do powrotu do niej...

ROZDZIAŁ 4

– *Olá!* Super widzieć tu jeszcze jedną dziewczynę, już się bałam, że będę tą jedyną.

Nie widziałam osoby, która do mnie mówiła, ale sądząc już po pierwszym słowie i samym tembrze głosu, byłam przekonana, że to jedna z pięciorga pozostałych uczestników *The RITE Show*. Odwróciłam się. Szeroki uśmiech, piękne, pełne usta i długie ciemne włosy do pasa. Dziewczyna, która stała teraz przede mną, miała zjawiskową urodę. No i to przenikliwe, a do tego pełne dobra spojrzenie. Choć nie byłam w najlepszym humorze, nie pozostało mi nic innego, jak uśmiechnąć się w odpowiedzi.

– Ty jesteś... Melanie Clark, prawda? – zapytała dziewczyna, przytulając mnie na powitanie, a ja nie zareagowałam, po prostu pozwoliłam jej na to. Pokiwałam tylko głową, by potwierdzić jej przypuszczenia. – Ha, czytałam *Impostora!* W Brazylii jest teraz chyba równie popularny, jak w Kanadzie. To zakończenie, ja nie mogę!

Słowa z jej ust wystrzeliwały z taką prędkością, że ledwo mogłam za nimi nadążyć. A kiedy w końcu zrobiła pauzę, wydusiłam z siebie ciche: „Dzięki...”.

– Ach! Nie przedstawiłam się!

– Czuję, że ja też powinnam cię znać, ale...

No właśnie, nie miałam pojęcia, kim są te osoby. Kojarzyłam skądś jedną z pozostałej czwórki, ale nie byłam pewna, kto to jest. Natomiast ta dziewczyna była taka miła i radosna, w dodatku znała moje imię i czytała moją książkę. Wszystko to sprawiło, że poczułam się jeszcze bardziej nie na miejscu. I w ogóle beznadziejna.

– No co ty! Wiesz, jak to jest, każdy zna pisarzy i pisarki ze Stanów lub Kanady. Brazylia to co innego. Chociaż moja agentka mówi, że w Europie jestem teraz jedną z bardziej rozpoznawalnych autorek, więc... jupi! Alice Ferreira.

– Miło mi cię poznać, Alice – odparłam z nieznacznym uśmiechem.

Alice i to, co mówiła, działało na mnie i na moją duszę trochę jak uzdrawiający balsam. Gdyby optymizm i niewinność miały ze sobą dziecko, to byłaby ich córka – Alice Ferreira. Jeszcze nigdy nie spotkałam człowieka, którego polubiłabym od pierwszego spotkania. Moja mama śmiała się, że jako niemowlę płakałam tak długo, że myślała, iż nigdy jej nie pokocham. Tak samo było z J.D. – uwielbiam go, ale nasze pierwsze spotkanie i to, jak go z początku potraktowałam... Powiedzmy tylko tyle, że nie od razu byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, a niewiele brakowało, żebyśmy stali się zdeklarowanymi wrogami.

Z Alice było zupełnie inaczej. Nie dało się jej nie pokochać i po prostu chciało się być jej przyjaciółką. A przynajmniej ja chciałam. Dlatego kiedy wypowiedziała słowa „Chodź, musisz poznać resztę!” – które jeszcze trzy minuty wcześniej przyprawiłyby mnie o mdłości – poszłam za nią, nawet nie zastanawiając się nad tym, co mnie czeka...

– Hej, ludzie, znalazłam nasze ostatnie ogniwo! – niemal wykrzyknęła Alice, gdy podeszliśmy do reszty.

– Oby nie najśłabsze, bo na pewno najpospolitsze, sądząc po stroju... – mruknęła osoba o azjatyckich rysach twarzy i kruczoczarnych włosach, krytycznie mi się przyglądając. Ona rzeczywiście – mówiąc eufemistycznie – wyglądała niepospolicie. Skądś ją kojarzyłam. Miała na sobie idealnie dopasowaną do jej smukłej sylwetki czarną koszulę z żabotem, czarne spodnie z szerokimi nogawkami, które wyglądały, jakby nosiła długą, szeroką spódnicę. Natomiast na nogach miała czarne buty na koturnie. Na tle absolutnej czerni jej stroju wyróżniały się jedynie białe lniane rękawiczki. – Rei, ono, jego.

– Rei?! – powtórzyłam, nie wierząc własnym uszom. Wiedziałam, że to ktoś, kogo znam! Jeśli ktoś zrobiłby generalny przegląd szkolnych szafek w moim liceum, pewnie w osiemdziesięciu procentach tych

należących do dziewczyn znalazłby egzemplarz debiutu Rei. Sama go czytałam, a potem pożyczyłam J.D.! Po tej chwili euforii przyszło jednak otrzeźwienie, bo skoro Rei tu jest, to ja chyba nie mam czego tu szukać. – Melanie Clark, ona, jej. Miło mi cię poznać... – wydusiłam z siebie już dużo ciszej, odzyskawszy świadomość, dlaczego bałam się podchodzić do reszty uczestników i uczestniczek. Podałam też odruchowo rękę Rei, jednak ono nie zareagowało.

– Rei to osoba autorska, która cierpi na atopowe zapalenie skóry. Bolesna sprawa, dlatego nie podaje ręki... – wyjaśniła Alice, wchodząc w rolę przewodniczki po otaczającym mnie nowym świecie. Nie wiedziałam, jak jej dziękować za to, co robi. To było absolutnie cudowne z jej strony i tylko to sprawiało, że jeszcze nie rozpadłam się na kawałeczki.

– Jednak nawet atopowe zapalenie skóry nie tłumaczy braku manier i kultury.

Do naszej wymiany zdań dołączył czarnoskóry chłopak w džinsach i bordowym swetrze. Na oko zdawał się najstarszy w tej grupie, choć tak jak pozostali był nastolatkiem – no i wyglądał przy tym najzwyczajniej na tle reszty. On dla odmiany od razu podał mi rękę i uśmiechnął się szeroko.

– Aren Umaru, miło mi cię poznać, Melanie. I nie przejmuj się Rei. To tylko poza. Tak naprawdę wszyscy się cieszymy, że tu z nami jesteś.

– Aren to najbardziej obiecujący nigeryjski pisarz młodego pokolenia. Jeśli jeszcze nie czytałaś jego debiutu, po prostu muuusisz to nadrobić! – zaświergotała Alice. Mówiła takim głosem, jakby już w wyobraźni widziała siebie na ślubnym kobiercu z Arenem. Choć może tylko ja tak to odebrałam, bo Aren nawet nie zareagował.

– Alice, Aren! Mam nadzieję, że producenci programu przewidzieli dla was wspólny pokój, inaczej będzie wam ciężko przez te pięć tygodni żyć w rozłące! – krzyknęła czwarta osoba, która do mnie podeszła. Był to Włoch, co do tego nie miałam wątpliwości. W dodatku tak głośny, że mógł pochodzić tylko z Sycylii. Oczywiście o ile kulturowe stereotypy mają cokolwiek wspólnego z rzeczywistością. Wyglądał, jakby właśnie

wrócił z plaży – opalony, roześmiany i bardzo przystojny. Wcale nie zdziwiłabym się, gdyby dorabiał sobie w modelingu lub zawodowo trenował jakiś sport. Bo to ciało... Południowe klimaty, więc i mnie na chwilę zrobiło się gorąco. Miał na sobie trampki, białe spodnie, karmelowy golf i piaskową marynarkę. Jeśli dodać do tego lekki zarost, duży srebrny zegarek na ręce i kieliszek aperolu, który w jakiś nie do końca dla mnie jasny sposób idealnie do niego pasował, trzeba obiektywnie stwierdzić, że wyglądał bosko. Natomiast jego ruchy i sposób mówienia zdradzały, że w jego przypadku ten kieliszek aperolu nie był tej nocy pierwszym.

– A ja mam nadzieję, Enzo, że przystopujesz z alkoholem. Bo jak tak dalej pójdzie, będziemy cię musieli zanieść do samolotu – wtrącił Aren.

– Jasne, tato! – roześmiał się Włoch nazwany Enzo i przytulił Arena. Ten jednak szybko wyswobodził się z uścisku. Następnie Enzo dokładnie zlustrował mnie wzrokiem. – *Che bella!*

– W sensie, że... ja? – wydukałam z trudem.

– Alice jest już zajęta przez Arena, więc mogę tak mówić tylko o tobie. Lorenzo Barone, choć, jak już wiesz, wszyscy mówią mi Enzo. – Po tych słowach Enzo podszedł do mnie i pocałował mnie najpierw w jeden, a potem w drugi policzek.

– Melanie.

– Napijesz się czegoś? Skoro tu jesteśmy, mamy co świętować! – wykrzyknął Enzo, a następnie upił łyk aperolu z kieliszka.

– W moim przypadku to chyba jeszcze nielegalne... – odparłam cicho, bo po raz kolejny tego dnia poczułam zażenowanie sobą.

– Hej, Liam! To już oficjalne: mamy tu kogoś jeszcze, kto nie ma osiemnastu lat! Możemy dla was wyprawić kinderbal!

Enzo lekko się zatoczył, zwracając się w stronę chłopaka siedzącego cały czas z notatnikiem na kolanach. Tamten nawet nie spojrział w naszym kierunku. Tymczasem Aren wprawnym ruchem wyjął z ręki Enza kieliszek.

– Hej, oddawaj! – krzyknął Włoch poirytowany.

– Ośmieszasz się, kolego. Jeszcze mi za to podziękujesz – powiedział Aren i rzucił kieliszkiem o podłogę, a ten pękł, rozpadając się na drobne kawałeczki.

– A to podobno ja zachowuję się jak królowa dram – prychnęło Rei.

Ten komentarz rozpętał ożywioną i nerwową wymianę zdań między Arenem, Rei i Enzem, jednak ja nie słuchałam. Patrzyłam w stronę chłopaka z notatnikiem. Zastanawiałam się, kim jest i dlaczego nie podszedł się ze mną przywitać.

– Enzo to fajny chłopak, ale chyba ma problem z alkoholem... – szepnęła do mnie Alice, wskazując przy tym na kłótnię, która przeniosła się w głąb sali. A gdy podążyła za moim spojrzeniem, westchnęła. – A no tak, jest jeszcze nasz odludek.

– Czemu tam tak siedzi?

– Dobrze pytanie. Zakładam, że już pracuje nad swoją nową książką. On naprawdę chce to wygrać... Ale chyba ma też jakiś problem z tobą.

– Ze mną?!

No właśnie. Jakim cudem miałyby mieć ze mną jakiś problem?! Nie znaliśmy się, nawet nie wiedziałam, kim jest. Nigdy też ze sobą nie gadaliśmy. No chyba że nie spodobał mu się mój wygląd. Cóż, na to nic nie poradzę...

– Kiedy weszłaś do sali, dziwnie ci się przyglądał. No, przynajmniej ja odniosłam takie wrażenie... Może czytał *Impostora* i wie, że nie ma z tobą szans?! Hm... – Alice zamyśliła się na moment, ale zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć czy jakkolwiek zareagować, moja nowa przyjaciółka pociągnęła mnie za rękę i ruszyła w stronę chłopaka gapiącego się w swój notatnik.

– Liam, chyba jeszcze nie poznałeś Melanie! – oznajmiła Alice, gdy stanęliśmy nad Liamem.

– Hej, Melanie.

I tyle. Bez żadnej emocji, bez niczego. Nawet na mnie nie spojrział.

– Melanie, to jest Liam Jones. Mieszka w Nowej Zelandii. Tyle udało mi się dowiedzieć, bo nie jest zbyt rozmowny.

Ten komentarz chyba sprowokował chłopaka w bomberce i okularach, bo w końcu podniósł wzrok.

– Bo ja tu nie jestem po to, żeby gadać. Jestem tu po to, żeby pisać. I żeby wygrać ten program. Dla was to pewnie dobra zabawa. Ktoś się napije, kto inny pokaże, jaki ma wykwinny gust, a jeszcze kto inny znajdzie sobie nowych przyjaciół, ponieważ ma niskie poczucie własnej wartości i boi się samotności. Tak, mówię o tobie, Alice. – Chłopak uśmiechnął się złośliwie do Alice, po czym przeniósł wzrok na mnie. – A co ty tutaj robisz, nie mam pojęcia, bo *Impostor* to, jak by to ująć, marna książka. Ale pewnie każdy program ma swojego „kopciuszka” – Liam wziął kopciuszka w manualny cudzysłów – i ty masz odegrać tę rolę w *The RITE Show*. Niech będzie. Rób więc słodkie minki i sprawiaj wrażenie outsiderki, która nie wie, co tutaj robi i jak się ma odnaleźć w tej trudnej sytuacji. Ja natomiast skupię się na tym, w czym jestem najlepszy, czyli na pisaniu.

Skończywszy mówić, Liam wstał, wziął swój notatnik i wyszedł na zewnątrz.

– Co za dupek... – W tych emocjach wypowiedziałam na głos to, co chciałam zachować jedynie w swoich myślach, a Alice parsknęła śmiechem.

– Mało powiedziane! Jak dla mnie to straszny kutas – podsumowała Alice bez najmniejszego skrępowania, a ja spojrzałam na nią z uznaniem. A więc za słodkim uśmiechem i niebywałym urokiem skrywała się też szczerą umiejętność nazywania rzeczy po imieniu. Jeszcze bardziej polubiłam nową koleżankę.

W tym momencie otworzyły się drzwi wejściowe. Myślałam, że Liam jakimś cudem nas usłyszał i wrócił, by powiedzieć nam jeszcze coś „miłego”. Jednak to nie był on. Do sali wszedł Peter Forsley, a dopiero za nim do środka wkroczył „przyszły wygrany pierwszej edycji *The RITE Show*”. Pojawienie się producenta reality show przerwało też niegroźną bójkę, w jaką przeistoczyła się kłótnia między Arenem i Enzem.

Peter Forsley klasnął kilkukrotnie i stanął na środku pomieszczenia.

- Na tę chwilę wszyscy czekaliśmy! Nie ukrywam, że ja też czuję podekscytowanie przed początkiem tej podróży... I nie chodzi mi jedynie o waszą podróż na wyspę, na której odbędzie się *The RITE Show*, ale o naszą wspólną podróż, jaką będzie ten program, i to, co dzięki niemu uda nam się zbudować!

- Za *The RITE Show*! - krzyknął Enzo, który jakimś cudem ponownie miał w ręce kieliszek aperolu.

- Tak... Dziękuję ci, Lorenzo, za ten toast. A teraz proszę was, byście wzięli rzeczy i dołączyli do mnie na płycie lotniska. Nasz samolot już czeka. O dalszych szczegółach opowiem wam już na jego pokładzie.

Zgodnie z prośbą Petera Forsleya w ostatniej chwili złapałam jeszcze dwa pankejki i zjadłam je na zapas, a następnie w towarzystwie Alice ruszyłam do wyjścia. Tuż przed drzwiami bez słowa wyminął nas Liam, który widocznie nawet w samolocie musiał być pierwszy...

Kiedy wyszłam na zewnątrz, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Przed budynkiem stał luksusowy odrzutowiec - taki, jakie widuje się na filmach. Na schodkach prowadzących do jego wnętrza stał już Peter Forsley, który rozmawiał z kobietą wyglądającą na stewardesę. Pomachał do mnie i do Alice i przyjaźnie zachęcił, byśmy weszły do środka.

Teraz nie było już odwrotu. Przede mną następny lot. Po raz kolejny poczułam bolesne ukłucie w żołądku. Zadrżałam. Wtedy jednak ktoś ścisnął moją dłoń. To była Alice.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała, jakby czytała mi w myślach.

Wiedziałam, że wcale nie będzie. Cieszyłam się jednak, że jest przy mnie ktoś taki jak ona. To dawało nadzieję. Niewielką, ale jednak.

ROZDZIAŁ 5

We wnętrzu samolotu spodziewałam się rzędów siedzeń, między którymi chodzić będą w tę i we w tę stewardesy z jedzeniem i napojami. Po cichu liczyłam natomiast na małe ekrany i zestawy słuchawek – takie, jakie są w samolotach podczas lotów międzykontynentalnych – dzięki którym nadrobiłabym zaległości w nowościach filmowych (a miałam ich sporo). Jeśli cokolwiek wspominałam pozytywnie z mojego ostatniego lotu do Polski, to była tym ta jedna jedyna rzecz. Obejrzałam wtedy dwa filmy: *Vaianę* oraz *Alicję po drugiej stronie lustra*. I przez chwilę byłam najszczęśliwszą dziesięciolatką na świecie. A potem doleciałyśmy do Krakowa, no i o reszcie już wspominałam.

To, co odkryłam we wnętrzu prywatnego odrzutowca, w niczym nie przypominało samolotu, którym leciałam siedem lat wcześniej. Bardziej przypominało... salon w jakimś wytwornym apartamentowcu w Nowym Jorku. Tak przynajmniej wyobrażałam sobie, że wygląda penthouse za dziesiątki milionów dolarów tuż przy Central Parku. Nakryty stół dla sześciu osób z czterema fotelami, do tego dwie kanapy i dwa fotele. Na ścianie gigantyczny telewizor LCD, który bardziej przypominał kinowy ekran, jeśli miałabym być szczerą. Wszystko utrzymane w brązach i beżach z wysmakowanymi fioletowymi dodatkami.

Czułam się, jakbym wkroczyła do pałacu rodem z filmów Disneya, tylko bez tego tandetnego różu, błękitu i złota. To nie był pałac dla dzieci – to był pałac dla celebrytów. Czyli dla pozostałych uczestników i uczestniczek *The RITE Show*, bo dla mnie było tu zdecydowanie zbyt elegancko. Moje znoszone vansy, szerokie niebieskie dżinsy z podwiniętymi nogawkami, oversize'owy T-shirt, dżinsowa kurtka

z kapturem i torba na ramię, z którą się nie rozstawałam, pasowały do tego miejsca jak pięść do oka. I to w sumie było uczucie, które nieustannie mi tu towarzyszyło: jakby ktoś przywalił mi w twarz.

Reszta, tak jak przypuszczałam, szybko odnalazła się w tych klimatach. Enzo leżał już na kanapie z panini w jednej ręce i pilotem od telewizora w drugiej, przeglądając nowości Netflixa. Aren zasiadł na dużej podłogowej poduszce w pozycji lotosu, zastygłszy z zamkniętymi oczami w całkowitym bezruchu. Wyglądał przy tym jak majestatyczny renesansowy posąg. Dopiero teraz dostrzegłam jego muskulaturę i idealnie wyrzeźbioną sylwetkę; każdy mięsień i żyłę na jego ciele widać było tak dobrze, że można byłoby się na nim uczyć ludzkiej anatomii. Liam z kolei zajął miejsce naprzeciwko niego, wciąż coś notując w swoim notesie z naprawdę imponującą szybkością. Natomiast w głębi samolotu Rei... energicznie i z pełnym zaangażowaniem chodziło w tę i we w tę, przyglądając się krytycznie wnętrzu odrzutowca.

- Co się stało, Rei, zachwiane feng shui? - zażartowała Alice i szturchnęła mnie łokciem, uśmiechając się delikatnie. Najpierw to przekleństwo, teraz to. No nie powiem, gdybym była chłopakiem, już znalazłabym miłość swojego życia. Ale nie ma tego złego - znalazłam chyba najlepszą przyjaciółkę pod słońcem, kogoś, kogo od zawsze brakowało w moim życiu.

- Żadne feng shui! - oburzyło się Rei i spojrzało na Alice tak, jakby obraziła jego rodzinę. - Kanso! Chodzi o kanso! Ale co taki gaijin jak ty może o tym wiedzieć? Ty i twoja prosta przyjaciółka. - Po tych słowach Rei zwróciło się do mnie, kładąc mi dłoń na ramieniu. - Wybacz, kochana, ale ten strój, brak makijażu i... w ogóle całość, wygląda dość prosto, by nie powiedzieć: prostacko. - Następnie znów spojrzało z politowaniem na Alice. - No więc ty i twoja prosta przyjaciółka zadowoliliłyście się tym chińskim McDonaldem projektowania wnętrza.

- Chiński McDonald projektowania wnętrza... - powtórzyłam z podziwem. Rei było nie tylko prozaikiem, ale i poetą.

- Dokładnie tym jest feng shui, moja droga. - Rei położyło ponownie dłoń na moim ramieniu i mówiło do mnie głosem, zupełnie jakby

wtajemniczało mnie w wiedzę dostępną jedynie grupce wybranych. – Kanso to koncepcja osadzona w filozofii zen i w harmonii prostoty. A ja nie mogę, po prostu nie mogę przebywać w przestrzeni, w której nie panuje zen i prostota. Duszę się w niej...

– Na szczęście przed nami tylko cztery godziny lotu. Ufam, że to czas, w którym nikt z was nie udusi się w tak zaprojektowanym wnętrzu. – Słowa te wypowiedział Peter Forsley, który dołączył do nas po wyjściu z kokpitu pilota. Rei nie wydawało się uspokojone stwierdzeniem, że to „tylko cztery godziny”. Po raz pierwszy poczułam, że mamy coś wspólnego. To było dziwne uczucie.

– Bardzo was wszystkich proszę o zajmowanie miejsc w fotelach i zapięcie pasów, za kilka minut startujemy!

Alice zajęła miejsce przy stole, następnie klepnęła dłonią w fotel obok siebie, a ja na nim usiadłam.

– Mamy jeszcze chwilę... Wiesz, naprawdę jestem fanką *Impostora*... – zaczęła Alice, a ja nagle cała się spięłam. – Ciekawi mnie, jak wpadłaś na ten pomysł! Bo jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że jako szesnastolatka napisałaś książkę o chłopaku odkrywającym ze zdumieniem, że po drugiej stronie Ameryki mieszka jego brat bliźniak, z którym został rozdzielony tuż po narodzinach. Dobrze zapamiętałam? – zapytała Alice, a ja przytaknęłam. – No a potem, kiedy w końcu w tajemnicy przed rodzicami odwiedza swojego bliźniaka, znajduje go martwego po tym, jak ten odebrał sobie życie. No i wykorzystuje jego ciało do upozorowania swojej śmierci, a następnie mści się na mieszkańcach jego rodzinnego małego miasteczka, którzy zniszczyli życie jemu i jego rodzinie, zmuszając matkę chłopaka do oddania jego brata do adopcji. Niczego nie pokręciłam? – upewniła się ponownie Alice, a ja znów pokręciłam głową, tym razem przecząco. – A gdy w końcu na rozwiązanie całej zagadki wpada jego pogrążona w żałobie dziewczyna, która nie może uwierzyć w to, co się wydarzyło, nie wydaje go szeryfowi, lecz pomaga w zemście i razem uciekają z miasteczka... No właśnie, jakim cudem na to wszystko wpadłaś?!

Teraz, kiedy Alice streściła moją książkę niemal na jednym wydechu, też brzmiało to dla mnie dość nieprawdopodobnie. Zastanawiałam się,

jak ktokolwiek mógł w to uwierzyć. Jednak na tym chyba właśnie polega wiara: wierzymy w coś, co wydaje się nieprawdopodobne, czasami wręcz niemożliwe. Ludzie wierzą w to, że Ziemia jest płaska, lądowanie na Księżycu zostało sfingowane, światem rządzą reptilianie, a figury świętych płaczą ludzką krwią. Nic więc dziwnego, że uwierzyli też w to, że szesnastolatka napisała makabryczną powieść kryminalną, która stała się międzynarodowym bestsellerem. Tym bardziej, gdy ktoś opowiedział o tym na TikToku lub napisał na portalu informacyjnym lub w Ricie. Może po prostu to było mniej zaskakujące niż prawda...

– Ale jeśli to tajemnica i nie chcesz mi zdradzać, jak na to wpadłaś, to nie musisz.

Wyraz twarzy Alice zdradzał mieszankę ekscytacji i zmieszania. Była jak małe dziecko, które pyta o coś, o co wie, że nie powinno pytać. A mimo to ciekawość zwycięża. Była w tym wszystkim przeurocza. Tylko co ja miałam jej odpowiedzieć? Dopiero co udało nam się zaprzyjaźnić, a ja niemal zmuszona zostałam przez nią do tego, by ją okłamać. No dobrze, nikt do niczego mnie nie zmuszał, jednak nie mogłam jej wyznać prawdy. Nie mogłam jej wyznać nikomu. A może mogłam z jednej strony powiedzieć prawdę, a z drugiej, nie powiedzieć jej do końca? Czy to liczyłoby się jako szczerłość? Trzymanie się faktów, choć niewymienienie od razu wszystkich z nich?

– Wszystko właściwie zaczęło się od rozmowy...

– Rozmowy? Wow, to musiał być ktoś naprawdę niezwykle, skoro efektem waszej wymiany myśli był *Impostor!* Chciałabym go poznać pewnego dnia. Bo to albo geniusz, albo psychopata... Z drugiej strony gdzieś ostatnio czytałam, że podobno różnica między nimi wcale nie jest tak duża, jak moglibyśmy przypuszczać.

– Niezwykły... Można na pewno zaryzykować takie stwierdzenie. Nie znam nikogo innego, kto by go przypominał.

– Fiu, fiu. A zatem to, jak napisałaś *Impostora*, to niejedyna tajemnica! Jest jeszcze tajemniczy mężczyzna... Przyznaj się, Melanie, to ktoś bliski? Twój chłopak? W ogóle masz chłopaka? – Alice ściszyła głos, a ostatnie pytanie zadała niemal szeptem. A potem znów

zmieszanie zupełnie przykryło ciekawość na jej twarzy. – Sorry, nie powinnam o to wszystko pytać! Nie wiem, co we mnie wstąpiło, to chyba zmęczenie.

– Nic się nie stało... Nie, to nie mój chłopak. Poznałam go dzięki komuś bliskiemu.

Teraz mój głos się załamał. Czulałam, jak moje oczy robią się wilgotne, ale tylko na chwilę.

– Poznałam go dzięki swojemu najlepszemu przyjacielowi, J.D.

– A J.D. to nie twój chłopak? – nie dawała za wygraną Alice.

Zawahałam się. W sumie nie wiem, dlaczego tak się stało. Przecież nie byliśmy razem z J.D. Poza tym nie byłam nawet pewna, czy czekałaby nas jakakolwiek przyszłość, biorąc pod uwagę jego chorobę. A jednak to pytanie Alice coś we mnie poruszyło i wzbudziło niepewność.

Od udzielenia odpowiedzi wybawił mnie Enzo, który usiadł naprzeciwko nas.

– O czym tam szepczecie, dziewczyny?! – zapytał typowym dla siebie tonem, który bardziej przypominał swoim natężeniem bicie dzwonu kościelnego niż dźwięk, który jest w stanie wytworzyć ludzka głośnia. Ale to był Włoch, w dodatku z południa, a w ich wypadku najwidoczniej wszystko było możliwe...

– O chłopakach, a co? – odparła Alice z tajemniczym uśmiechem. – A dokładniej o chłopaku Melanie...

– Nie powiedziałam, że to mój chłopak! – wydusiłam z siebie, nagle czując się, jakbym była przyparta do muru i musiała w końcu udzielić jednoznacznej odpowiedzi, by się uwolnić.

– Nie wierzę, że taka dziewczyna nie ma chłopaka. To oficjalne: Kanadyjczycy to ludzie pozbawieni gustu! Ale też czego spodziewać się po facetach z północy...?

– A ty masz dziewczynę? Bo po twoim zachowaniu wnioskuję, że chyba jednak jej nie masz. Widocznie kobiety z Włoch, i w ogóle

z całego południa, też są pozbawione gustu i niewiele się po nich można spodziewać, co?!

Te słowa same wyszły z moich ust. Były wentylem bezpieczeństwa, który uchronił mnie przed jeszcze większym wybuchem irytacji. Irytacji, która coraz bardziej we mnie narastała. Bo wszyscy traktowali mnie tu protekcjonalnie. Może wszyscy z wyjątkiem Alice. Ale Enzo, Liam, Rei i Aren sprawiali wrażenie, jakby byli ode mnie lepsi, mądrzejsi i jakby wiedzieli więcej o wszystkim, a już w szczególności o mnie. A oni nic nie wiedzieli! Ich prawda o mnie to była gówna prawda... Nie mieli pojęcia, kim jestem, co przeżyłam, jak się tutaj znalazłam i po co w ogóle zgodziłam się wziąć udział w *The RITE Show*. Oczywiście ja też niewiele o nich wiedziałam, nie miałam pojęcia, skąd się tu wzięli i dlaczego zdecydowali się dołączyć do programu. Jednak w przeciwieństwie do nich siedziałam cicho. Może i byłam tutaj najmłodsza, może nie mogłam jeszcze pić alkoholu jak Enzo, może nie byłam tak niezwykła jak Rei i tak uduchowiona jak Aren, nie byłam też tak zawzięta jak Liam, ale za to – do cholery – byłam na tyle dojrzała, by wiedzieć, że czasami najmądrzejszą rzeczą, jaką można zrobić, jest milczeć. Tym bardziej że mówieniem prawdy prawie nigdy nie zdobywa się przyjaciół.

Choć samolot powoli zaczął kołować, odpięłam pas i wstałam z miejsca. Nawet nie spojrzałam na Enza, którego całkowicie zamurowało. Nie musiałam. Nareszcie było cicho, a to oznaczało, że w końcu zamknął usta i być może zaczął się zastanawiać nad tym, co powiedział. To byłby mały sukces.

Bez słowa ruszyłam w stronę wyjścia, mijając Petera Forsleya.

– Melanie, zaraz startujemy, wróć na miejsce.

– Muszę stąd wyjść. Muszę ochłoniąć. Chcę odetchnąć świeżym powietrzem.

– Wybacz, ale to niemożliwe. Musimy startować.

Czułam, że Peter robi, co w jego mocy, by mówić do mnie przyjaznym i miłym głosem. Ale to było za mało.

– Chcę odetchnąć świeżym powietrzem, chcę odetchnąć świeżym powietrzem... – Zaczęłam powtarzać to zdanie w kółko. Tym razem nie pomogła nawet dłoń Alice, która ścisnęła moją rozedrganą rękę.

– Melanie... – spróbował raz jeszcze Forsley.

– CHCĘ ODETCRNAĆ ŚWIEŻYM POWIETRZEM!

Wyrzuciłam z siebie całą złość i frustrację. Peter nic już nie powiedział. Odwrócił się i ruszył szybkim krokiem do kokpitu. Chwilę później samolot zatrzymał się, a boczne drzwi otwały się z cichym sykiem.

Wyskoczyłam po schodkach na zewnątrz. Wzięłam głęboki wdech, potem kolejny, stojąc na płycie lotniska. W pierwszej chwili nawet nie zarejestrowałam, że zaczęło już świtać. Z tych wszystkich emocji miałam ciemno przed oczami, serce dudniło mi w klatce piersiowej. Po kolejnych trzech oddechach trochę się uspokoiłam.

– Melanie, nic ci nie jest?!

To była Alice. I brzmiała, jakby była absolutnie przerażona.

– Nie, już mi lepiej...

– Enzo to...

– Straszny chuj?! – dodałam bez chwili namysłu i razem z Alice niespodziewanie wybuchliśmy śmiechem.

– Szczerze mówiąc, chciałam powiedzieć, że to dupek, ale „straszny chuj” jak najbardziej do niego pasuje...

– Melanie, przepraszam, nie chciałem cię zdenerwować. – Równie niespodziewanie za moimi plecami odezwał się donośny głos Enza.

Odwróciłam się i chciałam mu jeszcze nagadać, ale... wyglądał na skruszonego.

– Właśnie z Melanie mówiłyśmy, jaki z ciebie straszny kutas – rzuciła Alice pół żartem, pół serio.

– Mało powiedziane, całkowicie sobie na to zasłużyłem! – przyznał Enzo, uśmiechając się nieznacznie. – Tak to już ze mną jest... Czasami palnę coś bez sensu.

- Wiecie co? - powiedziałam w przypiływie dobrego humoru, pewnie po tym naszym wybuchu śmiechu z Alice. - To wszystko przez to, że w samolocie brakuje kanzo. Czy jak to się tam nazywa...

- Nie mam pojęcia, czy tak się mówi, ale coś ewidentnie jest na rzeczy - zamyśliła się Alice, próbując udawać powagę, co wychodziło jej, szczerze mówiąc, bardzo słabo.

- Na szczęście to „jeszcze tylko cztery godziny podróży”. - Enzo niemal perfekcyjnie sparodiował głos Petera Forsleya. - Może jednak jakoś damy radę?

- Jeśli tylko będziesz milczał przez całą drogę...

Enzo zasłużył, by się z nim trochę podroczyć. I przyznam, że przyjmował to z niespodziewaną dla mnie - i chyba dla siebie - godnością.

- A zatem odezwę się do was ponownie, dopiero gdy dotrzemy na miejsce, moje drogie panie!

Następnie uklonił się i wrócił do samolotu. Razem z Alice podążyłyśmy za nim. A chwilę po tym, jak usiadłam w fotelu, zapięłam pasy i zamknęłam oczy, szykując się do startu odrzutowca, zasnęłam. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tego potrzebowałam.

ROZDZIAŁ 6

Widok za oknem samolotu zaraz po moim przebudzeniu sprawił mnie w euforię. Plaża ze złocistym piaskiem, lazur oceanu, wysokie palmy i bujne krzewy. Rajska wyspa – tak można by określić to miejsce w dwóch słowach.

Wszystko to rysowało się na horyzoncie, choć niezbyt daleko od miejsca, w którym wciąż kołował nasz odrzutowiec. Resztę wyspy można było dojrzeć z okien po drugiej stronie samolotu. Do jednego z nich przyklejona była Alice.

– Ja nie mogę... – mruknęła z podziwem.

– Co jest? – zapytałam wciąż mocno zaspanym głosem.

– Ale chata! Jak my mamy tu pracować? Przecież tutaj powinniśmy przyjechać na wakacje, a nie, żeby pisać książki!

Odpięłam pas i podeszłam do Alice. Samolot akurat się zatrzymał, a ja przyglądałam się wielkiej białej willi w oddali. To w niej mieliśmy spędzić kilka kolejnych tygodni.

Ustawiłam się w kolejce do wyjścia. Przede mną stała Alice, pogrążona w rozmowie z Arenem. Do kolejki powolnym krokiem podszedł Liam i stanął za mną. Nie rozstawał się ze swoim notatnikiem, który ścisnął mocno w dłoni.

– Jak ci idzie praca? – Postanowiłam do niego zagadać, bo przecież nie będziemy do końca wyjazdu na siebie warczeć, prawda? Tak przynajmniej sobie pomyślałam. Nie miałam pojęcia, co go ugryzło wcześniej, ale sądziłam, że widok tego miejsca wpłynie pozytywnie także na niego i nawet on – wiecznie posepny Liam – odzyska tu dobry humor.

- Poszłaby dużo lepiej, gdybyś tak nie chrapała przez całą drogę - odparł, nawet na mnie nie spojrzawszy, a następnie wyminął mnie, lekko mnie przy tym odpychając, i wyszedł z samolotu po schodkach.

Zostałam w środku sama. Stałam jeszcze przez chwilę, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszałam. Liam ewidentnie miał ze mną jakiś problem i to oznaczało, że jednak nie powinniśmy sobie tutaj wchodzić w drogę.

- Niech on robi swoje, a ja będę robić swoje. Więcej już z nim nie gadam - powiedziałam sama do siebie, jakbym chciała utwierdzić się w tym przekonaniu.

- Melanie, idziesz?! - Do wnętrza samolotu zajrzała Alice, która najwyraźniej dopiero teraz zorientowała się, że nie wyszłam zaraz za nią.

- Ej, czy ja naprawdę chrapałam w czasie lotu?!

- Ha, ha, jeszcze jak! - roześmiała się Alice. - Wszyscy się z ciebie trochę nabijaliśmy... Ale w taki, wiesz, przyjacielski sposób. Wszyscy oprócz Liama.

- Wiem, podobno przeszkadzałam mu w pracy - burknęłam pod nosem, człapiąc w stronę Alice, trochę zła na Liama, a trochę na siebie. Bo jakim cudem chrapałam?! Ja przecież nie chrapię! A przynajmniej tak mi się zdawało do tego momentu...

- Daj spokój, ten chłopak ma poważne problemy z głową. Nie przejmuj się nim, lepiej chodź szybko, bo zajmą nam wszystkie najlepsze pokoje!

No tak, skoro mam tu spędzić jakiś czas, trzeba zarezerwować sobie jakiś fajny pokój. Najlepiej obok pokoju Alice... albo nawet razem z nią? Byłoby super móc z nią pomieszkać i plotkować przed snem. Ciekawe, czy producenci w ogóle przewidzieli możliwość wyboru pokoju, czy przydzielili nam je już z góry. Bo może z Alice jesteśmy jak te indyki, które myślały o niedzieli, a w sobotę łby im ścięli.

Wsiadłyśmy do małego busa, w którym czekała już reszta ekipy, w tym producent *The RITE Show* i dwójka prawników. Pojazd ruszył w stronę zabudowań. Zatrzymał się przed czterema sześciennymi

budynkami z wielkimi przeszklonymi drzwiami tarasowymi. Wszystkie były połączone ze sobą, a przed każdym z nich znajdował się zadaszony taras z drewnianą podłogą i sufitem oraz egzotycznymi roślinami w gustownych białych donicach. Połączenia między budynkami tworzyły zadaszony korytarz, który prowadził do wielkiego basenu na tyłach. W oddali widać było też kort do tenisa, boisko do koszykówki i tor kartingowy. I gęstą dżunglę.

Skoro tak wyglądał teren wokół willi, to co kryło jej wnętrze? Przypuszczam, że nawet gdybym puściła wodze fantazji, nie wymyśliłabym wszystkiego tego, co czekało na nas w środku... Na szczęście już niebawem miałam się o tym przekonać.

Wbiegłyśmy z Alice do pierwszego budynku. Tak jak przypuszczałam: wnętrze zapierało dech w piersiach. Wielkie, przestrzenne pokoje utrzymane w tonacji szarości i bieli i z mnóstwem akcentów drewnianych wyglądały jak z magazynów wnętrzarskich. Na jednym z dwóch gigantycznych łóżek w pierwszej sypialni – a raczej łoży, bo chyba tak należałoby je określić – na których leżało po kilkanaście musztardowych i ciemnozielonych poduszek różnej wielkości, leżał już Enzo.

– Zajmuję to łóżko! – krzyknął Włoch, poruszając się tak, jakby robił aniola na śniegu.

Na środku pokoju stał stolik, a na nim kolorowa patera ze świeżymi owocami. Wokół niego ustawione były fotele i pufy. Z kolei na ścianie po lewej wisiał telewizor zajmujący niemal całą jej powierzchnię, a przed nią stała kanapa w kolorze butelkowej zieleni. Na ekranie można było odtwarzać filmy i obrazy rzucane przed projektor zainstalowany pod wysokim sufitem pokoju. W głębi budynku ukryte były jeszcze dwa pokoje.

Jednym z nich była luksusowa łazienka. Przy czym „luksusowa” to mało powiedziane. Wolno stojąca wanna z arsenałem kosmetyków w buteleczkach we wszystkich kolorach tęczy. W rogu kabina prysznicowa, sedes z podgrzewaną – jak się potem miało okazać – deską, no i blat na całą długość ściany, a na nim dwie piękne umywalki, przypominające swoim wyglądem morskie muszle. Nad blatem wisiały

wielkie lustra, które jeszcze powiększały optycznie tę i tak wielką łazienkę.

Drugie z pomieszczeń było garderobą. Za dużymi lustrami odbijającymi piękne żyrandole, które były źródłem światła w tym pomieszczeniu, kryły się zabudowane szafy, pełne butów, ubrań i rozmaitych akcesoriów – pasków, biżuterii czy nakryć głowy. Zajrzałam najpierw do jednej, a potem do drugiej szafy i ze zdziwieniem odkryłam, że wszystkie ubrania wyglądają, jakby były w moim rozmiarze. Co więcej, wszystko to sprawiało wrażenie, jakby ktoś splądrował szafę w moim domu w Toronto i przywiózł jej zawartość tutaj, bez pytania i bez mojej wiedzy. To znaczy były ładną podobne do moich ubrań, ale były całkiem nowe. To samo dotyczyło butów. Jakim cudem...

– O, widzę, że trafiłaś na swoją garderobę, Melanie. – Za moimi plecami rozległ się głos producenta *The RITE Show*.

– Skąd wiecie, jakie noszę ubrania i buty? Co tu jest grane?!

– Spokojnie – odparł dobitnie Peter. – Po prostu dobrze odrobiliśmy swoje zadanie domowe. Chcemy, byście czuli się komfortowo i by niczego wam nie brakowało, szczególnie tych rzeczy, do których jesteście przyzwyczajeni na co dzień.

Zamknęłam przesuwne drzwi szafy z „moimi” ubraniami, by po chwili otworzyć drugie drzwi, za którymi kryły się ubrania zupełnie nie w moim guście.

– Ale to nie dla mnie, prawda?

– Nie. Zaraz wszystko wam wyjaśnimy. Chodź za mną.

Peter Forsley wrócił do przestronnego pokoju z dwoma łóżkami i stolikiem pośrodku. Na jednym z łóżek nadal leżał Enzo, zaś na drugim siedzieli pogrążeni w rozmowie Alice i Aren. Przeraziła mnie myśl, że miałabym mieszkać z Enzem. No bo skoro są dwa łóżka i dwie szafy z dwoma zestawami ubrań, to oznaczało, że... zostaniemy zakwaterowani parami. Zaczęłam się modlić, by mój włoski kolega się pomylił i by to nie był pokój, w którym miał spędzić kolejne tygodnie.

Jak mantrę w swojej głowie zaczęłam za to powtarzać: „Proszę, niech to będzie Alice. Proszę, niech to będzie Alice...”.

– Zapraszam wszystkich do budynku centralnego – oznajmił Peter, a następnie wyszedł na zewnątrz drzwiami balkonowymi.

– No to się zaczyna!

Bardzo bym chciała, aby udzielił mi się entuzjazm Alice. Na razie jednak wolałam się skupić na swojej mantrze. Przytaknęłam więc tylko i razem ruszyliśmy za Peterem Forsleyem.

W „budynku centralnym”, który był po prostu jednym z czterech niemal identycznych sześciennych domów, zebrani byli już wszyscy: Aren, Enzo, Rei i Liam. Jako ostatnie dołączyliśmy my, Alice i ja.

Wnętrze tego domu różniło się od pozostałych (zakładałam, że dwa budynki, których nie miałam jeszcze okazji zobaczyć, były sypialniami i pokojami dziennymi dla kolejnych dwóch par uczestników i uczestniczek, choć oczywiście mogłam się mylić). W tym przypadku przestronne pomieszczenie zostało w całości przeznaczone na gigantyczny pokój rozrywki połączony z wielką i znakomicie zaopatrzoną kuchnią. Mój wzrok przykuły w pierwszej kolejności cztery masywne srebrne lodówki z podwójnymi drzwiami. Były też dwa zlewy, dwie płyty indukcyjne, dwa piekarniki, no i rzędy przeszklonych szafek wypełnionych talerzami, talerzykami, miseczkami, szklankami i kieliszkami. Centralnym punktem kuchni była ogromna wyspa zastawiona po brzegi owocami i warzywami, otoczona ośmioma krzesłami, dzięki czemu można było przy niej zarówno jeść, jak i gotować. Z sufitu to tu, to tam zwisały wymyślne lampy, które dodatkowo rozświetlały to i tak jasne wnętrze.

Resztę pomieszczenia zajmowały: stół do tenisa stołowego, tarcza z rzutkami, trzy automaty do gry stojące przy jednej ze ścian oraz znajdujący się w rogu obok nich flipper. Były tu też schody, które prowadziły w dół.

– Witam was raz jeszcze, tym razem już oficjalnie, w przededniu rozpoczęcia *The RITE Show* – zaczął uroczystym tonem Peter Forsley, w momencie gdy dołączyła do niego dwójka prawników. Wszyscy

uczestnicy poza mną zajęli miejsca na krzesłach przy wyspie. Ja wolałam stać. – Mogę mieć jedynie cichą nadzieję, że willa, którą przygotowaliśmy dla was na okres trwania naszego programu, przypadła wam do gustu. Znajdziecie tu wszelkie udogodnienia. Zadbaliśmy zarówno o właściwą strawę dla ciała – Peter wskazał ręką rzędy lodówek, które stały teraz za jego plecami – jak i ducha. Na tym piętrze i na zewnątrz znajdziecie wiele sposobów na aktywne spędzenie czasu. Możecie uprawiać różne sporty, grać na automatach lub spędzać czas na gotowaniu. To ostatnie na pewno spodoba się Enzoowi.

– Dziś na kolację pasta! – wykrzyknął Enzo, który zdążył już zjeść niemal całą świeżą figę.

– Być może część z was tego nie wie, ale Enzo pochodzi z rodziny znakomitych restauratorów, więc zakładam, że co wieczór będziecie mogli liczyć na prawdziwą włoską ucztę – kontynuował Peter Forsley.

– Albo na prawdziwe sushi, jeśli tylko będą do dyspozycji świeże ryby. Wtedy przekonacie się, że włoska kuchnia jest mocno przereklamowana – wtrąciło Rei, odgarniając z twarzy kosmyk włosów.

– Cóż, widzę, że chyba wybraliśmy dla was nieodpowiedni format programu. Równie dobrze moglibyśmy zaprosić was do udziału w naszym nowym reality show o gotowaniu. Jednak to może już w niedalekiej przyszłości... Teraz powróćmy do tego, co tutaj wszyscy robicie i jak przebiegać będą następne tygodnie w *The RITE Show*.

– Czy dobrze rozumiem, że będziemy zakwaterowani parami? – wyrzuciłam z siebie to pytanie, bo musiałam w końcu przerwać tę mantrę w swojej głowie i uzyskać odpowiedź na kluczową w tym momencie wątpliwość: z kim będę mieszkać?

– Czyli przechodzimy do konkretów. Dziękuję ci, Melanie, za to pytanie. Tak, chcemy was zakwaterować parami. To przemyślany przez nas zabieg, który ma być dla was dodatkową stymulacją w procesie twórczym. Pozwoliliśmy sobie przeanalizować wasze profile osobowości i dobrać was tak, byście mogli być dla siebie inspiracją, ale i by codzienne życie w tym domu było dla was okazją do uczenia się od siebie nawzajem.

- A kiedy poznamy podział na te pary? - nie dawałam za wygraną.

- Widzę, że to coś, co nie daje ci spokoju. Przypuszczam, że pozostałe osoby też chciałyby się tego dowiedzieć, więc mogę go podać już teraz.

- Tak chyba byłoby najlepiej - odezwał się niespodziewanie Liam. - Szczerze mówiąc, nie jestem fanem spędzania czasu z innymi ludźmi. Tylko mnie rozpraszają i utrudniają mi pracę. Jeśli więc ktoś ma mi przeszkadzać, wolałbym wiedzieć od razu, kto to będzie.

- Myślę, że po tej wypowiedzi wszyscy wręcz nie mogą się doczekać, by zamieszkać właśnie z tobą - mruknęłam pod nosem, ale na tyle głośno, by Liam i wszyscy pozostali to usłyszeli. Rei, Enzo i Alice parsknęły śmiechem. Tylko Aren zachował powagę. Natomiast Liam nawet na mnie nie spojrzał, jak to miał w zwyczaju.

Peter Forsley odchrząknął.

- Dobrze, miejmy to za sobą. W budynku A zamieszkają ze sobą Aren i Rei.

- Przyznam, że z pięciu złych wyborów ten jest najlepszy. Mam wrażenie, że jako jedyny uosabiasz tu coś głębszego. W przeciwieństwie do reszty tego społeczeństwa jesteś przynajmniej uduchowiony i reprezentujesz kulturę, która ma w sobie jakikolwiek autentyzm.

Rei, po wygłoszeniu swojej mowy, uśmiechnęło się krzywo do Arena.

- Tak, to będzie niewątpliwie niepowtarzalne doświadczenie - odparł nigeryjski pisarz.

- Dla ciebie na pewno wyjątkowe - poprawiło go Rei.

- Cieszę się, że jesteście zadowoleni z tego wyboru, jeśli można tak powiedzieć... - kontynuował Peter Forsley. - Czas więc na podanie kolejnej pary.

W myślach zaczęłam się modlić, choć nie za bardzo wiedziałam, jak to robić. Niemniej w takich chwilach jak ta trzeba było chociaż spróbować odwołać się do jakiejś wyższej instancji - o ile ta w ogóle istniała - by wpłynąć na bieg zdarzeń, który był zupełnie poza naszą kontrolą. „Boże, jeśli tam gdzieś jesteś, spraw, bym była w pokoju

z Alice”. Raz kozie śmierć, gdybym nie spróbowała, nie wybaczyłabym sobie.

– W budynku B zamieszkają ze sobą Enzo...

To mogło się udać! Poruszając bezgłośnie ustami, powtórzyłam szybko raz jeszcze: „Boże, jeśli tam gdzieś jesteś, proszę, spraw, bym była w pokoju z Alice”.

– ...z Alice – dokończył producent *The RITE Show*, a ja poczułam, jak moje nogi się uginają.

Oznaczało to nie tylko, że nie jestem w pokoju z Alice. Oznaczało to... Nie, wołałam nawet nie wypowiadać tego w swoich myślach. Spojrzałam tylko na Alice, a ona odpowiedziała spojrzeniem pełnym współczucia i troski.

ROZDZIAŁ 7

To by było na tyle, jeśli chodzi o moją wiarę w modlitwy. I w ogóle wiarę w cokolwiek. Bóg, jeśli istniał, najwyraźniej był głuchy na moje prośby. I ślepy, bo nie dostrzegał, że Liam i ja to całkowicie niedobrana para. A może chciał, byśmy się pozabijali? Może to był jego ukryty plan?

Jak widać, w głowie kłębiło mi się mnóstwo głupich myśli. Zdawałam sobie sprawę, że nie mają one najmniejszego sensu i są tylko mechanizmem, za którego pomocą unikałam zmierzenia się z tą jedną jedyną myślą: „Będę mieszkała z Liamem”.

- Tylko nie ona... - wycedził przez zęby Liam.

- Natomiast w budynku C zakwaterujemy Melanie i Liama - kontynuował Forsley tym samym tonem, jakby nie usłyszał kąśliwej uwagi Nowozelandczyka.

- Czy istnieje jakakolwiek szansa, by z kimś się zamienić? - zapytałam głosem na granicy rozpacz.

- Mnie też bardzo by to interesowało.

Przynajmniej znaleźliśmy z Liamem jedną rzecz, w której się zgodzaliśmy. Za żadne skarby nie chcieliśmy ze sobą mieszkać. Szkoda, że tylko to nas łączyło.

- Ja też chcę wiedzieć, jaki był klucz tego podziału! Widzę tu tendencyjny podział na pary damsko-męskie, dlaczego więc wrzucono mnie do pokoju z Arenem?! Czy ja wam wyglądam na kobietę?! - wypaliło Rei niespodziewanie. No i miało rację. Zresztą, to wszystko było dziwaczne! Przecież przylecieliśmy tu odrzutowcem! I to luksusowym odrzutowcem! Wcześniej doleciałam na lotnisko helikopterem. Mieliśmy zamieszkać na wyspie, którą pewnie kupili za

bajońską sumę, strzelałabym, że za dziesiątki milionów dolarów, i postawili na niej wilę wartą pewnie niewiele mniej. A skąpią na pokojach! Było chyba czymś absolutnie do przewidzenia, że to będzie dla nas wszystkich problem! To nie wycieczka szkolna, na której śpisz w pokoju z ludźmi, z którymi nie lubisz spędzać czasu. To program, w którym możesz wygrać dziesięć milionów dolarów, więc powinno się nam zapewnić choć odrobinę komfortu. A przez odrobinę komfortu rozumiałam odrobinę prywatności. Lub możliwość dzielenia pokoju z kimś, kogo się lubi... Nie zdziwiła mnie więc reakcja Rei. W jego przypadku to już w ogóle było krzywdzące, choć nie trafiło najgorzej. Aren ze wszystkich chłopaków wydawał się najnormalniejszy. I cieszyłam się, że Alice właśnie z nim się zaprzyjaźniła. Jeśli już miałam z kimś spędzać czas poza nią, to tym kimś mógł być tylko Aren.

– Rozumiem wasze nerwy, naprawdę. Musicie nam jednak wybaczyć. Zdaję sobie sprawę, że to może być dla was mało komfortowe...

– Mało komfortowe...! – prychnął Liam.

Boże, jakże mnie wkurzał ten rozwydrzony bachor. Szczerze mówiąc, w tamtej chwili darzyłam go czystą nienawiścią. I zakładałam, że jest to uczucie odwzajemnione.

– Przede wszystkim dyskryminujące mnie... – zawtórowało mu Rei.

– Nie mam nic przeciwko mieszkaniu z Rei, zresztą jak z każdym z was – dołączył do dyskusji Aren, spoglądając na nas po kolei. Mówił w sposób spokojny i wyważony. – Niemniej muszę się zgodzić z Rei. Ten podział wydaje mi się co najmniej niefortunny, by nie powiedzieć: niesprawiedliwy.

– Rei, Arenie, zapewniam was, że płeć nie miała żadnego znaczenia w podziale na pokoje. – Peter zwrócił się najpierw w stronę azjatyckiej osoby autorskiej, następnie odwrócił się w kierunku Liama. – I tak, to może być mało komfortowe, przynajmniej na razie. Liczę jednak, że z czasem dostrzeżecie, jak pomocna dla was okaże się ta decyzja. Proszę was o odrobinę zaufania. To wszystko.

Peter Forsley prosił o zdecydowanie zbyt wiele. *The RITE Show* od samego początku był dla mnie wyzwaniem, ale teraz... Coś trzeba było

z tym zrobić.

- Zagłosujemy nad tym, czy się na to godzimy... - Przelknęłam głośno ślinę, bo zaschło mi w gardle. To dopiero było niekomfortowe uczucie. - Podobno żyjemy w demokratycznym świecie.

- Niestety nie wszędzie - wtrącił Aren.

- To prawda, ale nie wiem, czy producenci *The RITE Show* aspirują do takiego świata, w którym demokracja nie ma znaczenia. A może się mylę? - zawtórowała mi Alice, co dodało mi odwagi.

- Przecież nasze zdanie też się liczy! To my mamy być atrakcją tego reality show, więc skoro ta sytuacja nikomu z nas nie pasuje...

- Nam tam wszystko pasuje, prawda, Alice? - Enzo posłał Alice całusa, a dziewczyna tylko wywróciła oczami.

- W sumie teraz zaczynam mieć coraz większe wątpliwości - odgryzła się.

- No dobrze, nikomu poza Enzem ta sytuacja nie pasuje. Zagłosujemy, czy godzimy się na taki układ, czy nie. Co wy na to?

Spojrzałam na wszystkich po kolei, ale trudno było mi wyczytać z ich twarzy, co myślą.

- Nie spodziewałem się, że to powiem, ale Melanie ma rację. Zagłosujemy.

Nigdy bym nie pomyślała, że pierwszy poprze mnie Liam. Oczywiście w tej sytuacji było w tym coś mocno ironicznego, ale cóż...

- Zaimponowałaś mi, dziewczyno! Jestem na tak! - Rei podniosło rękę.

- Ja to wiadomo - uśmiechnęła się Alice.

Aren wstał ze swojego miejsca.

- Zagłosujemy, to będzie najbardziej sprawiedliwe. Skoro mamy tu ze sobą mieszkać i pracować, sami się zorganizujemy - powiedział zdecydowanym głosem.

- Skoro wszyscy są za... - Enzo niechętnie podniósł rękę. - Jeśli tylko to nie będzie miało negatywnych skutków.

To był ten moment, w którym nareszcie poczułam, że mogę być częścią tej grupy. Stałam tam wśród pozostałej piątki „superbohaterów” jak równa z równymi. Przez chwilę...

– O, dziękuję, że o tym wspomniałeś, Enzo – wtrącił od niechcienia Peter Forsley, który do tej pory cierpliwie milczał. – Cieszy mnie, że jesteście tacy skorzy do praktykowania demokracji i decydowania o sobie. To budujące, że młode pokolenie tak podchodzi do życia. Naprawdę. Niemniej, pozwolę sobie przypomnieć wam o podpisanych przez was umowach. Umowy te jednoznacznie określały, że w momencie wyrażenia zgody na dołączenie do obsady *The RITE Show* zgadzacie się na wszelkie decyzje produkcji programu, także te w zakresie waszego zakwaterowania. Zgodziliście się także na to, że w przypadku chęci podważenia tychże decyzji dajecie prawo producentom do wydalenia was z programu i do znalezienia na wasze miejsce zastępstwa. A w przypadku, gdy to się nie uda, obciążeni zostaniecie karą umowną przewidzianą przez nasz kontrakt. Mamy oczywiście kilkoro chętnych na wasze miejsca, których jesteśmy w stanie sprowadzić tu jeszcze przed rozpoczęciem show. Wolalibyśmy jednak wiedzieć, ile dokładnie osób chce zrezygnować z udziału w *The RITE Show*.

Pewność, z jaką mówił Forsley, zrobiła chyba na każdym z nas ogromne wrażenie. Przed jego monologiem byłam pełna nadziei, pierwszy raz od dłuższego czasu czułam, że mam na coś wpływ. Że być może wiele rzeczy jeszcze da się odkręcić. Jednak po jego słowach poczułam się jak zbity pies. Mimo że nie groził, nie krzyczał i nie zastraszał, osiągnął swój cel. Pokazał nam, że nie mamy pola manewru i musimy zrobić to, czego się od nas oczekuje, bo na nasze miejsce czeka kolejka chętnych.

Podniesione do tej pory ręce zostały opuszczone. Większość uczestników wbiła wzrok w podłogę. To by było na tyle, jeśli chodzi o nasze głosowanie.

– Rozumiem, że głosowanie jednak nie będzie nam potrzebne?

Popatrzyłam po wszystkich raz jeszcze. Jako inicjatorka tego pochopnego – z perspektywy czasu – pomysłu czułam się w obowiązku,

by udzielić odpowiedzi na pytanie Petera Forsleya. Wyglądało na to, że nikt – w tym ja – nie był gotowy zaryzykować, sprawdzić, czy producent *The RITE Show* nie blefuje. W końcu wszyscy – w tym ja – przyjechalibyśmy tutaj wygrać dziesięć milionów dolarów. Totalną głupotą byłoby więc stracić taką szansę, ponieważ zostaliśmy niesprawiedliwie, naszym zdaniem, zakwaterowani. Czasami kilka słów może zmienić optykę. Tak było w tym przypadku. I nawet dla mnie wizja mieszkania z Liamem przez kilka tygodni nie była już taka straszna – stała się czymś nieuniknionym, jeśli chciałam wygrać pieniądze na leczenie J.D.

Przygryzłam wargę, przełknęłam ślinę i odetchnęłam głęboko.

– Nie, głosowanie nie będzie potrzebne – powiedziałam w końcu.

Peter klasnął w dłonie i się uśmiechnął.

– Znakomicie! Ciesz się, że tę sprawę mamy z głowy. Przejdźmy do kolejnych kwestii.

Producent *The RITE Show* przywołał gestem ręki prawniczkę, stojącą do tej pory kilka metrów za jego plecami. Ta zbliżyła się, trzymając elegancką skórzaną torbę.

– Poprosiłbym was o oddanie mi wszystkich elektronicznych urządzeń, szczególnie tych z dostępem do internetu, jeśli jeszcze tego nie zrobiliście. Włóżcie je, proszę, do torby, którą trzyma Greta. – Mężczyzna w bomberce wskazał prawniczkę. – Na wyspie możecie używać do pracy tylko zapewnionych przez nas laptopów...

Peter Forsley przyzwał teraz prawnika. Ten sięgnął do stojącego na ziemi dużego kartonu i rozdał każdemu z nas po białym laptopie z trzynastocalowym ekranem.

– To niezwykle lekkie i praktyczne komputery. Każdy z nich ma zainstalowanych kilka edytorów tekstu, do wyboru, do koloru. Wiem, że macie różne preferencje, jestem jednak pewien, że znajdziecie na nich odpowiednie dla was narzędzie do pracy.

Laptop rzeczywiście ważył tyle co piórko, był smukły, miał dotykowy ekran i odpinaną klawiaturę, która wydawała się wręcz stworzona do pisania. Musnęłam palcami kilka klawiszy – były idealne. Nigdy jeszcze

czegoś takiego nie widziałam. Dawno, dawno temu – jeszcze w naszym domu w Polsce – znalazłam starą maszynę do pisania mojej babci. Podobno moją ulubioną zabawą przez długi czas było wciskanie losowych klawiszy, bo zakochałam się w dźwięku i dotyku, jakie temu towarzyszyły. Ta klawiatura była wprawdzie zupełnie inna, jednak miała w sobie coś z maszyny do pisania, także pod względem wyglądu. Magia? Magnetyzm? Sama nie wiem, ale absolutnie mnie urzekła.

Otworzyłam laptop i niemal odruchowo zerknęłam w prawy dolny róg. Ikonka dostępu do internetu była przekreślona. A to oznaczało, że...

– A co z połączeniem z internetem? Jak mamy robić research?

To było dla mnie dość oczywiste pytanie, skoro mieliśmy pracować nad nowymi książkami. Bo niby jak inaczej zdobyć informacje, szczególnie w XXI wieku? Zawsze robiłam research w sieci. Gdy tylko miałam jakieś pytanie, wpisywałam je w okno wyszukiwarki.

– Ale wiesz, że research można też zrobić w bibliotece, prawda?

Liam najwyraźniej nie potrafił wytrzymać długo bez złośliwej docinki pod moim adresem. Tak po prawdzie, zaczynałam się już do tego przyzwyczajać.

– Tylko chyba trzeba mieć do tego bibliotekę, prawda?

Odwrociłam się w jego kierunku, ale jak zwykle nawet nie zaszczycił mnie spojrzeniem. Tym razem, dla zasady, pokazałam mu środkowy palec. Wspólne mieszkanie w jednym pokoju zapowiadało się wprost cudownie.

Inna sprawa, że trzeba jeszcze lubić korzystanie z biblioteki. A to była jedna z moich traum. Pierwsza wizyta w szkolnej bibliotece, a tam ona: bibliotekarka z piekła rodem. Włosy zafarbowane na krwistą czerwień, grube okulary w jeszcze grubszych oprawkach, czerwone korale i twarz pomarszczona jak pergamin. Gdyby moja mama chciała mnie w dzieciństwie kimś straszyc, ta bibliotekarka nadawałaby się do tego idealnie. Wrzeszczała na wszystkich, krzyczała, że ma być cisza, zabraniała jedzenia i picia w promieniu stu metrów od książek i groziła karą, jeśli zapomnieliby się oddać wypożyczoną lekturę na czas.

Pewnie trochę przesadzam, ale mam do tego prawo. Przez nią przestałam chodzić do jakichkolwiek bibliotek (nie tylko tej szkolnej), a że przez wiele lat nie było nas stać na kupowanie nowych książek, przerzuciłam się na internet, z którego ściągałam lektury, powieści i w ogóle wszystko, co chciałam przeczytać. No dobrze, ale o tym Liam na razie nie musiał wiedzieć.

– Niestety, w związku z charakterem naszego programu, jesteśmy zmuszeni ograniczyć wam dostęp do sieci. Nikt nie może się dowiedzieć, kim jesteście. Nie chcielibyśmy też znaleźć się w sytuacji, w której skontaktowalibyście się z waszymi fandomami i poprosili o głosowanie na waszą książkę. Wiem, to dmuchanie na zimne, ale nie możemy ryzykować. Mam nadzieję, że mnie rozumiecie. – Peter Forsley złożył ręce i przyłożył je do piersi. – Ale z tego też powodu przygotowaliśmy coś dla was...

Mężczyzna zawiesił głos i uśmiechnął się szeroko.

– Pozwólcie za mną – powiedział po długiej pauzie i ruszył w stronę schodów prowadzących na dół.

Gęsiego zesłaliśmy za nim po krętych stopniach do podziemia, gdzie czekała na nas... prawdziwa biblioteka! Kilkadziesiąt ustawionych rzędem regałów wypełnionych po brzegi książkami w kolorowych okładkach, albumami w różnych formatach oraz grubymi tomami rozmaitych słowników i encyklopedii. Stałam i rozglądałam się dookoła z rozchylonymi ustami. To był raj. I to prawdziwy raj, bo wszystko wskazywało na to, że w tej bibliotece nie ma nikogo, kto będzie mnie uciszał lub zabraniał mi jeść lub pić w trakcie lektury.

Już pierwszy rzut oka na najbliższe regały pozwalał sądzić, że najprawdopodobniej każde z nas znajdzie tu wszystko, co tylko będzie mu potrzebne. Widok tych wszystkich książek jak za dotknięciem magicznej różdżki zatarł negatywne wrażenie, które pojawiło się we mnie po reakcji Petera na propozycję głosowania.

– Mamy cichą nadzieję, że tak wyposażona biblioteka zrekompensuje wam brak dostępu do internetu.

- Oj tak... - wydusiła z siebie Alice, przyglądając się jednemu z regałów z bliska. Była równie zafascynowana tym pomieszczeniem, co ja.

- Cieszę się. W takim razie została nam jeszcze jedna sprawa.

Peter Forsley ruszył z powrotem do góry po schodach, a my podążyliśmy jego śladem. Producent *The RITE Show* wyszedł z budynku centralnego i zatrzymał się dopiero przy basenie za willą. Gdy wszyscy zgromadziliśmy się wokół niego, zaczął swoją przemowę.

- W czasie pobytu w *The RITE Show* macie do dyspozycji niemałą część tej cudnej wyspy, na której niczego wam nie zabraknie. Niemała, ponieważ musieliśmy wyłączyć z użytkowania obszar, który znajduje się za tym płotem.

Mężczyzna wskazał wysokie ogrodzenie z siatki, znajdujące się jakieś kilkaset metrów od miejsca, w którym staliśmy. Nikto z pola widzenia zarówno po prawej, jak i lewej stronie.

- To ogrodzenie pod napięciem. Dla waszego bezpieczeństwa. Kupiliśmy tę wyspę na potrzeby naszego reality show, jednak nadal żyją na niej dzikie zwierzęta, w tym drapieżniki, czego nie byliśmy do końca świadomi w momencie zakupu. Zdarza się, nasz błąd. - Peter Forsley wzruszył ramionami. - Nic wam się nie stanie, jeśli pozostaniecie po tej stronie wyspy. I do tego serdecznie was namawiam. Nigdy nie wiadomo, na jakiego stwora traficie po drugiej stronie ogrodzenia... - Mężczyzna zawiesił głos, a następnie puścił do nas oko. - Żartuję, nie ma tam żadnych potworów. Po prostu nie warto ryzykować.

Producent *The RITE Show* wziął głęboki wdech i się uśmiechnął.

- No to tyle ode mnie... A teraz czas na wasze pytania.

ROZDZIAŁ 8

Pytań właściwie już nie było i wkrótce rozeszliśmy się do pokojów, jeśli tak można powiedzieć, bo w rzeczywistości każda para miała do dyspozycji dla siebie cały budynek. *The RITE Show* miał się rozpocząć wkrótce i teraz to było najważniejszym zmartwieniem każdego z nas. Wobec rywalizacji, która nas czekała w najbliższych tygodniach, wszystkie inne problemy i niesnaski schodziły na dalszy plan. Gra toczyła się przecież o dziesięć milionów dolarów i byłam pewna, że Alice, Aren, Enzo, Liam i Rei mają mnóstwo pomysłów, jak zdobyć taką kwotę. A może tylko tak mi się wydawało?

Paradoksalnie ja wcale nie potrzebowałam aż tyle pieniędzy. Wystarczyłyby mi milion, no, może półtora dla bezpieczeństwa – tylko tyle (i aż tyle), by pomóc J.D. Gdyby istniała taka możliwość, chętnie dogadałabym się z resztą uczestników i podzieliłibyśmy te dziesięć milionów równo między sobą. Wprawdzie nie byłam mistrzynią matematyki, więc trudno było mi powiedzieć, ile dokładnie to by było, ale nawet ja wiedziałam, że dla każdego starczyłoby aż nadto. W końcu byliśmy przecież nastolatkami, dorosłe życie dopiero na nas czekało, a wraz z nim nowe wyzwania i szanse na dalszy zarobek. Tym bardziej że każde z nas miało przecież na swoim koncie bestseller, na którym zarobiło niemałe pieniądze. Po co więc konkurować ze sobą, narażać się na stres, liczyć na potknięcie kogoś innego? Czy to w ogóle miało sens?

Alice, Aren, Enzo i nawet Rei to były bardzo fajne osoby, z którymi w innych realiach być może zakolegowałam się na długo; Liam mimo wszystko był innym typem człowieka, a może po prostu nasze znaki zodiaku do siebie nie pasowały? Coś w każdym razie było z nim nie tak.

Niezależnie jednak od tego, jak teraz dobrze nam się spędzało ze sobą czas, już za chwilę, już za momencik wszystko miało ulec całkowitej zmianie. Liczyć się będzie tylko napisanie kolejnego rozdziału, a następnie kolejny lajk, komentarz i udostępnienie pod rozdziałem opublikowanym na platformie Rite. Przyjaźń zejdzie na dalszy plan, bo przecież każde z nas marzyło, by wygrać i zdobyć dziesięć milionów. Nie po to, by się nimi podzielić z innymi po równo.

Gdybym mieszkała z Alice, pewnie od razu podzieliłabym się z nią tym szalonym pomysłem. Zresztą, czułam, że jej – no i być może również Arenowi – wcale nie wydałby się on tak bardzo absurdalny. Natomiast na pewno nie mogłam o nim powiedzieć Liamowi, z którym dzieliłam pokój, i pewnie dlatego ostatecznie nie powiedziałam o nim nikomu. Jasne, mój współlokator poparł mnie poprzednim razem, ale z tak pokręconego powodu, że teraz już nie mogłam liczyć na powtórkę z rozrywki. No i bałam się, że – poza Liamem i Rei, które również sprawiało wrażenie zdeterminowanego, by pokazać swoją wyższość nad pozostałymi uczestnikami programu – także producenci *The RITE Show* nigdy by na to nie przystali. Przecież w interesie Rite'a było, byśmy konkurowali ze sobą i wykrzesali z siebie wszystko to, co mieliśmy najlepszego. Czy jednak rzeczywiście to były najlepsze warunki, abyśmy pokazali światu to, co w nas najlepsze? A raczej, by pozostali uczestnicy pokazali, co w nich najlepsze...

Znów pojawiły się lęk i niepewność. To prawda, byłam autorką świetnej powieści, ale prawda o tym, jak ją napisałam, była... skomplikowana i znałam ją tylko ja. A zanim wydałam *Impostora*, nikt mi nie powiedział, że umiem pisać – no, może poza J.D., któremu pokazywałam swoje stare teksty, jeszcze zanim powstał *Impostor*. Ale skąd J.D. mógł tak naprawdę wiedzieć, czy dobrze piszę, czy nie? W tym momencie najważniejsze jednak było to, że ryzyko, iż prawda wyjdzie na jaw, było niewielkie, dlatego starym, niezbyt zdrowym zwyczajem postanowiłam wyprzeć te myśli i zmierzyć się z nimi dopiero wtedy, gdy przyjdzie mi się do pisania.

Wysłałam z pokoju i ruszyłam w stronę plaży. Musiałam przewietrzyć głowę, za dużo teraz się w niej działo. Przełknęłam więc ogromną gulę

w gardle, kopiąc niewielki kamień tuż przy plaży. Popatrzyłam za nim i utkwiałam swoje spojrzenie w spokojnej, nieruchomej tafli morza o zmierzchu. W jednej sekundzie wszystkie myśli uleciały z mojej głowy. Zastąpiła je feeria cudownych, ciepłych kolorów. Czułam, jak ogrzewa mnie od środka. Widziałam w swoim życiu wiele zachodów słońca, ale takiego jeszcze nie. Na niebie przeplatały się wszystkie odcienie pomarańcza, różu, fioletu i złota, barwiąc wodę na miejscami karminowy, a miejscami jaskrawożółty kolor. I te chmury! Nie byłam najlepsza z geografii, ale jednego się na niej nauczyłam: rozpoznawania rodzajów chmur. Bezbłędnie mogłam więc nazwać wysokie cumulonimbusy na horyzoncie i pierzaste cirrusy nad swoją głową. Zupełnie jakbym patrzyła na zdjęcie z Instagrama, na które ktoś nałożył jakiś obłędny filtr – z tą różnicą, że to się działo naprawdę. Tu i teraz.

– *Che bella vista!*

Aż podskoczyłam. Z krótkiej medytacji nad pięknem natury wyrwał mnie głos Enza. A raczej szczery, głośny okrzyk w rodzaju tego, jaki wydajemy z siebie na widok dawno niewidzianej bliskiej nam osoby. Problem w tym, że nie miałam pojęcia, co powiedział. Zupełnie nie znam włoskiego. Równie dobrze mógł krzyknąć coś po chińsku.

– Co?

– *Che bella vista* – powtórzył raz jeszcze. – To po włosku „jaki piękny widok”. U nas na Sardynii mamy podobne.

– Na Sardynii? – wołałam dopytać. Nieznajomość geografii bywała problematyczna, a już w szczególności geografii Europy, o której miałam jeszcze bardziej nikłe pojęcie niż o geografii Ameryki, choć i o niej wiedziałam nie za wiele.

– To wyspa u wybrzeży Włoch. Druga największa po Sycylii.

Sycylia. Mafia. Wino. O tej wyspie, jak widać, przynajmniej coś wiedziałam...

– O Sycylii już słyszałam, o Sardynii chyba jeszcze nie...

– Pewnie uznasz, że przemawia przeze mnie lokalny patriotyzm, ale Sycylia nie umywa się do Sardynii. Nie ma lepszego miejsca do życia niż tam.

Zaśmiałam się. To było słodkie, z jakim przejęciem i szczerością Enzo mówił o miejscu, z którego pochodził.

– Mam nadzieję, że płacą ci za promowanie Włoch? Bo jeśli nie, koniecznie powinni zacząć! Przez chwilę nawet zaczęłam się zastanawiać, czy się tam nie wybrać. A już na pewno wzięłam to pod rozwagę, gdy powiedziałaś, że można tam zobaczyć takie widoki...

Odwróciłam się ponownie w stronę morza. Kolory nie były już tak jasne i wyraziste. Przez te kilka minut zrobiło się ciemniej. Od morza zaczął do nas docierać delikatny szum fal.

Enzo stanął obok mnie. Na tyle blisko, że czułam bijące od niego ciepło. Miał lekko przyspieszony oddech. Dopiero teraz zwróciłam uwagę na jego strój: szorty i koszulkę bez rękawów, ujawniającą jego imponujące bicepsy. Gdy tak teraz na niego patrzyłam w ostatnich promieniach dziennego światła, przypominał grecki lub rzymski posąg – jeden z tych, które wypełniały strony mojego podręcznika do historii kilka lat temu. Tyle że on nie był cały biały jak tamte posągi. Na tę myśl aż się zaśmiałam. Miałam nadzieję, że uda mi się zaśmiać jedynie w moim wnętrzu, ale niestety parsknęłam na głos. Enzo błyskawicznie zwrócił głowę w moją stronę.

– Pewnie wydają ci się śmieszny, ale ja po prostu kocham Sardinie...

– Nie, nie! To nie to – zapewniłam, bo absolutnie nie chciałam, by tak to odebrał. Jego stosunek do miejsca, z którego pochodził, był przeuroczy. – Po prostu przyszła mi do głowy głupia myśl.

– Głupia myśl?! Tobie?! Drugiej najpoważniejszej uczestniczce *The RITE Show* zaraz po niekwestionowanym ponuraku tego programu...?

– Nie jestem wcale taka poważna!

– Nie zmieniaj tematu! Mów lepiej, z czego się śmiałaś...

– Nie powiem, bo to głupie. – Odwróciłam się od Enza i ruszyłam w stronę wody.

– Hej, to niesprawiedliwe! Teraz będę się zastanawiać, o co chodziło. I czy był to śmiech serdeczny, czy szyderczy...

- Życie jest niesprawiedliwe. - Droczenie się z Enzem było zadziwiająco odprężającą rozrywką. - I to był śmiech serdeczny.

Wtedy poczułam, że Enzo delikatnie chwycił moją rękę.

- No więc? - zapytał, gdy spojrzałam na niego zaskoczona.

- Jeeezu, mówiłam ci, że to głupie. Ale jeśli już tak bardzo chcesz wiedzieć, powiem. Kiedy tak patrzyłeś na zachód słońca, skojarzyłeś mi się z rzymskim posągiem. Tylko że ty nie jesteś cały biały. Wręcz przeciwnie, jesteś opalony, jakbyś spędził tydzień w solarium.

Enzo uśmiechnął się, a następnie podciągnął swoją koszulkę, pokazując mi wyrzeźbione mięśnie brzucha - zupełnie jakby wyszły spod dłuta jakiegoś włoskiego rzeźbiarza. Na wyspie było ciepło, ale w tym momencie zrobiło się gorąco.

- To nie zasługa solarium, to zasługa sardyńskich plaż.

Musiałam zrobić głupią minę, bo tym razem najwyraźniej to Enzo ledwo powstrzymał się od parsknięcia śmiechem. Trzeba było czym prędzej zmienić temat...

- A ty co tu robisz? Nie pracujecie z Alice nad swoimi książkami? - To była pierwsza sensowna myśl, jaka przyszła mi do głowy.

Teraz dla odmiany mina Enza lekko zrzędła.

- Alice siedzi z Arenem... Gadają o kolektywizmie. Czy o czymś takim. A tak naprawdę to pewnie jakaś ich dziwaczna gra wstępna.

Ostatnie zdanie miało zabrzmieć jak żart, który jednak nie rozbawił ani mnie, ani Enza.

- Ja nie potrafię tak siedzieć i gadać. Muszę się ruszać. Dlatego poszedłem pobiegać. Tym bardziej że chciałem zwiedzić wyspę. Jutro rusza program, więc będę siedział i pisał.

- I znalazłeś na niej coś ciekawego? - zapytałam, absolutnie nie spodziewając się tego, co powie Enzo.

- Ciekawego? Hm... Ciebie!

Pokręciłam głową. To było takie tandetne zagranie... Ale jednocześnie tak bardzo pasujące do niego. Powinnam była to przerwać, ale droczenie się z Enzem było zbyt przyjemne.

- No i teraz czuję się uprzedmiotowiona.

- Wy, kobiety... Zadowolić was to praktycznie niemożliwe. Nawet gdy prawi się wam komplementy.

- Enzo, pogrążasz się.

On też to poczuł i tym razem zmiana tematu wyszła z jego strony.

- A ty co tutaj robisz? Nie spędzasz upojnego czasu z Liamem w waszym pokoju?

Wybuchłam śmiechem. Sądząc po minie Enza, nie miał wątpliwości, że to był śmiech szyderczy. Bardzo szyderczy.

- Nie. Liam nie spędza czasu z nikim poza sobą. Wiesz, powiedzieć o nim „egoista” i „narcyz”, to nie powiedzieć nic. Nawet się do mnie nie odezwał przez cały dzień. Choć muszę też być sprawiedliwa i dodać, że nie siedziałam z nim w pokoju zbyt długo. Za bardzo grał mi na nerwach...

- Jak to mawiają: kto się czubi, ten się...

- *Enemies to lovers*, ta, jasne... - Uśmiechnęłam się sama do siebie na tę myśl. To właśnie tacy faceci jak Liam sprawiają, że dziewczyny stają się starymi pannami otoczonymi gangiem psychopatycznych kotów.

- Czyli patrząc na obecny układ, nie pozostaje ci nikt inny niż...

Enzo nie zdążył dokończyć zdania, ponieważ przerwała mu Alice, która ni stąd, ni zowąd wyłoniła się spomiędzy pobliskich wysokich zarośli.

- A wy tutaj, sami, na plaży? No, no...

Moja nowa przyjaciółka nawet nie próbowała nie szczerzyć swoich białych zębów. Po chwili okazało się, że nie jest sama, towarzyszył jej Aren.

- Alice, Aren, miło was widzieć - odparłam nieco zmieszana.

- Chyba szykuje nam się podwójna randka na plaży? - wypalił Enzo, za to otrzymał ode mnie zasłużonego kuksańca.

- Brzmi kusząco, ale razem z Rei myśleliśmy nad jakąś wspólną imprezką, taki biforek przed rozpoczęciem programu. Kto wie, jak to

wszystko będzie wyglądało od jutra...

- A może raczej spotkanie, by ze sobą szczerze porozmawiać - dodał Aren poważnym głosem. - Skoro jutro początek programu, to nie powinniśmy zbyt szaleć, prawda?

Alice i Aren mieli rację. Jutro zaczynamy rywalizację - wszyscy poza Liamem, który już od wczoraj walczy o to, by wysforować się jak najdalej naprzód. Warto było się więc wyluzować, ale i porozmawiać. Także o tym, o czym myślałam przed spotkaniem Enza na plaży...

À propos naszego flirtu, bo chyba tym to było? Pomysł Alice, Arena i Rei miał jeszcze jedną zaletę: pozwalał mi uciec od tej dwuznacznej sytuacji z Enzem, w której niespodziewanie się znaleźliśmy. I o której - szczerze mówiąc - nie za bardzo wiedziałam, co myśleć.

- A zatem impreza? - zapytałam.

- Do tego nikt nie musi mnie namawiać! - oznajmił podekscytowanym głosem Enzo. Wizja dobrej całonocnej zabawy widocznie sprawiła, że bardzo szybko zapomniał o mnie i naszej rozmowie. I może to dobrze? - Dajcie mi tylko chwilę, żebym się odświeżył i przebrał, a potem biorę się do gotowania! Zapewniam was, że czegoś tak dobrego jak *ravioli sardi* jeszcze nie jedliście!

Ze wszystkich słów, które o zmierzchu wypowiedział do mnie Enzo, w te ostatnie byłam skłonna uwierzyć najbardziej. Nie miałam wprawdzie pojęcia, o czym mówił, ale nazwa ta brzmiała jak coś naprawdę smacznego.

We czworo ruszyliśmy więc w stronę naszej willi, rozmawiając i śmiejąc się. To był początek wspaniałego wieczoru. I koniec krótkiego okresu bez troski na wyspie.

ROZDZIAŁ 9

Następnego dnia obudziłam się ze strasznym bólem głowy. A przynajmniej zaraz po przebudzeniu miałam nadzieję, że to następny dzień, bo nie do końca pamiętałam, jak skończył się poprzedni. Miałam przecucie, że w mojej pamięci jest całkiem spora wyrwa – nie wiedziałam tylko jak duża...

Ból głowy, który znacznie utrudniał próbę przypomnienia sobie ostatnich wydarzeń, był tylko jednym z sygnałów, że coś jest nie tak. Kolejnym był mocno nieprzyjemny zapach, by nie powiedzieć smród. Spróbowałam się podnieść z łóżka, by zlokalizować jego źródło, ale byłam bez sił. Po drugim nieudolnym podejściu dałam sobie spokój.

– Proszę, proszę. Nasza śpiąca królewna w końcu się obudziła. Dobrze, że samodzielnie, bo chyba żaden książę nie byłby na tyle odważny, by pocałować cię w takim stanie... No chyba że Enzo.

Ból głowy i okropna, niezidentyfikowana woń były niczym wobec tonu, jakim Liam wypowiedział te słowa. Był drwiący i pełen politowania. Nie miałam siły zareagować, zrobiło to moje ciało, na którym pojawiła się gęsia skórka. A potem zebrało mi się na wymioty...

Wymioty, no tak. Dopiero w tym momencie doszło do mnie, co to za zapach.

– Jeśli będziesz dalej wymiotować, przypominam o misce przy łóżku – kontynuował tym samym tonem Liam.

„Gdybym tylko mogła mu...” Nie dokończyłam tej myśli. Zamiast tego zebrałam w sobie wszystkie dostępne siły i wydalłam resztki tego, co było jeszcze w moim żołądku, do miski, która rzeczywiście stała przy moim łóżku. Potem opadłam z powrotem już bez jakiegokolwiek energii na twarde, ale bardzo wygodny materac. Rzeczywistość wokół mnie

lekką wirowała, więc zamknęłam oczy. Gdyby było to możliwe, zamknęłabym też uszy, by nie słyszeć kolejnych słów mojego współlokatora z piekła rodem. Niestety mimo wielu niesamowitych osiągnięć procesu ewolucji na takie rozwiązanie rodzaj ludzki się nie załapał. A szkoda, to zdecydowanie zwiększyłoby szansę mojego przetrwania, szczególnie w tej sytuacji.

– To właśnie twój problem, Melanie, nie dajesz sobie pomóc. – Liam dokończył dzieła i wrócił do pisania najwyraźniej przerwane go moim przebudzeniem.

Nigdy w życiu nie czułam się tak słabo. W dodatku to słońce. No tak, to pewnie była kolejna diabelska sprawka mojego współlokatora, który celowo musiał odsłonić okno na wprost mojego łóżka... Gdy tylko nieco rozchyliłam powieki, natychmiast zaczynałam empatyzować z wampirami, tymi prawdziwymi – sprzed *Zmierzchu*. Stworami, dla których słońce było realnym zagrożeniem, a jego światło mogło na nie sprowadzić zgubę. To byłam właśnie ja w tym momencie: stworzenie, które łaknęło ciemności, ciszy, snu. Najlepiej w dźwiękoszczelnej trumnie wyłożonej przyjemnym, miękkim materiałem. Bo teraz właściwie nie czułam nic. Nic poza bólem istnienia, by ująć to nieco wznioślej.

Ta wizja wampirycznej hibernacji mojemu ciału i umysłowi wydała się na tyle pociągająca, że w końcu jej uległy. Przestałam czuć ból głowy i odrażającą woń. Powoli moje zmysły wyłączały się, władzę przejmowała fantazja. A wraz z nią sen, którego tak bardzo potrzebowałam. Ten sen to był książę, na którego czekałam. Książę, który uspił mnie swoim pocałunkiem.

Ponowne otwarcie oczu nie było już tak traumatycznym doświadczeniem. Prawdę mówiąc, czułam się dużo lepiej. Dość niepokojący wydawał się fakt, że za oknem było już ciemno. Czy mogło to oznaczać, że w trakcie imprezy z innymi uczestnikami *The RITE Show* naprawdę zostałam zamieniona w wampira? Cóż, samo wzięcie pod uwagę tego pomysłu, choćby na chwilę, pokazywało, że nadal nie do końca doszłam do siebie. By jednak rozstrzygnąć tę kwestię raz na zawsze, przejechałam palcami po swoich zębach. Kły były tej samej

długości, co do tej pory. Z dużym prawdopodobieństwem nadal byłam więc człowiekiem.

Mogłam też ponownie się ruszać. Wstałam z łóżka i rozejrzałam się po pokoju. Nikogo w nim nie było. Ten fakt również mógł wpływać pozytywnie na moje samopoczucie. Liam do pewnego stopnia działał na mnie jak czosnek na wampiry... albo kryptonit – chyba tak to się nazywało – na Supermana. Odbierał mi siły i chęć do życia. Gdy go nie było w pobliżu, świat wydawał się jakiś lepszy.

Wzięłam głęboki wdech, by zmierzyć się ze światem poza pokojem. To był najwyższy czas, by dowiedzieć się, co tak naprawdę wydarzyło się dzień wcześniej. I co doprowadziło mnie do tak opłakanego stanu. Opłakany stan, no właśnie: głęboki wdech przypomniał mi o misce moich wymiocin, która stała przy łóżku. Czym prędzej chwyciłam naczynie jedną ręką, a drugą zatkałam nos. Ruszyłam szybkim krokiem do łazienki i pozbyłam się dowodów mojego zatrucia – czymkolwiek było ono spowodowane.

Gdy doprowadziłam się w końcu do ładu – a nie było to proste zadanie, bo stan moich włosów, cery i skóry pod oczami dość wiernie odzwierciedlał stan mojego ciała i umysłu sprzed kilku godzin – znalazłam świeże ubranie i postanowiłam poszukać innych uczestników *The RITE Show*. Tym bardziej że wszędzie wokół było wyjątkowo cicho, co nieco mnie niepokoiło. Podobnie jak to, że Alice do mnie nie zajrzała. A przynajmniej ja nic takiego nie pamiętałam...

Cisza panowała też na zewnątrz. Słysząc było tylko szum fal od strony morza i szelest drzew. Ciepły, przyjemny wiatr wiał w głąb wyspy i wspaniale było go poczuć na skórze. Słony zapach morza i woń zieleni – tego mi było trzeba. Odetchnęłam z ulgą. Także dlatego, że przez wielkie szklane witryny pozostałych budynków dostrzegłam Alice i Rei w jednym z nich oraz Liama, Arena i Enza w drugim. Czym prędzej ruszyłam więc w stronę tego pierwszego.

W środku jednak nikt mnie nie przywitał. Alice nawet nie podniosła głowy. Natomiast Rei zareagowało dopiero po chwili.

– Wiem, kochana, że czujesz się tutaj gwiazdą, a przywilejem gwiazd jest spóźnianie się, ale chyba trochę przesadziłaś. I to niezależnie od tego, ile wczoraj wypiąś i... co zrobiłaś.

Rei przed wypowiedzeniem dwóch ostatnich słów zawahało się i spojrzało na Alice.

Moja przyjaciółka jednak nadal pozostawała niewzruszona. Zupełnie jakby tej samej nocy, która mnie przyprawiła o potężny ból głowy i odebrała wszelką energię, Alice straciła słuch lub w ogóle jakikolwiek kontakt ze światem.

– Hej, Alice – wydusiłam z siebie, choć te słowa z trudem przeszły mi przez usta. Mój głos się załamał, tak że musiałam odchrząknąć i przełknąć ślinę.

– „Hej”? Ty to masz tupet...

Trudno było mi jednoznacznie określić, czy odpowiedź Alice była bardziej próbą wyśmiania tego, co właśnie powiedziałam, czy sygnałem, że absolutnie nie chce ze mną gadać. To już nie była ta miła Alice, która na drugie miała „do rany przyłóż”. Oblicze dziewczyny, którą jeszcze wczoraj uważałam za swoją przyjaciółkę, było nadal piękne, choć teraz pojawiła się na nim surowość przypominająca krajobraz Jukonu. Surowość zimy na północy Kanady. Byłam tam tylko raz, z wycieczką szkolną, kilka lat temu. Nasza nauczycielka, pani Cyrus, zaplanowała wyjazd pod tytułem: „Wycieczka na koniec świata”. I to rzeczywiście był skraj ludzkiej cywilizacji. Pogranicze. Piżmowoly, karibu, niedźwiedzie arktyczne. I ten przeszywający mróz. Zimne, nieprzystępne, a przy tym cały czas zachwycające i majestatyczne miejsce. Taka też była teraz Alice.

– Tupet?

To, co powiedziałam, ledwo było słyhać. A jednak zarówno Rei, jak i Alice doskonale to usłyszeli.

– Dziewczyno, czy ty w ogóle cokolwiek pamiętasz z wczoraj?! – wybuchło Rei. Te słowa wypowiedziało z wyrzutem. Jakbym była czemuś winna, jakbym dokonała czegoś strasznego. Wręcz okrutnego. Kolejne części mojego ciała zaczynały drżeć, a oddech przyspieszył.

- Nie, nic nie pamiętam.

Taka była prawda. Niczego nie pamiętałam. Czy naprawdę nikt nie mógł mi powiedzieć, co się wydarzyło? Przecież nikogo nie zabiłam... A przynajmniej nikogo z naszej szóstki, bo przecież chwilę temu widziałam Liama, Arena i Enza całych i zdrowych.

- No pewnie, co tutaj pamiętać - prychnęła Alice. Jej dalsza wypowiedź bardziej przypominała syk węża niż ludzką mowę: - Pogadaj sobie z Arenem, może coś sobie przypomnisz...

- Z Arenem?! O czym ty mówisz?!

W szkole dostaliśmy kiedyś do przeczytania powieść Franza Kafki Przemiana. O człowieku, który budzi się i odkrywa, że przez noc zmienił się w olbrzymiego owada. To, co teraz spotykało mnie, przypominało tamtą opowieść. Z tą drobną różnicą, że przez jedną noc to świat zmienił się nie do poznania. A przynajmniej moje relacje z Alice, a ja absolutnie nie miałam pojęcia, jak do tego doszło. W dodatku czułam, że dla niej z człowieka zamieniłam się w takiego olbrzymiego, odrażającego robala, z którym nie chciała mieć nic wspólnego.

- Gra w butelkę? Mówi ci to coś? W końcu to był pomysł Enza i... twój - odpowiedziało mi Rei, ponieważ Alice najwyraźniej zakończyła rozmowę ze mną. Tylko to nie miało sensu. Nigdy nie grałam w butelkę, uważałam to za coś dzieciennego... Przynajmniej na trzeźwo. No właśnie. Na trzeźwo. Rei wspomniało wcześniej coś o picciu. Przyznaję, że nie miałam w tej materii zbyt wielu doświadczeń. Jak się nie ma szalonych kolegów i koleżanek, którzy nakłaniają cię do picia, rzucają ci dziwne wyzwania na imprezach i generalnie nie uznają za jedną ze „swoich”, jeśli nie spożywasz alkoholu, wtedy po prostu nie musisz się spieszyć z inicjacją w tym zakresie. Do mojego CV mogłabym wpisać jedno lub dwa piwa - no i jedno korzenne, które wypiłam z moją mamą, tylko dlatego, że chciałam spróbować, a ona, jak to ona, uznała, że lepiej będzie, gdy napiję się razem z nią. Cała Ann. Spróbowałam też raz czegoś mocniejszego u J.D., bo zwinął resztkę whisky po imprezie rodzinnej, ale - szczerze mówiąc - wolałabym już pić benzynę z dystrybutora na stacji paliw. I to by było na tyle. Nigdy się nie upiłam,

nigdy nie urwał mi się film. Nie miałam więc pojęcia, na co mnie stać po większej dawce tej trucizny.

– Alice... Ja nie wiem, o czym wy mówicie – zwróciłam się do dziewczyny, z którą tak bardzo chciałam się zaprzyjaźnić. Ona jednak zupełnie mnie ignorowała. – Jeśli zrobiłam coś złego, to nie wiem, co we mnie wstąpiło. To nie byłam ja. I na pewno wszystko wyjaśnię.

W mojej głowie wszystko, co mówiłam, brzmiało, jakby było bez ładu i składu. Po prostu wyrzucałam z siebie kolejne słowa w nadziei, że któreś z nich przebije się przez tarczę, jaka osłaniała Alice i za którą dziewczyna zdawała się teraz kryć. I udało się, spojrzała na mnie!

– Melanie, widzę, że wiele rzeczy ci ostatnio umyka. Dzisiaj rozpoczął się *The RITE Show*. Dostaliśmy pierwsze wyzwanie i musimy nad nim pracować. W grupach. Jednak dla ciebie, jak się okazało, niestety nie ma miejsca w naszej grupie, prawda, Rei?

Chłodne usposobienie rodem z północy absolutnie nie pasowało do południowej, brazylijskiej urody Alice, jednak ona nic sobie z tego nie robiła. Przeszywające spojrzenie powędrowało najpierw ku Rei, które błyskawicznie przytaknęło, a potem ku mnie.

– Jak widzisz, to już postanowione. Możesz sama zmierzyć się z zadaniem. Choć myślę, że po twoim wczorajszym zachowaniu chłopcy bardzo chętnie przygną cię do siebie...

Powiedziała to bez jakichkolwiek emocji. I to chyba było najbardziej przerażające.

– A teraz wyjdź, proszę. Chcemy razem z Rei wrócić do pracy.

Następnie opuściła głowę i wróciła do notowania czegoś na swoim laptopie. Ja z kolei stałam się dla nich duchem. Byłam absolutnie przezroczysta. Stałam tak jeszcze przez dłuższą chwilę, ale żadne z nich nie zwracało już na mnie uwagi. Poczułam, jak w moim gardle rośnie gęstwa, a oczy robią się coraz bardziej wilgotne. Szybkim krokiem wyszłam z pokoju.

Nie mogłam tego tak zostawić. Musiałam się jak najszybciej dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Byłam na skraju szaleństwa. Weszłam więc do budynku, w którym siedziała druga grupa – grupa

chłopaków. Cóż, jeśli zaproponowane przez produkcję reality show podziały na pokoje i teraz na grupy nie miały mieć nic wspólnego z płcią, to jakoś słabo im to szło. Bo zarówno w podziale na pokoje, jak i teraz na grupy, w których mogliśmy ze sobą współpracować, płęć – przynajmniej ta nadana przy urodzeniu, jak można było zauważyć – wydawała się decydująca. Jednak nie miałam teraz do tego głowy. Myślałam o czymś zupełnie innym.

Gdy wparowałam do pokoju chłopaków, dla odmiany wzrok wszystkich utkwiał od razu we mnie. Każdy z nich patrzył inaczej, spojrzeniu towarzyszyły inne emocje. Wzrok Enza zdradzał wstyd. Spojrzenie Liama jak zwykle miało w sobie coś szyderczego. A Aren? Aren patrzył ze smutkiem. Ogólnie rzecz ujmując, nie wyglądali na zbyt szczęśliwych, widząc mnie.

– No, no. Wyglądasz dużo lepiej niż dzisiejszego poranka – zaczął mój współlokator. – No i pachniesz też dużo lepiej...

– Sorry, Liam, ale się zamknij, okej? – Mój wzrok na pewno zdradzał zniecierpliwienie i wściekłość na tyle wielką, że chłopak natychmiast zamilkł, a złośliwy uśmiech zniknął z jego twarzy. Następnie zwróciłam się do Arena: – Mogę cię prosić na słówko?

Ten w odpowiedzi jedynie skinął, wstał ze swojego łóżka i ruszył za mną na zewnątrz.

– Melanie...

Aren chciał coś powiedzieć, ale ja już nie mogłam czekać.

– O co chodzi Alice? Co ja takiego zrobiłam?!

Próbowałam kontrolować emocje, ale wychodziło mi to naprawdę słabo. W ostatnim momencie ściszyłam głos tak, by nie usłyszeli nas pozostali uczestnicy programu.

– Chyba raczej: co my wczoraj zrobiliśmy. Jestem tak samo winny jak ty. A może nawet bardziej. Wybacz.

Aren jak zwykle był poważny, sprawiał wrażenie człowieka nad wyraz dojrzałego. Gdyby ktoś mnie zapytał, ile ma lat, sądząc po jego zachowaniu, powiedziałabym, że co najmniej czterdzieści, choć

wyglądał na dziewiętnastolatka. Jego przenikliwe, mądre oczy i usposobienie, które przypominało bardziej niezłomnego mistrza jakiegoś zakonu niż nabuzowanego hormonami nastolatka, sprawiało, że można było łatwo zapomnieć, z kim ma się do czynienia. Nic dziwnego, że Aren tak bardzo spodobał się Alice.

– Ale czy ktoś wreszcie powie mi, o co chodzi?!

– Pocałowaliśmy się.

Że co, proszę?! Pocałowałam się na imprezie z Arenem? Niby jak? Po co? Dlaczego?! To tylko pięć pierwszych pytań z długiej listy, która pojawiła się w tamtym momencie w mojej głowie. Przecież nic mnie nie łączy z tym chłopakiem z Nigerii, w dodatku doskonale wiedziałam, że podoba się Alice. Nigdy bym jej czegoś takiego nie zrobiła. Nawet po alkoholu.

No ale Rei wspominało coś o grze w butelkę i Enzo. Może to wcale nie ja i Aren byliśmy winni, tylko Enzo? Choć i tutaj, mówiąc kolokwialnie, to wszystko nie trzymało się kupy. Przecież miałam wrażenie, że coś między mną i Enzem zaiskrzyło. Już prędzej spodziewałam się, że mogłam pocałować właśnie jego w czasie imprezy. Ale Arena?

– To moja wina, powinienem był przewidzieć, że tak to wszystko się skończy. Mówiłem im, żeby nie nalewali ci alkoholu, przecież jesteś niepełnoletnia. Ale Enzo i Rei mnie nie słuchali, Alice też mówiła, żebym wyluzował. Raczej nie jestem z tych, co potrafią się „wyluzować”, ale skoro mnie poprosiła... Zanim się obejrzałem, ledwo trzymałaś się na nogach. A potem jeszcze wpadli na ten głupi pomysł, żeby zagrać w butelkę. To się nigdy dobrze nie kończy. Tyle wiem. I tak samo było i tym razem. Tylko że już było za późno. Enzo zakręcił butelką, wypadło na ciebie, zamiast prawdy wybrałaś wyzwanie, a on rzucił ci wyzwanie, żebyś go pocałowała. Kiedy zaprotestowałem, mówiąc, że to nie fair, kazał ci pocałować mnie. Ty byłaś już w takim stanie, że było ci wszystko jedno. Zanim cokolwiek zdążyłem powiedzieć, nazwałaś mnie J.D. i pocałowałaś mnie... A ja oddałem pocałunek. To przez ten cholerny alkohol. Nigdy sobie tego nie wybaczę!

– O Jezu... – wydusiłam z siebie, gdy Aren przerwał na moment swój monolog. Teraz już wszystko rozumiałam.

– Nie sędzę, by nasz Zbawiciel miał z tym coś wspólnego, Melanie. Wręcz przeciwnie, to wynik tego, że oboje zgrzeszyliśmy na różne sposoby. Sami sobie jesteśmy winni i teraz musimy ponieść tego konsekwencje.

– Ale przecież to nic nie znaczyło! – zaprotestowałam. Bo to dla mnie nic nie znaczyło. Nawet tego nie pamiętałam. To była jakaś durna zabawa podpitych nastolatków. Byłam zła jedynie na Enza, że do głowy przyszedł mu tak głupi pomysł i że wpędził mnie w kłopoty. I że znów znalazłam się na marginesie, stałam się osobą pozostawioną samej sobie. Ale może to po prostu było moje przeznaczenie...

– Nie dla Alice. Odebrała to jako zdradę zarówno z mojej, jak i twojej strony. I wcale jej się nie dziwię, Melanie. Musimy jej to wynagrodzić. A przynajmniej ja muszę. Najlepiej więc będzie, jak w najbliższym czasie nie będziemy ze sobą przebywać i rozmawiać, dobrze?

– Jasne. To ma sens – burknęłam, bo to rzeczywiście w dłuższej perspektywie mogło pomóc odzyskać mi i Arenowi osobę, na której nam zależało. Alice potrzebuje teraz czasu i przestrzeni, by uporać się z różnymi emocjami, a my musimy zrobić wszystko, by jej to ułatwić.

– Aha, jeszcze jedno. Pewnie tego nie pamiętasz, ale wczoraj, gdy kładłem cię do łóżka, bo sama nie byłaś w stanie się w nim położyć, zdradziłaś mi swój sekret. Jednak nie martw się, u mnie jest bezpieczny. Nikomu o nim nie powiem!

Zdradziłam mu sekret?! Jaki sekret?! Boże, mam nadzieję, że nie...

Zanim zdążyłam o to zapytać, z budynku, w którym siedzieli Enzo i Liam, dobiegł donośny głos tego drugiego.

– Hej, wracasz do nas czy kontynuujecie wczorajsze zabawy z Melanie?!

– Muszę iść! A ty się nie martw, wszystko będzie dobrze.

Aren wrócił do środka. A ja jedynie mogłam się domyślać, jaką tajemnicę zdradziłam mu wczoraj po pijaku. I jeśli to była ta tajemnica,

to szczęście w nieszczęściu, że powiedziałam o niej właśnie Arenowi. Choć nawet u niego nie była tak do końca bezpieczna. Znow zaczęłam się bać. Nie. Byłam przerażona.

ROZDZIAŁ 10

Co mogłam zdradzić Arenowi? Cóż, może to, że tak naprawdę jestem oszustką. Przynajmniej w pewnym sensie. Tak, napisałam powieść kryminalną dla młodzieży, nie, nie byłam tak do końca autorką tej książki. Co najwyżej współautorką, a i takie postawienie sprawy wydaje się sporym nadużyciem.

Teraz chyba przyszedł czas, by wyznać to, czego nie powiedziałam jeszcze nikomu. *Impostora* tak naprawdę napisała sztuczna inteligencja. I jest coś przewrotnego w fakcie, że to ona, AI, tak zatytułowała tę książkę – sugerując, że to wszystko szwindel, przekręt, oszustwo.

To prawda, że tydzień po moich szesnastych urodzinach skończyłam pracę nad swoją pierwszą książką. Trzeba jednak dodać, że proces jej tworzenia był bardzo krótki i *Impostor* nigdy by nie powstał, gdyby nie bot aRTi, który tak naprawdę napisał ją w sumie w... kilkanaście minut. Jak do tego doszło? Czuję, że w końcu muszę to z siebie wyrzucić.

Jak niemal wszystko w moim dotychczasowym życiu, i to ma związek z J.D. Jego tata jest informatykiem. J.D. twierdzi wprawdzie, że jest też hakerem, choć co do tego mam pewne wątpliwości. Tata J.D. jest przeciwieństwem mojego ojca (jest spokojny, opiekuńczy i wyrozumiały) i pewnie dlatego mój najlepszy przyjaciel uważa go za prawdziwego superbohatera. Widzi go tak, jak ja widziałam swoją mamę, kiedy miałam osiem lat – J.D. dodaje sporo od siebie i wierzy, że robi Bóg wie co.

Wracając jednak do meritum, tata J.D. miał przetestować bota aRTi stworzonego przez firmę GlobAI, który powstał przy użyciu najnowszej wersji sztucznej inteligencji. Mało kto miał wówczas pojęcie, że coś takiego w ogóle istnieje. W całkowitej tajemnicy przekazał swój dostęp

synowi, by ten mógł powiedzieć, co o tym sądzi. A J.D., jak to J.D., dał dostęp mnie.

I jak to zwykle bywa, to był zarazem najlepszy i najgorszy moment, by dać mi taką zabawkę do rąk. W tamtym okresie przeżywałam totalny kryzys. Właściwie byłam przekonana, że to koniec z pisaniem. Potrafiłam siedzieć po kilka godzin nad kartką lub przed edytorem tekstu i po prostu się na nie gapić. Zupełnie jakbym zamknęła się w sobie. Czułam strach, rozpacz, niepewność. Wszystko naraz. Ale nic z tego nie mogłam przelać na papier. Byłam skazana na to, by sprzeczne emocje, lęki i nadzieje kotłowały się we mnie. A im dłużej się kotłowały, tym bardziej byłam przekonana, że coś ze mną jest nie tak. I że to całe pisanie nigdy nie było czymś dla mnie.

Wtedy właśnie przyszedł do mnie J.D. i pokazał mi „Artiego” – jak zaczęłam go nazywać – w ramach „dodatkowego prezentu urodzinowego”. Od razu jednak zakazał komukolwiek o tym mówić. Bo gdyby ktoś się dowiedział, jego tata mógłby mieć problemy i takie tam. Mnie nie musiał tego powtarzać. Nie miałam nawet komu tego pokazać, bo z nikim się przecież nie przyjaźniłam. No a mamie, która nadal miała problem z ogarnięciem swojego Instagrama na telefonie, przecież czegoś takiego nie pokażę...

Chwilę wspólnie potestowaliśmy „Artiego” i na tym wszystko mogło się skończyć. Ale tak nie było. Kolejnej nocy nie mogłam zasnąć. Siadłam do komputera i uruchomiłam bota. Zaczęłam z nim rozmawiać. Trochę jak z J.D.

Pisząc z „Artim”, czułam się swobodnie. Pierwszy raz od wielu miesięcy mogłam z kimś – a może raczej z czymś – pisać bez problemu. I tak od pytania do pytania w końcu rzuciłam, czy byłby w stanie napisać książkę, jeśli powiedziałabym mu, o czym ma być. Gdy po ułamku sekundy odpowiedział, że zrobiłby to bez problemu, postanowiłam sprawdzić, czy to prawda.

Od kiedy przeczytałam Mroczną połowę Stephena Kinga, chodził za mną pomysł, by napisać opowiadanie kryminalne z doskonałą intrygą o bracie bliźniaku. Nie wiedziałam jednak, jak rozwinąć ten pomysł. Bałam się, że to, na co wpadnę, będzie zbyt banalne i przewidywalne.

W końcu, tamtej nocy, gdy nie mogłam spać, postanowiłam „przedyskutować” ten pomysł z „Artim”.

To on napisał pierwszy rozdział, a ja nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Nie tylko dlatego, że napisanie tego fragmentu zajęło mu... kilkanaście sekund. Zaczęłam czytać i... to było niesamowite. Zagadka gonila zagadkę, a ja chciałam więcej. Zadawałam więc pytania, a „Arti” udzielał odpowiedzi w postaci kolejnych rozdziałów. Mijały godziny, za oknem już świtało, a my zbliżyliśmy się do zakończenia książki. Po postawieniu ostatniego pytania i odpowiedzi, jakiej udzielił mi „Arti”, na dworze było już jasno. A gdy skończyłam lekturę całej książki, miałam szeroko otwarte usta ze zdziwienia. To było coś niesamowitego.

W pierwszym odruchu chciałam to usunąć. Pozbyć się tego i zapomnieć, że to w ogóle się wydarzyło. Przez chwilę nawet zastanawiałam się, czy zaraz nie obudzę się w swoim łóżku i okaże się, że to wszystko nieprawda. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego moja mama, jak co rano, zawołała mnie na śniadanie, a potem w drodze do pracy podrzuciła do szkoły.

Zaraz po powrocie do domu przeczytałam raz jeszcze to, co napisał „Arti”. To było zbyt dobre, by to usunąć, by pozbawić świat tak wspaniałej opowieści! Gdybym była młodsza o kilka lat, natychmiast zaczęłabym pisać fanfika w świecie tej historii... Ale teraz pomyślałam o czymś zupełnie innym. Przez myśl przeszło mi, że mogłabym to wydać jako swoją powieść. Choć trochę się obawiałam, czy ktokolwiek uwierzy, że to ja ją napisałam.

I wtedy do mojego pokoju wpadł J.D. Powiedział, że zmartwiło go, jak wyglądałam w szkole. Podobno byłam blada i prawie nic do mnie nie docierało. Zanim zdążyłam zareagować, jego wzrok padł na tekst powieści, który zdążyłam już przekopiować do edytora tekstu i poprawić w kilku miejscach. Przeczytał fragment i zapytał, czy to coś, nad czym pracuję. A potem, czy przez to byłam taka niewyspana. J.D. – jako jedna z dwóch osób – wiedział, że marzę o zostaniu pisarką. A ja w tamtym momencie spanikowałam. Powiedziałam, że to coś, nad czym pracuję od dłuższego czasu, ale nie mam pojęcia, czy ta powieść w ogóle ma sens. Zapytał więc, czy może przeczytać całość. A ja mu

pozwoiliam. Był zachwycony. Moja mama, która przeczytała książkę po nim, nie była już tak entuzjastycznie do niej nastawiona. Niepokoiła ją treść i trudno było jej się dziwić. Ale mimo to mnie wspierała. Zawsze to robiła. A w tym przypadku sprawę ułatwiał fakt, że „Arti” napisał naprawdę świetną, choć rzeczywiście dość makabryczną powieść.

Potem książka znalazła wydawcę, trafiła na półki w księgarniach i zaczęła żyć własnym życiem. Prawda o jej powstaniu była tajemnicą. Nikomu jej nie wyjawiałam do tej pory. A teraz najprawdopodobniej znał ją Aren...



Aren jak powiedział, tak zrobił. W kolejnych dniach unikał mojego towarzystwa. Nie zamieniliśmy ze sobą nawet jednego słowa. Nie wymieniliśmy nawet spojrzeń. Jakbyśmy byli wrogami. To było nieprzyjemne, przynajmniej dla mnie, ale nie niepokoiło mnie – w szkole i poza nią przyzwyczaiałam się do takich sytuacji. Nie mogłam za to przestać myśleć o tym, jaki sekret mu wyjawiałam. I czy naprawdę był u niego bezpieczny. Czy nie zdradzi go nikomu – nawet Alice...

Oczywiście przy założeniu, że znowu zaczęliby ze sobą rozmawiać. Bo ochłodzenie stosunków nie dotyczyło tylko Arena i mnie – podobna atmosfera panowała pomiędzy Alice i Arenem – choć chłopak na każdym kroku starał się dawać do zrozumienia, także w rozmowie z innymi osobami, że żałuje swojego zachowania i bardzo chciałby odbudować zaufanie Brazylijki. Problem w tym, że ona – przynajmniej jak na razie – tego nie chciała. Albo doskonale udawała, że nie ma na to ochoty. Jeśli w ramach zemsty próbowała sprawić, by Aren cierpiał, udawało się jej to osiągnąć.

Tymczasem Alice rzuciła się w wir nowej przyjaźni – z Rei. Byli nierozłączni, jak dwie papużki, które rozmawiają długimi godzinami, radując się swoim towarzystwem. A także możliwością ucieczki przed swoimi współlokatorami, za którymi zarówno Rei, jak i Alice nie przepadali. Ekscentryczne Rei, skłonne do przekraczania wszelkich granic, od początku nie dogadywało się z porządnym i nieco

staroświeckim Arenem. Z kolei Alice, która przecież do tej pory nie miała zatargu z Enzem, wracała do pokoju późną nocą, by położyć się do łóżka, i opuszczała go niemal o świcie, by przez przypadek nie zamienić z włoskim lokatorem ani jednego słowa. W końcu to Enzo wpadł na pomysł gry w butelkę i to on zaproponował, byśmy się z Arenem pocałowali. Naraził się tym na gniew, a właściwie całkowity ostracyzm ze strony Alice.

Sytuacja była więc napięta, a cała szóstka podzieliła się na wrogie obozy. Wspólny pokój zaczął przypominać szkolną stołówkę, w której w odpowiednich strefach siedziały rywalizujące i na ogół nienawidzące się grupy. Alice i Rei miały swój stolik, przy którym zapewne obgadywano jedną osobę: Melanie Clark. Przy drugim stole siedzieli Aren, Enzo i Liam. Nie zawsze razem, bo Enzo korzystał z każdej okazji, by zabalować (czyli wypić kilka piw, samotnie pograć nocą na automatach, a potem spać do jedenastej) lub iść pobiegać wokół wyspy, Aren, gdy nie pracował, medytował, a Liam – jak to on – nie rozstawał się ze swoim notatnikiem i laptopem. Jednak co do zasady trzymali się razem, trochę jak kiepska, tania i młodzieżowa wersja trzech muszkieterów bez maksymy „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

Ja natomiast pozostawałam outsiderką i samotniczką. Nie żeby mi to jakoś specjalnie przeszkadzało. Przyzwyczaiłam się, choć przywykłam też, że blisko mnie jest jakiś inny wyrzutek i możemy na siebie liczyć. Innymi słowy, brakowało mi J.D. – kogoś, kto mnie bezwarunkowo akceptował i zawsze był gotowy na rozmowę ze mną. Także dlatego, że uważał mnie za kogoś ważnego. Tu nie mogłam na to liczyć.

Trzeba było jakoś odnaleźć się w roli pariasa i w całej tej sytuacji. Nie wiedziałam, co mnie ominęło i na czym polega pierwsza runda *The RITE Show*, ale na razie wcale nie zamierzałam odejść z programu bez walki. Natomiast biorąc pod uwagę układ, w jakim się znalazłam, jedyną osobą, która mogła mi udzielić takich informacji, było Rei. I to właśnie Rei – choć dość niechętnie i pewnie z litości, a przynajmniej takie odniosłam wrażenie – jeszcze tego samego dnia, po moich usilnych prośbach (do których nie było mi łatwo się zmusić), opowiedziało, co zaszło, gdy byłam nieprzytomna.

W trakcie oficjalnej inauguracji *The RITE Show* – która ominęła mnie z powodu zatrucia alkoholowego – Peter Forsley poinformował wszystkich, że w trakcie trwania programu w willi znajdować będą się tylko uczestnicy i uczestniczki reality show. Budynek, w którym zamieszkaliśmy, był w pełni zautomatyzowany i autonomiczny. Co więcej, zastosowano w nim najnowsze technologie typu „smart”, które dbać miały o nasze dobre samopoczucie i czuwać nad komfortem pracy.

Po co tyle zachodu? I dlaczego mieliśmy być na wyspie całkiem sami? To było bardzo dobre pytanie. Przynajmniej dla mnie. Zgodnie ze słowami Petera, które zrelacjonowało mi Rei przy kolejnym naszym przypadkowym spotkaniu, chodziło o dynamikę naszej grupy. Tak sobie myślę, że mieliśmy być jak grupka rozbitków z *Władcy much*, no bo co mogło mi przyjść do głowy w takich okolicznościach? Oczywiście producenci *The RITE Show* pewnie by się tego wyparli, ale ja tak to widziałam. Liczyli na to, że jak w powieści Williama Goldinga albo zacniemy ze sobą współpracować, pomagać sobie i wzajemnie się inspirować, dzięki czemu napiszemy najlepsze książki, na jakie nas stać na tym etapie naszego życia, albo spróbujemy się pozabijać lub przynajmniej zrobić sobie krzywdę, i to właśnie tym będzie żyło reality show.

Ta pierwsza opcja wydawała się nierealna, ale wcale taką nie musiała być. Jakiś czas temu czytałam, że wizja z *Władcy much* była totalną fikcją, w dodatku bardzo daleką od rzeczywistości! Podobna historia, która zainspirowała pisarza, wydarzyła się naprawdę i nikt nikogo nie zabił. Nastolatkiem po tym, jak rozbili się na bezludnej wyspie, pomagali sobie i dzielili się wszystkim, co mieli, do momentu, gdy zostali uratowani, a potem pozostali przyjaciółmi aż do śmierci. Może Peter Forsley i jego znajomi, którzy stworzyli *The RITE Show*, też czytali tę książkę i mieli nadzieję na powtórzenie czegoś podobnego, tylko w bardziej luksusowych warunkach i w ściśle wyselekcjonowanej grupie?

Na razie niestety wychodziło, że to Golding miał rację. Miałam czas na te przemyślenia, bo wśród mniej lub bardziej skłóconych ze sobą uczestników i uczestniczek programu wiodłam niechlubny prym.

Kolejne dni wypełniały mi wieczorne spacerunki po wyspowym odludziu, przesiadywanie w odosobnieniu w bibliotece, w której szukałam jakiegokolwiek inspiracji do pisania, oraz gotowanie w samotności posiłków, które spożywałam w ciszy przy „moim” stoliku we wspólnej kuchni. I odliczanie kolejnych minut i godzin do końca pierwszej rundy programu i eliminacji.

Pierwsza runda. No właśnie. Wszyscy mieliśmy tydzień, by zmierzyć się z wyzwaniem rzuconym poszczególnym grupom przez producentów programu. A właściwie przez coś, co nazwali Out of the Box Machine. Jedno trzeba im przyznać – umieli w fajne nazwy. Czym była owa Out of the Box Machine? To urządzenie, które zamontowano wewnątrz wysepki stojącej w centralnym miejscu wspólnego pomieszczenia i które wyłoniło się na początku pierwszej rundy. A przynajmniej tak zrelacjonował mi to Enzo, którego spotkałam pewnego dnia na plaży. Staliśmy niedaleko miejsca, w którym jakiś czas temu ze mną flirtował. Teraz naszej rozmowie towarzyszyły jednak zupełnie inne emocje. Właściwie to była wyprana z emocji i uczuć. Ograniczaliśmy się do pytań i odpowiedzi – przekazywania faktów i prostych informacji.

W dniu rozpoczęcia *The RITE Show*, zaraz po tym, jak Peter Forsley poinformował uczestników, że pozostaną sami na tej bezludnej wyspie, Enzo, Aren, Alice, Rei i Liam po raz pierwszy zobaczyli Out of the Box Machine. Błat wysepki kuchennej niespodziewanie się rozchylił i z wnętrza wyłoniła się duża, czarna skrzynka, która lśniła w promieniach słońca wpadającego przez duże okna. Jeden z jej idealnie gładkich boków rozsunał się i ujawnił mniejsze pudełko. W środku była wiadomość z informacją o podziale na dwie grupy oraz treść wyzwań dla obu zespołów. Jak zdążyłam się już dowiedzieć, w pierwszym z nich był Enzo, Aren i Liam, w drugim Alice, Rei i ja.

Każdy z zespołów otrzymał trzy wytyczne. Po pierwsze: gatunek. Oznaczało to, że każdy z członków danego zespołu musi napisać książkę w określonym gatunku literackim. Po drugie: temat. Tu pole manewru było większe, bo podany temat można było dowolnie zinterpretować – trochę jak na sprawdzianie lub egzaminie w szkole. Po trzecie:

instrukcje dotyczące głównego bohatera lub głównej bohaterki – przede wszystkim określone cechy i płeć.

Jeśli któryś uczestnik nie wypełniłby tego zadania, automatycznie zostałby wyeliminowany z programu. Nie było więc mowy o całkowitej dowolności, to nie od nas zależało, jak miała wyglądać nasza druga powieść i jaki temat mieliśmy w niej podjąć. Jeśli chcieliśmy pozostać w *The RITE Show*, musieliśmy podążyć za instrukcjami producentów.

W pierwszej grupie, czyli zespole Enza, Arena i Liama, każdy z członków miał za zadanie przygotować powieść utrzymaną w gatunku kryminału lub thrillera, tematem, wokół którego toczyć się miała fabuła, była rodzina, a głównym bohaterem miał być mężczyzna. Druga grupa, czyli ta, do której teoretycznie należałam, ale w której praktycznie nie pracowałam, pisała książkę w gatunku romansu lub fantastyki, przypisanym nam tematem były pieniądze, a główną bohaterką miała być kobieta lub osoba niebinarna. Był jeszcze jeden warunek: pierwszy rozdział miał liczyć od dwudziestu do czterdziestu stron tekstu! A na jego ukończenie mieliśmy wszyscy sześć dni, czyli niewiele, biorąc pod uwagę, ile trzeba było napisać... Po tym czasie mieliśmy oddać teksty producentom, a oni rozpoczynali „głosowanie” na platformie Rite. Siódmego dnia następowała eliminacja, a ósmego spod blatu wysepki kuchennej ponownie miała się wyłonić *Out of the Box Machine*, by rozpocząć drugą rundę i rzucić nam kolejne wyzwanie.

Wydawałoby się, że sześć dni to dużo czasu. Jednak presja upływających godzin, przynajmniej dla mnie, była nie do zniesienia. Szczególnie gdy rywalizowało się z ludźmi, którzy mieli na swoim koncie międzynarodowy bestseller (i naprawdę ten bestseller napisali). Wiedziałam, że producenci programu nieprzypadkowo nazwali swoje urządzenie *Out of the Box Machine*. To miały być powieści z pomysłami „out of the box” – twórczymi, kreatywnymi, niestandardowymi. Innymi słowy, musiało to być coś całkowicie zaskakującego, co przykuje uwagę czytelników i czytelniczek na całym świecie lub rozbudzi ich emocje na tyle, by chcieli lajkować, komentować i udostępniać fragmenty twojej książki.

Czasami pisarz czeka na taką książkę latami, a czasami nigdy nie wpada na pomysł tego kalibru. My mieliśmy sześć dni – by opracować koncepcję i napisać kilkadziesiąt stron powieści. Obłąd! Pewnie po to był ten podział na grupy: byśmy się inspirowali i wspierali, a może też podpatrywali, jak każde z nas pracuje. I chyba w przypadku Arena, Alice, Enza, Liama i Rei to się sprawdzało. Oni wszyscy sprawiali wrażenie, jak gdyby bez najmniejszego trudu mierzyli się z rzuconym im wyzwaniem. Ciągłe coś notowali, konsultowali, poprawiali. Może dlatego, że mogli i chcieli ze sobą współpracować. Może dlatego, że mieli w tym doświadczenie. Może dlatego, że nikt nie napisał ich debiutanckich powieści za nich. A może dlatego, że nie byli oszustami – jak ja.

To był piąty dzień pierwszej rundy. Siadłam do pisania po raz kolejny, jednak szczerze mówiąc, powoli zaczynałam tracić nadzieję, że na cokolwiek wpadnę. Miałam w końcu niecałe czterdzieści osiem godzin, by wyrzucić z siebie kilkadziesiąt stron porywającego tekstu. Byłam w bibliotece, przeglądałam książki, szukając pomysłu, inspiracji, czegokolwiek. Co chwilę zerkałam na zegar wiszący na jednej ze ścian. Jednak to miarowe, nieustępliwe tykanie jego wskazówek doprowadzało mnie do szaleństwa...

Do biblioteki niespodziewanie weszła Alice. Z początku mnie nie zauważyła. Zdała sobie sprawę, że tam jestem, dopiero gdy nasze spojrzenia się spotkały. Byłam na nią wkurzona za to, jak mnie traktuje, ale kiedy ją zobaczyłam, mimo wszystko odruchowo się uśmiechnęłam. W końcu była najbliższą mi osobą wśród wszystkich uczestników *The RITE Show*. Ten uśmiech chyba wprowadził ją w zakłopotanie. Niespodziewanie dla mnie odpowiedziała tym samym. Był to uśmiech trochę kurtuazyjny, trochę wymuszony. Ale jednak był. I ucieszył mnie.

– Jak ci idzie pisanie? – mruknęła niby od niechcenia.

– U mnie wszystko zgodnie z planem...

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Nic nie szło zgodnie z planem...

– Na pewno? – spytała, mierząc mnie wzrokiem z góry na dół.

- Tak... To po prostu wyjątkowo beznadziejny plan - skłamałam ponownie, bo nie miałam nawet żadnego sensownego pomysłu, o czym mogłabym napisać swoją powieść. Już za chwilę za to mogłam odpaść z programu.

Wtedy wydarzyła się kolejna całkowicie nieoczekiwana dla mnie rzecz: Alice wybuchła śmiechem. Zараźliwym chichotem, który sprawił, że chwilę później i ja chichrałam się razem z nią. Jezu, jak mi tego brakowało. Teraz, kiedy śmiech przejął całkowitą władzę nad ciałem Alice, mogłam ponownie zobaczyć to, co widziałam pierwszego dnia, gdy ją spotkałam. Jej piękno, dobroć, niewinność. Gdybym tylko mogła cofnąć czas i nie zagrać w tę cholerną butelkę, wszystko byłoby inaczej. Ale nie byłam w stanie tego zrobić.

Alice czytała chyba w moich myślach, bo dokładnie w momencie, gdy w mojej głowie pojawił się wyrzut sumienia, przestała chichotać. W jednej chwili spoważniała, wyprostowała się i napięła mięśnie. Jakby szykowała się do ataku lub obrony. Ja też przestałam się chichrać.

- Mam nadzieję, że wpadniesz na lepszy. Jest jeszcze trochę czasu - dodała już stonowanym głosem, sięgając po książkę w twardej okładce stojącą na regale tuż obok mnie.

Była na tyle blisko, że czułam ciepło jej ciała i jej zapach. Jednak trwało to ułamek sekundy, bo zaraz po pochwyceniu tomu ruszyła w stronę wyjścia.

- Dzięki. Postaram się.

- Tylko nie siedź tu cały czas. Wyjdź na słońce. To ci pomoże - rzuciła jeszcze, tym razem nawet się nie odwracając w moją stronę, i ruszyła schodami w górę. W pomieszczeniu znów rozbrzmiało tykanie zegara, które przypominało odliczanie czasu do wybuchu bomby. Alice miała rację, muszę stąd wyjść i odetchnąć świeżym powietrzem.

- Może w takim razie przejdziemy się na plażę?

To była pierwsza rozmowa z Alice od tak długiego czasu... Miałam nadzieję, że właśnie coś się zmienia, że możemy jeszcze wrócić do tego, co było. W końcu, jak by na to nie patrzeć, w jej słowach była zawarta

troska o mnie. A ja czułam, że wystarczyłby jeden jedyny spacer z Alice, bym poczuła się lepiej. Tylko jeden.

– Wybacz, Melanie. Teraz nie dam rady, muszę popisać. – Alice błyskawicznie zgasiła tłacą się we mnie nadzieję. – Może wieczorem?

– Jasne – odparłam, spuszczać wzrok i wbijając go w podłogę.

Alice już bez słowa opuściła bibliotekę. Ja odczekałam jeszcze chwilę, by nikt nie pomyślał (no dobrze, by Alice nie pomyślała), że za nią pobiegłam, a potem skorzystałam z jej rady i udałam się na plażę. Minęłam po drodze pozostałych uczestników. Pisali swoje powieści, a jakże! W przeciwieństwie do mnie u nich naprawdę wszystko wydawało się iść zgodnie z planem. W dodatku byli na tyle pochłonięci pracą, że właściwie nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Wyszłam na zewnątrz. Pierwszy raz tego dnia. Przywitał mnie upał, który niemiłosiernie rozgrzewał moje ciało. Chyba jeszcze nigdy nie widziałam tak czystego, błękitnego nieba. I tak jasnego słońca.

Trzymając się cienia rzucanego najpierw przez budynki, a następnie przez drzewa i wysokie zarośla, ruszyłam w stronę plaży. Myślałam o tym, co będzie, gdy odpadnę już w pierwszej rundzie. O tym, że zawiodę oczekiwania J.D. i mojej mamy, że zaprzepaszczę szansę, którą miałam w zasięgu ręki i którą straciłam trochę na własne życzenie. Bo to, że mogę odpaść z *The RITE Show*, było bardzo prawdopodobne i musiałam zmierzyć się z tą myślą.

I wtedy to usłyszałam. Szelest. Gdzieś po lewej za moimi plecami. Zatrzymałam się. Poczułam, jak krew krąży mi szybciej w żyłach. Przyspieszył mi też oddech. Zaczęłam uważnie nasłuchiwać kolejnego odgłosu. I znów się pojawił! Tym razem to był trzask. Zupełnie jakby... ktoś się za mną skradał.

Natychmiast odwróciłam się w stronę, z której dobiegały dźwięki. Mogłabym przysiąc, że zarośla delikatnie się poruszyły. Czy coś tam było? Zwierzę? Peter Forsley wspominał przecież o dzikich zwierzętach, które żyją za ogrodzeniem. Czy jednak było możliwe, by któreś przeszło na naszą stronę? A jeśli tak, to jak groźne było? Producent *The RITE Show* nic na ten temat nam nie powiedział. Nie miałam pojęcia, w jakim

rejonie geograficznym znajduje się ta wyspa i jakie zwierzęta na niej żyją, ale wolałam zachować ostrożność na tyle, na ile to było możliwe.

Zrobiłam krok do tyłu. Coś zamigotało wśród zieleni. Wyglądało to trochę jak światło słoneczne odbite w okularach. Okulary – oprócz mnie – nosił jedynie Liam... Czy to możliwe, że to on?! Śledzi mnie? Obserwuje z zarośli? Może kiedy zdążyłam pomyśleć, że dał mi spokój i odczepił się ode mnie, postanowił o sobie przypomnieć? Czy to ma być jakiś głupi żart? Postanowiłam się o tym przekonać.

– Liam, to ty?! – zapytałam zdecydowanym głosem.

Nikt się nie odezwał.

– Liam?! – powtórzyłam pytanie, ale w odpowiedzi usłyszałam tylko kolejny trzask. Ktoś zrobił w zaroślach krok. Szykuje się do ataku? A może do ucieczki?

Sama nie wiem, co we mnie wstąpiło. Chyba po prostu chciałam się przekonać, kto robi sobie ze mnie żarty. Bo przecież o nic innego nie mogło tu chodzić. Bez ostrzeżenia skoczyłam w krzaki. Nie było ważne, czy to człowiek, czy zwierzę. Musiałam się po prostu przekonać, co tam jest.

Skoczyłam i... wpadłam na kogoś, przewracając go na ziemię. Spojrzałam mu w oczy. To nie był Liam. To nie byli też Aren, Enzo, Alice ani Rei.

No właśnie. To był ktoś obcy. Siódmy mieszkaniec naszej bezludnej wyspy. Ktoś, kogo widziałam pierwszy raz w życiu.

ROZDZIAŁ 11

Niewysoki i szczupły – a może nawet dość chudy – chłopak. Miał kręcone rude włosy, okrągłą twarz i kilka piegów, które w sumie dodawały mu uroku. Jego intensywnie brązowe i stosunkowo duże oczy, które sprawiały, że przypominał nieco jakąś postać z mangi, rozpaczliwie próbowały uciec przed moim wzrokiem. Patrzyłam na niego z góry, gdy leżał na ziemi w krzakach. Nie walczył, nie opierał się. Zamiast tego zamarł, zupełnie jakby się mnie bał. Choć równie dobrze to ja mogłabym – i pewnie powinnam – bać się jego.

Kim był? Skąd się tu wziął? Być może producent *The RITE Show* okłamał nas i na wyspie wcale nie byliśmy sami. Czy to ktoś, kto mieszka za ogrodzeniem pod wysokim napięciem? Z tą jasną karnacją nie wyglądał na tubylca... A może to był członek ekipy technicznej programu, który miał pozostać niezauważony i reagować tylko w momentach, gdy było to absolutnie konieczne? Tylko czy nie był za młody?

Przyjrzałam się mu raz jeszcze, kiedy tak trwaliśmy w milczeniu. Przypominało to trochę grę w kto dłużej wytrzyma spojrzenie drugiej osoby. W tym jednak przypadku konkurencja polegałaby na zachowaniu ciszy. Kto pierwszy się złamie i coś powie... Ja myślałam nad odpowiednim pytaniem, ale nie wiedziałam, od czego zacząć.

Miał na sobie zwykłe adidas, czarne džinsy, szary T-shirt w serek i ciemnozieloną bluzę dresową z kapturem, w której musiało mu być okropnie gorąco. I chyba właśnie tak było, bo na jego czole widać było duże krople potu. Na oko miał tyle lat, co ja, może trochę więcej – tak między późnym nastolatkiem a wczesnym dwudziestolatkiem. Pewnie byłabym bardziej wkurzona lub zaniepokojona, gdyby nie jego twarz.

Wyglądał na naprawdę miłego i spokojnego chłopaka. Takiego, który – jak to się mówi – nie skrzywdziłby muchy. Z drugiej strony moja mama mawiała, że z takimi ludźmi najłatwiej stracić czujność i paść ofiarą ich uroku osobistego.

W końcu coś powiedział, lecz na tyle cicho, że nie usłyszałam.

– Mów głośniej! – warknęłam, odruchowo pochylając się nad chłopakiem.

– Oni nie mogą się dowiedzieć, że mnie widziałaś...

Słowa wychodziły z ust nieznanego powoli, na granicy szeptu, ale na tyle głośno, by dotarły do moich uszu. Drżał, jakby miał gorączkę, i biło od niego ciepło. Podejrzywałam jednak, że to wina jego ubioru, absolutnie niedopasowanego do niemiłosiernego upału.

– Jacy oni?! O czym ty mówisz?

Jego usta ponownie się poruszyły. Mamrotał coś pod nosem, ciągle wodząc wzrokiem dookoła. Wyglądał, jakby coś mu się stało. Może dostał udaru słonecznego?

Pochyliłam się jeszcze bardziej, by usłyszeć, co on tam mruczy. Na moment straciłam równowagę i upadłam na niego. To wystarczyło. Chłopak przewrócił się na lewy bok, zrzucając mnie z siebie. Następnie zebrał się niezgrabnie z ziemi, nie do końca będąc w stanie skoordynować wszystkie swoje kończyny, i nieporadnie rzucił się do ucieczki...

Zerwałam się na równe nogi i puściłam się za nim sprintem. Było we mnie wiele emocji, które od kilku dni czekały tylko, by dać im upust. Niespodziewane spotkanie z nieznanym zapowiadało się teraz na doskonałą ku temu okazję. Wszystko we mnie buzowało i już po kilkunastu sekundach doścignęłam ślamazarnego uciekiniera. Na pełnym biegu skoczyłam mu na plecy i ponownie wywróciłam na ziemię. A gdy leżeliśmy w kłębach kurzu, które wzniecił nasz upadek, wprawnie chwyciłam jego obie dłonie i przyciągnęłam jego ręce na plecy.

Był teraz bezbronny, z twarzą i brzuchem przyciśniętymi do ziemi, i próbował wierzgać nogami. Zapałam się kolanami tak, by nie mógł

już mnie z siebie zrzucić. A gdy wciąż nie dawał za wygraną, rzucając się na wszystkie strony, nieco mocniej wygięłam jedną z jego rąk. Po wydaniu z siebie głośnego jęku w końcu się poddał, a ja ponownie złuzowałam uchwyt.

- No dobrze. Zacznijmy raz jeszcze - wysapałam trochę zmęczona pościgiem i szamotaniną, która jeszcze się nie zakończyła. Siłowaliśmy się jak równa z równym, choć ostatecznie to on odpuścił po kolejnych kilkudziesięciu sekundach walki.

- Kto nie może się dowiedzieć, że się spotkaliśmy?!

Milczał. Potrząsnęłam nim.

- Słyszysz?! Mów, skąd się wziąłeś i co tutaj robisz!

- Odpowiem, jeśli mnie puścisz - wybełkotał w końcu.

Łamał mu się głos. Szczerze mówiąc, zrobiło mi się go żal.

- Odpowiedz, to cię puszczę - odparłam zdecydowanym tonem.

Jak widać, fizyczną przepychankę zamieniliśmy na potyczki słowne. A ja zamierzałam wygrać także na tym gruncie i zrobić wszystko, by zrozumieć, co działo się na tej wyspie i w programie. Bo ewidentnie o czymś nam nie mówiono. Miałam przeczucie, że nieznajomy ma dla mnie zestaw odpowiedzi, których potrzebuję.

- Przestań - wyjęczał. - Nie mów o tym reszcie uczestników.

- A niby dlaczego nie mogą się dowiedzieć, że tu jesteś?

Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale przez moment przeszło mi przez myśl, że to część jakiejś teorii spiskowej. Naprawdę uwierzyłam, że są tu jacyś „oni” - grupa, która żyje na wyspie i do której należy ten chłopak. W tej chwili byłam w stanie wpaść na trzy ewentualności. Choć na to nie wyglądał, mógł być mieszkańcem tej wyspy, który jako wysłaniec swojej społeczności przygląda się temu, co się tutaj dzieje w związku z *The RITE Show*. Ale mógł też należeć do ekipy technicznej programu lub - no właśnie - „spiskowców”, którzy mieli swój ukryty cel i robili na wyspie coś, o czym ja i reszta uczestników nie mieliśmy pojęcia. Cóż, teraz moja wyobraźnia zaczęła działać na pełnych obrotach, produkując jak na zawołanie niesamowite scenariusze zdarzeń i osobliwe wizje

świata, podczas gdy ostatnie pięć dni biedziłam się nad jakąkolwiek koncepcją kolejnej książki. Jak na ironię, wtedy w mojej głowie niepodzielnie panowała głusza i martwota.

– Przecież sama doskonale wiesz dlaczego.

Oj, mój rozmówca zaczynał mi działać na nerwy. Mocniej ścisnęłam jego ramię, ciało wygięło się odruchowo.

– No dobra, dobra. Już mówię! – załamentował chłopak piskliwie. – Przecież jesteście niepełnoletni, a przynajmniej część z was. Producenci nie mogli was zostawić tu samych!

– I co, niby ty się nami zajmujesz, tak?!

Dźwięk, jaki z siebie wydałam, był czymś na pograniczu rechotu i rżenia. Aż sama się siebie przestraszyłam. Trudno było mi nawet sobie wyobrazić, co leżący pode mną chłopak mógł sobie o mnie pomyśleć.

– Tak, mam was nadzorować i w razie czego być do pomocy.

Cóż, to było możliwe. Brzmiało nawet dość wiarygodnie. Poluzowałam nieco ucisk, a nieznajomy wydawał z siebie odgłos ulgi.

– A niby ile ty masz lat?!

– Dwadzieścia – odburknął po chwili.

– Nie wierzę... – Raz jeszcze wygięłam jego rękę.

– Naprawdę! Mam dwadzieścia lat! – wyjęczał bezradnie.

Niemal całkowicie rozluźniłam chwyt. Wyglądało na to, że zaczął mówić prawdę.

– Pracuję dla Rite'a, mieszkam na wyspie i nadzoruję całą elektronikę i w ogóle... Przecież ktoś to musi robić. Szczególnie pod koniec rundy i w trakcie eliminacji. Pewnie sama rozumiesz...

Rozumiałam. To miało sens. Jednak dlaczego Peter Forsley nas okłamał? Było w tym wszystkim coś podejrzanego. Coś, co jednak nie do końca rozumiałam. W dodatku ten chłopak. Zdecydowanie różnił się od Forsleya i jego towarzyszy, nosił ubranie typowego nastolatka, a nie pracownika korporacji takiej jak Rite.

Zeszłam z chłopaka, a on odwrócił się na plecy. Był cały brudny od ziemi, także na twarzy. Nie powiem, zrobiło mi się trochę głupio. Ale to nie moja wina, że uciekał jak jakiś przestępca lub zbrojeniec czający się w krzakach. Mógł od razu powiedzieć, że jest w pracy. A tak musi się liczyć z konsekwencjami swoich działań. Trochę by złagodzić napięcie między nami, podałam mu rękę i pomogłam wstać.

– A jak ci na imię?

– Na imię? – zapytał chłopak takim tonem, jakby usłyszał właśnie finałowe pytanie w *Milionerach*.

– Tak, na imię. Ja jestem Melanie. – Odruchowo położyłam dłoń na swojej klatce piersiowej, jakbym rozmawiała z kimś, kto nie zna angielskiego. Lub z jakimś kosmitą. Chyba jakaś część mnie w tym całym stresie chciała rozładować sytuację w żartobliwy sposób. Choć wyszło chyba dość niezręcznie. Następnie wskazałam na nieznanego.
– A ty?

A może jednak to wcale nie był taki głupi pomysł? Jego pochmurne, nieco nadęte oblicze niespodziewanie nieco się rozpogodziło i zagóścił na nim uśmiech. Chyba moje pokazywanie na migi go rozbawiło.

– Wiem, kim jesteś, Melanie Clark – odparł, podając mi rękę. – Zack... Nazywam się Zack.

– No i trzeba było tak od razu. Wtedy...

– Nie musiałbym pracować swoich ubrań.

– I twoje poczucie godności by nie ucierpiało.

Może to był głupi żart z mojej strony, ale czułam, że warto rozładować emocje.

– W sumie po autorce *Impostora* nie spodziewałam się niczego innego niż powalenie na ziemię i wykręcenie ręki, by wymusić odpowiedź na zadawane przez nią pytania...

– Bardzo śmieszne – mruknęłam. – Wiem, jaka to książka, ale nie jestem psychopatką.

– Podobno... – Zack puścił do mnie oko. Jak widać, sytuacja zmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni, a chłopak najwyraźniej nie miał mi za złe

mojego zachowania. Z drugiej strony, choć dziwnie było tak o sobie myśleć, w tym programie występowałam jako bądź co bądź „gwiazda”, ktoś, dzięki komu Zack miał pracę.

– Czyli czytałeś *Impostora*? – To pytanie samo wyszło z moich ust.

– Oj tak, niejeden raz. – Jego oczy zaświeciły się, a w jego głosie pojawił się entuzjazm, i to taki, jakiego się nie spodziewałam. Wyglądał, jakby był fanem mojej powieści, jak ci wszyscy czytelnicy, którzy przyszli na spotkanie ze mną i stali w długiej kolejce po podpis na targach książki w Toronto kilka miesięcy wcześniej. – Genialna książka, serio.

Czułam, jak się czerwienię.

– Dzięki... – bardziej wyszeptalam niż wypowiedziałam to słowo.

– To jeszcze tylko dodam, że kibicuję właśnie tobie w *The RITE Show* – szepnął Zack, uznając być może, że teraz w taki sposób będziemy się ze sobą komunikować. Ale już po chwili wrócił do normalnego głosu, prostując się przy tym jak na musztrze w wojsku. – Oczywiście nie mogę na ciebie głosować, nie mogę też nikomu powiedzieć, że tu jesteś. Monitorują mnie, więc niestety nawet gdybym chciał, nie mogę ci pomóc. Choć tego żałuję.

– No daj spokój, o czym ty gadasz! Wiem, że się mnie przestraszyłeś i może teraz tak mówisz... – powiedziałam, bo naprawdę nie miałam pojęcia, skąd taki pomysł przyszedł Zackowi do głowy.

– Nie zrozum mnie źle, myślę, że powinnaś wygrać ten program. No i bardzo mi się nie podobało, jak potraktowali cię inni. Ale nie mogę stracić tej pracy...

– Czyli wiesz o tym, co się wydarzyło pierwszej nocy. Powiesz mi, czy...

– Nie mogę o tym rozmawiać, przepraszam! – zaprotestował Zack.

Szkoda, bardzo chciałam porozmawiać z kimś o tamtych zdarzeniach, z kimś, kto nie miał wobec mnie uprzedzeń. Choć i Zack miał przecież powody, by traktować mnie z rezerwą. Czułam jednak, że mógłby mi powiedzieć całą prawdę, wyjaśnić, co tam się stało, na

spokojnie, bez niedomówień. Jednak rozumiałam, że boi się cokolwiek zdradzić, mówił przecież o tym, że producenci programu go monitorują – cokolwiek to znaczyło.

– Bo przez to też straciłbyś pracę, tak?

– Tak... W końcu każde z nas potrzebuje pieniędzy, prawda?

Uśmiech, który na moment pojawił się na jego obliczu, dosłownie sekundę później z niego zniknął. Zaraz, zaraz. Czy on nawiązuje do mojej sytuacji? Czy może wie, że potrzebuję pieniędzy na terapię J.D.? A może po prostu to miało być dowcipne, ale zdał sobie sprawę, jak zabrzmiało, i dlatego tak szybko spoważniał?

To, przynajmniej na razie, musiało pozostać tajemnicą. Zza moich pleców, a więc z głębi wyspy, doszły mnie dwa głosy. Znałam je doskonale: to byli Alice i Aren. Nie sposób było jednoznacznie stwierdzić, czy dyskutują, czy kłócą się ze sobą. Ich dynamiczna wymiana zdań musiała być słyszalna na całej wyspie. Jednak byli blisko nas, zupełnie jakby wcześniej rozmawiali ze sobą szeptem, a dopiero przed momentem nastąpiła ta erupcja krzyku i wzajemnych oskarżeń.

Odwrociłam się w ich stronę, a następnie wróciłam wzrokiem do Zacka. Stał z dłońmi złożonymi jak do modlitwy i patrzył mi prosto w oczy.

– Oni nie mogą się dowiedzieć, że tu byłem. Proszę, nie wydaj mnie!

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, chłopak zniknął w zaroślach.

Krzyki za moimi plecami stawały się coraz głośniejsze. „Nie, Alice, to ty mnie nie słuchasz! Wiem, że nie powinienem być do tego dopuścić, mogłem zareagować!” – słowa Arena poniosły się w stronę morza. Chwilę później pomiędzy krzaków wyłonili się on i Alice. I w jednej sekundzie zatrzymali się, jakby zobaczyli ducha.

– Melanie, wszystko w porządku?! – zdumiała się Alice, chyba zupełnie zapominając o kłótni z Arenem.

Może to jednak ja wyglądałam, jakby ukazał mi się jakiś upiór. I w sumie tak było. Rozejrzałam się, upewniając się, że Zacka na pewno nie ma w pobliżu, choć już dawno zniknął w gęstwinie. Przygryzłam

wargę. I co miałam jej odpowiedzieć? Czy powinnam była wyjawić prawdę? Być może gdybym jej zaufała i zdradziła jej ten sekret, uznałaby, że i ja znów zasługuję na zaufanie i ponownie zbliżyłybyśmy się do siebie. Czy powinnam raczej uszanować prośbę chłopaka, któremu najwyraźniej bardzo zależało na jego pracy? Jak zwykle w takich sytuacjach nie było właściwego rozwiązania. Przeważało chyba ostatecznie to, jak Alice mnie potraktowała wcześniej tego dnia...

- Melanie? - powtórzyła Alice zaniepokojona moim milczeniem i zapewne dziwaczną miną.

- Ja... - wydukałam w końcu - ja zastosowałam się do twojej rady i wyszłam na słońce.

- I co? Pomogło? - zapytała kurtuazyjnie Alice.

Pokiwałam głową, choć pewnie trudno było jednoznacznie stwierdzić, czy przytaknęłam, czy zaprzeczyłam. Na ten moment miałam w niej absolutny mętlik. I poczułam nagle straszne zmęczenie. Ta cała sytuacja z nimi, czyli z Alice, Arenem, Enzem, Liamem i Rei, a także z nim, czyli z Zackiem, mnie wykończyła. Byłam w tym wszystkim bezradna i bezsilna. Dlaczego życie musi być zawsze takie skomplikowane?

- Melanie, przepraszam, że to powiem, ale wyglądasz na strasznie zmęczoną. Powinnaś się wyspać. A jeśli moglibyśmy ci jakoś pomóc... - Aren powiedział to takim głosem, że chciałam się do niego przytulić, naprawdę. Tego mi teraz trzeba było. Jednak mina Alice, która dokładnie w tym momencie przypomniła sobie najprawdopodobniej, że jeszcze chwilę temu kłóciła się ze swoim chłopakiem - bo chyba należałoby nazwać rzeczy po imieniu - z jednej strony uciszyła Arena i sprawiła, że nie dokończył zdania, z drugiej utrzymała mnie w bezpiecznym dystansie wobec Nigeryjczyka.

- Tak, chyba muszę się wyspać. Tylko to mi pozostało, bo i tak nie mam nic na jutro... - mruknęłam pogodzona z widmem porażki. Zawiodę wszystkich: J.D., Ann, nawet Zacka, który mi kibicuje. No i super. Przynajmniej się wyśpię, zawsze to coś.

- Jak to nic nie masz?! - jęknęła Alice w odpowiedzi na moje słowa.

- To nieważne, serio. Idę się położyć. Nie kłóćcie się za głośno – rzuciłam jeszcze pół żartem, pół serio. W takich chwilach pozostaje śmiech przez łzy.

Alice i Aren chyba chcieli mnie jeszcze zatrzymać i pogadać. Jednak ja ich wyminęłam i bez żadnych dodatkowych przystanków udałam się prosto do łóżka.

ROZDZIAŁ 12

Po przekroczeniu progu pokoju od łóżka – a właściwie łoża – dzieliło mnie raptem pięć kroków. Lekko wilgotnymi oczami patrzyłam na miejsce, gdzie już za chwilę miałam położyć się spać. Zbierało mi się na płacz. Nie chciałam jednak okazywać swoich emocji publicznie, przed nimi wszystkimi. Jeśli już miałam się rozpląkać, to w samotności swojego łóżka, tam jeszcze czułam się bezpiecznie. Oczywiście o ile w pomieszczeniu nie było...

– No proszę, kto to wrócił do pokoju przed zmrokiem.

...o ile nie było w nim Liama z jego chamskimi docinkami. Na samo brzmienie jego głosu dłonie zacisnęły mi się w pięści. Tak mocno, że paznokcie pokaleczyły mi skórę. Czułam ból, ale to było tego typu cierpienie, jakiego teraz potrzebowałam. Koilo moje nerwy, przynajmniej przez chwilę. Kiedy wzięłam głęboki wdech, napięcie niemal całkowicie ustąpiło, a ja mogłam w końcu rozluźnić zaciśnięte palce.

– Jak tam? Gotowa na opuszczenie programu?

Liam zadał to pytanie, jak to miał w zwyczaju – nie poświęcając mi nawet sekundy uwagi i nie przestając się gapić w ten swój głupi laptop. Jego palce wystukiwały szybki rytm na klawiaturze, przemykając zwinnie między klawiszami. Widać było, że jest z siebie zadowolony. Nie wiedziałam tylko, czy bardziej ze swoich postępów w pisaniu, czy bardziej z tego, jak wybornie szło mu gnojenie mnie. Cóż, to był bardzo dobry moment, by z tym skończyć.

Skupiony na pisaniu, zupełnie nie spodziewał się ciosu. Odruchowo chwycił się za ramię, w które uderzyłam z całej siły pięścią, i – jak widać – cios zrobił swoje. Rozdziawił usta, najwyraźniej nie wiedząc, czy ma

krzyknąć na mnie, czy wydać z siebie jęk bólu. To tylko zachęciło mnie do zadawania kolejnych ciosów w jego ramię i klatkę piersiową. Laptop zsunął mu się z kolan na posłanie i niewiele brakowało, by upadł na ziemię. To byłaby właściwa nauczka dla niego, gdyby stracił wszystko, nad czym z takim zaangażowaniem pracował. Ale laptop zawisł na krawędzi łóżka i za nic nie chciał się poddać sile ciężenia.

Nie miałam pojęcia, kto cierpiał bardziej: ja ze swoimi dość kościstymi pięściami czy on ze swoim szczupłym ciałem. Patrząc na jego minę i odczuwając ból w dłoniach, powiedziałabym, że szliśmy na remis, może z nieznaczną przewagą dla mnie, która bardziej wynikała z zaskoczenia i całkowitego braku przygotowania ze strony Liama.

- Pogięło cię?! - krzyknął w końcu, odpychając mnie tak, że przewróciłam się na podłogę.

- Myślałam, że jesteś po prostu dupkiem. Ale ty jesteś strasznym kutasem - sapnęłam, odgarniając włosy z oczu.

- Masz ewidentnie jakiś problem ze sobą, serio - odburknął Liam.

Chwytał laptop i odstawił go na środek łóżka, tak by był bezpieczny. Jezu, jak ja bym rozwalila ten jego komputer. Mogłam mu go wyrwać, rzucić na ziemię i zdeptać. To zabolaloby tego dupka bardziej niż to, co mu zrobiłam. A ja czułabym się dużo lepiej, bo ktoś oprócz mnie nie miałby niczego przed końcem pierwszej rundy. Oczami wyobraźni już widziałam łzy w oczach Liama. Byłoby to symboliczne zadośćuczynienie za to, czego doświadczyłam w kontaktach z nim. Choć nie, tego nikt i nic już mi nie wynagrodzi.

- Ja mam problem ze sobą?! Człowieku... - Zamilkłam na chwilę, bo to nie było właściwe słowo na określenie tej kreatury. - Jeśli ktoś tu ma problem, to ewidentnie ty. Od samego początku. Możesz mnie nienawidzić; szczerze mówiąc, mam to w dupie. Słyszysz?! Mam to w dupie! - W tym momencie mówiłam już przez łzy, polykając je i pociągając co chwilę nosem. - Ale zachowaj to dla siebie. Przestań się do mnie odzywać, nie zwracaj uwagi, nie komentuj. Bo ja już mam dość! Nic ci nie zrobiłam, a ty traktujesz mnie jak gówno...

No i wszelkie hamulce puściły. Siedziałam tam na podłodze, z kolanami podkurczonymi pod brodę, w tym olbrzymim pokoju wielkości mieszkania dla czteroosobowej rodziny, i łkałam. Gdybym mogła, zwinęłabym się w kulkę, jak niektóre odmiany pancerników. Dzięki temu żaden drapieżnik nie może ich dopaść, są bezpieczne, bo nic nie przebije ich pancerza. Pomijając to, że są przy tym przesłodkie. Pancernik – to właśnie nim chciałam być najbardziej w tamtej chwili. I trwać w tej kolistej, embrionalnej pozycji jak najdłużej, może już przez całą wieczność. A na pewno do zakończenia tego beznadziejnego programu, jakim okazał się dla mnie *The RITE Show*. Póki co mogłam tylko mocniej przyciągnąć do siebie kolana i ukryć głowę między nimi.

– Sorry, nie chciałem.

Nie słyszałam jeszcze skruszonego głosu Liama. To zabrzmiało jak słowa zupełnie innego człowieka. Czy to możliwe, że on ma w sobie jakieś dobro? Że jednak jest zdolny do ludzkich uczuć? A może on sam jest pancernikiem, który na co dzień kryje się za pancerzem ironii, sarkazmu i cynizmu? Sądząc po tonie jego słów, to było całkiem prawdopodobne... Nie zmieniało to jednak faktu, że – gdybym mogła – zrobiłabym mu w tej chwili coś bardzo złego.

– To też mam w dupie!

– Zażartowałbym, że...

– Przestań. – Pociągnęłam nosem i przetarłam zaczerwienione oczy ręką.

Liam wstał z łóżka i przycupnął na jego skraj.

– Na serio przepraszam, przesadziłem, i to grubo.

– Sorry, ale nie mam na to siły – powiedziałam, z trudem podnosząc się z podłogi. Naprawdę nie miałam siły na to, ani na nic innego. – Idę spać, a pojutrze opuszczę ten program, więc pewnie będziesz w końcu zadowolony.

Niespodziewanie dla mnie Liam chciał mi pomóc podnieść się z podłogi, ale wyrwałam rękę z jego uścisku. Trochę było już za późno na zgrywanie miłego chłopaka. Miał na to prawie tydzień, teraz to już by niczego nie zmieniło.

- Jak to opuścisz?

- Normalnie. Nie napisałam niczego. I do jutra na pewno już nie zdążę. - Siadłam na łóżku, opierając ręce o kolana. - Możesz zacząć świętować.

- Przestań ze mnie robić psychopatę. Nie będę niczego świętować. Drażniłem się z tobą i tyle. Miałem swoje powody...

- Niby jakie?! - Podniosłam głowę i spojrzałam mu w oczy. I znów to samo, odwrócił wzrok. Typowy Liam.

- Nieważne jakie... I nie skupiaj się na innych. Skup się wreszcie na sobie! To jest twój prawdziwy problem, a nie to, jak się zachowuję i co mówię. Za bardzo przejmujesz się innymi, zamiast myśleć o sobie i o tym, co masz do zrobienia. A w tym programie, czy ci się to podoba, czy nie, masz pisać książkę. I chyba to potrafisz, biorąc pod uwagę, że napisałaś *Impostora*?

- Myślałam, że ci się nie podobał...

- I znów to samo! Nieważne, czy mi się podobał. Ważne, że potrafisz pisać.

No więc, Liamie, to wcale nie jest takie oczywiste. Pisać potrafię, ale czy na tyle dobrze, by stworzyć kolejny bestseller bez pomocy sztucznej inteligencji? W to właśnie wątpiłam. Ale ty byłbyś ostatnią osobą, której bym o tym powiedziała.

- A co, jeśli nie potrafię?!

W moich oczach znów zagościły nieproszone łzy. Natychmiast spróbowałam je przełknąć, ale to nie było takie proste. Stanęły mi w gardle.

- Nie bądź histeryczką. To pewnie przez stres.

Teraz dla odmiany zaczęło mi działać na nerwy jego opanowanie. Nie miałam pojęcia, co się ze mną działo od pewnego czasu. Skąd brała się ta agresja? Najpierw wobec Zacka, teraz w stosunku do Liama. Ten drugi sobie zasłużył, ale czy to *The RITE Show* tak na mnie wpływał? Tym bardziej że Liam - w przeciwieństwie do mnie - wydawał się w ogóle nie stresować. Jakim cudem potrafił zachować taki spokój?

Drzemiąca we mnie złość mocno mnie niepokoiła, jednak to jego zachowanie było absolutnie nietypowe jak na siedemnastolatka.

– Musisz się odblokować. No i poszukać właściwego tematu. Może masz go w sobie, ale o tym nie wiesz i tylko musisz go z siebie wyrzucić – zaczął swoją gadkę coachingową Liam, a ja, o dziwo, zamieniłam się w słuch.

– To znaczy?

Liam usiadł na rogu łóżka, tuż obok mnie. Razem z J.D. uwielbialiśmy oglądać tanie horrory i teraz poczułam się trochę jak w takim filmie, kiedy do głównego bohatera przysiadła się seryjny morderca, który poluje właśnie na niego. Czekałam na śmiertelny cios. Jednak ten nie nadchodził.

– Kojarzysz *Forever*... Judy Blume?

Co to w ogóle za pytanie? Pewnie, że znałam *Forever*... Czytałam, że w Stanach Zjednoczonych zakazywano czytania tej książki w szkołach, usuwano ją z bibliotek, a wszystko przez opisy scen łóżkowych i wzmianki o antykoncepcji – a to wszystko w XXI wieku! Przyznam, że najpierw dowiedziałam się o tych kontrowersjach, a dopiero potem przeczytałam samą powieść. Ale jak już przeczytałam, to niejedną raz.

– Ale co to ma do rzeczy?!

– Ale co to ma do rzeczy?! – powtórzył Liam, przedrzeźniając mnie, co przypomniało mi, czym tak mnie wkurzał jeszcze całkiem niedawno.
– Nie wiem, czy wiesz, ale ta powieść to refleksja Judy Blume nad jej życiem jako siedemnastoletniej uczennicy liceum.

No tak. To prawda. Nastoletnie doświadczenia Judy Blume były inspiracją dla niej do napisania tej niezwykłej książki. A skoro ona mogła wykorzystać swoją historię, może i ja mogłabym wykorzystać swoją? Bo przecież jest z czego zrobić użytek. Siedemnastoletnia ja wcale nie jestem dużo mniej ciekawa niż siedemnastoletnia Judy Blume. A przynajmniej w tym momencie tak to właśnie widziałam.

– Sama pomyśl: ty, Alice i Rei macie do napisania romans lub fantastykę z kobietą lub osobą niebinarną jako główną bohaterką, a tematem przewodnim mają być pieniądze. Jak dla mnie wszystko się

zgadza... Pytanie, czy w twoim życiu jest jakaś historia, którą mogłabyś opowiedzieć. Albo która przynajmniej zainspirowałaby cię do napisania dobrej historii.

Jakkolwiek trudno było mi w to uwierzyć, Liam nie tylko mówił z sensem, on chyba naprawdę chciał mi pomóc. Pewnie gryzło go sumienie, jednak to teraz nie było ważne. Ważne było to, że podpowiedziany przez niego pomysł... naprawdę mógł się sprawdzić! Rozwiązanie miałam na wyciągnięcie ręki, a właściwie na spojrzenie w lustro, i uświadomiłam sobie, że moja historia to gotowy pomysł na szaloną powieść dla młodzieży – zupełnie jak w przypadku Judy Blume.

Może więc rzeczywiście nie wszystko było jeszcze stracone. Miałam wprawdzie mniej niż dwadzieścia cztery godziny na oddanie tekstu. Ale to wciąż było mnóstwo godzin, które mogłam przeznaczyć na pracę!

Sięgnęłam po swój komputer, który leżał schowany pod łóżkiem, a następnie usiadłam tak, by wygodnie oprzeć się o wezglowie. Otworzyłam laptop i zaczęłam pisać. Musiałam to z siebie wyrzucić jak najszybciej. Pozbyć się tych wszystkich myśli, emocji i wspomnień, które znikąd, w jednym momencie pojawiły się w mojej głowie i niemal mnie ogłuszyły. Te głosy wszystkie naraz opowiadały historię, którą trzeba było przelać na papier, a właściwie napisać w edytorze tekstu w moim komputerze.

Nie byłam pewna, czy Liam cokolwiek do mnie jeszcze powiedział. Nawet jeśli tak było, zignorowałam jego słowa. Może to przez nagły przyływ weny, a może przez zmęczenie – a raczej wyczerpanie.

Niewiele pamiętałam z tego dnia. Dopiero wiele godzin później, gdy zrobiło się już całkiem ciemno za oknami, dotarło do mnie wołanie mojego współlokatora. Domagał się, żebym wyłączyła laptop lub poszła pracować gdzie indziej. Początkowo zamierzałam puścić te słowa mimo uszu, jednak – bądź co bądź – to, że w ogóle cokolwiek pisałam, zawdzięczałam właśnie Liamowi. Zgarnęłam więc laptop, zatrzymałam się na moment w kuchni, by zrobić sobie kawę – za którą specjalnie nie przepadałam, ale która sprawiała, że mój organizm wchodził na wyższe obroty (po przekroczeniu bezpiecznej dla mnie ilości kofeiny pojawiała się kołatanie serca, więc musiałam uważać) – i niosąc w lewej dłoni

czarny kubek, na którym widniał biały napis „THE RITE SHOW – THE WRITE SOLUTION”, wypełniony kawą w kolorze asfaltu, a w prawej ściskając komputer, ruszyłam w kierunku leżaków stojących tuż nad morzem. Tam kontynuowałam pisanie: tylko ja, klawiatura, szumiące morze i księżyc w pełni. Niczego więcej nie było mi trzeba w tamtej chwili...



Kiedy się obudziłam, słońce było już wysoko na niebie. Nie miałam pojęcia, w którym momencie zasnąłam. Nie byłam też pewna, ile napisałam.

Spojrzałam na komputer. Czarny ekran.

Nacisnęłam kilka razy klawisz włączający laptop. Żadnej reakcji.

Przytrzymałam dłużej ten sam klawisz. Nadal nic.

Boże! Miałam nadzieję, że to tylko kwestia baterii, która padła po wielu godzinach pisania. Jeśli to było coś innego... Wolałam nawet nie myśleć, co i komu zrobię. No właśnie, tryumfalnie powróciły złość i agresja, które towarzyszyły mi ostatnio, teraz dzielnie wspierane przez głód, uczucie niewyspania i ogólnego zagubienia. Ale wciąż jeszcze byłam zdolna je poskromić.

Chwycałam laptop i pobiegłam ile sił w nogach w stronę naszej willi. Biegłam naprawdę szybko, jednak kiedy zobaczyłam Liama wychodzącego z pokoju i zmierzającego ku budynkowi, w którym znajdowała się kuchnia, jakimś cudem jeszcze przyspieszyłam. Cała zdyszana rzuciłam się na łóżko i przeturlałam się po nim, by sięgnąć po ładowarkę. Następnie otworzyłam laptop, odruchowo spojrzałam w górę (wyobrażając sobie, że spoglądam w niebiosy, choć w tym przypadku gapiłam się w pomalowany na białą sufit), by wreszcie wcisnąć raz jeszcze przycisk zasilania komputera...

Nic. JAK TO NIC SIĘ NIE STAŁO! To się nie dzieje naprawdę... Może nadal śpię na plaży nad morzem z laptopem na kolanach, a to jest tylko zły sen?

Wcisnęłam przycisk raz jeszcze. Nic. I jeszcze. Nic. I jeszcze...

I wtedy usłyszałam ten charakterystyczny szum, który rozlega się, gdy komputer budzi się do życia. Wiedziałam jedno: laptop zaczął się uruchamiać, a to oznaczało, że jest jeszcze szansa, bym przekazała swój fragment tekstu na czas. O ile oczywiście napisałam w nocy wymaganą liczbę znaków.

Moja lewa noga mimowolnie zaczęła wystukiwać szybki rytm, uderzając piętą o podłogę. A ja wpatrywałam się w monitor i uruchamiający się system, jakbym chciała na niego wpłynąć telepatycznie i przyspieszyć ten proces. Modliłam się, powtarzając: „Szybciej, Boże, szybciej!”. Niezbyt oryginalnie, ale po cichu liczyłam (a raczej miałam nadzieję), że w tym przypadku pod ewentualną rozważę przez siłę wyższą zostanie wzięta sama próba nieudolnej modlitwy.

I chyba się udało, bo system włączył się sprawnie i bez żadnego problemu. Otworzyłam edytor tekstu. Kliknęłam „odzyskiwanie niezapisanych plików”. Komputer warknął, ikonka ładowania zakręciła się wkoło. Przygryzłam wargę i zaczęłam nerwowo uderzać wszystkimi palcami prawej dłoni poza kciukiem w obudowę laptopa.

Plik nareszcie się wczytał. Dziewiętnaście stron... Serio?! Sprawdziłam liczbę znaków. Za mało, ale brakowało tak niewiele! Rozejrzałam się dookoła. Mój wzrok zatrzymał się na zegarze wiszącym na przeciwległej ścianie. Za sześć minut miało się zacząć wgrywanie plików do specjalnego komputera przygotowanego dla nas przez producentów programu, za pośrednictwem którego teksty zostaną wysłane do aplikacji Rite i udostępnione milionom, jeśli nie miliardom użytkowników i użytkowniczek na całym świecie.

To było tylko sześć minut. I aż sześć minut. Zerknęłam na ostatni akapit, nawet nie do końca go czytając, a następnie bez chwili zastanowienia dopisałam: *Do naszej wymiany zdań dołączył czarnoskóry chłopak w dżinsach, bordowym swetrze i ze srebrnym zegarkiem na ręce. Na oko najstarszy w tej grupie, ale cały czas był nastolatkiem – no i wyglądał przy tym najnormalniej na tle reszty. On dla odmiany od razu podał mi rękę i uśmiechnął się szeroko.*

Sprawdziłam ponownie limit znaków. Teraz wszystko było w porządku! Spojrzałam raz jeszcze na zegar. Sekundowa wskazówka nieuchronnie zmierzała w stronę tej wyznaczającej godzinę, która wskazywała dwunastą. A to oznaczało, że miałam kilkanaście sekund, by zgrać plik i dołączyć do reszty w budynku centralnym...

ROZDZIAŁ 13

Wbiegłam do pokoju, w którym w półkołu stali już Alice, Aren, Enzo, Liam i Rei. Zrobiłam krok ku nim i runęłam przed siebie. Tak się kończy niewiązanie sznurowadeł. Gdyby nie Liam, w którego ramiona wpadłam, bo stał tuż przede mną, pewnie leżałabym na podłodze ze złamanym nosem lub wybitym zębem. A tak ucierpiała jedynie moja duma.

- Melanie, Boże, co ci się stało?! - jęknęła Alice na mój widok.

Jak już wspominałam, udział w programie nie miał zbyt dobrego wpływu na moje zdrowie fizyczne i psychiczne, a to odbiło się na moim wyglądzie. Nie miałam jednak pojęcia, że jest aż tak źle, jak sugerował ton głosu Alice. Spojrzałam więc na nią, a potem omiotłam wzrokiem pozostałe osoby. Wnosząc po ich minach, dosłownie wszyscy wydawali się zaniepokojeni moim wyglądem.

- No co?! - zapytałam, wydostając się z uścisku Liama.

- Twoja twarz...

- Chyba trochę spaliłaś się na słońcu - wyjaśnił w końcu mój współlokator.

Już miałam jakoś zareagować, kiedy głośnie piknięcie przypomniało mi o tym, dlaczego w ogóle tu przyszedłam. Przeniosłam wzrok na laptop wmontowany w blat wysepki stojącej na środku kuchni - właściwie w tym samym miejscu, w którym, zgodnie z opowieściami pozostałych uczestników, niecały tydzień temu stała Out of the Box Machine. Na ekranie komputera widniał napis: „Koniec sesji za: 14 sekund”. Odliczanie trwało. Dlatego bez zastanowienia sięgnęłam do kieszeni, wyjęłam z niej pendrive i podłączyłam go do portu USB. A gdy na ekranie pojawiło się pytanie: „Czy przesłać plik do aplikacji Rite?”, od

razu wcisnęłam „Tak”. Plik wysłał się, gdy do końca sesji zostały dwie sekundy. Odetchnęłam głęboko.

Dosłownie chwilę później laptop automatycznie się zamknął. Następnie rozległ się cichy trzask. Błat rozsunał się, a komputer wraz z podstawką, do której był przytwierdzony, zniknął wewnątrz kuchennej wysepki. Kolejny cichy trzask był znakiem, że mechanizm się wyłączył. Ktoś zaczął bić brawo. Po chwili dołączyły do niego kolejne osoby. Uśmiechnęłam się i również nagrodziłam nas wszystkich oklaskami. Udało się.

Pozostało nam czekanie. Enzo – jak to Enzo – praktycznie natychmiast zaproponował, by uczcić pierwszą rundę, póki wszyscy byliśmy w programie.

– Komu kieliszek prosecco? Ktoś ma ochotę świętować razem ze mną? – zapytał Włoch, trzymając w rękach schłodzoną butelkę, którą chwilę wcześniej wyjął z lodówki. Wyglądało to tak, jakby wszystko zaplanował już wcześniej. Cóż, teoretycznie nikt o zdrowych zmysłach nie zaczyna imprezy w samo południe, jednak czy ktokolwiek z nas mógł jeszcze mieć wątpliwości, że Enzo nie do końca wpisuje się w typ człowieka o zdrowych zmysłach?

– *Moi!* – odparło Rei, choć od razu dodało: – Ale pozostanę jednak przy oryginalnym francuskim szampanie. Nie mam siły na to twoje tanie włoskie prosecco, które nadaje się najwyżej do drinków.

Na ripostę ze strony zakochanego w swoim kraju Włocha nie musieliśmy długo czekać. Podobnie jak na stanowisko Arena, który przypomniał wszystkim, do czego doprowadziła nasza ostatnia impreza. W czasie swojej krótkiej przemowy patrzył oczywiście na mnie. Podobnie jak – i tu czekało mnie największe zaskoczenie – Liam.

Może to było tylko moje wrażenie, ale jego wzrok zdradzał, że coś się między nami zmieniło. Brakowało w nim tej charakterystycznej niechęci, by nie użyć mocniejszych słów, jak pogarda. Przede wszystkim jednak w ogóle zaszczycał mnie spojrzeniem, na co raczej nie mogłam do tej pory liczyć. Nie żeby to było jakieś szczególnie ważne czy dowartościowywało mnie w jakikolwiek sposób. Taka ot – miła –

ciekawostka, która mogła wskazywać na to, że dalsze tygodnie w programie nie będą dla mnie już tak traumatycznym przeżyciem. O ile oczywiście pozostanę w *The RITE Show*...

Tym razem rozjemczynią utarczki między Arenem, Enzem i Rei została Alice.

- Jak Boga kocham, jeśli zaraz nie przestaniecie, nikt niczego się nie napije! - Jak to mawiają, cicha woda brzegi rwie. Spokojna i miła dziewczyna, której nie dało się nie lubić, potrafiła się wydrzeć głośno niczym wokalista zespołu metalowego i przywołać wszystkich do porządku niczym kapral w wojsku. Jak na tak małą i niepozorną osobkę była w stanie całkiem skutecznie wzbudzić lęk w dwukrotnie od niej większych facetach. Ech, w takich chwilach tym bardziej była moją idolką. Czuałam, że nam dwóm nikt by się nie przeciwstawił. A już na pewno nie, kiedy obie byłybyśmy wkurzone. Alice wyrwała butelkę prosecco z rąk Enza, a następnie spojrzała gniewnie na Rei. - Ani prosecco, ani szampana, ani niczego! I może w ogóle tak właśnie powinno być, bo ostatnim razem wynikiły z tego same problemy! Zróbmy tak, jak sugeruje Aren: impreza, ale bez alkoholu i jakichkolwiek używek, okej?

To był chyba ostateczny sygnał o rozejmie, skierowany do jej - przez jakiś czas byłego - chłopaka. Następnie spojrzała na mnie i zapytała, co ja o tym sądzę. A więc i ja mogłam liczyć na pojednanie z Alice. Uśmiechnęłam się i przytaknęłam.

- Może po prostu pójdziemy na plażę i wszyscy razem popływamy w morzu? - powiedziałam do wszystkich, ciągle jednak patrząc na Alice. - Siedzimy tu od tygodnia, a nawet nie mieliśmy okazji nacieszyć się wodą.

- *Parfaitement!* - zareagowało rozentuzjzmowanym głosem Rei, jakby zupełnie nie zauważyło nagłego wybuchu Alice. - Nareszcie będzie okazja, by wypróbować absolutnie zjawiskowy kostium kąpielowy, który wisi i się kurzy w mojej szafie. Aż serce się kraje, gdy na to patrzę...

- W takim razie kto ostatni w morzu, ten odpada z programu!

Enzo wyskoczył z pokoju, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Przypominał króliczka z reklam Duracella. Cokolwiek robił, robił szybciej, mocniej i bardziej niż inni. Było w tym coś dzieciennego, ale i uroczego.

- Dobra, w takim razie widzimy się na plaży za kwadrans? - zapytałam, spoglądając na wszystkich z osobna. Każda kolejna osoba potwierdzała chęć dołączenia do wspólnego świętowania na plaży. Na koniec został mi Liam, ale i on przychylił się do tego pomysłu. Uśmiechnęłam się, już kolejny raz tego dnia. To był dobry znak.



Tamtego popołudnia i wieczora zapomnieliśmy o wszystkich troskach. Po tym ciężkim tygodniu kilka godzin wspólnej zabawy na plaży i w morzu, przy planszówkach i grach wideo, z karmelowym popcornem i piankami upieczonymi nad ogniskiem przypominało mi długo wyczekiwane letnie wakacje po męczącym roku szkolnym. Głośna muzyka i tańce, późnym wieczorem kilka drinków, genialne lasagne przygotowane przez Enza i karaoke, najprawdopodobniej nie tylko najzabawniejsze w moim życiu, ale i najpiękniejsze, bo razem z Alice zaśpiewaliśmy absolutnie najcudowniejszą piosenkę na świecie, czyli Favorite crime Olivii Rodrigo. Przede wszystkim jednak dużo śmiechu - tego każdemu z nas ostatnio bardzo brakowało. Na te kilka godzin zapomnieliśmy, po co tu przyjechaliśmy, i że następnego dnia jedno z nas odejdzie z programu. Konflikty i napięcia uznaliśmy za niebyłe. Po prostu dobrze się ze sobą bawiliśmy, a czy jest w życiu coś wspanialszego?

Rankiem, gdy otworzyłam oczy, przywitało mnie miłe wspomnienie wczorajszej zabawy - mały, kwadratowy instax, którego zrobiliśmy sobie zaraz po północy. Cała szóstka (od lewej Aren i Alice, Rei i Enzo, aż w końcu ja i Liam), wszyscy przytuleni do siebie i uśmiechnięci. Przed nami żar dogasającego ogniska, za nami zarośla i palmy, a w oddali nasza willa...

- Ciekawe, kto dziś odpadnie.

Z chwilowej melancholii i wzruszenia, jakie dopadły mnie w trakcie przyglądania się instaxowi, wyrwał mnie głos – kogóż by innego – Liama.

– Na serio to są pierwsze słowa, którymi witasz mnie po wczorajszym dniu?

Przewróciłam oczami i nakryłam głowę poduszką. Szczerze mówiąc, w ogóle mnie to nie ciekawiło. Było niemal pewne, że to będę ja... Niemal – bo przecież teoretycznie wszystko mogło się zdarzyć. Gdybym jednak została wyeliminowana, nie mogłabym mieć do nikogo pretensji. No, może poza sobą, bo to przecież ja za mocno zabalowałam kilka dni temu i to ja siadłam do pisania w ostatnim momencie, zainspirowana – i tu trzeba było oddać cesarzowi, co cesarskie – przez Liama.

– No dobrze, jak ci się spało, Melanie? Miałaś kolorowe sny?

Jezu, jego prześmiewczy ton był jeszcze gorszy niż wcześniejsze nietaktowne pytanie.

– Pewnie to ja odpadnę – mruknęłam, patrząc ponownie na instaxa.

Przyglądałam się naszej szóście i zastanawiałam się, co słyszać u J.D. No i u mojej mamy. Brakowało mi bardzo możliwości popisania z moim przyjacielem, skonsultowania się z nim, wyrzucenia z siebie wszystkich żali przy jednoczesnej pewności, że on tylko się uśmiechnie i poklepie mnie po plecach lub przytuli. Gdyby on tu był, nie zwlekałabym przez tyle dni z pisaniem – pewnie znalazłby jakiś pokręcony sposób, by mnie zmotywować do pracy albo przynajmniej zdjąć ze mnie ciężar, który przytłaczał mnie bardziej lub mniej od momentu pierwszego spotkania z Peterem Forsleyem.

– Chciałbym skłamać, ale to bardzo możliwe. Trochę to spieprzyłaś, jeśli mam być szczerzy.

„Z twoją wydatną pomocą”, cisnęło mi się na usta. Jednak nic mu nie powiedziałam. Sięgnęłam do swojej torby, która wisiała na wezglówiu. Wyjęłam z niej portfel i spojrzałam na fotografię J.D. Położyłam obok niej instaxa. Już za chwilę oba te zdjęcia mogą stać się tylko wspomnieniem czegoś, a raczej osób, które stracę. J.D., Alice, nawet

tego cholernego Liama. Przede wszystkim jednak zmarnowanej szansy, by uratować najbliższego przyjaciela i udowodnić sobie, że nie jestem oszustką.

- Masz rację, spieprzyłam to - przyznałam cicho, mówiąc bardziej do siebie niż do Liama.

Włożyłam instaxa do portfela, a portfel do torby. Pociągnęłam lekko nosem, czując, że się rozklejam.

- Idziemy na śniadanie? - zaproponował Liam.

Przytaknęłam. Założyłam na siebie szlafrok i ruszyliśmy razem w stronę kuchni.

Gdy mijaliśmy dom, w którym mieszkali Aren i Rei, w ostatnim momencie odskoczyłam przed Alice, która ni stąd, ni zowąd niemal na mnie wpadła, wychodząc ze środka i rzucając za siebie: „Tylko mi spróbuj dzisiaj opuścić program, to wiesz, co zrobię...”. Gdy nas zobaczyła, zaczerwieniła się i błyskawicznie poprawiła włosy.

- O... hej! - powiedziała, otulając się mocniej bluzą Arena, którą miała na sobie.

Z pokoju wyłonił się Aren. Miał na sobie tylko bokserki, dlatego wydawał się speszony spotkaniem z nami nawet bardziej niż Alice.

- Melanie, Liam - przywitał się z nami formalnie, skłaniając głowę najpierw w moją stronę, a potem w stronę mojego współlokatora. - Wspólne śniadanko?

- „Śniadanko?” - zakpiła Alice, wybuchając śmiechem. - Chyba cię zepsułam.

- A może właśnie mnie naprawiłaś? - odparł Aren i pocałował dziewczynę.

- A co na to Rei? - wtrącił swoje trzy grosze do tego nieoczekiwanego spotkania Liam.

- Rei? Nie mam pojęcia i nie wiem, gdzie jest - odpowiedział Aren.

- Pewnie zostali na plaży z Enzem, wczoraj mieli niezłą fazę na rozmowę o restauracjach z gwiazdkami Michelin - dopowiedziała Alice, po czym uśmiechnęła się szeroko i powąchała bluzę, którą miała na

sobie. – A teraz wybaczcie, czas na mnie. Chętnie chodziłabym w tej bluzie i w zapachu Arena przez cały dzień, ale trzeba się przygotować na ogłoszenie wyniku. Wracam do was za pół godziny!

Sekundę później już jej nie było – zniknęła w budynku, w którym mieszkała razem z Enzem. Ten z kolei dosłownie w tym momencie wyłonił się zza rogu w towarzystwie Rei. Oboje szli w naszym kierunku, nieznacznie się zataczając i dyskutując głośno o... restauracjach z gwiazdkami Michelin. Jak widać, to była naprawdę długa rozmowa.

– I co?! Są już wyniki?! – ryknął Enzo tak głośno, że stojące tuż przy nim Rei skuliło się, zasłaniając uszy.

– Enzo, *mi amor*, ciut ciszej! – szepnęła, składając przy tym ręce jak do modlitwy.

– Są już wyniki? – powtórzył Enzo na granicy słyszalności, otwierając przy każdej głosce szeroko usta. Rei zachichotało.

– To niemal ten sam stan, co ty ostatnio, Mel – burknął Aren.

– Niemal?

– No, są trochę mniej pijani niż ty wtedy, ale nie wiem, czy dotrważą do wyników – dodał Nigeryjczyk. – Musimy skończyć z tymi imprezami.

– Mu... musimy skończyć z imprezami. Tak... tak mówi Aren, no to musimy... – wybełkotał Enzo, próbując sparodiować głos chłopaka i szczerze mówiąc, całkiem nieźle mu to wyszło, bo zarówno ja, jak i Liam uśmiechnęliśmy się pod nosem.

– Skoro nie ma wyników, lecę w krótką kimkę – zaświergotało przesadnie wysokim tonem Rei.

– *Sayonara!* – krzyknął raz jeszcze Enzo, składając ręce i kłaniając się Rei, które w odpowiedzi pokazało środkowy palec Włochowi, a ten posłał mu buziaka.

Rei weszło do pokoju, wymijając wprawnym, wręcz akrobatycznym ruchem Arena, który zajmował niemal całe wejście. Aren podążył za swoim współlokatorem, by się w końcu ubrać. Z kolei Enzo, zataczając się, ruszył do budynku, w którym kilka minut wcześniej zniknęła z pola widzenia Alice.

Kolejne dwie godziny, które pozostały do zakończenia pierwszej rundy, minęły nam wszystkim na powolnym zbieraniu się w kuchni. Pierwsza dołączyła do mnie i Liama Alice, potem zjawił się Aren. Niemal godzinę później przyszedł Enzo, a tuż przed ogłoszeniem eliminacji pojawiło się Rei. Byliśmy więc w komplecie, gdy nareszcie włączył się projektor.

Na ekranie pojawiła się twarz Petera Forsleya, który był w towarzystwie pięciu innych osób – trzech kobiet i dwóch mężczyzn. Żadnej z nich nie znałam. Wszyscy byli uśmiechnięci i w jakiś dziwny sposób podobni do Forsleya: może to przez ubiór, a może przez postawę ciała. Wyglądali trochę jak... rodzina. Moja mama w młodości była fanką zespołu The Kelly Family. Kiedyś znalazłam kolekcję jej kaset magnetofonowych i to, co widziałam w tej chwili na ekranie, do złudzenia przypominało mi jedną z ich okładek.

– Witajcie! – odezwał się Peter Forsley, podnosząc rękę i machając do nas. Reszta stojących przy nim osób zrobiła to samo. – Dziękujemy wam za ten niezwykle tydzień i fragmenty doskonałych powieści, nad którymi w jego trakcie pracowaliście. To kawał wspaniałej literatury i szykuje nam się niewątpliwie kilka międzynarodowych bestsellerów. Jesteście niesamowici!

Po tych słowach pozostała piątka towarzysząca producentowi *The RITE Show* zaczęła bić brawo. Rei widocznie uznało, że to brawa przede wszystkim dla niego, bowiem wyszło przed szereg i skłoniło się nisko.

– *Merci! Merci beaucoup!* – powiedziało piękną francuszczyzną.

– Nie zmienia to jednak faktu, że zgodnie z zasadami naszego programu dziś któreś z was niestety opuści *The RITE Show*. Dla tej osoby to będzie koniec przygody na wyspie, ale jeszcze nie w programie. Czekają ją wywiady, sesje zdjęciowe i komentowanie dalszych poczynań uczestników, którzy pozostaną w naszym reality show. Mogę wam też już teraz zdradzić, że to była wyrównana rywalizacja. Wasze powieści rozgrały do czerwoności aplikację Rite, ilość reakcji, komentarzy i udostępnień przerosła nasze najśmielsze oczekiwania! Czytali was i nadal czytają ludzie na wszystkich kontynentach i właściwie w każdym wieku. Razem z moimi koleżankami i kolegami z firmy spodziewaliśmy

się, że ten program przyciągnie uwagę czytelniczek i czytelników z całego świata. Nie wyobrażaliśmy sobie jednak, że wszyscy aż tak bardzo czegoś takiego potrzebowali! Chciałbym wam za to ogromnie podziękować.

Peter Forsley uśmiechnął się, a następnie spojrzął na osobę stojącą po jego prawej stronie. Piękna rudowłosa kobieta około czterdziestki w prostej zielonej sukience podała mu kopertę.

– Tu mam listę osób, które mogą czuć się bezpieczne. Fantastyczna czwórka, jeśli pozwolicie mi na taki popkulturowy żart – kontynuował Forsley, otwierając kopertę. – A zatem zaczynamy!

Gdy tylko usłyszeliśmy te słowa, dosłownie czułam, jak tężeją ciała wszystkich osób wokół mnie. Najbardziej spięłam się oczywiście ja.

– Pierwszą bezpieczną osobą jest... – Peter Forsley zawiesił głos i zapadła absolutna cisza. – Liam! Moje gratulacje!

No pewnie. Bo któż by inny? Liam robił wszystko, by być najlepszy i – jak widać – był najlepszy. Nawet się nie ucieszył. Po prostu ścisnął dłoń w pięść. Nic więcej. Zupełnie jakby był pewien swego od samego początku.

– Kto dalej? Oto jest pytanie... Drugą największą liczbę reakcji, komentarzy i udostępnień zdobył... zdobyło Rei!

– Trochę dziwi mnie, że to dopiero drugie miejsce, ale cóż, widocznie na razie naszych tekstów nie czytali ci bystrzejsi czytelnicy, miejmy zatem nadzieję, że w tym tygodniu znajdą czas i po drugiej rundzie będą już przed tym chłopaczkiem z kraju, w którym za boga uznaje się jajowatą piłkę do rugby – fuknęło Rei, owijając się ciaśniej szlafrokiem, w którym przyszło na ogłoszenie wyników, po czym wymaszerowało z pokoju.

Peter Forsley skwitował zachowanie Rei szerokim uśmiechem, by po chwili wrócić do odczytywania wyników.

– No tak, emocje sięgają zenitu! Wracamy do wyników. Trzecią bezpieczną osobą jest... Alice! Brawo!

Brazylijka, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, zaczęła tańczyć, skakać i krzyczeć z radości. Zupełnie jakby wygrała cały program.

– Aren, udało się! – wrzasnęła niemal tak głośno jak Enzo i rzuciła się na szyję swojemu chłopakowi, a ten przytulił ją mocno.

– No i ostatnie bezpieczne miejsce w naszym programie. Ostatnia osoba, która nie musi się bać eliminacji. Któż to będzie? Aren, Enzo czy Melanie?

Peter Forsley zawiesił głos. Najwyraźniej rola, jaka mu została wyznaczona w programie, niezwykle przypadła mu do gustu i postanowił naśladować gwiazdy amerykańskiej telewizji. Problem w tym, że nie mogłam już wytrzymać tego napięcia. Chciałam, żeby w końcu to powiedział.

– Ile mamy jeszcze czekać? Po prostu to powiedz! – wyrzuciłam z siebie. Nikt z nas nie zasłużył, by tak nas męczyć. Byliśmy autorami książek, a nie jakimiś celebrytkami lub celebrytami, którzy są przyzwyczajeni do takiego napięcia.

– Masz rację, Melanie, już mówię! Ostatnią bezpieczną osobą w *The RITE Show*, która uniknie eliminacji już po pierwszej rundzie, jest...

ROZDZIAŁ 14

„Lorenzo, choć chyba wszyscy mówią tu na ciebie Enzo”.

A zatem wszystko było jasne. Peter Forsley jeszcze coś mówił, ale do mnie to już nie docierało. Spojrzałam bowiem na Alice. Na tę słodką dziewczynę, która jeszcze przed chwilą skakała i cieszyła się z awansu do drugiej rundy, a teraz wyglądała, jakby ktoś spuścił z niej całe powietrze i to ona była zagrożona wyrzuceniem z programu. Z niedowierzaniem zerkąła to na mnie, to na Arena, a gdy nasze spojrzenia w końcu się spotkały, nie byłam pewna, czy patrzyła na mnie bardziej ze smutkiem, czy ze złością. Wpatrując się w jej oczy, w głębi ducha zapragnęłam, żebym to ja odpadła. Nie chciałam rozdzielać jej i Arena. Mogłam tylko przypuszczać, co Alice poczuje, gdy jej chłopak zostanie wyeliminowany z programu, w dodatku przeze mnie...

– Moi drodzy, a zatem wszystko już jasne! – mówił dalej Peter Forsley, jak gdyby nigdy nic. *Show must go on*. Emocje emocjami, ale przecież koniec końców najważniejszy jest program i to, kto z niego odpadnie na tym etapie.

– Arenie. – Producent *The RITE Show* zwrócił się do Nigeryjczyka, który stał po mojej prawej, a następnie przeniósł wzrok na mnie. – Melanie. Jesteście zagrożeni. Daliście z siebie wszystko i możecie wam zdradzić, że różnice między wami a pozostałymi uczestniczkami i uczestnikami programu były właściwie minimalne. Ale takie już mamy reguły naszego reality show: jedno z was musi odpaść w tym momencie. Natalie...

Mężczyzna przemawiający do nas z ekranu zwrócił się teraz dla odmiany do osoby stojącej po swojej lewej stronie. Brunetka w dżinsach

i bluzce na ramiączkach, wyglądająca najmłodszej z całej szóstki na ekranie, podała Peterowi Forsleyowi czarną kopertę.

– Tutaj mam ostateczne wyniki. Wasze imiona, a obok nich liczbę zdobytych reakcji, komentarzy i udostępnień. Stan na godzinę dwunastą w południe waszego czasu, a zatem w momencie, gdy połączyliśmy się z wami, by przekazać wam informację o tym, kto odpadnie z *The RITE Show*. Czy jesteście gotowi, by dowiedzieć się, kto zostanie wyeliminowany?

Byłam pogodzona z tym, że odpadnę. Czułam, że to będę ja. Dlatego tylko skinęłam głową. Aren tymczasem niespodziewanie zrobił krok w stronę ekranu.

– Wiem, że to wbrew zasadom, ale chciałbym dobrowolnie opuścić program, poddając się eliminacji już teraz. I to niezależnie od tego, jaki będzie ostateczny wynik.

Po słowach Arena zaległa absolutna cisza, którą przerwała Alice. Jej głos był rozedrgany do granic możliwości.

– Kochanie... co ty robisz?!

Jednak chłopak nic nie odpowiedział. Zerknął tylko w jej stronę, uśmiechnął się lekko i spojrzał ponownie na ekran.

– Przyznam, że to dość nieoczekiwany zwrot akcji. Jak w najlepszej powieści! – Peter Forsley swoim żartem zamierzał zapewne rozładować emocje, od których niemal iskrzyło. Nikt jednak nie zareagował na jego słowa.

Teraz to ja zrobiłam krok naprzód.

– Nie, nie zgadzam się! – zaprotestowałam znacznie głośniejszym głosem niż zamierzałam. Jednak kolejne spojrzenie w wilgotne od łez oczy Alice sprawiło, że jej uczucia mocno mi się udzieliły. – To ja proszę o eliminację z programu. Swój fragment napisałam na ostatnią chwilę, nawet go nie zredagowałam. To była całkowita amatorszczyzna. Aren wywiązał się z zadania, pracował przez ten tydzień i absolutnie to nie on powinien opuścić *The RITE Show*.

Aren odwrócił się w moją stronę.

- Melanie, nie mów tak. Byłem tu najstarszy, a mimo to nie zareagowałem, gdy nasza impreza pierwszego dnia wymknęła się spod kontroli. Co więcej, to ja i Alice zaproponowaliśmy wam, by ją zorganizować. Nie powstrzymałem też Enzo, gdy częstował cię alkoholem, choć miałem świadomość, że nie jesteś pełnoletnia. Potem jeszcze cię pocałowałem, bo sam nie odmówiłem sobie alkoholu, czym rozpełtałem to całe zamieszanie ostatnich dni... Widziałem, jak było ci ciężko, doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie jesteś w stanie pracować. Ale nawet wtedy ci nie pomogłem. To nie jest godne zachowanie i nie sądzę, by ktoś taki jak ja zasługiwał na dalsze uczestnictwo w programie.

Każde słowo, które wypowiedział Aren, brzmiało tak, jakby naprawdę głęboko wierzył w jego sens. Można było wręcz odnieść wrażenie, że to jakaś forma chłosty, ukarania siebie za to, że nie był dość dobry. Że nie spełnił swoich wysokich standardów, a pozostanie w reality show w rzeczywistości odczytałby jako upokorzenie. Problem w tym, że Alice widziała to zupełnie inaczej. Nie mogąc słuchać tego, co mówi jej chłopak, wyszła z budynku tuż przed końcem jego monologu, głośno trzaskając za sobą drzwiami.

Oboje z Arenem obserwowaliśmy, jak to robi. I pewnie obojgu nam pękło serce. W tym przypadku nie było dobrego rozwiązania - każdy wyniósł ranę Alice, czyli najbliższą w tym programie osobę, zarówno mnie, jak Arenowi.

Musiałam coś z tym zrobić. Chwyciłam chłopaka Alice za rękę.

- Sądzisz pewnie, że to jedyne słuszne rozwiązanie w obecnej sytuacji, że to właściwa droga. Ale tak naprawdę to totalnie niesprawiedliwe. Może i czujesz, że zawiniłeś, jednak ja widzę to zupełnie inaczej. Każdy z nas ma prawo do błędów. Ja je popełniłam i ty je popełniłeś, ale to nie oznacza, że któreś z nas musi się poświęcić, by sprawiedliwości stało się zadość. Rozumiesz?

Aren westchnął. Chyba podświadomie czuł, że mam rację, jednak było mu ciężko.

- Skończcie hamletyzować. - Niespodziewanie niewyraźnym głosem odezwało się Rei, które nie wiadomo kiedy wróciło do budynku. Widać było, że nadal jest lekko wstawione po całonocnej rozmowie z Enzo. - Skoro tak bardzo chcecie opuścić program, droga wolna... Najlepiej oboje odejdźcie dzisiaj, a my miejmy dodatkowy spokój przez tydzień i wyeliminujmy kogoś dopiero za czternaście dni. Wilk syty, owca cała. No i będzie znacznie mniej dramatów. Choć to akurat na minus. No.

Z każdym kolejnym słowem Rei bełkotało coraz bardziej. Pod koniec sprawiło wrażenie, jakby niewiele już do niego docierało. I pewnie właśnie pojawienie się Rei oraz jego zachowanie sprawiło, że do akcji znów wkroczył Forsley.

- Dziękuję wszystkim wam za ten... materiał do przemyśleń dla naszej ekipy. To naprawdę piękne, że przez tydzień zbliżyliście się do siebie na tyle, że jesteście skłonni oddać jedno drugiemu przywilej udziału w programie. Pozwólcie jednak, że będziemy się trzymać ustalonych wcześniej zasad. Dobrze?

Aren ponownie westchnął i tym razem przytaknął. Ja również skinęłam głową.

- Cieszę się, że zgodziliśmy się w tej kwestii. A zatem, nie przedłużając, osobą, która już dziś opuści *The RITE Show*, jest...

Chwila pomiędzy wypowiedzianym przez Petera Forsleya słowem „jest” a imieniem osoby, która miała odpaść z programu, niespodziewanie wydłużyła się do nieskończoności. Zupełnie jakbym wpadła do czarnej dziury. Czytałam gdzieś, że zaskakującą ich cechą jest spowolnienie czasu w ich wnętrzu. Podobno panująca w nich gigantyczna grawitacja załamuje czasoprzestrzeń i czas biegnie w nich znacznie wolniej niż poza nimi. To był mój przypadek. Dla zewnętrznego obserwatora - na przykład dla Petera Forsleya - to była sekunda, może dwie. Dla mnie to był czas, by raz jeszcze zrobić rachunek sumienia po tym tygodniu i zmierzyć się z wizją odpadnięcia z programu.

- Melanie.

Czas błyskawicznie przyspieszył, gdy producent *The RITE Show* wymówił moje imię. Miałam rację. To był koniec. Wracałam do mamy. No i do J.D. – z niczym.

Ktoś mocno mnie przytulił. Spojrzałam, kto to. Już wiedziałam. Czułam się bezpiecznie w silnych, umięśnionych ramionach Arena. W tym wszystkim cieszyłam się, że Alice nadal będzie mogła znaleźć w nich schronienie jeszcze co najmniej przez tydzień.

Wtedy jednak stało się coś dziwnego. Coś, czego nigdy nie zrozumiałam.

– Przepraszam – odezwał się nerwowym głosem Peter Forsley i odchrząknął. – Przepraszam, moi drodzy. Czy mógłbym poprosić was o jeszcze chwilę uwagi?

Odsunęłam się od Arena, oboje raz jeszcze zwróciliśmy się w stronę ekranu.

Przy Forsleyu stała kobieta, którą nazwał Natalie. Ta szeptała mu coś do ucha, sama trzymając rękę przy swoim uchu, w którym dopiero teraz dostrzegłam małą słuchawkę. Napięcie na twarzy obu osób widocznych na ekranie było niemal fizycznie wyczuwalne. Trudno było jednoznacznie zinterpretować minę i emocje, malujące się na twarzy Forsleya. Jedno było pewne: nie był zadowolony z tego, co przekazuje mu jego współpracownica.

W końcu przytaknął i nieznacznym ruchem ręki odesłał Natalie, a ta natychmiast wróciła na swoje miejsce. Peter Forsley uśmiechnął się, ale nie był to miły uśmiech. Oj nie.

– Wybaczcie, mieliśmy małe... problemy techniczne. Jak się okazuje, po raz kolejny najbardziej zawodnym ogniwiem w naszej pracy jest człowiek. Tak... – Mężczyzna przymknął oczy i wziął głęboki wdech. –

Natalie niestety błędnie przekazała mi informację o wynikach pierwszej rundy.

Moje serce zamarło. Spojrzałam na Arena. Do niego chyba jeszcze nie docierało to, co się działo. A może właśnie docierało i dlatego stał jak sparaliżowany? Gdyby nie otwarte oczy, ktoś mógłby pomyśleć, że

nie żyje. Jego ciało pozostało nieruchome – po prostu stał i patrzył przed siebie na ekran.

– Nie rozumiem... – wydusiłam, choć tak naprawdę chyba rozumiałam, i na razie broniłam się przed tym, co za chwilę miało paść z ust mężczyzny na ekranie.

– Melanie, przepraszam za wprowadzenie cię w błąd. Ale jeszcze bardziej przepraszam Arenę za to, że niesłusznie dałem mu nadzieję na pozostanie w programie. To niedopuszczalne i wyciągniemy z tego konsekwencje na przyszłość.

W tym momencie producent *The RITE Show* rzucił krótkie spojrzenie Natalie, a ta, nie patrząc na niego, pospiesznie przełknęła ślinę.

– Krótko mówiąc, bo i tak ta eliminacja niepotrzebnie nam się przeciągnęła, to Arenę będzie musiał opuścić willę i program. – Po tych słowach Peter Forsley zwrócił się bezpośrednio do Nigeryjczyka: – Arenie, masz czas do godziny osiemnastej, by się spakować i pożegnać z resztą uczestników i uczestniczek programu. O tej porze odbierze cię z pomostu w zatoce nasza łódź, która następnie zabierze cię do członków naszej ekipy poza wyspą. Oni bezpiecznie przetransportują cię do miejsca, z którego później udasz się do domu. Wcześniej jednak udzieliś kilku wywiadów, w tym tego najważniejszego. Jutro z samego rana porozmawiasz z użytkownikami platformy Rite. To oni właśnie zdecydowali, że jesteś pierwszym autorem, który odpadnie z *The RITE Show*, i już nie mogą się doczekać, by zadać ci pytania dotyczące twojego udziału w programie. Oczywiście nasi pracownicy przeszkolą cię w zakresie tego, co możesz, a czego nie możesz ujawnić w trakcie rozmowy. Dodam tylko, że wywiady z tobą będą mogli śledzić Alice, Enzo, Liam, Melanie i Rei. Czy masz jakieś pytania?

Aren – który ciągle trwał w bezruchu, zupełnie jakby Peter Forsley lub Natalie byli Meduzami zamieniającymi swoich rozmówców w kamień – dopiero teraz zdobył się na jakąkolwiek reakcję. Pokręcił przecząco głową, a następnie ją spuścił. Chciałam go objąć, by zrewanżować się za to, jak on przytulił mnie w chwili, gdy najbardziej tego potrzebowałam, ale odtrącił moje ramię.

- Przepraszam, Melanie. Nie mogę. Nie teraz. Muszę zostać sam.

Gdy Aren wydusił z siebie te kilka słów, wyszedł z budynku.

- Dziękuję wam za uwagę. Jutro o dziesiątej zapraszam was na wywiad z Arenem, a o dwunastej ruszamy z drugą rundą! Koniecznie dziś odpocznijcie i do zobaczenia jutro! - rzucił pospiesznie Peter Forsley z wielkiego ekranu, przed którym stałam teraz sama, czując na plecach wzrok Enza i Rei. Zanim ktokolwiek z nas zdążył zareagować na jego słowa, transmisja się urwała, a w sali zapanowała głucha cisza. I to była cisza przed kolejną burzą.

Zanim jednak rozpętała się awantura, pożegnaliśmy Arena. Swoje ostatnie godziny w programie spędził u boku Alice. Oboje opuścili dom i poszli na długi spacer wzdłuż plaży, znikając nam z oczu właściwie na cały pozostały im czas. Wrócili niedługo przed osiemnastą. Aren najwidoczniej był już spakowany i gotowy do wyjazdu, ponieważ jedynie wszedł do pokoju, który dzielił z Rei, po czym z niego wyszedł z małą torbą podróżną.

Przed budynkiem czekaliśmy już na niego wszyscy. Enzo, Liam i Rei stali razem ze mną, Alice trzymała się na dystans. Starła się nie dać po sobie poznać, ile ją kosztuje ta sytuacja. A przynajmniej pewnie tak jej się wydawało. Alice zawsze miała trudność z ukryciem emocji, jakie jej towarzyszyły. A ja mogłabym sobie tylko wyobrażać, co czuje: złość, niezgodę na ostateczny wynik pierwszej rundy i zawiedzione nadzieje na stopniowe rozwijanie się jej związku z Arenem. Alice robiła dobrą minę do złej gry - gry, w której coraz mniej chciała brać udział, bo prawdziwą wygraną stało się dla niej coś innego niż dziesięć milionów dolarów. A wizja kilkutygodniowej rozłąki z jej chłopakiem była dla niej absolutnie dewastująca.

Aren sprawiał wrażenie pogodzonego z obecną sytuacją. Wyglądało na to, że oboje byliśmy gotowi na to, że odpadniemy. Chłopak uściskał każdego z nas ze smutnym uśmiechem. Zaczął od Rei, potem Liam i Enzo, na końcu byłam ja. Ale tylko mnie szepnął coś na ucho.

- Cieszę się, że zostałam. Pilnuj Alice, choć pewnie będzie na ciebie strasznie wkurzona, jak to ona. Ale przejdzie jej.

Ścisnęłam go mocniej, jakbym chciała go tu zatrzymać siłą. Dla Alice. Pojedyncza łza pociekła po moim policzku. To nie tak powinno się skończyć.

Potem odprowadziliśmy go na nabrzeże. Zgodnie z zapowiedzią Petera Forsleya łódź już czekała przycumowana do pomostu. Na jej pokładzie było dwóch mężczyzn, ubranych podobnie jak towarzyszący Peterowi Forsleyowi prawnicy – mieli na sobie czerni i biel. I dopiero teraz do mnie dotarło, że to barwy firmy Rite. A skoro „szeregowi” pracownicy nosili takie stroje, dlaczego Zack był ubrany zupełnie inaczej? I tak w ogóle, gdzie był Zack? Czy to nie on powinien asystować Arenowi w takiej chwili, skoro był z nami na wyspie?

Skupienie się na tych wszystkich wątpliwościach i pytaniach było dla mnie pewnie jednym ze sposobów radzenia sobie z tą trudną sytuacją. Dzięki temu mogłam unikać spojrzenia Alice, nie śledzić jej ostatniego uścisku i pocałunku z Arenem, nie zauważyć momentu, gdy łódź odbiła od pomostu i wypłynęła na morze, by niemal natychmiast odbić w lewo i wkrótce zniknąć z naszych oczu. Towarzyszyło mi przy tym dziwne przeczucie, że coś tu nie gra. Może to przez te dziwne rzeczy, które działy się w *The RITE Show*, jak ten błąd w trakcie ogłoszenia wyników, lub równie zastanawiające incydenty na wyspie, na przykład moje spotkanie z Zackiem. No i ta łódź. Wyglądała na niewielką, bez załogi. Gdzie niby można było nią dopłynąć? Tym bardziej że my przylecieliśmy tutaj samolotem...

Z zamyślenia wyrwała mnie dopiero Alice, która mijając mnie, uderzyła swoim ramieniem o moje. Popatrzyłam na nią całkowicie rozkojarzona. Przez moment nie do końca wiedziałam, co się dzieje.

– To, co mówił Aren o swojej winie, było nieprawdą – wyszeptala Alice wprost do mojego ucha. Zrobiła to takim głosem, że aż dostałam gęsiej skórki.

– Wiem. To wcale nie była jego wina – odparłam po przełknięciu śliny.

– To była twoja wina – kontynuowała Alice tym samym złowieszczym szeptem. – Nie wiem, jak to zrobiłaś, że zmienili wyniki...

- Ale ja nic... - próbowałam wtrącić jakieś wyjaśnienia do tego niepokojącego monologu, ale dziewczyna nic sobie z tego nie robiła.

- Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale wiedz, że nigdy ci tego nie zapomnę. Myślałam, że dam radę, ale to niemożliwe. Koniec z naszą przyjaźnią. Koniec. Na zawsze.

Aren wprawdzie przestrzegął mnie, że Alice będzie „straszenie wkurzona”, ale czegoś takiego się nie spodziewałam. On pewnie też nie. Teraz pozostało sprawdzić, czy rzeczywiście jej to przejdzie, czy będzie moim zaprzysięgłym wrogiem do końca naszych dni.

Po tym koszmarnym dniu marzyłam tylko o tym, by się wyspać. Byłam tak zmęczona, że nie odводziło mnie od tej myśli słońce, które dopiero powoli chyliło się ku zachodowi, a także widok zegara wskazującego kwadrans po dziewiętnastej. Czułam się, jakby było grubo po północy. Padłam więc na łóżko, a następnie wyjęłam z kieszeni portfel, który wbijał mi się w biodro. Ze środka wysunął się instax, który oglądałam tego poranka.

Przyjrzałam się mu raz jeszcze, obserwując wzrokiem te wszystkie uśmiechnięte twarze... I wtedy coś przykuło moją uwagę. Instax ma to do siebie, że jakość obrazu na nim nie jest zbyt wysoka. Pewnie dlatego dopiero teraz zauważyłam siódmą parę oczu i zarys postaci na zdjęciu – po prawej od nas, w pobliskich zaroślach. I właściwie od razu wróciłam do swoich rozmyślań. Czy to mógł być Zack? A jeśli to był on, co tam robił? I kim tak naprawdę był?

ROZDZIAŁ 15

Rozbudzone tuż przed zaśnięciem wątpliwości były jak złe upiory, które nawiedzały mnie co rusz w snach tamtej nocy. Twarze Zacka, Arena, J.D. i Alice przenikały się, przeobrażały jedna w drugą, rzucając oskarżenia wobec mnie, a zaraz potem prosząc, bym podążała za nimi w ciemny las. Za każdym razem docieraliśmy jednak tylko do ogrodzenia pod napięciem, które rozcinało wyspę na dwie części. Widma w moich snach oczywiście bez problemu przenikały przez płot, ja natomiast za każdym razem zatrzymywałam się przed nim i nie mogłam przejść. A gdy tylko zbliżałam się do niego, by spróbować go pokonać, porażenie prądem było tak mocne, że od razu umierałam. I tak w kółko przez całą noc, bez wytchnienia.

I kiedy myślałam, że nic już się nie zmieni, we śnie pojawił się Enzo. W milczeniu raz jeszcze poszliśmy do ogrodzenia, jednak tym razem znaleźliśmy w nim wyłom. Zajrzałam na drugą stronę i zobaczyłam Zacka. Siedział na ziemi i wpatrywał się we mnie, przywołując mnie ruchem ręki. Już miałam się do niego przedostać, gdy coś mnie powstrzymało, szarpiąc mocno za ramię. Zaczęłam do niego krzyczeć, ale coś odciągało mnie od ogrodzenia, a ja nie mogłam się wyrwać. Byłam bezradna.

Otworzyłam oczy. Nade mną stał Liam. Patrzył na mnie tak intensywnie, jak Zack w moim śnie. Dłonie chłopaka, z którym dzieliłam pokój, zaciśnięte były na moich ramionach. Gdy popatrzyłam na niego, puścił mnie, a ja opadłam na łóżko.

– Nic ci nie jest?

Jeśli się nie przesłyszałam, w głosie Liama pobrzmiwała troska. Czy to w ogóle jest możliwe?! Jego mina też wskazywała, że przejął się

moimi koszmarami – bo tak należało nazwać moje sny tej nocy.

Pokręciłam przecząco głową i przetańczyłam dłonią czoło. Dopiero teraz zauważyłam, jak jestem spocona. Zawstydzona popatrzyłam na swoją koszulkę, która była cała mokra w okolicach klatki piersiowej.

– Nie wiem, co to było, ale strasznie się rzuciłaś przez sen... Musiałem cię obudzić.

– Śniło mi się coś dziwnego... – mruknęłam, bo było mi głupio. Po pierwsze z powodu tego, co robiłam przez sen, choć tak do końca nie miałam pojęcia, co naprawdę wyczyniałam. Ale wiedziałam, że zaraz się dowiem, bo Liam nie odmówiłby sobie wygłoszenia złośliwego komentarza w tej sprawie. Po drugie, bo spociłam się, jakbym noc spędziła w saunie. Mogłam tylko przypuszczać, jaki zapach czuł ode mnie mój współlokator.

– O Zacku?

Sparaliżowało mnie. Czyli na domiar złego mówiłam przez sen... Tylko co?!

– Zacku? – zapytałam, jak gdyby nigdy nic.

– Powtarzałaś to imię bez przerwy. No i miałaś drgawki, jak przy gorączce. Myślałem, że coś ci się stało...

– Ty się o mnie martwiłeś?

Kiedy wypowiedziałam na głos te słowa (zdecydowanie zbyt słodkim tonem, który nawet mnie zemdleł), przez głowę przeszła mi szalona myśl, że jednak się nie obudziłam. No bo Liam, który martwi się o mnie i reaguje, gdy coś mi się dzieje? Takie rzeczy nie zdarzają się na jawie.

Najwyraźniej to pytanie nie przypadło mu do gustu, bo raptem odsunął się ze skwaszoną miną.

– Może już przestań robić ze mnie potwora, co?

– Czekaj, czekaj... Czyli jesteś jak wilkołak, tylko... na odwrót? Od początku naszego przyjazdu tutaj byłeś potworem, a dwa dni temu księżyc w pełni zamienił cię ponownie w człowieka i teraz będziesz już okazywał ludzkie emocje i troszczył się o innych?

To było silniejsze ode mnie, musiałam się odegrać na Liamie za to wszystko, co spotkało mnie z jego strony. On tylko pokiwał głową z niedowierzaniem.

– Ha, ha. Bardzo śmieszne. Jeśli już, bardziej pasowałby doktor Jekyll i pan Hyde, ale spoko, mogę być odwróconym wilkołakiem. Czy w takim razie, skoro już ustaliliśmy, kim jestem, moglibyśmy uznać, że jesteśmy kwita?

Jeszcze parę dni temu byłam przekonana, że pielęgnowanie niechęci i wrogości wobec współlokatora to mój nowy życiowy cel. Jednak teraz – ku mojemu zaskoczeniu – nie tylko wyglądał na normalnego człowieka, ale coraz częściej się jak takowy zachowywał. Było w tym coś niepokojącego i nie wiedziałam, na ile mogę mu zaufać. W końcu ta zgryźliwa i złośliwa jego część, z którą miałam do czynienia, nadal w nim tkwiła. Jak pan Hyde w doktorze Jekyllu – to rzeczywiście było dużo lepsze porównanie niż to do wilkołaka! Teraz być może nie dawał o sobie znać, ale nigdy nie było wiadomo, kiedy znów przejmie nad nim kontrolę.

– Powiedzmy. Ale warunkowo. Jeśli w najbliższym tygodniu nie wyskoczysz z czymś głupim, wtedy dopiero będziemy kwita. Zgoda?

– Zgoda. Ale ja też mam jeden warunek...

No pewnie, to byłoby zbyt piękne, gdyby po prostu się zgodził. Oczywiście chce wykorzystać tę sytuację i coś wynegocjować. Ciekawe co.

– No... – Ton mojego głosu jasno sugerował, że spodziewam się po nim czegoś głupiego i powinien uważać na to, co powie.

– Opowiesz mi o Zacku.

O zgrozo, to nie było jednak nic głupiego. Jak na ironię, po słowach Liama zatęskniłam na chwilę za jego dawnym wydaniem. Przynajmniej w tej sytuacji wszystko byłoby prostsze, gdyby chciał mi dogryźć. A o Zacku nie chciałam i nie mogłam mu powiedzieć. Jak w takim razie wybrnąć z opresji?

Rozpaczliwie próbowałam się złapać jakiegokolwiek deski ratunku, byle tylko zmienić ten niewygodny temat. Szczęśliwie mój wzrok padł

na zegar wiszący w naszym pokoju. Wskazówki pokazywały dziesięć minut do dziesiątej. Czyli już za moment miała nastąpić transmisja rozmowy z Arenem. To było wybawienie, którego poszukiwałam!

– Opowiem, ale po wywiadzie z Arenem.

– Co? – zapytał zdezorientowany Liam.

Pokazałam na zegar.

– Transmisja zaraz się zaczyna. Chcę posłuchać, co powie po swoim odpadnięciu. No i...

– Zobaczyć się z Alice?

Niesamowite! Ten „straszny kutas” i „dupek” potrafi wykazać się empatią, rozumie, co czuję i czego potrzebuję. Jeszcze chwila, a okaże się osobą, którą mogłabym polubić... Nie, to było niemożliwe.

W odpowiedzi tylko przytaknęłam.

– No to chodźmy – odparł i podał mi rękę, pomagając wstać z łóżka.

Dopiero teraz przypominałam sobie, jak bardzo spociałam się w nocy. Koszulka nadal lekko lepiła się do mojego ciała, a twarz – w chwili gdy to poczułam – przypominać musiała wielkiego, czerwonego buraka.

– Dogonię cię – mruknęłam. – Muszę się tylko odświeżyć, bo...

– Spoko. Rozumiem. Widzimy się w głównym.

Ilekróż słyszałam takie słowa z ust Liama, czułam się zaszokowana. Zaadaptowanie się do kontaktów z jego ludzkim wcieleniem było nie lada wyzwaniem. Ale może nie było niemożliwe? Czas miał to pokazać.

Było tuż po dziesiątej, kiedy weszłam do budynku głównego, susząc ręcznikiem nadal wilgotne włosy. Zależało mi, by się nie spóźnić. Po pierwsze, ciekawiło mnie, co powie Aren i jak to wszystko zostanie zorganizowane. Po drugie, i to może było nawet ważniejsze, nie chciałam jeszcze bardziej podpaść Alice. W moim sercu cały czas tliła się nadzieja, że naszą przyjaźń da się ocalić. Mój plan ratunkowy zakładał, że po prostu będę dla niej dostępna w każdej sytuacji i zawsze będzie mogła liczyć na moje wsparcie. Tyle mogłam zrobić w tym momencie.

W sali byli już wszyscy. Patrzyli na duży ekran, na którym... nie wyświetlał się żaden obraz. Podeszłam do Liama, który opierał się o kuchenną wyspę, zerkając to na ekran, to na mnie.

- Co jest? - szepnęłam, tak by nikt nie zauważył, że trochę się spóźniłam.

- No właśnie nie wiadomo. Na chwilę coś się pojawiło, a potem wyświetlili informację, że mają problemy techniczne.

- Oni chyba z tego żyją, w sensie, no, zajmują się technologią i w ogóle, a tu mają problem z transmisją rozmowy w programie o globalnym zasięgu? Nic z tego nie rozumiem.

Liam wzruszył ramionami.

- Każda aplikacja czasami pada, nie ma niezawodnych technologii. Mnie bardziej martwi, że to może opóźnić rozpoczęcie drugiej rundy i będę przez to miał mniej czasu na pisanie.

- Jezu, a ty znowu swoje... Nie męczycię cię czasami to nastawienie na rywalizację i potrzeba bycia najlepszym we wszystkim?

- Nie - odparł bez chwili zastanowienia i wyszczerzył zęby. - Też powinnaś kiedyś spróbować, spodobałoby ci się...

- Ale co? - zapytałam zdezorientowana, bo trochę się pogubiłam.

- Być w czymś najlepsza. - Liam wyszczerzył zęby raz jeszcze. Pan Hyde powstał z martwych. Przynajmniej na momencik, by o sobie przypomnieć. - To naprawdę fajne uczucie. A już tym bardziej jak dostajesz za to dziesięć milionów dolarów.

- Dobra, obiecuję to przemyśleć.

- Byle szybko, żebyś znów nie została nominowana do opuszczenia programu - powiedział, tym razem pół żartem, pół serio.

- Rany, czy ja się przesłyszałam, czy ty się o mnie martwisz?!

Liam tylko parsknął, jak to on. No właśnie, w taki sposób troskę mógł wyrażać tylko ktoś z osobowością psychopatyczną, co pewnie by się zgadzało.

Dalszą wymianę zdań między nami przerwało pojawienie się obrazu na ekranie. Ten fakt spowodował ożywienie wśród wszystkich

zebranych. Alice przez cały czas siedziała na fotelu jak na szpilkach, natomiast w tym momencie jej ciało wydawało się spięte do granic możliwości – przypominało kołdry zapakowane po zimie w worek próżniowy, co zwykle robiłyśmy z mamą w kwietniu lub maju. W stronę ekranu odwrócił się też Enzo, który szykował sobie proteinowe smoothie po swoim tradycyjnym porannym joggingu, oraz Rei wylegujące się na kanapie w kusym stroju, którego nawet nie do końca potrafiłabym opisać słowami. To było jedno z tych ubrań, które tylko Rei mogło założyć.

Jednak ku zaskoczeniu nas wszystkich na ekranie nie ujrzeliśmy Arena ani też czatu w aplikacji Rite – czego przynajmniej ja się spodziewałam – lecz twarz Petera Forsleya. Uśmiechał się, jak miał w zwyczaju, choć nie był to serdeczny uśmiech.

– Witajcie ponownie! Wiem, że czekaliście na zapowiedziany chat z Arenem, ale... Niestety jesteśmy zmuszeni przełożyć go na inny termin. Mamy małe problemy techniczne, natomiast, co ważniejsze, sam Aren nie czuje się na siłach, by dziś udzielić wywiadu.

– Ale nic mu nie jest?! – jęknęła zaniepokojonym głosem Alice.

– Nie, możesz być o niego spokojna, Alice, to zwykła infekcja. Przypuszczam, że swoje zrobiły spadek adrenaliny po odpadnięciu z programu i zmiana klimatu. Dajmy mu chwilę na wytchnienie i jestem pewien, że powróci do nas jak nowy.

Może to było tylko moje odczucie, ale nie do końca wierzyłam słowom Forsleya. Częściowo mogło to wynikać z towarzyszących mi od poprzedniego wieczora podejrzeń związanych z programem, w którym brałam udział, a częściowo moje wątpliwości wynikały z dziwnego podenerwowania, którego producent *The RITE Show* nie był w stanie ukryć, a które było dla mnie absolutnie niezrozumiałe.

– A czy chociaż moglibyśmy z nim porozmawiać? Może to poprawiłoby mu humor i dodało energii? – zapytałam, robiąc krok w stronę ekranu i Alice, która jednak nie odwróciła się w moją stronę. Szkoda.

- Obawiam się, że to w tym momencie niemożliwe. Z różnych powodów.

- Jakich? - nie dawałam za wygraną. Tłumaczenia Petera Forsleya wydały mi się mętne. Chciałam konkretnych odpowiedzi.

- Porozmawiamy o tym później. Wzywają mnie inne obowiązki. Gdy tylko będę coś wiedział o terminie rozmowy z Arenem, na pewno dam wam znać!

Na twarzy producenta *The RITE Show* walczyły ze sobą uśmiech i napięcie. Na razie szły na remis, co dawało tragicomiczny efekt. Nie było nam dane obejrzeć finału tej walki, bo Peter Forsley raptownie się rozłączył, a ekran pociemniał. Przez chwilę trwaliliśmy w ciszy, zupełnie jakby każdy z nas próbował zrozumieć, co właśnie się zdarzyło.

A ponieważ najwidoczniej nikt nie palił się, żeby to skomentować, odezwałam się ja.

- Nie wiem, jak wam, ale mnie się ta cała sytuacja nie podoba...

Wyłoszone przeze mnie zdanie podziałało na Alice jak płachta na byka. Zerwała się gwałtownie z miejsca i odwróciła w moją stronę.

- Sorry, Melanie, ale mało mnie obchodzi, co ci się podoba, a co nie - mówiła zdecydowanym, konfrontacyjnym tonem. Trochę się obawiałam, czy zaraz do mnie nie podejście i czegoś mi nie zrobi. - Aren jest w takim stanie, w jakim jest, przez ciebie.

Odruchowo prychnęłam. Nie chciałam, a raczej nie powinnam tak reagować. Jednak słowa Alice były na tyle krzywdzące i niesprawiedliwe, że nie mogłam się powstrzymać. To po prostu nie była zbyt mądra reakcja. Nawet nie zauważyłam, kiedy Alice stanęła blisko mnie, a jej twarz znalazła się tuż przed moją. Jej całe ciało wyrażało agresję, którą aż kipiał każdy jej ruch. Mimo to spojrzałam jej w oczy. Kochałam ją, ale zaczynała przeginać.

- Alice, dobrze wiesz, że to nie przeze mnie jest w takim stanie. To nie ja wyrzuciłam go z programu. Nie zaraziłam go też żadnym wirusem. Skończ z tymi teoriami spiskowymi. - Rozejrzałam się po pozostałych, wszyscy w odpowiedzi na moje słowa nieco bardziej opuścili głowy, w milczeniu zgadzając się ze mną. - Mam złe

przecucie, jakby działa się tu coś, o czym nam się nie mówi. A ta sytuacja z Arenem według mnie tylko to potwierdza... Zresztą, sama powiedz, czy to normalne, że nie chciałby z tobą porozmawiać?

Moja postawa musiała być dla Alice czymś niespodziewanym, bo cofnęła się o krok. Jej ciało sprawiało wrażenie mniej spiętego niż jeszcze kilka sekund wcześniej. Wypuściła głośno powietrze przez nos i zmierzyła mnie już nieco bardziej przychylnym wzrokiem.

- Nie, to do niego niepodobne - przyznała i przy wypowiedaniu każdego słowa słysząc było, jak wiele ją kosztuje, by się ze mną zgodzić.
- Ale wiesz co? Jednocześnie mam wrażenie, że to nie Enzo, Liam czy Rei sięją chaos w programie...

- Wypraszam sobie, ja wnoszę do niego choć odrobinę klasy - mruknęło Rei, poruszone oskarżeniem Alice, zrywając się z kanapy, na której do tej pory leżało bez ruchu. Następnie wskazało na swój kombinezon, bo chyba tak należało to coś nazwać. - To jest harmonia, porządek w chaosie...

- Rei! - przerwała mu zniecierpliwiona Alice, po czym zwróciła się znów do mnie: - To ty siejesz chaos, Melanie. Więc rób, co chcesz. Ale mnie do tego nie mieszaj.

Dziewczyna, na której przyjaźni tak mi zależało, wyszła z budynku. Za nią podążyło Rei, które zatrzymało się jeszcze na moment w drzwiach.

- Czyli co, widzimy się za dwie godzinki na kolejnej dramie pomiędzy Alice i Melanie? Może ktoś przyszykowałby popcorn?

Kąśliwy komentarz Rei zrodził uśmiech na twarzy Enza, który również kierował się już do wyjścia.

- Nie martw się, Melanie, pogadam z Alice. Tym razem to ona przesadziła - rzucił do mnie Włoch i razem z Rei wyszli na zewnątrz.

Spojrzałam na Liama, który siedział niedaleko mnie na wysokim barowym krześle przy kuchennej wyspie.

- A ty nic nie powiesz? - zapytałam.

- Ja czekam na opowieść o Zacku...

No tak. Słowo się rzekło, a on o nim nie zapomniał. Może więc to był dobry czas, by w końcu komuś powiedzieć o chłopaku, którego spotkałam na plaży...

ROZDZIAŁ 16

„Hm”. Tyle miał do obwieszczenia Liam po tym, jak zrelacjonowałam mu historię swojego spotkania z Zackiem. W swoich założeniach uwzględniłam całą paletę możliwych reakcji mojego współlokatora, ale przyznaję, że akurat ta wprawiła mnie w zdumienie.

– I co, to tyle?

Wolałam się upewnić, że to już. Może Liam szykował dłuższą przemowę w odpowiedzi na tę zupełnie dla niego nową informację, nie dając tego po sobie poznać.

– No, dziwne, przyznaję.

Nie, jednak na nic większego i poważniejszego z jego strony się nie zapowiadało.

– Dziwne? Dziwne?! To jest co najmniej zastanawiające i domagające się jakiejś sensownej odpowiedzi! Bo niby dlaczego powiedzieli nam, że jesteśmy tutaj sami? Czemu to miało służyć? Może Aren wcale nie został zabrany z wyspy i nadal tu jest...

Liam uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Wow, Melanie, nie podejrzewałam cię o to, że jesteś fanką teorii spiskowych! Być może producenci *The RITE Show* to tak naprawdę przedstawiciele zakonu Iluminatów, którzy chcą przejąć władzę nad światem?

– Przedstawiciele czego? – Może to nie było najważniejsze w tym wszystkim, ale nie do końca rozumiałam, o czym mówił Liam, bo nigdy o czymś takim nie słyszałam, a po tonie jego wypowiedzi zakładałam, że powinnam...

– Czyli lekturę powieści Dana Browna masz dopiero przed sobą...

- Widziałam *Kod da Vinci*, takie sobie.

- O Iluminatach pisał w *Aniołach i demonach*, film chyba też jest. Nieważne. Tak czy inaczej, myślę, że rozwiązanie jest znacznie bardziej oczywiste i Zack, czy jak on się nazywa, ci je podał. Jest kimś z produkcji, kto czuwa na wyspie na wszelki wypadek.

- I ciągle nas obserwuje?! - odparłam wkurzona. Miałam nadzieję, że podzielenie się z kimś informacją o Zaku pozwoli mi zrzucić z siebie ciężar ukrywania przed resztą uczestników wiedzy, którą być może powinni posiadać. Tymczasem Liam robił ze mnie wariatkę. W ogóle wszyscy tutaj robili ze mnie wariatkę od samego początku naszego pobytu w programie i miałam tego powoli dość. Sięgnęłam po portfel i wyjęłam „naszego” instaxa sprzed dwóch dni. Pokazałam zdjęcie Liamowi, wskazując na to, co uznałam za oczy Zaka ukrytego w zaroślach. - Na co ci to wygląda, co?!

Czarnowłosy chłopak wziął ode mnie zdjęcie i przyjrzał mu się z bliska. Trochę je oddalił od swoich oczu, potem znów przybliżył.

- Tak szczerze?

- No, sama nie wiem...

- To może być wszystko. Było ciemno, paliło się ognisko, a instax to nie jest aparat, który robi zdjęcia dobrej jakości... - Liam zawiesił głos, gdy dostrzegł moją minę. Nie miałam pojęcia, jak wyglądam, ale wyraz mojej twarzy musiał zrobić na nim wrażenie.

- ...ale jasne, to mogą być oczy Zaka. Chociaż wcale nie muszą. Równie dobrze to mógł być... - Liam zrobił coś, co pewnie można było nazwać dramatyczną pauzą, a następnie wydał z siebie dźwięk na granicy szeptu i krzyku: - Tapairu!

- Co?! - Skrzywiłam się.

- Przypuszczam, że jesteśmy w rejonie Polinezji, a ja do swojej książki robiłem research o mitologii tych rejonów. Tapairu to takie elfy lub wróżki, coś jak... - mój współlokator zamyślił się na moment - ...jak nimfy, może driady? Istoty piękne, ale zdradliwe...

- Bardzo śmieszne - mruknęłam i wstałam z łóżka. Najchętniej wyszłabym z pokoju; moja tolerancja na Liama właśnie się skończyła. Póki co jednak jeszcze na moment odłożyłam ten plan. - Zack ani chybi nie jest piękną nimfą, to akurat pewne. A tak w ogóle, to dlaczego myślisz, że jesteśmy w rejonie Polinezji?

- Nieważne.

O, to była bardzo zastanawiająca reakcja jak na mojego rozmówcę, zawsze chętnego do wygłaszania wkurzających komentarzy na każdy temat.

- Wiesz, jak nie chcesz mówić, nie musisz...

- Nie chcę.

- Ale przyznasz, że to dość zastanawiające, że dla odmiany ty - wyraźnie pokreśliłam słowo „ty” - nie chcesz o czymś mówić. Gdybym była tobą, to...

- Ojciec mojej... znajomej był, w sumie jest, lotnikiem. Nauczył mnie różnych tricków, dzięki czemu mniej więcej wiem, gdzie lecieliśmy.

Opowieść o nawigacyjnych zdolnościach Liama brzmiała w miarę ciekawie, ale to, w jaki sposób zawahał się, określając relację z najwidoczniej bliższą mu dziewczyną, było jeszcze bardziej interesujące. Widać było, że to dla niego ważny temat: sygnalizowało to napięcie w jego widocznych pod koszulą mięśniach i chmurne spojrzenie. Wszystko to sugerowało zdolność chłopaka do obdarzania innych ludzi - w tym kobiet - jakimiś uczuciami. Być może nawet umiejętność nawiązywania z nimi autentycznych relacji, choć wolałam nie galopować z wnioskami. Warto było zebrać większy wywiad w temacie.

- Znajomej?

Liam wywrócił oczami. Teraz to on wstał z miejsca, po czym spojrzał na zegar.

- Niedługo początek drugiej rundy. Zobaczymy, co wymyślą tym razem. A potem, jak chcesz, możemy spróbować poszukać tego całego Zacka. Ale to tak po południu, teraz idę się przejść.

- To może od razu teraz spróbujemy go znaleźć? - zaproponowałam.

- Melanie, nie bądź śmieszna. Mamy niecałą godzinę, a to duża wyspa. Widzimy się w południe...

Nie lubiłam przyznawać Liamowi racji, ale w tym przypadku musiałam to zrobić. Tak, to nie był zbyt mądry pomysł. Po prostu chciałam zdobyć jakieś odpowiedzi... i dowiedzieć się czegoś o tajemniczej znajomej mojego współlokatora. To drugie interesowało mnie obecnie nawet bardziej, ale chyba trzeba będzie poczekać na właściwy moment.

Natomiast teraz był dobry moment na prysznic... a może nawet kąpiel? Ledwo zaczęłam łąć wodę do wanny, usłyszałam trzaśnięcie drzwi wejściowych. Początkowo byłam pewna, że to Liam czegoś zapomniał. Szybko jednak okazało się, że to Rei. Wściekłe Rei. Takim go jeszcze nie widziałam - zupełnie jakby zostało opętane przez jakiegoś demona lub zarażone wściekliwością przez nietoperza, których na wyspie było całkiem sporo. Mało brakowało, a toczyłoby pianę z ust.

- To twoja sprawka, prawda, lafiryndo?! - wykrzyczało mi Rei prosto w twarz, machając przy tym przed nią kawałkiem papieru, którego nigdy wcześniej nie widziałam na oczy. Odpowiedź więc nasuwała się sama: nie, to nie moja sprawka, czegokolwiek to dotyczy.

- Szczerze?! Nie mam pojęcia, o co chodzi. Ale byłabym wdzięczna, gdybyś tu tak nie wpadało i nie krzyczało na mnie, OK?

- Szczerze?! Ja byłobym wdzięczna, gdybyś mi nie groziła.

Groziła?! Ja?! Co takiego? Wyrwałam Rei kawałek papieru, który ścisnęła w dłoni. Rozwinęłam go i przeczytałam: „Zmień swój stosunek do Melanie, inaczej zrobię ci krzywdę... Rozumiemy się?!”. To było krzywe, odręczne pismo. Ktoś pisał jak kura pazurem i raczej nie była to kobieta. Przynajmniej na moje oko. A nawet jeśli to była kobieta, w obecnej sytuacji nie miałam podstaw, by w ogóle podejrzewać Alice o jakąkolwiek przychylność wobec mnie.

- Za kogo ty się masz, Melanie Clark?! Za kogoś nietykalnego?! - kontynuowało Rei furiackim wrzaskiem.

Krzyki były na tyle głośne, że kwestią czasu było to, kiedy usłyszą je Alice i Enzo, a nawet Liam po drugiej stronie wyspy.

– Powtarzam ci, że nie mam z tym nic wspólnego! – warknęłam, by spróbować nieco utemperować Rei. Wcisnęłam mu też z powrotem do ręki kawałek papieru niewiadomego pochodzenia. – Poza tym, w przeciwieństwie do ciebie, nie mam zwyczaju mówienia i pisania o sobie w trzeciej osobie.

Rei prychnęło.

– Jeśli nie ty, to kto?! Enzo?! Bo chyba nie Alice czy Liam...

– Hej, co to za krzyki?!

Oho, jazgot, którego narobiło Rei, przyciągnął pierwszego gapia – Enza. I oby tylko jego, bo już obawiałam się, że po raz kolejny stanę w centrum uwagi i pociągnie to za sobą jakieś bolesne konsekwencje (jak bywało w poprzednich tego typu przypadkach).

– Melanie twierdzi, że podobno ty to napisałeś, to prawda?!

Rei pokazało kawałek papieru Enzowi, ten zapoznał się z wiadomością w milczeniu.

– Ale przecież ja nic takiego nie powiedziałam... – Nie wiem dlaczego, ale próbowałam się wytłumaczyć.

– To nie mój charakter pisma. I w ogóle nie rozumiem, co to jest. Skąd to macie? – zapytał Enzo, zerkając to na Rei, to na mnie.

– Leżało na moim łóżku w czerwonej kopercie. Ktoś to przed chwilą tam zostawił. To wiadomość od jakiegoś psychopaty, a właściwie psychopatki. Pewnie tej lafiryndy, która sieje chaos...

– Jezu, nie siej żadnego chaosu i to nie ja!

– To się jeszcze okaże! – warknęło w odpowiedzi Rei. – Ale Enzo mi świadkiem. Jeśli coś mi się stanie, ty powinnaś być pierwszą podejrzaną, Melanie. Więc módl się, żeby nic mi się nie przytrafiło.

Rei owinęło się mocniej złotym kimonem, które miało na sobie, odwróciło się na pięcie i wyszło, ponownie trzaskając za sobą drzwiami.

– Nic z tego nie rozumiem... – wydusiłam z siebie.

- Może miałaś rację - odparł niespodziewanie Enzo. Nie do końca wiedziałam, do czego nawiązuje, ale miło było w końcu usłyszeć, że mogę mieć w czymś rację.

- To znaczy?

- Że dzieje się tu coś dziwnego. Bo tej wiadomości nie napisałem ani ja, ani Alice. Oboje siedzieliśmy teraz cały czas razem w pokoju, więc nawet nie moglibyśmy tego zrobić. A Liam...

- Liam był ze mną... Rozmawialiśmy.

Ostatnie słowo powiedziałam ciszej, trochę jakbym się wstydziła o tym komuś mówić.

- Właśnie widziałem, że się... zbliżyliście. To chyba dobre słowo?

Teraz ton Enza sugerował, że to nie jest zwykłe pytanie. Cóż, może po naszej przypadkowej „randce” pierwszego wieczora nadal liczył na coś więcej. Przynajmniej tak to teraz wyglądało.

- Nie wiem, czy Liam jest się w stanie do kogokolwiek zbliżyć. Choć podobno ma dziewczynę, więc może jednak to się wydarza od czasu do czasu.

- Dziewczynę?! - szepnął Enzo tak, jakbym zdradziła mu plotkę miesiąca. A ja szybko pożałowałam tego, co powiedziałam.

- Znajomą... - poprawiłam się natychmiast. Bo przecież Liam nie wspomniał o żadnej dziewczynie, mówił o znajomej. - Zostawmy lepiej ten temat. Nie chcę się narażać Liamowi, teraz mieszkanie z nim jest przynajmniej znośne.

- Okej, rozumiem. A co do wiadomości, którą dostało Rei, jest jeszcze jedna możliwość.

Zamarłam. W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że mamy z Enzem telepatyczną więź, bo niemal w tym samym momencie i ja wpadłam na pomysł, kto mógł być autorem wiadomości. Czyżbyśmy myśleli o tej samej osobie?

- Jaka?

- Wiem, pewnie uznasz, że to głupie, ale... Być może Rei samo napisało tę wiadomość. Mieszka samo, w dodatku zawsze lubi robić

wokół siebie sporo szumu.

Wow. O tym nie pomyślałam, a miało to zadziwiająco dużo sensu. Rei wydawało mi się niegroźne, tak jak niegroźni są ekscentryczni artyści. Założą na siebie sukienkę z mięsa, namalują obraz własnymi odchodami lub odetną sobie ucho, ale na tym koniec. Są bardziej zagrożeniem dla siebie samych niż dla innych. Prawdziwej przemocy lub alarmujących czynów dopuszczają się zainspirowani przez nich ludzie. Czy Rei było inne?

Sugestia Enza utwierdziła mnie jednak w przekonaniu, że nie łączyła nas telepatyczna więź. Bo była oczywiście jeszcze jedna możliwość, o której mój włoski przyjaciel nie miał pojęcia. Wiadomość mogła przecież zostać napisana przez Zacka. Coś wręcz podpowiadało mi, że to on stał za tym całym zamieszaniem. Dlaczego jednak groził Rei? Skąd to zainteresowanie moją osobą? To były pytania, które chciałam mu zadać, gdy tylko znów się spotkamy.

- No i chyba za tobą nie przepada... - dodał żartobliwie Enzo. Dla mnie to nie było śmieszne.

- Tu chyba już nikt za mną nie przepada - mruknęłam, bo taka była prawda.

- Ja tam ciągle myślę, że jesteś fajna.

Uśmiechnęłam się mimowolnie. Enzo wiedział, jak czarować. A po takich słowach pewnie każda dziewczyna pomyślałaby o tym, by utonąć w jego dużych szmaragdowych oczach. Ale nie ja. Nie dziś.

Enzo chyba wyczuł moją niechęć do podjęcia z nim kolejnej gry, dlatego szybko wybrnął z sytuacji, jak umiał.

- No i Liam ostatnio bardzo cię polubił. Chyba jesteś jego drugą dziewcz... - Enzo znów zawiesił głos, a na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech - ...znajomą.

Pozostało mi tylko pokręcić głową. Wiedziałam, że pożałuję tego, że mu to powiedziałam. To tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że Enzo nie powinien się na razie dowiedzieć o Zacku. Ostatecznie nie mogłam być pewna, że spotkany na plaży nieznajomy kłamię - istniał cień

szansy, że mówił prawdę i poinformowanie reszty uczestników w *The RITE Show* doprowadziłoby do jego zwolnienia.

- Wybacz, Enzo, ale chciałabym wziąć jeszcze prysznic przed rozpoczęciem drugiej rundy. Potem pogadamy.

Chłopak o boskiej urodzie dość niechętnie opuścił łazienkę. Zamknęłam drzwi na klucz i weszłam do wychłodzonej już wody. To była odpowiednia temperatura na ten moment - musiałam ochłoniąć po tym wszystkim. I przeanalizować fakty - na chłodno. Tym bardziej że na wyspie od samego rana panował potworny skwar, który nie zachęcał do niczego poza odpoczynkiem.

Gdy kilkanaście minut później weszłam do pomieszczenia, w którym mieliśmy rozpocząć drugą rundę, już od progu Rei zaczęło mnie obserwować z przenikliwością strażnika więziennego śledzącego każdy ruch osadzonych. Moja pogodna reakcja chyba zrobiła na Rei wrażenie, bo szybko spuściło z tonu. Z rezerwą podeszłam też do obojętności Alice, która wydawała się mocno na pokaz. Ucieszyłam się natomiast, gdy zobaczyłam Enza i Liama. Miło było spojrzeć na twarze, które - dla odmiany - się do mnie uśmiechały.

Samo ogłoszenie początku drugiej rundy przebiegło bez specjalnych fajerwerków. Z blatu wysepki kuchennej wysunęła się *Out of the Box Machine* i przekazała nam kolejne wyzwanie. Było nim zaplanowanie i przeprowadzenie na co najmniej dwudziestu, a maksymalnie czterdziestu stronach zmiany gatunku, w którym powstaje nasza powieść. To miało być czymś całkowicie zaskakującym dla naszych czytelników i czytelniczek.

Powinłam była myśleć tylko o wyzwaniu i o tym, jak zmierzyć się z perspektywą zmiany gatunku, tym bardziej że na ten moment miałam najmniejszego pomysłu, jak to zrobić. Ale ponieważ tak wiele innych spraw zaprzętało mi głowę - znacznie bardziej interesujących spraw - to na nich się skupiłam i bez słowa wróciłam do pokoju.

Tam czekał już na mnie Liam, który wyszedł od razu po ogłoszeniu nowego wyzwania. Jak to on, ślęczał nad swoim laptopem i coś pisał. Maszyna do pisania, pomyślałam na jego widok. I trochę tak było:

przypominał mi jakiegoś robota lub co najmniej androida, który po prostu zaprogramowane ma pisanie na zadany temat. Taka ludzka wersja „Artiego”.

Na to skojarzenie aż parsknęłam śmiechem, co przykuło uwagę Liama.

– O, to ty. Masz jakiegoś wielbiciela... Lub wielbicielek.

Po tych beznamiętnie wypowiedzianych słowach Liam spojrzał w kierunku mojego łóżka. Podążyłam za jego wzrokiem.

Na poduszce leżał piękny czerwony kwiat z długą łodygą przypominający różę. I nic poza nim. To była wiadomość. Ale od kogo i co miała mi przekazać? No właśnie...

Sytuacja z godziny na godzinę robiła się coraz bardziej zagmatwana. To był czas, by skończyć z pytaniami i wreszcie znaleźć jakieś odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 17

Wzięłam kwiat do ręki. Pięknie pachniał. Przyjrzałam mu się raz jeszcze. Gdzieś już widziałam takie rośliny na wyspie.

– Widziałeś może, kto go zostawił?

Liam zaprzeczył, przyglądając się temu, co wyświetlało się na ekranie jego laptopa.

– Kiedy wróciłem, już tu był. Może to Rei?

– Rei?! – wydusiłam z siebie.

– No, kręciło się obok naszego budynku. Pomyślałem, że to ono. Ale to tylko mój domysł.

Najpierw oskarża mnie o pozostawienie wiadomości z pogroźkami, a potem w ramach przeprosin ofiarowuje miejscowy kwiat? Cóż, szczerze mówiąc, to pasowało do Rei – bo jeśli coś wydawało się zbyt dziwaczne, by ktokolwiek mógł się tego dopuścić, prawdopodobnie chodziło o Rei. Tyle zdążyłam się nauczyć.

Czekała mnie więc kolejna pogawędka z japońską osobą autorską. Oby tym razem ta rozmowa była mniej burzliwa...

W świetle tego, co przekazał mi Liam, zupełnie nie zdziwiło mnie, że wpadłam na Rei w połowie drogi do budynku, w którym mieszkało. Gdy tylko mnie zauważyło, rzuciło krytycznie okiem na kwiat trzymany przeze mnie w dłoni.

– To dla mnie? – zapytało, rozchmurzając się i kładąc prawą rękę na sercu. Równie szybko jednak na powrót spoważniało i spojrzało na mnie z wyrzutem. – Melanie Clark, jeśli naprawdę myślisz, że jeden mizerny kwiatek wystarczy, by zakopać topór wojenny między nami, jesteś w ogromnym błędzie!

I wszystko jasne. To nie było Rei. A skoro tak, chyba wiedziałam, kto za tym stoi.

- Tak mi przykro... - odburknęłam i wrzuciłam kwiat do kosza na śmieci stojącego przy budynku, do którego zmierzałam.

Rei rozwarło usta, ale nie za bardzo wiedziało, co zrobić dalej.

- Wariatka! - rzuciło oskarżycielsko.

- Wariatka? - powiedziałam. - Zobaczysz dopiero wariatkę!

Wyjęłam kwiat z powrotem z kosza, cisnęłam go na ziemię i z całej siły zdeptałam, wcierając podeszwą buta płatki w jasnoszary bruk.



- Dobra, muszę znaleźć Zacka. Idziesz ze mną? - zapytałam Liama po tym, jak zostawiłam zaszokowane Rei za swoimi plecami i wróciłam do pokoju z jednym postanowieniem: odkryć, co tak naprawdę dzieje się na wyspie.

- Raczej spaszuję. Muszę trochę popracować. Ale, tak jak ci obiecałem, po południu możemy...

- To mi nie da spokoju - przerwałam Liamowi. - Znajdę go i o wszystko wypytam.

- W takim razie powodzenia - odparł mój współlokator, bez przerwy wpatrując się w ekran laptopa i zwinnie przebierając palcami po klawiaturze. Z takim tempem pisania zamierzał chyba skończyć całą powieść w jeden dzień.

Było mi trochę przykro, że Liam jednak nie chce do mnie dołączyć. Po cichu liczyłam, że po trudnym początku naszej znajomości staniemy się dobrymi znajomymi. I będziemy mogli na siebie liczyć w trudnych chwilach lub po prostu, gdy zajdzie taka potrzeba. Mnie przydałoby się teraz wsparcie, bo nie wiedziałam, czego się spodziewać po Zacku. Wtedy wzięłam go z zaskoczenia, ale teraz może być już przygotowany na moje przyjście. Być może nawet mnie obserwuje i wie, co zamierzam zrobić. O tym miałam się przekonać niebawem. Dlatego tym lepiej byłoby mieć kogoś u swojego boku.

Życie na szczęście przyzwyczyło mi, że koniec końców trzeba robić wszystko samej. Szczególnie te rzeczy, na których człowiekowi naprawdę zależy. Zostałam sama z próbą pomocy J.D., bo właściwie kto miał mi pomóc? Mama była ciągle w pracy – mimo że zarobiłam sporo na swoim debiucie, ona i tak chciała dalej pracować tak jak wcześniej. Pomaganie ludziom było jej misją, więc nie wyobrażała sobie, że jako pielęgniarka nagle przejdzie na pół etatu lub przestanie dyżurować. Robiła to od zawsze i tak miało dla niej pozostać. Poza nią i J.D. – który czekał na pomoc – nie miałam w życiu żadnych bliskich osób, które mogły mi pomóc. Wylądowałam więc sama na tej wyspie i robiłam, co w mojej mocy, by uratować J.D.

Choć czy rzeczywiście robiłam wszystko, co mogłam? Może tylko tak sobie powtarzałam? Przecież zamiast siedzieć na dupie i pisać – jak zmotywowany do granic możliwości Liam, który chciał po prostu wygrać i zdobyć te cholerne dziesięć milionów dolarów stanowiących zawiązką kwotę dającą nadzieję na zdrowie J.D. – ja właśnie uganiałam się po tropikalnym lesie za nieznanym chłopakiem podającym się za pracownika technicznego *The RITE Show*. A wszystko dlatego, że mu nie uwierzyłam. I że znalazłam piękny kwiat na swoim łóżku. To z kolei doprowadziło mnie do przekonania, że ktoś przed nami – uczestnikami reality show – coś ukrywa i ja muszę się dowiedzieć, co to takiego. Szczerze mówiąc, nie brzmiało to, jakbym robiła chociaż połowę tego, co mogłam, by wygrać...

Zatrzymałam się w miejscu, w którym po raz pierwszy zobaczyłam Zacka. Rozejrzałam się dookoła. Poszłam kilka metrów w prawo, potem w lewo. A potem wróciłam do punktu wyjścia. Mógł być wszędzie. Pokreśliłam się jeszcze przez dłuższą chwilę, wędrując w różnych kierunkach. I nagle dostrzegłam to, co mogło mnie doprowadzić do Zacka: ziemię, na której rosły czerwone kwiaty – identyczne jak ten, który wylądował dziś na mojej poduszce. Czyli dobrze zapamiętałam, że mijałam te rośliny, goniąc uciekającego przede mną chłopaka. Kawalek dalej rosło ich jeszcze więcej.

Szłam ich tropem, aż pomiędzy krzakami zauważyłam coś jeszcze. Żółte płótno. Po kilku kolejnych krokach wszystko było już jasne: to był

namiot! Namiot Zacka? Raczej tak, bo kogóż by innego? Zaczęłam ostrożnie stawiać stopy – tak, by chłopak, jeśli był w środku, mnie nie usłyszał. Chciałam go raz jeszcze zaskoczyć...

Podeszłam na tyle blisko, że nie mógł przede mną uciec. Teraz wszystko zależało od tego, czy naprawdę ukrywał się w namiocie. Zrobiłam jeszcze jeden krok. Coś trzasnęło. Jednak nie pod moimi stopami, a gdzieś z tyłu, za mną.

Błyskawicznie się odwróciłam, szykując się albo do walki, albo do pogoni za osobą, której szukałam. Napięłam mięśnie i... od razu je rozluźniłam. To nie był Zack. To było Rei. Stało i patrzyło szeroko otwartymi oczami to na mnie, to na namiot.

– Rei?! – zapytałam zdumiona.

– Co to jest?! – Rei wskazało namiot, a potem wbiło spojrzenie we mnie. – I co ty tutaj robisz?!

– Równie dobrze takie pytanie mogłabym zadać tobie... Śledzisz mnie? – szepnęłam, zdając sobie sprawę, że przecież ktoś może nas usłyszeć. A jeśli w namiocie był Zack, nici z zaskoczenia go. W tym momencie raczej gorączkowo obmyślał plan ucieczki.

– Dziewczyno, kiedy ktoś mi grozi, biorę sprawy we własne... delikatne dłonie. – Po tych słowach Rei odruchowo zerknęłam na jego dłonie, ukryte pod cienkimi nylonowymi rękawiczkami. Tak, to były bardzo delikatnie dłonie. – Nie wiem, co tym razem zamierzasz odwalić, ale wolałam mieć cię na oku. Jak widać – Rei ponownie wskazało namiot – całkiem słusznie.

– Przecież to nie moje...

– Więc czyje? Widziałam, że kręcisz się po lesie i czegoś szukasz... Czyli, Melanie Clark, wiedziałaś, że tutaj to znajdziesz.

Ton, jakim mówiło Rei, był nieznośny. Stylizowany na sposób artykułowania myśli przez detektywa w typowym serialu telewizyjnym o rozwiązywaniu zagadek kryminalnych. O dziwo, to pasowało do Rei. Niemniej mocno działało mi na nerwy.

- Kilka dni temu w tej okolicy spotkałam chłopaka, trochę starszego od nas...

Nie było sensu kłamać. Skoro Rei już tu było, mogłam wyjawic prawdę kolejnej osobie. Może to i dobrze. A biorąc pod uwagę, że podczas naszej krótkiej wymiany zdań nie zarejestrowałam w namiocie najmniejszego ruchu, w jego wnętrzu nikogo nie było. Nie pozostało mi więc nic innego, jak zajrzeć do środka. Tak też zrobiłam, tłumacząc przy tym Rei sytuację, w jakiej się znaleźliśmy.

- Przekonywał mnie, że jest pracownikiem technicznym, który ma nas nadzorować na wyspie. Wiesz, gdyby wydarzyło się coś złego...

Weszłam do namiotu. Wnętrze było niewielkie. Szczerze mówiąc, można było się w nim nabawić klaustrofobii - nigdy nie przepadałam za małymi, zamkniętymi przestrzeniami. Na podłodze leżał rozłożony śpiwór, obok niego stała torba sportowa, z której wystawały ubrania. Za nią dostrzegłam koszulkę i spodnie, w których widziałam Zacka podczas naszego pierwszego spotkania, kilka naczyń, konserwy i metalowy kubek.

- I co tam jest? - zapytało Rei, zaglądając do środka namiotu zza moich pleców.

- Rzeczy Zacka - odparłam.

- Czyje?

- Zacka, tego chłopaka, o którym mówiłam. - Zanurkowałam w głąb namiotu i wzięłam do ręki koszulkę z podłogi, by pokazać ją Rei, lecz od razu upuściłam ją z powrotem. Była jeszcze ciepła i cała przepocona, zupełnie jakby chłopak dopiero całkiem niedawno ją z siebie zdjął. - Dziwne...

- Co tam jest?

Nie odpowiedziałam Rei. Zamiast tego zajrzałam do sportowej torby i zaczęłam w niej grzebać. Były w niej same ubrania i... portfel! Kiedy już miałam do niego zajrzeć, ktoś szarpnął mnie za ramię. Odwróciłam się błyskawicznie. Rei trzymało palec na ustach, a potem kiwnęło głową w swoje prawo. I wtedy usłyszałam to, co chyba miałam usłyszeć - ciche podśpiewywanie, zupełnie jakby ktoś nieudolnie nucił sobie pod nosem

coś, co brzmiało jak jeden z hitów Harry'ego Stylesa. Śpiew stawał się coraz głośniejszy, a to oznaczało, że ktoś się do nas zbliżał.

Ostrożnie i powoli wycofałam się z wnętrza namiotu, tak by nie narobić najmniejszego hałasu. Rei podało mi rękę, pomagając stanąć na równe nogi. Okazało się jednak, że grunt w tej części wyspy był wyjątkowo podatny na wydawanie z siebie różnych dźwięków, przede wszystkim odgłosu łamanych gałązek. Jedna z nich właśnie złamała się pod ciężarem mojego buta.

Śpiew urwał się w jednym momencie. Zrobiło się tak cicho, że słyszałam spokojny szum morza w oddali. Popatrzyliśmy na siebie z Rei. Sądząc po głośności melodii, gdy jeszcze było ją słyhać, nucać ją osobę – najpewniej Zacka – mogło dzielić od nas najwyżej kilkanaście metrów. Szła od strony morza, a więc stała teraz gdzieś w zaroślach naprzeciwko nas. Gdybym więc pobiegła sprintem przed siebie, najprawdopodobniej bym na nią wpadła. Chyba warto było zaryzykować i ruszyć na oślep.

Niestety osoba, w której stronę zamierzałam zacząć biec, bezbłędnie odczytała moje zamiary. Po lesie rozszedł się odgłos szybkich kroków i trzask kolejnych łamanych gałązek. A zatem ten ktoś zaczął uciekać.

Nie oglądając się na Rei, pełnym pędem ruszyłam za nim. Dystans między mną a gonioną osobą malał proporcjonalnie do tego, jak oddalałam się od Rei w tych dziwacznych chodakach na koturnach, w których Rei poruszało się jak cyrkowiec na szczudłach. Choć uciekinier robił, co w jego mocy, by jakoś mnie zgubić w dżungli porastającej wyspę, był zdecydowanie za wolny i po kilkunastu sekundach biegu pomiędzy rozchylającymi się zaroślami dostrzegłam rude kręcone włosy, które bujały się teraz na wszystkie strony jak małe zardzewiałe sprężynki.

Gdy jednak zbliżyłam się jeszcze bardziej, odkryłam coś niepokojącego. Umykający przede mną Zack był goły! To oczywiście mogło nieco tłumaczyć jego decyzję o ucieczce – wstydził się, że razem z Rei zobaczymy go nagiego... Choć to może nie było na miejscu, ale nie mogłam nie zauważyć, że tak naprawdę nie miał się czego wstydzić. Wyglądał teraz na zwykłego „chłopaka z sąsiedztwa”, tyle że nagiego.

Zakładałam, że brał kąpiel w morzu, do którego miał ledwie kilkadziesiąt metrów, a teraz wracał do namiotu, by się ubrać i wrócić do swoich zajęć – jakiegokolwiek one były. Pech chciał, że trafił akurat na nas.

Fakt, że Zack był roznegliżowany, utrudniał mi podjęcie ostatecznej decyzji, by na niego skoczyć i przewrócić go na ziemię. Tym bardziej że konsekwencją takiego działania byłyby dla chłopaka konieczność wzięcia kolejnej kąpeli w morzu. Cóż, mówi się trudno.

Po przebiegnięciu kilkudziesięciu, a być może kilkuset metrów w głąb wyspy w końcu miałam go praktycznie na wyciągnięcie ręki.

- Zack, zatrzymaj się! - krzyknęłam, mając nadzieję, że jednak pójdzie po rozum do głowy i załatwimy to inaczej niż poprzednim razem.

Nic z tych rzeczy. Chłopak szedł – a właściwie biegł – w zaparte, ciągle najwidoczniej wierząc w to, że może mi uciec.

- Zack, proszę cię po raz ostatni! - ostrzegłam go, z trudem przekrzykując jego ciężki oddech. Był potwornie zmęczony, nogi coraz bardziej mu się plątały.

Tym razem brak reakcji oznaczał, że trzeba będzie go powalić na ziemię. Niemal się z nim zrównałam i popchnęłam tak, by się wyrzucił. Poszło łatwiej, niż mogłam się tego spodziewać. Zack zarył o grunt jak samolot, który stracił nośność. Przekoziółkował kilka razy i zatrzymał się na pniu tropikalnego drzewa, wydając z siebie głośny jęk.

- Ostrzegałam – wydyszałam, zatrzymując się przy nim.

Pochyliłam się, opierając dłonie na biodrach. Przyznaję, ja też trochę się zmachałam.

Zack, gdy tylko nieco doszedł do siebie, natychmiast zasłonił swoje przyrodzenie rękami. Był całkowicie bezbronny. Wyglądał tak, jakby chciał się zapaść pod ziemię, zniknąć pod nią na zawsze. Teraz jednak czekało go złożenie wyjaśnień, potem będzie mógł zrobić, na co będzie miał ochotę – nawet to.

Już miałam zadać pierwsze pytanie, kiedy za moimi plecami usłyszałam szelest. To było Rei, które z trudem przedzierało się przez las w naszym kierunku.

- Tu jesteśmy! - krzyknęłam i pomachałam ręką.

Po kilkunastu sekundach nieporadnego marszu Rei dołączyło do nas. I stanęło jak wryte, gdy tylko dostrzegło Zacka.

- *Mon Dieu!* - wykrzyknęło z typowym dla siebie dramatyзмом, wskazując przy tym na nagiego chłopaka. - Przecież ja ciebie skądś znam!

ROZDZIAŁ 18

Słońce w zenicie roztaczało nad wyspą oślepiający blask, lecz nasza trójka tkwiła w mroku. Dosłownie i w przenośni. Staliśmy w zaroślach, które chroniły nas przed palącymi promieniami słonecznymi, zapewniając cień. Towarzyszyła temu coraz większa niezręczność sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Słońce to metafora światłości, wiedzy i życia, która przeciwstawia się mrokowi, ignorancji i śmierci. Pomyślałam o tym, słysząc histeryczny ton Rei, który zelektryzował mnie i utwierdził w przekonaniu, że mimo moich starań wciąż błędziłam po omacku i tak naprawdę niewiele wiedziałam o tym, co tu się tak właściwie działo.

Bo jakim cudem Rei znało Zacka?! Skąd? Czy już się spotkali na wyspie, czy znają się jeszcze sprzed programu? Zamierzałam zadać zupełnie inne pytania po znalezieniu Zacka. Okazało się jednak, że nowe wątpliwości na wyspie się mnożą, a nawet potęgują. Za każdą tajemnicą czała się kolejna i kolejna – jedna bardziej zaskakująca od drugiej. I zaczynałam już wątpić, czy przyjdzie w końcu czas na jakiegokolwiek definitywne odpowiedzi.

– Po pierwsze, jeśli nie przestaniesz mówić po francusku, coś ci zrobię! To jest po prostu nie do wytrzymania!

No tak, wolałam zacząć od najbardziej palącego problemu. Rozumiałam doskonale, że Rei miało potrzebę robić wokół siebie dużo szumu, wyróżniać się swoimi ekstrawaganckimi strojami z tłumu (nawet gdy żadnego tłumu nie było w promieniu kilkuset kilometrów), zachowywać się jak gwiazda letniego festiwalu muzycznego, manifestując na każdym kroku swoją wyjątkowość. To wszystko dało się znieść, naprawdę. Rei zachowywało się w przesadny sposób, czasami

wręcz karykaturalnie, ale w tej karykaturalności paradoksalnie zawarte było zawsze duże stężenie autentyzmu, który krył się pod przejaskrawionymi pozami i minami. Było tylko jedno „ale”: ilekroć wykrzykiwało coś w języku francuskim, miałam ochotę mu coś zrobić. Jak na razie jakoś dawałam radę to kontrolować, ale powoli zaczynało mi brakować sił...

– A po drugie, jak to go skądś znasz?!

Rei popatrzyło na mnie tak, jakby nie wiedziało, do czego najpierw się odnieść. Moja pierwsza uwaga pewnie zraniła jego ego, więc nie mogła zostać puszczona mimo uszu. Nawet w takiej sytuacji, gdy staliśmy przed nagim dwudziestolatkiem, który kulił się przed nami pod nieznanym mi tropikalnym drzewem.

– Posłuchaj mnie, dziewczyno, bo powiem to tylko raz! Pochodzę z rodziny, o jakiej ty możesz tylko pomarzyć. To trudna rodzina, w której ciężko było dorastać, ale dzięki której jestem częścią kultury japońskiej i kultury francuskiej. Język francuski był moim pierwszym językiem, był językiem mojej matki. Rozumiesz to? To mój język matczysty, nie ojczysty. Używam go w wyjątkowych sytuacjach, z różnych względów, także takich, których nigdy nie zrozumie taka prostaczka jak ty... – Rei spojrzało nagle na mnie z lekkim przerażeniem, z typowym dramatyзмом kładąc dłoń na swojej piersi. – To oczywiście nie miała być obelga, tylko stwierdzenie faktu. Mam nadzieję, że nie weźmiesz tego do siebie.

Rei uśmiechnęło się krzywo, a ja odwdzięczyłam mu się tym samym. Następnie przeniosło spojrzenie na Zacka.

– A co do ciebie... – Rei podeszło bliżej chłopaka i chwyciło jego brodę, a potem zadarło głowę Zacka tak, by na nas spojrzał. – Skąd ja cię znam...

Nigdy w życiu nie widziałam tak intensywnego, przewiercającego na wylot spojrzenia. Brakowało tylko pary wydobywającej się z uszu japońskiej osoby autorskiej dla podkreślenia pracy, jaką teraz wykonywała jej pamięć. Koniec tego wysiłku obwieściła nagła zmiana wyrazu twarzy Rei. Kiedyś w szkole na lekcji antropologii oglądaliśmy

krótki film ukazujący fragment przedstawienia tradycyjnego japońskiego teatru kabuki. Jeden z aktorów odgrywający dramatyczną, pompacyjną rolę miał na sobie mocny i wyrazisty makijaż przypominający maskę. Tak mniej więcej wyglądało teraz oblicze Rei. A to zapowiadało nadchodzącą gwałtowną erupcję.

– To ty jesteś tym stalkerem!

Nagi chłopak wygiął swoje ciało w nienaturalny sposób, wyrывая się z uchwytu Rei. Nie miałam pojęcia, jak Zack to zrobił, ale udało mu się cofnąć jeszcze dalej od nas, choć tuż za jego plecami rosło przecież drzewo.

– Chyba mnie z kimś mylisz – mruknął Zack, grając najwidoczniej na czas.

Rei się zatrzymało, następnie zrobiło krok w bok, potem do przodu, krytycznie i przeciągle przyglądając się chłopakowi.

– Nieee... – Nagła pauza mogła sugerować, że Rei zawahało się na moment. – Nie. Nie, ja się nie mylę. Szczególnie w takich kwestiach. Zaszedłeś za skórę mojej przyjaciółce, genialnej pisarce, Almie Olsen, kojarzysz? Przez ciebie niemal zwariowała, psychopato!

Zack w ostatnim momencie uchylił się przed Rei, które niespodziewanie skoczyło na rudowłosego chłopaka z pięściami. Jak na swoją rachityczną posturę, Rei było zadziwiająco krzepkie. Szamocząc się z nim, pod ubraniem wyraźnie czułam małe, lecz napięte i żyłaste mięśnie.

Pociągnęłam Rei z całej siły, zapierając się przy tym nogami. Z największym trudem odciągnęłam go w końcu od Zacka. Ten siedział ze wzrokiem wbitym w ziemię i pospiesznie pokręcił przecząco głową.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Złapałam oddech, blokując drogę wściekłemu Rei. Było jak rozjuszony buldog. Teraz jednak nie przerażało mnie to tak jak myśli, które zaczęły krążyć po mojej głowie. Jeśli się nie przesłyszałam – a nic na to nie wskazywało – Zack był stalkerem. A ja doskonale wiedziałam, co to znaczy. Sama zmagalam się z jednym z nich od kilku miesięcy. Choć „zmagalam się” to może niewłaściwe stwierdzenie.

Czytałam, jak może wyglądać stalking i mój „stalker” to była wersja „light”. Nie groził mi i moim bliskim, nie prześladował na co dzień i od święta, nie przysyłał prezentów. Po prostu od czasu do czasu pisał do mnie na Ricie, jakimś cudem zdobył też mój adres mejlowy i wysyłał mi długie listy ze swoimi przemyśleniami, które kończyły się mniej lub bardziej zawołanym wyznaniem miłości. Był więc niegroźny – lub tak tylko mogło mi się wydawać, bo nigdy go na szczęście nie spotkałam. Biorąc jednak pod uwagę to, jak zareagowało Rei, Zack należał do kategorii stalkerów w wersji „hard”, co budziło moje obrzydzenie.

W tym wszystkim interesowało mnie jednak coś zupełnie innego: jakim cudem Zack się tutaj znalazł? Czy rzeczywiście był pracownikiem technicznym, który „opiekował się” nami w trakcie *The RITE Show* dzięki temu, że zataił przed producentami swoją przeszłość? Czy może – i taka ewentualność stawała się w moich oczach coraz bardziej prawdopodobna – wcale nie był zatrudniony przez Rite’a... A skoro w przeszłości był stalkerem Almy Olsen, co, jeśli dostał się na wyspę w nielegalny sposób, by być bliżej jednego z nas i śledzić go także tutaj? Tylko czy to w ogóle było możliwe? Jak by się dowiedział, gdzie jesteśmy? W jaki sposób by tutaj przybył? I przede wszystkim: czyim był stalkerem?!

– Zack, czy to prawda? – zapytałam w końcu, próbując zachować spokój.

– Melanie, naprawdę nie mam pojęcia, o czym ono mówi. Mówiłem ci przecież, że jestem...

– Pracownikiem technicznym, tak, wiem – ucięłam to, co zapowiadało się na długi i całkiem niepotrzebny monolog. – Czyli nie jesteś stalkerem?

Chudy rudowłosy chłopak nie odpowiedział natychmiast. Popatrzył ponownie w ziemię, a potem na mnie.

– Nie, nie jestem.

– Kłamca!

Rei znów spróbowało się rzucić na Zacka, ale byłam na to gotowa. Raz jeszcze – choć nie bez walki – udało się utrzymać dystans między nimi.

– Pewnie nawet nie nazywasz się Zack!

– To akurat możemy sprawdzić – stwierdziłam bez chwili namysłu, zwracając się do Rei. – W namiocie jest jego portfel. Jeśli kłamie, szybko się o tym przekonamy. Co ty na to, Zack?

Zanim odwróciłam głowę z powrotem w kierunku nagiego chłopaka pod drzewem, usłyszałam jego łkanie. Miał łzy w oczach i bezradnie pociągał nosem. Teraz to był obraz całkowitej nędzy i rozpacz.

– No dobrze... – wybełkotał na granicy słyszalności.

Kucnęłam. Wyglądał na przerażonego. To była jedna z tych min, które pojawiają się, gdy mamy powiedzieć o sobie coś, czego obiecaliśmy sobie, że nie powiemy na głos. Nigdy. Nikomu. Nigdzie. A to był moment, w którym Zack – czy jakkolwiek nazywał się naprawdę – miał mi wyjawić taki sekret tu i teraz.

– Czyli nie musimy iść do twojego namiotu, by dowiedzieć się prawdy?

– Nie.

– To powiesz nam, kim tak naprawdę jesteś i co tutaj robisz?

Chłopak pociągnął nosem i przytaknął. Nie patrzył ani na mnie, ani na Rei. Gapił się w ziemię, jakby to w niej ktoś zapisał wszystkie odpowiedzi, których zaraz miał nam udzielić.

– Zaczniemy od tego, jak się nazywasz.

– Zack – odparł chłopak i przełknął ślinę. – Nie okłamałbym cię. Nazywam się Zachary Graves.

– Graves... No tak – zareagowało Rei i zaczęło chodzić w kółko. Przypominało więźnia na dziedzińcu więziennym. Dopiero teraz odniosłam wrażenie, że te wszystkie zachowania, słowa, gesty Rei brały się z tego, że ono naprawdę było więzieniem, więzieniem swojej przeszłości. Przeszłości, która niespodziewanie powróciła w osobie Zacka Gravesa. – To byłęś ty. Nazwisko można zapamiętać, twarzy nie.

- A co robisz tutaj? - kontynuowałam swoje przesłuchanie. Lepiej było chyba trzymać się z daleka od tego, co wydarzyło się między Zackiem i Rei (a dokładniej Almą Olsen, o której - być może wstyd się przyznać - nigdy wcześniej nie słyszałam). Nie miałam najmniejszej ochoty znów rozdzielać tej dwójki, a Rei wyglądało tak, jakby szykowało się na rundę drugą.

- Pracuję... - zaczął Zack, ale zdecydowany krok Rei w jego kierunku sprawił, że natychmiast zamilkł i odruchowo osłonił głowę rękami.

- Nie kłam! - zagroziło Rei takim głosem, że lepiej było go posłuchać.

- Jezu, a co mam powiedzieć?! - Zack podniósł głowę i spojrzał na adwersarza. W jego oczach widać było mieszankę złości i bezradności. - Co chcesz usłyszeć?! Że przyjechałem tu dla Melanie?! Że nie chciałem, by cokolwiek jej się stało? By wygrała główną nagrodę i pomogła swojemu najlepszemu przyjacielowi, J.D., bo on na to zasługuje?!

Nigdy w swoim życiu nie zaśląbłam, ale sądzę, że zaśląbnięcie poprzedza takie uczucie, jak to, które towarzyszyło mi w tamtej chwili. Zawroty głowy, odczucie gorąca, nudności, zamazane widzenie. Serce kołatało mi w klatce piersiowej tak głośno, że słyszeli je chyba Rei i Zack. Mój mózg natomiast pracował na najwyższych obrotach, łącząc kwiat na poduszce i groźby wobec Rei właśnie z Zackiem. Teraz to wszystko układało się w całość...

- Melanie, dobrze się czujesz?! - zapytało Rei, jednocześnie w ostatnim momencie łapiąc mnie i chroniąc tym samym przed upadkiem na ziemię.

Moje nogi były jak z waty. Bez wsparcia Rei nie byłabym w stanie utrzymać pionu.

- To ty jesteś moim stalkerem - wydusiłam z siebie, a przed oczami zrobiło mi się jeszcze ciemniej. - To ty jesteś moim stalkerem...

Potem pamiętałam jeszcze tylko, że ktoś położył mnie na ziemi. I twarz Rei nade mną.

Delikatne uderzenie w policzek, a po nim kolejne. To pierwsze, co poczułam, gdy odzyskałam przytomność. Oblicze Rei wisiało nade mną tak jak wcześniej, zasłaniając niemal całe niebo ledwo prześwitujące

przez otaczające nas drzewa. Za Rei stał Zack. Przyglądał nam się z niepokojem. Gdy otwierałam oczy, przez jego usta przemknął cień uśmiechu i ulgi.

- Melanie, słyszysz mnie? - zapytało Rei.

Zamiast odpowiedzieć, cmoknęłam ustami. Zaszło mi w gardle, wargi też były suche. Oparłam się na prawej ręce i spróbowałam wstać, ale znów pojawił się zawrót głowy.

- Lepiej nie wstawaj, dziewczyno...

Rei natychmiast pomogło mi się położyć. Do pomocy ruszył też Zack, ale jedno spojrzenie Rei wystarczyło, by został na swoim miejscu.

- Jak mnie tutaj znalazłeś? - powiedziałam, próbując przy tym nawilżyć wargi śliną. Czułam, jak słowa grzęzną mi w ustach.

- Ja... - wydukał Zack.

- Mów albo zaraz idę po resztę i... - Klęczące nade mną Rei nie dokończyło zdania. Zack przerwał mu, machając dłońmi.

- Nie, nie możecie iść po resztę! Nie możecie nikomu powiedzieć, że tu jestem!

Zack najwyraźniej czegoś się bał. Tylko czego? Spotkał Rei, które niemal udusiło go gołymi rękami. Spotkał mnie - osobę, za którą przybył aż tu, Bóg wie skąd, i która też miała jeszcze z nim rachunki do wyrównania. Kogo lub czego zatem się bał? Producentów programu? Czyżby z nimi też łączyło go coś, co mogło skończyć się dla Zacka nieprzyjemnie? A może załazł za skórę jeszcze komuś z uczestników *The RITE Show*? Cóż, może był nie tylko moim stalkerem...

Przedłużające się milczenie zachęciło go w końcu do udzielenia odpowiedzi.

- Melanie pewnie się wkurzy, ale... - Zack zaczął nerwowo obracać w palcach mały patyk, który znalazł się między nimi nie wiadomo skąd - ...kiedyś w NoStresso Cafe udało mi się podrzucić nadajnik GPS do twojej torby.

- NoStresso?!

Nie, to niemożliwe... A jednak. Przecież w przeszłości drogi Zacka i moja już się przecięły. I to zapewne niejednym razem. Nie rozpoznałam go i gdyby nie wspomniał o NoStresso, gdzie chodziliśmy razem z J.D. na gorącą czekoladę w zimie, nigdy bym tego nie skojarzyła! Zack pracował tam... jako barista. No tak. Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, ale widziałam, jak dwukrotnie przygotowywał nasze zamówienie. Czy wtedy mnie rozpoznał? Chyba tak, bo niedługo po jednym z naszych wyjść do NoStresso zaczęłam dostawać te dziwne wiadomości.

Mój umysł w tamtym momencie dla postronnego obserwatora przypominałby detektywistyczną tablicę ze zdjęciami, kolorowymi nitkami i żółtymi samoprzylepnymi karteczkami z odręcznymi notatkami, na której wszystkie pojedyncze puzzle układanki w końcu idealnie dopasowały się, tworząc spójny i mocno niepokojący obraz.

– Jesteś chory, człowieku! – wrzasnęło Rei, niebezpiecznie blisko podchodząc do Zacka. Ten odruchowo zamknął oczy, jakby spodziewał się nadciągającego już w jego stronę ciosu. Jednak Rei się zatrzymało, najwyraźniej zmieniając w ostatnim momencie swój zamiar. – Przede wszystkim jednak, to nie twoje miejsce. Jesteś nic nieznającym śmieciem bez krzty talentu, który ugania się za uzdolnionymi ludźmi z nadzieją, że i jego poparzy iskra boża. Choć akurat w przypadku Melanie ci to nie grozi, u niej talentu za grosz. – Rei uśmiechnęło się do mnie kpiarsko. Jak nie Liam, to ono, taka już najwidoczniej moja karma. – W rzeczywistości jedyne, co robisz, to niszczysz uzdolnionym ludziom życie. Odeślemy cię więc do twojego świata. Świata przeciętniaków z krzywej Gaussa.

– Nie możecie tego zrobić! – krzyknął Zack, dla odmiany z szeroko otwartymi oczami. – Mówiłem wam, że nie możecie!

– Wybacz, Zachary, ale nie interesuje mnie, co mówisz i na co nam pozwalasz. Zresztą, niby dlaczego nie mielibyśmy tego zrobić?

Zack zacisnął obie dłonie w pięści i cały się spiął. Przez chwilę myślałam, że zbiera się do ataku. Ale to było co innego. Szykował się do wyrzucenia z siebie kolejnej szokującej informacji.

– Aren cały czas jest na wyspie i wiem, gdzie go przetrzymują...

- Przetrzynuj? - zapytała po dłuźszej chwili, gdy w pełni dotarł do mnie sens słów Zacka. Rei chyba nadal przetwarzało to, co powiedział rudowłosy chłopak.

- Tak, przetrzynuj. I możecie mi wierzyć lub nie, ale grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ 19

Idąc ramię w ramię z Rei w absolutnej ciszy i wsłuchując się w ziemię chrzęszczącą pod podeszwami naszych butów, zastanawiałam się, o czym myśli. Żadne z nas nie pisnęło nawet słówka, od kiedy zwiąaliśmy i zakneblowaliśmy Zacka. Rudzielec siedział w swoim namiocie i czekał na naszą decyzję. By ją podjąć, na pewno potrzebowaliśmy czasu. I rozmowy.

Z każdym kolejnym naszym krokiem budynek willi coraz bardziej wylańiał się zza drzew. Do miejsca docelowego mieliśmy więc już dosłownie dwie-trzy minuty szybkim marszem. Zbliżaliśmy się do budynków, w których w błogiej nieświadomości na temat tego, co naprawdę dzieje się na wyspie, funkcjonowali Alice, Enzo i Liam. Jak gdyby nigdy nic ślęczeli nad laptopami, próbując zmierzyć się z wyzwaniem drugiej rundy. Każde z nich nadal marzyło o wygranej w postaci dziesięciu milionów dolarów. Założę się jednak, że żadne z nich nie myślało o tym, co się stanie, gdy zostaną wyeliminowani z programu. Z czym będzie się to wiązało. A nawet jeśli się nad tym zastanawiali, zapewne w najśmielszych fantazjach nie wpadliby na scenariusz, jaki przedstawił nam rudowłosy chłopak.

– Przepraszam za swoje zachowanie.

Nie takiego początku konwersacji z Rei się spodziewałam, ale to miło, że w końcu zdecydowało się przerwać niezręczne milczenie. Trzeba było się zmierzyć z tym trudnym i niewygodnym tematem, który na razie staraliśmy się usilnie obchodzić naokoło. Czułam jednak, że trochę nam zajmie pełne zmierzenie się z nim, patrząc, jak Rei się za to zabierało.

– Które? – dopytałam Rei. Szczerze mówiąc, lista przeprosin do odhaczenia była długa i nie wiedziałam, którą pozycję zaznaczyć.

– Za napaść na Zacka. Coś się ze mną stało.

– Daj spokój. Jestem w stanie to zrozumieć. Nie wiem wprawdzie, o co poszło z Almą Olsen, ale...

– No właśnie, nie wiesz – przerwało mi w pół zdania Rei.

Czekałam na dalszy ciąg wypowiedzi, ale Rei zatrzymało się i zamilkło. Wyglądało tak, jakby układało sobie w myślach po kolei to, co chciało mi zaraz powiedzieć. Tak przynajmniej wnioskowałam po delikatnych, ledwo zauważalnych ruchach jego głowy.

– Nie lubię o tym mówić...

I to było widać. Minę miało, jakby zbierało mu się na wymioty lub jak po zjedzeniu kwaśnej cytryny. Nie był to więc przyjemny widok. Zmienił się też głos Rei. Był niższy, głębszy i... bardziej szczerzy. Tak przynajmniej brzmiał. Być może po raz pierwszy Rei nikogo nie odgrywało, nie zakładało żadnej maski, nie bawiło się w brzuchomówcę. To był jego głos, czego świadectwem była łza w jednym oku. Widok tak rzadki, jak śnieg na pustyni.

– Alma Olsen była dla mnie niczym siostra. Trochę starsza siostra. Tak naprawdę była przyjaciółką naszej rodziny, opiekowała się mną we Francji, zanim została światowej sławy pisarką. Wspólnie pływaliśmy po Morzu Śródziemnym, bo była zapaloną żeglarką, i ja też do dziś żegluję. To ona tak naprawdę nauczyła mnie czytać. Choć to nie była żadna nauka, raczej zabawa dla czteroletniego dziecka. W późniejszych latach nauczyła mnie pisać, wiesz, literaturę. Mówię o prawdziwym pisaniu. Nikt nie zarażał swoją pasją tak skutecznie jak Alma. Uczyłam się pisać, czytając to, co ona pisała, i próbując, oczywiście z początku totalnie nieudolnie, ją naśladować, tak jak potrafiłam. Nieporadne, pełne błędów i nijakie – po latach tak właśnie należałoby zrecenzować moje ówczesne wypociny, które w mojej naiwności i fascynacji Almą wydawały mi się „literaturą”. I to taką przez duże „L”. Jednak Alma nigdy mnie nie krytykowała i nie sprowadzała na ziemię. Pozwalała mi latać na skrzydłach prostoduszności i naiwności. Moja historia to trochę jak

biografia wielkiego strusia lub Wielkiego Ptaka z *Ulicy Sezamkowej*, który zamarzył w dzieciństwie o lataniu i po wielu upadkach z mniejszej i większej wysokości w końcu poleciał. – Rei zaśmiało się, choć w oczach miało łzy. – Z roku na rok moje teksty były coraz lepsze, w pewnym momencie nawet zaczęły naprawdę przypominać to, co zwie się literaturą. W międzyczasie Alma wydała swoją pierwszą i drugą powieść, zaczęła być rozpoznawana w środowisku i poza nim, trafiła nawet do telewizji, ale mimo to była przy mnie i mnie wspierała. Jak młodsze rodzeństwo.

Długa pauza, jaką zrobiło Rei, zapowiadała zwrot akcji opowieści. Towarzyszyła temu też zmiana wyrazu twarzy, z której zniknął uśmiech. Powróciło na nią to, co do złudzenia przypominało makijaż w teatrze kabuki. Wściekłość zmieszana z bezradnością sączyła się też z każdego kolejnego słowa wydobywającego się z ust Rei. Było w tym coś ze skowytu.

– I wtedy w jej życiu pojawił się on. – Rei splunęło na ziemię. – Obserwowanie jej na co dzień przypominało... obserwowanie motyla, który zamienia się z powrotem w gąsienicę. Zaczęła dostawać wiadomości na telefonie, na początku sporadycznie, z czasem jednak zaczęły wyznaczać jej nowy rytm dnia. Pamiętam, jak na spacerach oglądała się przez ramię, bo była przekonana, że ktoś nas śledzi. Bała się, że coś się stanie i jej, i mnie. Z dnia na dzień jej maestria i wdzięk ustąpiły miejsca hysterii i zamknięciu w sobie. Kuliła się coraz bardziej w swoim wnętrzu, aż praktycznie nic z niej nie pozostało. Z tego procesu rozpadu i upadku uchowało się jedynie jej umęczone, puste w środku ciało. Reszta stała się milczeniem. Dosłownie i w przenośni, bo Alma przestała mówić, przestała też pisać. Przez tego zjeba!

Mocne, raptowne uderzenie z całej siły pięścią w stojące tuż obok nas drzewo sprawiło, że aż odskoczyłam. Kiedy Rei oderwał rękę od nierównej powierzchni kory, pojawiła się szkarłatna krew. Kilka jej kropeł skapnęło na ziemię z poszarpanej skóry na kłykciach prawej dłoni.

– Rozumiem... – powiedziałam cicho i dotknęłam ramienia swojego rozmówcy. Przez chwilę myślałam nawet, czy go nie przytulić, jednak

Rei zdecydowanym ruchem umknęło przed moją ręką.

– Nie. Nic nie rozumiesz. Jestem tutaj przez... a może raczej dla Almy. Chcę napisać powieść o niej, o naszej relacji. I o tym, co ją spotkało. Chcę, by wszyscy ludzie mogli o tym usłyszeć. By już nikt nigdy nie musiał cierpieć jak Alma i jak ja, obserwując jej załamanie. – Rei wzięło głęboki wdech. – Spotkanie z Zackiem sprawiło, że...

– Chcesz go zabić – dokończyłam, bo widziałam, że Rei nie ma sił. W odpowiedzi tylko przytaknęło.

– Albo przynajmniej wydać producentom programu – dodało Rei po chwili.

– Ale przecież wiesz, co powiedział Zack. Jeśli to zrobimy...

– Naprawdę mu wierzysz? Naprawdę?! Po tym wszystkim? Po tym, jak cię okłamał, ukrywał prawdę o sobie, śledził cię w Toronto i tutaj? Cały czas mu wierzysz?!

To nie tak. Nie wierzyłam. Nie ufałam mu za grosz. To był kłamca i manipulator. A jednak jeszcze trudniej było mi uwierzyć, że ktokolwiek mógł zmyślić taką historię, jaką Zack opowiedział nam kilkanaście, może kilkadziesiąt minut wcześniej – choć oczywiście mogło się tak zdarzyć, biorąc pod uwagę fakt, że na wyspie przebywało aktualnie kilkoro wybitnych młodych pisarzy i pisarek. Na szczęście z jego pomocą mogliśmy ją potwierdzić. Potrzebowaliśmy na to czasu. Niestety, zamiary Rei wobec Zacka stawały pod znakiem zapytania to, czy uda nam się sprawdzić jego wersję wydarzeń. A gra – przynajmniej zgodnie ze słowami rudowłosego chłopaka – mogła się toczyć o życie Arena.

– Czy mu wierzę? Nie. Ale to nie jest kwestia wiary, Rei! Jeśli chcemy, możemy się przekonać, czy mówi prawdę, czy kłamie!

Miałam jednak wrażenie, że do Rei nic nie dociera. Myślało tylko o jednym.

– Nie obchodzi mnie to, naprawdę, dziewczyno...

Słowo daję – jeszcze raz nazwie mnie „dziewczyną” – a zrobię to samo, co ono zrobiło Zackowi. Tylko w tym przypadku nie ma nikogo

postronnego, kto uchroni Rei przed moim gniewem.

- Sprawiedliwości musi stać się zadość, a ten psychopata musi zniknąć z wyspy. Czy ci się to podoba, czy nie, kapisz?

Świetnie, po japońskich i francuskich wtrętach skutecznie wyprowadzających mnie z równowagi przyszedł czas na wstawki włoskie. Niech mnie ktoś obudzi z tego koszmaru!

- Rei, posłuchaj. Mam propozycję.

Prawda była taka, że nic tu nie mogłam wskórać. Miałam dwie opcje do wyboru: albo narodzić się z resztą, albo grać na czas. Biorąc pod uwagę moje relacje z pozostałymi uczestnikami, wybrałam to drugie. Chciałam uszczknąć na tyle dużo czasu, by sprawdzić, czy Zack mówi prawdę.

A co to oznaczało? Cóż, musiałam razem z nim pójść do odległego o kilka kilometrów miejsca po drugiej stronie ogrodzenia pod napięciem. Tam - zgodnie z zapewnieniami Zacka - znajdował się zakamuflowany podziemny budynek. Rudzielec nie za bardzo wiedział, jaką to miejsce pełni funkcję, widział natomiast, że po naszym pożegnaniu z Arenem poprzedniego dnia nigeryjski pisarz został przywieziony w to miejsce. Nieprzytomny. A może odurzony? Na wózku inwalidzkim, przypiętego pasami, wiozła go dwójka tych samych ludzi, którzy czekali na niego na łodzi, a przed budynkiem stały kolejne dwie osoby, które, jak to określił Zack, wyglądały na „naukowców”. Innymi słowy, miały na sobie białe kitle.

Jakby tego było mało, podziemna budowla z zewnątrz wyglądała podobno na obiekt ultranowoczesny. Do środka prowadził automatycznie otwierający i zamykający się opancerzony właz. Przed wejściem konieczne było podanie kodu na klawiaturze zamka elektronicznego lub zeskanowanie siatkówki oka. A co znajdowało się w środku? Tego nie wiedział nikt. Oczywiście poza tymi, którzy znali kod do wejścia lub mieli odpowiednią siatkówkę oka. Niestety ani Zack, ani ja nie dysponowaliśmy w tamtym momencie ani jednym, ani drugim.

Czym dysponowaliśmy? Wiedzą o tym, gdzie znaleźć ów budynek. A jeśli udałoby nam się go odnaleźć, będziemy mogli się zastanowić, jak do niego wejść, i sprawdzić, co kryje jego wnętrze. I przede wszystkim dowiedzieć się, dlaczego Aren został tam przywieziony na wózku inwalidzkim i czy tylko sprawiał wrażenie odurzonego, czy naprawdę był nieprzytomny. Najpierw jednak konieczne było dotarcie na miejsce.

Wracamy więc do kwestii kupienia sobie czasu, by zbadać, czy Zack mówi prawdę, czy jest notorycznym kłamcą i naciągaczem.

- Daj mi czas do jutra rana. Jeśli wersja Zacka się nie potwierdzi, możemy o wszystkim powiedzieć reszcie i wydać go producentom. A jeśli mówi prawdę, zastanowimy się, co dalej. Co ty na to?

Spojrzałam na Rei, jego marsowe oblicze nie zapowiadało jednak nawet cienia szansy na porozumienie.

- No dobra, do wieczora? - zapytałam w akcie desperacji. *The RITE Show* tak mocno namieszał już w moim życiu i relacjach z pozostałymi uczestnikami, że po prostu musiałam się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Musiałam. Dlatego byłam gotowa spróbować niemal wszystkiego. Złożyłam ręce jak do modlitwy i spojrzałam w gniewne oczy Rei. - Proszę...

Rei westchnęło ciężko i pokręciło głową, jakby nie wierzyło w to, co ma zamiar zaraz powiedzieć.

- Niech ci będzie, dziewczyno... - No dobra, w tej sytuacji musiałam puścić tę „dziewczynę” mimo uszu. Jeśli godzić się w życiu na kompromisy, to tylko na takie. - Masz czas do wieczora, potem jakoś powiadomię producentów. A jeśli nie ich, to całą resztę.

- Tylko do tego czasu nikomu ani mru-mru. Nikomu, obiecaj!

Rei wywróciło oczami. Przytaknęło na znak zgody. Wolałam jednak wytłumaczyć się zawczasu. Bo to nie była jakaś irracjonalna prośba, a właściwie żądanie.

- Zack wspominał coś o tym, że dom jest monitorowany i producenci wiedzą, o czym rozmawiamy, co robimy. O wszystkim. Dlatego na razie milczymy, okej?

- Okej, okej! Ale na twoim miejscu pospieszyłoby się, bo czasu nie masz za wiele. - Rei popatrzyło na zegarek, a ja na słońce, które było nadal wysoko na niebie, jednak przecież nieuchronnie wielkimi krokami zbliżał się wieczór.

A gdy po raz kolejny zostałam sama, poczułam, że coś łączy mnie z tą wyspą. Być może była to samotność, być może poczucie odcięcia od świata i innych ludzi. Niewykluczone jednak, że chodziło o coś jeszcze innego. Zdążyłam się już przekonać, że tu niemal wszystko jest możliwe. A ja już obawiałam się dalszych odsłon tej historii - przede wszystkim tego, co odkryję w tajnym budynku, w którym rzekomo przetrzymywany jest Aren. O ile cokolwiek tam odkryję, a nie padnę ofiarą psychopatycznego stalkera, który obiecał mi pomóc odnaleźć to miejsce.

ROZDZIAŁ 20

Wpadłam do pokoju, żeby się przebrać. W stroju, który miałam na sobie, trudno byłoby się ukryć nawet w dżungli. Nie wiedziałam, na kogo możemy trafić na miejscu, więc lepiej było jednak nie rzucać się w oczy. Brałam pod uwagę możliwość, że Zack kłamie, ale w moim życiu – mimo bardzo młodego wieku – wydarzyło się tak dużo, że wolałam być gotowa na różne scenariusze. Zarówno te rodem z filmów przygodowych, w których bohaterowie mierzą się z nieprawdopodobnymi przeciwnościami losu i wychodzą z nich cało, jak i te charakterystyczne dla filmów grozy, gdzie antagonistą okazuje się coś nie do końca z tego świata i większość bohaterów ginie... Niestety przeczytane przeze mnie książki i filmy klasy B, które namiętnie oglądaliśmy z J.D., nie działały na moją korzyść, żywiąc moją wyobraźnię fantazjami i pomysłami całkowicie nieprawdopodobnymi. Na razie jednak historia Zacka wydawała mi się nieprawdopodobna.

Zaczęłam jej weryfikację od tego, co mogłam sprawdzić już teraz, czyli od nadajnika GPS. Zajrzałam do swojej torby na ramię, z którą się nie rozstawałam – to był urodzinowy prezent od J.D. Czarna torba z napisem w kolorze neonowej zieleni, który obwieszczał całemu światu: „PLANT'S NOT DEAD!”. A do tego odwrócony znak anarchii, tak by wyglądał jak doniczka, z której wyrastają rośliny i drzewa. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Chyba nigdy nie dostałam piękniejszego i bardziej do mnie dopasowanego podarunku. Wydawałoby się, że nie da się przebić dostępu do bota ze sztuczną inteligencją, a jednak J.D. tego dokonał dwanaście miesięcy później. Z tą torbą na ramieniu czułam się kompletna. Dlatego, choć na co dzień starałam się wyznawać minimalistyczną maksymę *love people, use things*, tę jedną rzecz naprawdę kochałam...

Tym trudniej było mi się zmierzyć z myślą, że jej świętość naprawdę została splugawiona przez stalkera, który podrzucił mi do niej mały nadajnik GPS. Jakim cudem tego dotąd nie zauważyłam? Cóż, to był mój odpowiednik kobiecej torebki. Masz taką zawsze pod ręką, a w niej każdą rzecz, która potencjalnie może się przydać w starciu z wrogą rzeczywistością. Jednak tak do końca nigdy nie wiesz, co w niej jest. Bo to jak dziura wiodąca do Krainy Czarów, w którą wpadła Alicja. Zaglądasz do niej i wyciągasz magiczne artefakty – krówkę sprzed trzech lat, na którą miałaś taką ochotę, a o której całkiem zapomniałaś i ta stwardniała i wyschła; widelec, ten jeden z domowego kompletu, który od dawna wydawał się na zawsze stracony; sterty wyblakłych paragonów, wszystkie zaginione długopisy, no i podpaska z rodzaju tych nieekologicznych, której już nigdy nie użyjesz.

Zajrzałam więc do tej krainy niesamowitości, mając nadzieję, że na dnie znajdę wiele podobnych cudów i skarbów, ale że nie będzie wśród nich nadajnika GPS. Niestety – Zack nie kłamał. Był tam, jarząc się nikłym czerwonym światełkiem, właściwie niedostrzegalnym, jeśli nie przyjrzało się mu z bliska. Czyli wszystko to, co mówił Zack, było prawdą. Rudzielec naprawdę podrzucił mi nadajnik w NoStresso i od tamtej pory śledził każdy mój ruch. Przez chwilę miałam wrażenie, że zwymiotuję, ale na szczęście opanowałam się w ostatnim momencie.

Z pewnym rozrzewnieniem przeniosłam wzrok na Liama, ślęczącego nad laptopem. On, Enzo i Alice jeszcze nic nie wiedzieli, nadal skupiali się wyłącznie na wygranej. Dla nich największą i najprawdopodobniej jedyną zagadką było to, kto odpadnie w drugiej rundzie i czy tym kimś będzie jedno z nich. Dlatego w pocie czoła, zgodnie z założeniami producentów pracowali nad kolejną częścią swojej powieści, podczas gdy ja wybierałam się na swoją misję...

- O, hej, Melanie – rzucił Liam. Jego przyjacielski, pozbawiony krytycyzmu i osądu ton nadal brzmiał dla mnie podejrzenie. Cóż, może tam głęboko w środku to naprawdę był fajny i miły chłopak, choć niedawne doświadczenia z Zackiem nakazywały mi najwyższą ostrożność w wydawaniu takich osądów, szczególnie w kontekście mężczyzn.

- Hej - rzuciłam w odpowiedzi, kierując się prosto do garderoby, aby wybrać coś odpowiedniego na misję. Ha, jak to brzmiało! „Misja”.

- I co, znalazłaś tego mitycznego Zacka?

Liam oderwał na moment wzrok od ekranu i przyjrzał mi się podejrzliwie.

- Nie - odpowiedziałam i tym razem to ja nie zaszczyciłam go spojrzeniem. Zachowałam się jak on, choć w moim przypadku wynikało to po prostu z faktu, że nie potrafię kłamać. A już w szczególności patrząc komuś w oczy. Pod tym względem jestem wadliwym produktem XXI wieku, w którym łganie jak z nut bez wątpienia zalicza się do kompetencji przyszłości. Aż dziwne, że nikt w tej całej gamie przedmiotów do wyboru w liceum nie zaproponował nam kursu manipulacji i konfabulacji. Po pierwsze, byłoby to przydatne w codziennym życiu, po drugie, dzięki temu byłabym jeszcze lepszą pisarką - w końcu w tym zawodzie jedyne, co musisz umieć, to doskonale konfabulować...

- To gdzie zniknęłaś na pół dnia?

Nie mogłam się nie zaśmiać. Wyszło jednak trochę bardziej teatralnie, niż zakładałam.

- Proszę, tylko nie mów, że się za mną stęskniłeś...

- A może się martwiłem?

Tym razem prawie się oplułam. Musiałam wyjrzeć z garderoby i zobaczyć, czy Liam mówił na poważnie. Na szczęście nic się nie zmieniło, jego szyderczy uśmieszek przypomniał mi, że na takie cuda nie ma co liczyć.

- Żartuję. Niby dlaczego miałbym się o ciebie martwić? No chyba że ten cały Zack jednak okazałby się psychopatycznym seryjnym mordercą rodem z *Impostora*. To co, powiesz, gdzie byłaś, czy się obraziłaś, że z tobą nie poszedłem? - dowcipkował sobie w najlepsze Liam, ale gdy usłyszałam jego słowa, po plecach przeszedł mi dreszcz. Dwa razy poradziłam sobie z Zackiem, co wcale nie oznaczało, że nie był groźny. A już tym bardziej w sytuacji, w której musiałabym mu zaufać i w pewnym sensie zdać się na niego. Do tej pory po mojej stronie była

przewaga zaskoczenia. W tej nowej sytuacji to on będzie mógł zaskoczyć mnie, jeśli tylko planuje coś takiego zrobić. Jako ukrywający swoją tożsamość stalker zapewne mógłby być do tego zdolny. Do czego jeszcze? Na samą myśl przelknęłam ślinę.

- Halo? Ziemia do Melanie! Słyszysz mnie? - zapytał Liam; widocznie moje milczenie i towarzysząca mu mina zaniepokoiły go na tyle, że pozwolił sobie na kolejne żartobliwe stwierdzenie.

- Jestem, jestem - mruknęłam i wróciłam do garderoby, by dokończyć zmianę ubioru. Dalszą część mojej wypowiedzi już niemal wykrzyczałam, tak by siedzący w sąsiednim pokoju Liam mnie usłyszał: - Trafiłam na trop, który chcę sprawdzić... Może teraz wybierzesz się ze mną?

Po tym krótkim namyśle nad potencjalnymi zagrożeniami ze strony Zacka jakakolwiek wizja wsparcia ze strony drugiej osoby - na przykład Liama - nagle wydała mi się niebywale kusząca.

- Sorry, Mel... - zawiesił głos mój współlokator. - W sumie nie zapytałam, czy w ogóle mogę tak do ciebie mówić, wiesz, „Mel”?

Ooo! To naprawdę słodkie. On ma uczucia i jest skłonny do empatii. Liam chyba jest człowiekiem - takim prawdziwym!

- Wolalabym Melanie, ewentualnie Mela, ale nie wiem, czy jestem na to gotowa...

- Mela? - zapytał, zaciekawiony.

- Urodziłam się w Polsce, tak od zawsze mówiła do mnie mama... i najbliżsi przyjaciele.

- Ach, rozumiem - mruknął Liam.

No tak, ale to zabrzmiało! Choć prawda była taka, że Liam - choć teraz wydawał się bardziej ludzki, niż można było się pierwotnie spodziewać - nie był moim najbliższym przyjacielem. I raczej nie miał szans, by się załapać do tej kategorii.

- Nie o to mi chodziło. Zresztą, nieważne - uciełam temat, bo nie miałam czasu na roztrząsanie statusu mojej relacji z Liamem. - To co, idziesz ze mną?

- No właśnie... Napisałem dzisiaj mniej, niż pierwotnie zakładałem, a jak coś nie idzie mi zgodnie z planem, potrafię być bardzo nieprzyjemny w obyciu... więc może będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli zostaną i popracuję jeszcze trochę.

- Mhm, rozumiem, że jak wszystko idzie zgodnie z twoim planem, jesteś do rany przyłoż. - Teraz to ja pozwoliłam sobie na szyderstwo, choć w tym przypadku było ono w pełni usprawiedliwione. Przynajmniej według mnie.

- Wtedy też bywam trudny, ale nie aż tak. To co, dasz sobie jakoś radę? - zapytał znów niemal troskliwym tonem.

- Do tej pory dawałam, to i teraz dam.

Bo taka była prawda. Przydałoby mi się wprowadzić towarzystwo, ale fakt, że Liam pozostanie w pokoju, miał jeden niezaprzeczalny plus - nie trzeba było go wtajemniczać w całą historię. A nigdy nie wiadomo, jak by na nią zareagował. W końcu był tu dla wygranej i tylko ona się dla niego liczyła. Natomiast kto wie, co moglibyśmy już niebawem odkryć i jak wpłynęłoby to na reality show, w którym braliśmy udział.

Z plecakiem na grzbiecie, w ciemnozielonych spodniach, ciemnozielonej bluzie i wygodnych butach trekkingowych, przedzierając się przez zarośla, szybkim krokiem mknęłam w stronę namiotu Zacka. Pewnie to nie był najlepszy moment na tego typu obserwację, ale w tamtym momencie na nowo odkryłam, jak dobrze mi w zielonym, którego od jakiegoś czasu nie nosiłam. Już zapomniałam, jak idealnie ten odcień współgra z moją urodą. Życie pełne jest niespodzianek - możesz odnaleźć swoją stylówkę, szykując się do samotnej wędrowki ze swoim stalkerem, by odkryć tajemnicę, jaką skrywają przed tobą producenci reality show, do którego zostałaś zaproszona i dzięki któremu możesz uratować życie swojemu najlepszemu przyjacielowi. Jak się okazuje, życie potrafi być o wiele bardziej zaskakujące niż jakakolwiek fikcja, choćby taka najbardziej przemyślana. Bo czy ktoś wymyśliłby taki scenariusz zdarzeń? Krocząc w pojedynkę przez bujny las na odciętej od świata wyspie, byłam przekonana, że podobnej historii nie wymyśliłby nawet „Artie”.

Namiot Zacka stał tam, gdzie poprzednio, a jego jedyny mieszkaniec tkwił posłusznie w środku z rękami i nogami skrępowanymi dwoma paskami od spodni. Podeszłam do niego i wyjęłam mu z ust bieliznę, którą go zakneblowaliśmy razem z Rei (spokojnie, była czysta i należała do niego). Rudzielec łąpczywie złapał oddech, zupełnie jak ryba wyrzucona na brzeg. Oddychał szybko, a gdy nachyliłam się, by sprawdzić, czy nic mu nie jest, odsunął się raptownie. Oczywiście na ile to było możliwe, bo związane ręce i nogi znacznie ograniczały mu możliwość ruchu.

- Nic ci nie jest? - zapytałam na wszelki wypadek.

- I wy się mnie boicie?! - krzyknął Zack, ale głos ugrzązł mu w gardle. Odkaszlnął i przełknął z trudem ślinę.

Sięgnęłam po butelkę z wodą leżącą przy torbie Zacka, a następnie pomogłam swojemu potencjalnemu przewodnikowi po wyspie ugasić pragnienie. Słońce cały czas grzało niemiłosiernie, a namiot przypominał saunę. Już po kilkudziesięciu sekundach czułam, że zaczyna mnie dopadać ból głowy.

- Posłuchaj, rozwiążę ci nogi i stąd wyjdziemy, ale jeśli spróbujesz... - ostrzegłam Zacka, jednak ten mi przerwał.

- Niczego nie spróbuję. Wyjdźmy stąd, bo zaraz się uduszę - wychrypiał w odpowiedzi.

Cóż, mnie też brakowało już powietrza. Ostrożnie rozpięłam więc pasek i uwolniłam nogi Zacka z jego uścisku. Chłopak pomachał nimi, najwidoczniej chcąc się upewnić, że nadal działają jak należy. Zaraz potem pomogłam mu wstać i pokuśtykać na zewnątrz.

- Oszaleliście! Przecież ja wam nic nie zrobiłem! - wykrztusił Zack, cały czas mając problemy z mówieniem.

- Uspokój się, bardzo cię proszę.

Mój opanowany ton zaskoczył zarówno jego, jak i mnie. Intuicja podpowiadała mi, że tylko zimna krew i absolutne kontrolowanie sytuacji może pozwolić mi wyjść z tego wszystkiego cało.

- To nie ja podrzucam obcej mi osobie nadajnik GPS do torby, a potem za nią łażę, wysyłam jej anonimowe wiadomości, aż w końcu przyjeżdżam za nią, Bóg wie jak, na odciętej od świata wyspę, by i tu ją prześladować. Wybacz, Zack, ale jeśli ktoś tu oszalał, tym kimś na pewno nie jestem ja.

- Przyjechałem tu, by się tobą opiekować i cię chronić, nie po to, żeby cię prześladować – bąknął chłopak, próbując w ten sposób wybrnąć z trudnej dla niego sytuacji.

- Ja nie potrzebuję opieki i ochrony, a nawet jeśli, to na pewno nie twojej!

Wszystkie zniewagi i upokorzenia, jakich doświadczył Zack w ostatnim czasie z mojej strony – i ze strony Rei – były najwidoczniej niczym wobec tego, co właśnie powiedziałam. Coś jakby w nim pękło, rozeszły się szwy, którymi wydawał się zszyty, a spomiędzy nich wyrzał prawdziwy Zack, jakiego się nie spodziewałam. Spojrzał na mnie ponuro, z głębokim żalem i czymś jeszcze, czego nawet nie potrafiłam określić słowami.

Choć znałam to coś. Ja też to miałam gdzieś głęboko w sobie, skrętnie ukryte. Jak pewnie każdy człowiek, a przynajmniej w to wierzyłam. Życie to mierzenie się z tym dziwnym, czasami jaśniejszym, a czasami ciemniejszym odcieniem mroku. Czasem chce się wierzyć, że świat jest czarno-biały, ale nie jest. Tak samo jak my...

- Skoro tak, to pewnie nie potrzebujesz już mojej pomocy. Równie dobrze możesz mnie rozwiązać i pozwolić mi wrócić do domu. Nic tu po mnie, skoro ani mnie nie potrzebujesz, ani nie cieszysz się z mojej chęci pomocy.

Teraz to jego chłodny, wyrachowany głos był czymś absolutnie nieoczekiwanym. Nie ukrywam, że wybił mnie z mojej pewności siebie, która zaczęła wznosić się na nieznane mi poziomy. Jego stwierdzenie było jednak jak przekłucie mocno napompowanego balonika. I właściwie wróciliśmy do punktu wyjścia. Najwidoczniej na tej wyspie remis był najlepszym wynikiem, jakiego mogłam się spodziewać – jedyna alternatywa to kompromitująca porażka.

- Tego nie powiedziałam.

- Czego? - zapytał Zack, a w jego głosie nadal pobrzmiwała uraza.

- Że nie potrzebuję twojej pomocy - przyznałam niechętnie. - Obiecałeś zaprowadzić mnie do kompleksu, w którym znajduje się Aren, liczę, że wywiążesz się z umowy.

- Umowy... - mruknął chłopak, uśmiechając się przy tym krzywo. - Raczej wymuszenia po tym, jak Rei niemal mnie uderzyło, a następnie mnie skrzepowaliście i skazaliście na udar ciepłny w rozgrzanym do czerwoności namiocie.

- Posłuchaj, nie mam na to czasu. - Ponownie zdecydowałam się postawić sprawę jasno, tym bardziej że czasu naprawdę było już niewiele. - Zaprowadzisz mnie tam, a puszczyć cię wolno i nie poinformuję nikogo o tym, że tu jesteś. Ani ja, ani Rei. Choć Rei dało nam czas tylko do wieczora, więc...

- Nie zdążymy - powiedział przerażonym głosem Zack. - Nie zdążymy...

- To lepiej już teraz zacznij się modlić, żebyśmy jednak zdążyli. Bo Rei nie odpuści, sam wiesz.

Do rudowłosego chłopaka w końcu dotarło, że to, co teraz robimy, to jego być albo nie być. Rozejrzał się błyskawicznie dookoła. Jego ruchy zdradzały jakiś rodzaj paniki i lęku. W tym pacie, w którym tkwiliśmy, szala na moment przechyliła się na moją stronę, choć doskonale zdawałam sobie sprawę, że jeszcze wszystko może się zdarzyć. Byłam też pewna, że ujawniony przez Zacka mrok w jego wnętrzu da jeszcze o sobie znać. Znacznie szybciej niż mogłabym się tego spodziewać. Mimo to z ulgą przyjął jego słowa.

- Okej, wiem, gdzie musimy iść - stwierdził, po czym popatrzył na mnie. - Nie ukrywam, że byłoby mi łatwiej cię poprowadzić, gdybym miał rozwiązane ręce.

- Nawet o tym nie myśl - odparłam bez namysłu, bo to akurat nie było coś, co podlegało negocjacji. - Lepiej patrz pod nogi, bo ręce będziesz miał skrzepowane przez całą drogę. I to się na pewno nie zmieni.

Zack westchnął, ale się nie klócił. Ruszył w milczeniu w głąb wyspy.
A ja za nim.

ROZDZIAŁ 21

Pierwszy przystanek zrobiliśmy po niecałych dwóch kwadransach marszu. Ogrodzenie pod napięciem na pierwszy rzut oka pozostawało niewidoczne wśród bujnej leśnej gęstwiny. Dopiero kiedy zbliżyliśmy się jeszcze bardziej do płotu, zobaczyłam, że we wszystkich możliwych odcieniach zieleni, które malowały tamtejszy krajobraz, skrywa się coś jeszcze. Określiłabym to mianem furtki – przejścia na drugą stronę wyspy przez ogrodzenie bez konieczności przeskakiwania lub przecinania ogrodzenia. Ledwo odcinające się od reszty płotu drzewi z klamką i elektronicznym zamkiem.

– Jakim cudem... – wydusiłam z siebie i w sumie nie wiedziałam, co jeszcze mogłabym powiedzieć. Bo skąd tutaj taka furtka? A przede wszystkim, skąd Zack o niej wiedział?

Zanim zdążyłam zadać kolejne pytania, mój przewodnik całkowicie mnie zaszokował, każąc szykować zupełnie nową listę zagadnień, które musiałam z nim poruszyć w najbliższym czasie.

– Zero, pięć, jeden, jeden. – Zack wymówił ciąg cyfr bez zastanowienia i najmniejszego zająknięcia. – Sam bym to wpisał, ale, no... – Poruszał rękami, które cały czas były skrępowane paskiem od spodni.

Podeszłam do zamka elektronicznego i wcisnęłam zero i pięć.

– Zero, pięć... I co dalej?

– Jeden, jeden.

Wcisnęłam dwukrotnie klawisz z jedyneką, na klawiaturze zaświeciło się zielone światło i zaraz potem usłyszeliśmy charakterystyczny bzyający odgłos, który zwiastował odblokowanie przejścia. Popchnęłam

furtkę. Druga strona wyspy – cokolwiek skrywała – stała przed nami otworem. To było niesamowite uczucie.

Odwróciłam się do Zacka z uśmiechem i lekko skinęłam głową.

– Dziękuję. Niezależnie od wszystkiego doceniam, że mi pomagasz. Zdaję sobie sprawę, że mogłeś mnie prowadzić w kółko, a ja pewnie i tak bym się nie zorientowała. Mimo to przyprowadziłeś mnie tutaj i pomogłeś przejść na drugą stronę. To wiele znaczy...

– Ale nie na tyle, by rozwiązać mi ręce?

Trudno powiedzieć, czy to było pytanie, czy stwierdzenie. W głosie rudowłosego chłopaka słychać było pogodzenie się z obecną sytuacją. I – jakkolwiek by to zabrzmiało – za to też byłam mu wdzięczna. Cały czas nie mogłam sobie pozwolić na to, by dać mu pełną swobodę ruchów.

– Jeszcze nie.

W odpowiedzi tylko przytaknął i przeszedł przez bramkę, a ja za nim.

– A ty powiesz mi, jak poznałeś kod? Bo to... dość zaskakujące.

– Jeszcze nie teraz – odparł, idąc przed siebie. Cóż, tak jak wspominałam, na tej wyspie można było liczyć co najwyżej na remis. Zresztą nieważne, skąd wiedział. Ważne, że prowadził mnie do miejsca, w którym być może dowiem się nie tylko, co tak naprawdę dzieje się na wyspie, ale także skąd i jak Zack czerpał wszystkie swoje informacje.

Powiedzieć, że w środku lasu panował skwar i duchota, to nie powiedzieć nic. Czułam, jak każdy kolejny krok, każdy pokonany metr w naszej, wydawać by się mogło, niekończącej się wędrówce, przybliży koszulkę, którą miałam na sobie, do stanu stopienia się z moim ciałem. Na ten moment kleiła się do niego, a mój dyskomfort rósł do poziomu, którego absolutnie nie chciałam przekroczyć.

Co gorsza, woda, której kilka butelek na wszelki wypadek wzięłam ze sobą, wcale nie pomagała... Dwie z nich już wypiliśmy – jedną ja, drugą Zack, choć on pił więcej i częściej ode mnie. Miałam jednak wrażenie, że nawadnianie organizmu w takich okolicznościach nie ma sensu. To, co wypiliśmy, natychmiast pojawiała się na mojej skórze. Zupełnie jakby

ciało nie było w stanie zatrzymać wody na dłużej, tylko od razu się jej pozbywało, nasączając potem moje ubrania. Szczerze mówiąc, miałam dość. Ciężkie dyszenie rudzielca człapiącego coraz wolniej przede mną sugerowało, że on też z każdą kolejną chwilą gorzej znosi tropikalny klimat.

Kilkukrotnie stawaliśmy też na dłuższą chwilę, w trakcie której Zack upewniał się, że podążamy we właściwym kierunku. Jak on zachowywał orientację w tym terenie? Na co zwracał uwagę? Czy naprawdę widział jakąś drogę, którą szedł wcześniej, czy jedynie próbował grać na czas? Nie miałam pojęcia. Pocieszała mnie jedynie determinacja, której nie sposób było nie dostrzec. Sprawiał wrażenie, jakby konsekwentnie zmierzał do celu, choć kolejne minuty niewątpliwie odciskały piętno na jego pewności siebie. Przystanki robiły się coraz dłuższe, a jego wzrok bardziej rozbiegany.

- No dobra, chyba musimy odpocząć - zdecydowałam w końcu, choć cały czas miałam z tyłu głowy fakt, że wieczór jest tuż-tuż, a ja mogę tylko zgadywać, jak duży dystans dzieli nas od tajemniczego budynku, o którym mówił Zack. O ile ten w ogóle istniał.

- Jeszcze kawałek, tam dalej jest...

Chłopak nie dokończył, bo bez ostrzeżenia zniknął pośród wysokiej trawy w czymś, co można byłoby określić mianem zagajnika, przez który akurat się przedzieraliśmy.

Niemal w tym samym momencie po okolicy rozszedł się dźwięk, który zmroził mi krew w żyłach. Brzmiał jak ryk dzikiego zwierzęcia. Nerwowo rozejrzałam się dookoła, próbując przewidzieć, z której strony nadejdzie atak. Tętno miałam tak szybkie, że serce bez problemu mogło mi wyskoczyć przez klatkę piersiową. Ciężko było mi zapanować nad oddechem, który również wymknął się spod kontroli. A ponieważ gdzieś tuż przy nas najwyraźniej grasowała wściekła bestia, mój płytki, szybki i zdecydowanie zbyt głośny oddech czynił ze mnie łatwy do namierzenia cel ataku. Znacznie bardziej wyraźny niż Zack, który, wydawało się, w jednej chwili rozpląnął się w powietrzu.

Moje nogi były jak sparaliżowane. Zupełnie jakbym stanęła w bagnie, które zassało je do środka i im bardziej chciałam się poruszyć, tym bardziej zatapiały się w grunt i blokowały mi możliwość jakiegokolwiek ruchu. Stałam więc i czekałam... Jednak atak nie nastąpił. Mijały kolejne sekundy, a ja trwałam w napięciu, panicznie wodząc wzrokiem dookoła – na tyle, na ile pozwalało mi na to moje przerażone ciało.

Nieustannie też nasłuchiwałam. Ryk już się nie powtórzył. Nie było też słycać żadnego, nawet najmniejszego odgłosu. Tylko delikatny szum traw, zaproszonych do leniwego tańca przez ledwo wyczuwalną bryzę. Wieczór był więc znacznie bliżej, niż mogłam przypuszczać. Musiałam zaryzykować...

– Zack... – Próbowałam dobrać głośność szeptu tak, by dotarł do chłopaka leżącego kilka metrów dalej i by jednocześnie mojego głosu nie wyłowiło to coś, czego już nigdy w życiu nie chciałabym usłyszeć.

Zero odpowiedzi, tylko łagodny szum roślin na wietrze, który do grozy całej tej sytuacji dodawał odrobinę upiornej sielskości.

– Zack! – powtórzyłam nieco donośniej. Być może chłopakowi coś się stało i nie jest do końca przytomny. Inaczej trudno byłoby mi zrozumieć, dlaczego nie odpowiada. Musi mnie przecież słyszeć. – Nic ci nie jest?

Jezu, dopiero teraz to do mnie dotarło. A co, jeśli to coś zaatakowało Zacka i dlatego padł w trawę jak rażony piorunem?! Dzikie zwierzę mogło przecież zakraść się w wysokiej trawie i skoczyć na mojego przewodnika w najmniej oczekiwanym momencie. Skoro Zack nie odpowiadał, równie dobrze mogło to oznaczać, że... nie żyje. A ja mogę być następna.

Z trudem przełknęłam ślinę, zebrałam w sobie wszystkie siły i całą energię włożyłam w próbę zrobienia kroku w kierunku miejsca, w którym Zack runął na ziemię. Udało się. Chwila nerwowego nasłuchiwania... Nadal nic. Czas na kolejny krok. Czy to był szelest? Doszedł jakby zza moich ple...

Coś szarpnęło mnie za szyję, odcinając mi dopływ powietrza, które teraz łapczywie próbowałam złapać. Spodziewałam się bólu, ostrych

kłów zatapiających się w moim ciele lub szponów rozzdzierających skórę. Jednak takiego obrotu spraw absolutnie nie przeczuwałam.

Zajął mi dłuższą chwilę, by zrozumieć, że tym, co wrzyna się w moją szyję, jest pasek od spodni, którym Zack miał związane ręce. A to oznaczało, że...

– Rozepnij pasek, a puszcze twoją szyję – wymamrotał mi wprost do ucha rudzielec. Czulałam ciarki na plecach. Przerazające doznanie.

Zaczęłam się szarpać, ale pasek zaciskający się na szyi sprawił, że zrobiło mi się ciemno przed oczami i natychmiast odpuściłam dalszą walkę. W tym przypadku od samego początku stałam na straconej pozycji.

– Rozepniesz?! – Zack stał tuż za moimi plecami, biło od niego pulsujące ciepło, co tylko wzmagало moją panikę.

Pospiesznie przytaknęłam głową.

– A potem nie próbuj za mną iść, to już nigdy się nie zobaczymy... – dodał, a ucisk na szyi nieco zelżał, jednak nie na tyle, bym mogła oddychać bez problemu.

Podniosłam ręce, by sięgnąć do szyi i zarzuconych na nią rąk Zacka skrępowanych paskiem. Musiałam to robić właściwie po omacku, a jednocześnie chciałam się uporać z tym jak najszybciej, by wreszcie złapać oddech, którego tak bardzo teraz pragnęłam. Znalazłam końcówkę paska, zaczęłam ją wysuwać przez szlufkę, a drugą dłonią namierzać klamerkę, by uwolnić swojego prześladowcę.

Nagle do moich uszu doleciał głuchy, tępy odgłos i ucisk na szyi osłabł tak bardzo, że wręcz niekontrolowanie zachłysnęłam się powietrzem. Chwilę później poczułam, jak jakiś ciężar zwała się na moje plecy. Był tak duży, że nie mogłam utrzymać się na nogach. Zaparłam się, jednak właściwie nic nie mogło mnie uchronić przed upadkiem na ziemię pod jego naciskiem.

A jednak coś mnie uratowało. A właściwie ktoś.

– Melanie? Nic ci nie jest?!

Głos Liama otrzeźwił mnie w jednej sekundzie. Był równie zaskakujący, jak niedawny atak Zacka zza moich pleców. Szczerze mówiąc, w tej sytuacji już prędzej oczekiwałam interwencji niebios i anioła stróża – w którego istnienie oczywiście nigdy nie wierzyłam i już pewnie nie uwierzę – niż mojego cynicznego współlokatora, skupionego wyłącznie na pisaniu i wygranu programu. Nie przepadam za niespodziankami, ale ta była całkiem miła.

– Liam?! – Wolałam się upewnić; nie widziałam jego twarzy, a po szamotaninie z Zackiem byłam nieco oszołomiona. – Co ty tutaj robisz?

– Potem! – rzucił Liam. Jego rozedrgany głos brzmiał, jakby chłopak siłował się z czymś resztkami sił. – Na trzy kucnij i połów się na prawym boku...

– Co?!

Nie miałam pojęcia, o czym on mówi.

– Zrób to! Raz, dwa... trzy!

Nie zdążyłam zareagować, więc na „trzy” ugięłam nogi, a potem spróbowałam się położyć na prawym boku. Za sobą usłyszałam rumor. Coś jak ciało, które bezwładnie opada na ziemię. I to chyba był właśnie ten odgłos.

Kątem oka zauważyłam ramię Liama, potem przed oczami przemknął mi pasek i dłonie Zacka. Odturlałam się na bok i położyłam na plecach. Wzięłam głęboki oddech, a potem jeszcze jeden.

Liam stanął nade mną, a potem kucnął tuż przy mnie. Tak, to naprawdę był on.

– Jeszcze kilka dni temu pewnie takie słowa nie przeszłyby mi przez usta, ale... cieszę się, że cię widzę.

Uśmiechnęłam się, a Liam w odpowiedzi tylko się skrzywił – jak to on.

– Wiem, co masz na myśli, bo miałem z tobą podobnie.

– Ze mną?! – Aż poderwałam się z ziemi. – A co ja ci niby zrobiłam?

Nie wiem, co w nim było, ale zawsze potrafił mnie wyprowadzić z równowagi. A zarazem było w nim coś naprawdę fajnego, choć

sprawił wrażenie, jakby za wszelką cenę chciał to ukryć przede mną i przed światem. Fajne było też to, że zjawił się tu i teraz, bo w innym wypadku sprawy mogły się potoczyć zupełnie inaczej.

– Ale o tym za chwilę. Mów lepiej, co tu robisz!

– Jak to co? W pokoju wyglądałaś na totalnie roztargnioną, jakbyś chciała zrobić coś naprawdę głupiego. I, jak widać, całkiem nieźle ci to poszło...

– Więc chcesz mi powiedzieć, że poszedłeś za mną aż tu, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nic mi się nie stanie?

Nie brzmiało to jak coś, do czego był zdolny, ale podobno kto pyta, nie błądzi.

– Bingo. Choć, jeśli mam być szczery, zainteresowało mnie to, że ukryłaś przede mną informację o odnalezieniu tego tu. – Liam delikatnie kopnął butem nogę nieprzytomnego Zacka, który po raz kolejny wylądował twarzą w ziemi i nawet nie zareagował. – Co ty sobie myślałaś, Melanie?! Przecież on mógł ci zrobić krzywdę...

– Nie sądziłam, że jest do tego zdolny...

Liam uśmiechnął się raz jeszcze tym swoim szyderycznym uśmieszkiem i pokiwał głową.

– Nie sądziłaś?! W takim razie mam nadzieję, że nie wybierasz się na studia prawnicze, bo ewidentnie masz problem z osądem ludzi. Po co w ogóle z nim tu przylazłaś? Czy to kolejna tajemnica, którą chcesz ukryć przede mną i pozostałymi osobami, by wpędzić się w jeszcze większe kłopoty, co? – powiedział to z wyrzutem, którego się po nim nie spodziewałam. Przecież do tej pory interesowała go tylko wygrana w programie, nic poza tym. A już na pewno nie interesowałam go ja i to, co robię.

– Mogę być z tobą szczerą?

– Nie wiem, czy zauważyłaś, ale ja wręcz się tego domagam...

Sądząc po jego minie, choć sytuacja była poważna – w końcu mój współlokator całkiem niedawno ogłuszył chłopaka, który mógł mnie udusić – nie przestawał sobie żartować. Chwilę później jednak

najwyraźniej postanowił zrzucić czapkę błazna i raz powiedzieć coś na poważnie.

– A tak na serio, wiem, że jestem specyficzny i mogę być trudny we współpracy... Ale chcę ci pomóc, skoro już tu jestem. Powiedz mi tylko, o co w tym wszystkim chodzi.

– To dość skomplikowane i nie mam teraz czasu, żeby to wyjaśniać. Zdradzę tyle, ile musisz wiedzieć, a resztę opowiem w drodze... Jeśli oczywiście pójdiesz ze mną dalej.

– Zaczynaj może od tego, dokąd mamy iść.

– Do budynku, w którym podobno znajduje się Aren.

Uniesione brwi i szeroko otwarte usta i oczy Liama wyrażały jego zdziwienie. Taka reakcja była do przewidzenia, podobnie jak kolejne jego pytanie.

– Aren nadal jest na wyspie? Jakim cudem?!

– Tego właśnie próbuję się dowiedzieć. Tak jak tego, z kim jest w tym budynku i co tam robią. Mam czas do wieczora, potem Rei poinformuje producentów *The RITE Show* o Zacku... i to może być koniec tego programu.

Ta informacja ewidentnie nie spodobała się mojemu współlokatorowi. Zaczął chodzić w kółko jak ja, kiedy próbuję zebrać myśli. Robił pewnie to samo. Przestał zataczać koła tak raptownie, jak zaczął. Przyjrzał się leżącemu na ziemi Zackowi. A przynajmniej tak mi się wydawało.

– Czy to...?

Liam zawiesił głos i kucnął, a ja podeszłam do niego bliżej. Jego ton sugerował odkrycie na miarę odnalezienia grobowca Tutenchamona w Egipcie. Okazało się, że to coś znacznie mniej okazałego, za to o wiele bardziej szokującego. Mój współlokator ścisnął w palcach żyłkę – przerwana najprawdopodobniej przez Zacka linkę, która przypięta była do jednego z drzew w zagajniku. Gdy mój wzrok padł na koronę drzewa, pośród liści dostrzegłam zakamuflowany głóśnik. I wtedy zrozumiałam,

o co tu chodzi: przecież to właśnie mniej więcej z tego miejsca do moich uszu doleciał dziki ryk, który całkowicie mnie sparaliżował.

Czy w takim razie to było jedynie nagranie uruchomione przerwaniem żyłki przez Zacka? A jeśli tak, czy przypadkiem nie uruchomiliśmy jakiejś pułapki lub alarmu... które sprowadzą na nas kłopoty? Niezależnie jednak od odpowiedzi na te pytania miałam coraz mniej czasu na dotarcie do prawdy o tym miejscu i o *The RITE Show*. Musiałam się spieszyć. A właściwie musieliśmy się spieszyć, bo Liam – po dokonaniu swojego odkrycia – zdecydował się do mnie dołączyć. Nie wiedziałam jedynie, czy to dlatego, że zwyciężyła jego ciekawość, czy naprawdę zaczął się o mnie niepokoić. Tak czy inaczej, ucieszyłam się, że jest tutaj ze mną.

ROZDZIAŁ 22

Gdyby nie Liam, nie dałabym sobie rady z Zackiem ani wcześniej, ani teraz. Choć był chudy, gdy wspólnie nieśliśmy go nieprzytomnego przez tropikalne zarośla i las, jego ciało ciążyło nam niemiłosiernie. Sama już nie wiedziałam, czy bardziej mnie wkurza, gdy jest przytomny, czy gdy jest omdłały. I tak źle, i tak niedobrze.

Teraz najważniejsze było, by jak najszybciej oddalić się od miejsca, w którym rudowłosy chłopak – najprawdopodobniej przypadkiem, ale i z tym mogło być różnie – uruchomił coś, co musiało służyć za rodzaj alarmu lub mechanizmu odstraszającego nieproszonych gości. Nas, jak widać, nie odstraszył, ponieważ zmierzaliśmy w tym samym kierunku, co wcześniej z Zackiem. Liczyliśmy na łut szczęścia, czyli na to, że już za chwilę naszym oczom ukaże się jakiś element nowoczesnego kompleksu ukrytego pod ziemią, o którym wspominał Zack.

Ten niestety się nie pojawiał. Złość powodowana tym faktem rosła we mnie proporcjonalnie do zmęczenia. Z każdym kolejnym krokiem rudowłosy chłopak zdawał się ważyć coraz więcej, choć przecież to nie było możliwe. To my słabiliśmy, tak jak nasza nadzieja. No dobrze, jak moja nadzieja.

Nie miałam pojęcia, jakie emocje towarzyszyły w tamtej chwili Liamowi. Zerkalam co jakiś czas na jego twarz, ale była dla mnie trochę jak sudoku – i jednego, i drugiego absolutnie nie rozumiałam. A z dwojga złego pewnie szybciej połapałabym się jednak w sudoku. Tak czy inaczej, Liam, choć nie mógł się pochwalić posturą Enza czy Arena, dzielnie znosił trud taszczenia Zacka i nie dawał po sobie znać, że jest to dla niego problem. Ale równie dobrze mógł po prostu czuć potrzebę rywalizowania ze mną o to, kto szybciej pęknie i zaproponuje przerwę.

Na szczęście do wszelkich form konkurencji zawsze starałam się podchodzić w zdrowy sposób, dlatego spokojnie mogłam przegrać tego typu zawody.

- Dłużej nie dam rady, jest za ciężki – wysapałam, czując palący ból w mięśniach nóg i ramion. Nie byłam fanką siłowni, chodziłam tam tylko, gdy do treningów na niej zmuszał nas nauczyciel wychowania fizycznego. Pamiętam jednak, że mniej więcej taka zmęczona byłam po godzinnym wycisku siłowym. I czułam niemal identyczny ból mięśni, o których istnieniu do tej pory nie miałam nawet pojęcia.

- To prawda – przyznał mi niespodziewanie rację Liam i zupełnie jakbyśmy trenowali wspólnie od zawsze, niemal synchronicznie wykonaliśmy te same ruchy i zręcznie położyliśmy nadal nieprzytomnego Zacka na ziemi.

Kontakt z podłożem – być może nieco bardziej dotkliwy dla rudzielca, niż zakładaliśmy – najwidoczniej okazał się impulsem powoli wyprowadzającym go ze stanu oszołomienia. Zack zaczął powoli poruszać rękami i głową, a chwilę później mruzczyć coś pod nosem.

- Teraz przynajmniej będzie lżej – rzucił Liam na widok wybudzającego się Zacka, przeciągając się przy tym. Następnie rozejrzał się dookoła.

- Czy ja wiem... – odparłam, przyglądając się niepewnie chłopakowi leżącemu na ziemi, który cały czas był zamroczony i nie orientował się, gdzie jest i co się z nim stało.

- O kurde, chyba to znalazłem!

Podeksycytowany ton mojego współlokatora zdradzał, że wytropiliśmy to, czego szukaliśmy. Liam, jak to on, oczywiście sobie przypisał wszelkie zasługi w tej kwestii, mimo że właściwie dopiero przed chwilą dowiedział się o poszukiwaniach tajemniczego budynku. Takie zachowanie było jednak silniejsze od niego, więc postanowiłam okazać mu wyrozumiałość. Tym bardziej że w ostatnich dniach nie mogłam nie dostrzec pozytywnej zmiany w jego nastawieniu do mnie i czegoś, co nazwałabym „pracą nad sobą”.

Odwrociłam się i podążyłam za wzrokiem Liama. Kilkadziesiąt metrów od otaczającej nas zieleni nieznacznie odcinała się metalowa konstrukcja. By ją dostrzec, należało naprawdę wyostrzyć wzrok, ponieważ budynek pomalowany był farbą w kolorze khaki i zaprojektowany tak, by wkomponowywał się w otoczenie. Przypuszczam, że ani ja, ani mój współlokator nigdy nie dostrzeżelibyśmy go z takiej odległości, gdyby nie ruch przed wejściem do kompleksu. To były dwie osoby, ale z tak dużego dystansu nie sposób było cokolwiek na ich temat powiedzieć. Jedno tylko było pewne: dzięki temu, że miały na sobie jasne ubrania, były widoczne na tle bujnej roślinności.

Od dalszej obserwacji nowo odkrytego miejsca na wyspie zarówno mnie, jak i Liama odciągnęły coraz głośniejsze postękiwania rudowłosego chłopaka, który niemal całkiem już oprzytomniał. Odległość między nami a dwójką osób dostrzeżoną przez nas przed chwilą była znaczna, ale niewykluczone, że mogliby usłyszeć głos Zacka. Podobno wielkie umysły myślą tak samo, nie wiem jednak, czy to właśnie był główny powód, dla którego skoczyliśmy z Liamem w tym samym momencie ku Zackowi, by zasłonić mu usta i uniemożliwić ewentualne zdradzenie naszej obecności w pobliżu kompleksu.

Ręce rudzielca niezmiennie krępował pasek – teraz jeszcze mocniej niż wcześniej – dlatego Zack tak naprawdę niewiele mógł zrobić. Przez chwilę szamotał się, próbując wyrwać głowę z naszego uścisku, ale w starciu z naszą dwójką był bez szans. Szybko więc się poddał, co zakomunikował nam zwieszeniem głowy i przymknięciem oczu.

– Odsunę rękę od twoich ust, ale jeśli piśniesz choćby słowo... – ostrzegłam Zacka głosem, który sygnalizował, że nie żartuję. Po tym, co mi usiłował zrobić, nie było i nie będzie już dla niego żadnej taryfy ulgowej, nigdy. A już szczególnie w takiej sytuacji. – Rozumiemy się? – Wołałam się upewnić, że wszystko jest między nami jasne. Spojrzałam mu w oczy, a on przytaknął. Liam, nie czekając na to, co powiem, powoli odsunął dłoń od ust Zacka. Ten odetchnął pełną pierśią. W panującej wokół ciszy słychać było przyspieszone dudnienie w klatce piersiowej chłopaka, nad którym pochylaliśmy się razem z Liamem.

- To tutaj, prawda? - zapytałam, pomagając Zackowi niezdarnie zebrać się z ziemi i przyjrzeć okolicy.

Potwierdził moje słowa kolejnym skinieniem głowy.

- Mówiłaś, że to tutaj przetrzymują Arena? - Do rozmowy dołączył Liam, którego już wcześniej wtajemniczyłam w to, co dzieje się na wyspie.

- Nie mówiłam, że go „przetrzymują”. Mówiłam, że podobno tutaj go przywieźli zaraz po odpadnięciu z programu. Prawda, Zack?

Spojrzałam na swojego niedawnego przewodnika. Kolejne przytaknięcie.

- Dobra, skoro wiemy, że to coś naprawdę istnieje, możemy pójść po resztę i wrócić tu z Enzem, Alice i Rei - zaproponował Liam.

- Liam, nie szukałam tego miejsca nadaremno. Od początku mojego pobytu w programie dostaję po głowie od wszystkich. Od ciebie też. W ogóle tu nie pasuję i szczerze mówiąc, mam dość. Do tej pory byłam przekonana, że to ze mną jest coś nie tak. Że jestem głupia i w ogóle...

Przerwałam na moment, bo było mi ciężko mówić. Z niemożliwą do przewidzenia mocą wróciło to przerażające widmo tego, że jestem zwykłą oszustką, które kroczyło za mną każdego dnia i zrzucało na mnie wciąż na nowo przytłaczający ciężar trudny do udźwignięcia przez kogokolwiek, a już w szczególności przeze mnie. Na jakiś czas udało mi się wyprzeć to wszystko, zapomnieć, zająć myśli czymś innym. Pewnie właśnie dlatego tu byłam i z tego powodu tak bardzo zamierzałam nalegać, byśmy weszli do środka i odkryli prawdę. Jakakolwiek by ona była. Miałam po prostu nadzieję, że koniec końców to nie ze mną jest coś nie tak, tylko z tym programem i z tą wyspą. Ewentualne potwierdzenie tej nadziei znaleźć mogłam w budynku ukrytym pod ziemią.

Kiedy poczułam, że reakcją na ten emocjonalny wybuch są nieproszone łzy napływające mi do oczu, stało się coś, co się nie zdarza. Przynajmniej nie tu i nie z nim. Liam przytulił mnie, bez żadnego słowa. Stał i ścisnął mnie mocno. Łzy nie pocięły po policzku, oddech

zwolnił, prześladowające mnie widmo, czające się zawsze w pobliżu, ponownie znikło.

- Jasne, rozumiem - powiedział, gdy emocje całkiem opadły. - Pójdziemy tam.

- Teraz? - Wolałam się upewnić, bo chciałam to mieć jak najszybciej za sobą.

- Teraz - odparł spokojnie, spoglądając mi w oczy.

To była sytuacja rodem z Inwazji porywaczy ciał, starego horroru, który oglądaliśmy z J.D. - największym kinomaniakiem, jakiego widział świat - kilka miesięcy wcześniej. W filmie lekarz z małego miasteczka z przerażeniem odkrywa, że mieszkańcy jeden po drugim zastępowani są przez swoje klony pozbawione jakichkolwiek emocji. W przypadku Liama było na odwrót: odnosiłam wrażenie, że w ostatnich dniach ktoś zamienił zimnego, cynicznego siedemnastolatka nastawionego tylko i wyłącznie na rywalizację w obdarzonego empatią i zdolnego do prawdziwych uczuć mężczyznę. Nagłość tej zmiany mogła budzić nie tylko zdziwienie, ale i lęk - czy to aby na pewno ten sam Liam, czy został podmieniony na swojego klona? A biorąc pod uwagę miejsce, w którym się znajdowaliśmy, wszystko było możliwe.

- No to chodźmy!

Trzeba było korzystać z nadarzającej się okazji, bo kto wie, przez jak długi czas mój współlokator był skłonny wytrwać w swojej decyzji. Nie wykluczałam też, że jego przemiana jest tymczasowa i w każdej chwili może powrócić „ten stary Liam”.

- Ale czekaj, chwila... - Mój rozmówca chwycił mnie za rękę, kiedy zamierałam zrobić pierwszy krok w stronę budynku ukrytego wśród zielonej gęstwiny. - Czy my cokolwiek wiemy o tym miejscu?

- To chyba pytanie do Zacka. - Spojrzałam na rudowłosego chłopaka, którego na wszelki wypadek cały czas przytrzymywał Liam.

- Czyli teraz w końcu mogę się odezwać? - odparł Zack tonem obrażonej diwy operowej.

- Lepiej byłoby, żebyś nie tylko się odezwał, ale powiedział wszystko, co wiesz - warknęłam.

W ostatnich dniach miałam chyba podwyższony poziom adrenaliny i to przekładało się na moje reakcje. Znacznie bardziej agresywne, niż mogłabym się po sobie spodziewać. Czy było jednak w tym coś złego? Sama nie wiem. Jakiś czas temu widziałam w sieci mem, który głosił: „Violence is not the answer. It's the SOLUTION”. No i to coraz częściej byłam ja. Tak, chciałabym świata, w którym panuje pokój, akceptujemy siebie nawzajem i wierzymy w moc pacyfizmu. Ale czasami coś we mnie pęka. Wtedy przemoc wydaje się nie tyle odpowiedzią na to, czego doświadczam, co jedynym rozwiązaniem. No bo nie oszukujmy się, są takie chwile, w których po prostu coś nas wkurw... wkurza i wobec tego czegoś pozostaje nam tylko użycie przemocy. Bo niby co innego? To była ta chwila. Przynajmniej sądząc po przestraszonej minie Zacka, która zarazem komunikowała mnie i Liamowi, że możemy liczyć na współpracę ze strony rudowłosego chłopaka.

- Przecież powiedziałem ci wszystko - mruknął. - Nie wiem, czego jeszcze chcesz. Nie byłem w środku, nie mam pojęcia, jak się tam dostać...

- Ale widziałeś, jak wprowadzają do budynku Arena. Wchodzili tamtędy? - Wskazałam miejsce, w którym jeszcze niedawno stały dwie osoby w jasnych ubraniach. Zaniepokoiło mnie, że teraz już ich tam nie było. Zack w odpowiedzi kiwnął głową. Zwróciłam się do Liama: - Widziałeś, dokąd oni poszli?

- Nie. Ale pewnie weszli do środka - odparł Liam.

- Przez automatycznie otwierający się właz - dodał Zack. - Wspominałem ci o nim. - Rudzielec popatrzył na mnie. - Uprzedzając jednak twoje pytanie: nie, nie orientuję się, jak to działa. A biorąc pod uwagę, że macie czas do zmierzchu, a potem Rei poinformuje producentów o mojej obecności na wyspie, na waszym miejscu zebrałbym się z powrotem do willi...

- Może po prostu zakradniemy się tam i spróbujemy wejść, kiedy ktoś będzie wychodził ze środka? - podrzuciłam pomysł Liamowi,

ignorując przy tym sugestię Zacka. Po pierwsze, nie był na naszym miejscu, po drugie, ja na jego miejscu siedziałabym cicho. Szkoda mi było jednak czasu, by zawracać sobie głowę tym, co mówi.

– Melanie, nie żebym nie chciał ci pomóc, ale on ma trochę racji. – Liam wskazał głową na Zacka. – Jeśli nie wrócisz do Rei na czas i nie powiesz o tym, co tutaj znaleźliśmy, to może mieć dalekosiężne konsekwencje...

– Martwisz się, że nie wygrasz *The RITE Show* i nie zdobędziesz dziesięciu milionów dolarów? – rzuciłam w stronę Liama, próbując przy tym go przedrzeźnić, ale nie zabrzmiało to zbyt dobrze. Aż mi samej było głupio, a już tym bardziej po odpowiedzi mojego rozmówcy.

– Nie, do cholery, nie martwię się tym, Mela! Nie obchodzi mnie te pieprzone dziesięć milionów dolarów, nie po to tu jestem, jeśli cię to w ogóle interesuje. Teraz martwię się o ciebie, bo najwidoczniej bardzo ci zależy na rozwiązaniu tej całej – Liam zatoczył rękami koło – zagadki. Jest mało czasu, nic nie wiemy i to po prostu totalnie lekkomyślne zachowanie. Tyle mam ci do powiedzenia.

Wzięłam głęboki wdech. Byłam zła na Liama. Wyjątkowo nie dlatego, że był „straszny kutasem”. Wręcz przeciwnie, ponieważ zamienił się w troskliwego misia, który na dodatek miał rację. I to było absolutnie wkurzające, a już szczególnie w tej sytuacji. Bo jak o tym wszystkim pomyśleć, rzeczywiście byłam lekkomyślna i działałam bez żadnego planu, po prostu parlałam przed siebie jak taran. I szczerze mówiąc, to było głupie, nawet bardzo. Aż bałam się pomyśleć, jak na przykład skończyłaby się moja konfrontacja z Zackiem, gdyby nie Liam... A teraz namawiałam go, żebyśmy najzwyczajniej w świecie weszli do miejsca, o którym nic nie wiedzieliśmy i w którym mogło czekać na nas niebezpieczeństwo.

To był czas na podjęcie jakiejś decyzji. Nie było oczywiście dobrych i złych wyborów, były takie, które mogły być trochę lepsze lub trochę gorsze w zależności od tego, z czyjej perspektywy się na nie spojrzy. W sumie byłam wdzięczna Liamowi za to, że mi to uświadomił. To dzięki niemu wiedziałam już, co zrobię.

– Masz rację. To lekkomyślne. Nie mogę cię narażać. To był mój głupi pomysł, nie twój. Ty, całkiem słusznie, wolałeś się skupić na pisaniu. W końcu po to tu jesteśmy! – mówiłam jak nakręcona, pewnie można mnie było w tamtym momencie wziąć za wariatkę, co sugerował wyraz twarzy Liama. – Dlatego dalej pójdę sama. Zobaczę, co mi się uda znaleźć, a ty weź Zacka i wracajcie do reszty.

Liam zwiesił głowę i ukrył twarz w dłoniach, a potem przejechał nimi w dół po swoich policzkach. Spojrzał na mnie i przygryzł lekko wargę.

– Wykluczone! Mam wrażenie, że w ogóle mnie nie słuchasz...

Zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale mu przerwałam.

– Po pierwsze, nie muszę cię słuchać. Nie jesteś moim ojcem... – zawiesiłam głos. Ale czy ja kiedykolwiek słuchałam swojego ojca? W sumie nie. A samo wspomnienie o nim jeszcze bardziej podniosło mi ciśnienie, którego poziom i tak był wysoki. Całe szczęście Liam nie miał za wiele z nim wspólnego, dlatego szybko porzuciłam tę myśl. – Nie muszę cię słuchać. Pomijając fakt, że mojego ojca też nie słuchałam, i to akurat wyszło mi na dobre. Po drugie, jeśli teraz wyruszycie, na pewno zdążycie przed wieczorem.

– Melanie... – Liam nie dawał za wygraną, ale ja już podjęłam decyzję.

– Nie przekonasz mnie do zmiany zdania. Rozdzielając się, mamy większe szanse i możemy zrobić znacznie więcej. To najrozsądniejszy wybór, jaki mamy w tej sytuacji.

Spojrzałam na Liama. Walczył ze sobą, żeby coś jeszcze powiedzieć. Zobaczył jednak, że nie ma takich słów, które by mnie odwiodły od podjętej decyzji. To było coś, co moja mama zawsze we mnie ceniła. Uwielbiała moją konsekwencję w działaniu, to, że – odwrotnie niż moi rówieśnicy, którzy ciągle zmieniali zdanie i szybko porzucali swoje wybory – trzymałam się kurczowo tego, co raz uznałam za ważne. Dlatego miałam jednego, ale za to prawdziwego przyjaciela – J.D. Wiele lat temu podjęłam decyzję, że chcę być jego przyjaciółką, no i tego trzymałam się do dziś. Oczywiście nie zawsze takie postawienie sprawy jest zdrowe, czasami jest nierozsądne i groźne, bo działa się jakby

z kłapkami na oczach, nie dostrzegając zagrożeń. Liczy się tylko cel. Jak w sytuacji, w której obecnie się znajdowałam.

Ale akurat Liam powinien to rozumieć, on chyba wiedział, jak to jest. Sprawiał wrażenie, jakby znał to z autopsji. Przecież nawet przed naszym przyjazdem na wyspę liczył się dla niego tylko jeden cel i podporządkował mu wszystko, każdą chwilę, każdą swoją myśl. Siedział i pisał, konsekwentnie pracował na wygraną... Zastanawiałam się, czy dalej by to robił, gdyby nie ja. Gdybym nie wyrwała go z przytulnej willi i jego łóżka, w którym uwielbiał pisać i ślęczeć nad swoją powieścią, dopracowując każdy jej szczegół. Zastanawiałam się też, dlaczego tu jest, skoro od samego początku dawał mi popalić i mieszał mnie z błotem, przynajmniej w moim odczuciu. Czy to możliwe, że naprawdę się o mnie troszczy i nie chce, by cokolwiek mi się stało? Może rzeczywiście nie powinnam iść sama do budynku, od którego dzieliło nas kilkadziesiąt metrów. Może jednak powinnam z nim wrócić?

Mój współlokator chyba zauważył moje wahanie, bo spojrzał na mnie raz jeszcze.

- Dzięki za wszystko. - Objęłam rękę Liama swoimi dłońmi i ją ścisnęłam, a potem pocałowałam go w policzek. Chciałam powiedzieć jeszcze coś, ale w ostatnim momencie zrezygnowałam.

Odwróciłam się na pięcie i bez dalszego zwlekania ruszyłam truchtem przez zarośla ku podziemnemu kompleksowi. Żeby podejmować rozsądne decyzje, trzeba być rozsądną osobą. Ja byłam siedemnastolatką, która napisała światowy bestseller przy użyciu algorytmu sztucznej inteligencji, potem ukryła prawdę przed światem i dzięki temu dostała się do śledzonego na całym świecie reality show produkowanego przez firmę Rite, i która nadal ukrywała prawdę o sobie. Można było powiedzieć o mnie wiele rzeczy, ale nie to, że byłam rozsądną osobą skłoną do podejmowania właściwych decyzji.

ROZDZIAŁ 23

Znalezienie się tuż przy wejściu do budynku okazało się dużo łatwiejsze niż można było przypuszczać. Pomocne okazały się bujne zarośla, które na wyspie najwyraźniej miały idealne warunki do wzrostu i w wielu miejscach przypominały wielkie, prehistoryczne rośliny z rycin w podręcznikach biologii. Jeśli coś zapadło mi w pamięć z lekcji biologii w szkole, to głównie te majestatyczne paprocie wielkości domku jednorodzinnego rodem z *Parku Jurajskiego* (gdyby tylko książki do biologii lub chemii były komiksami z fajnymi ilustracjami i dobrze napisaną fabułą, może i ja byłabym w stanie się czegoś nauczyć). Miałam wrażenie, że ta prehistoryczna flora musiała przetrwać miliony lat właśnie tutaj, dzięki czemu miałam zapewnioną idealną osłonę w trakcie przemieszczania się w stronę budynku, który miał mnie zaprowadzić w głąb podziemnego kompleksu.

Było tak, jak zapowiadał Zack: do środka prowadził metalowy właz. Przed wejściem rozwieszono były kamery zapewne monitorujące, kto wchodzi do budynku i z niego wychodzi. Tuż obok włazu zamontowany był panel – coś, co przypominało rozbudowany zamek elektroniczny, który otworzyliśmy razem z Zackiem w drodze tutaj. Nie pozostało mi nic innego, jak zaczekać, aż ktoś wyjdzie ze środka, i spróbować zakraść się do wnętrza niezauważona. Prawdopodobieństwo, że mi się to uda, nie było duże, ale... Nie, tak naprawdę było iluzoryczne i powoli docierało do mnie, że – ponownie, jak to ja – podjęłam złą decyzję. Nie niewłaściwą – złą.

Z tych czarnych myśli wyrwał mnie... dotyk na moim ramieniu. Zawał serca, chyba to dopada człowieka w takich chwilach? Ja byłam na pewno o krok od zawału. Z piersi wyrwał mi się krzyk, to była

automatyczna reakcja w obliczu nieznanego mi zagrożenia. Jednak z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk, ponieważ ktoś je zasłonił. Ktoś, kto stał tuż za mną.

- Nie bój się, to ja.

To był głos... Liama. No tak, oczywiście. Jakże mógłby mnie posłuchać i zrobić to, o co go prosiłam? Musiał przyjść tu za mną i po raz kolejny bawić się w rycerza w lśniącej zbroi ratującego damę w opałach. No dobrze, nie byłam w opałach i nie potrzebowałam ratunku ze strony żadnego rycerza, ale pomoc na pewno by się przydała. Nie mogłam więc powiedzieć, że się nie cieszę, iż przynajmniej Liam był tym z naszej dwójki, kto podjął jeśli nie dobrą, to przynajmniej właściwą decyzję i był tutaj ze mną.

Nie zamierzałam jednak zakomunikować tego wprost, o nie.

- Co ty tutaj robisz?! Miałeś...

- Miałem, miałem. Ale chyba masz nie po kolei w głowie, jeśli myślisz, że zostawię cię tu samą... To znaczy masz nie po kolei w głowie i pewnie tak właśnie myślałaś.

Liam uśmiechnął się krzywo, jak tylko on potrafił. A ja, przyznam, coraz bardziej lubiłam ten uśmiech. Jeśli miał mnie rozmiękczyć, udało mu się.

- Sama się sobie dziwię, że to mówię, ale cieszę się, że tu jesteś.

- Też się dziwię, że to mówisz - mruknął Liam, ale w jego zachowaniu nie było żadnej złośliwości, raczej się ze mną przekomarzał. Podobnie robił J.D., gdy zdarzało nam się o coś sprzeczać, choć to była niezwykle rzadka sytuacja. A kiedy już do niej dochodziło, praktycznie nigdy nie robiliśmy tego na poważnie. Były mrugnięcia, były dziwne miny, ale nigdy nie było złośliwości. Fajnie, że doszliśmy do podobnego etapu z Liamem, biorąc pod uwagę falstart naszej znajomości.

Mój współlokator rozejrzał się, by zyskać ogłęd sytuacji. W tym czasie zadałam jedno kluczowe pytanie, które samo się nasuwało...

- A co z Zackiem?

- Przywiązałem go do drzewa, raczej nigdzie się nie wybierze. Na wszelki wypadek go zakneblowałem. Nie ma więc potrzeby się o niego martwić – odparł Liam, kucając obok mnie i wpatrując się w metalowy wąż oddalony o kilka metrów. – Teraz mamy raczej zupełnie inne dylematy...

- Jak się dostać do środka – dokończyłam myśl mojego towarzysza. – Myślałam o tym, żeby zaczekać, aż ktoś wyjdzie...

- Ale to może potrwać. – Tym razem to on dokończył wypowiedziane przeze mnie zdanie. – Gdyby tylko był jakiś sposób, żeby wywabić kogoś na zewnątrz...

No przecież jest! Liam podsunął mi pomysł, który mógł się sprawdzić w tej sytuacji, ale... nie wiedziałam, czy mu się spodoba. Tym bardziej że mógłby narazić albo mnie, albo jego na niebezpieczeństwo. A przecież tego mieliśmy próbować unikać.

- Jest jedna możliwość...

Liam spojrzał na mnie z wyraźnym zaciekawieniem.

- Zamieniam się w słuch.

- Tam są chyba kamery. – Wskazałam na małe urządzenia zawieszane nad wjazdem. Liam przytaknął, by potwierdzić, że uważa tak samo. – A skoro tak, ktoś pewnie monitoruje wejście... Pytanie, co by zrobił, gdyby zauważył któregoś z nas pod wjazdem. Czy sam by wyszedł lub wysłał kogoś, by zobaczyć, co tu się dzieje?

- Jedno z nas odciągnie od wejścia tego, kto wyjdzie ze środka, a druga osoba wejdzie do budynku i sprawdzi, co tam jest. – Liam znów jakby dokończył moją myśl. Tak naprawdę niebezpieczne było to, że niespodziewanie zaczęliśmy się rozumieć z Liamem niemal bez słów i myśleć w ten sam sposób. Jak w ogóle do tego doszło? – Melanie, no powiem ci, że nie posadzałbym cię o takie pomysły, a tu proszę...

- Myślisz, że warto spróbować? – Liam powiedział to tak, że w sumie nie wiedziałam, jak to interpretować i wolałam się upewnić.

- W tej sytuacji chyba nie mamy innego wyjścia. Ja będę wabikiem.

Przynajmniej w tej kwestii łatwo poszło.

- Na pewno chcesz się narażać? Wiesz, że to może wpłynąć na twoją wygraną?

No właśnie, bo co, jeśli Liam zostanie zdyskwalifikowany? Tego jakoś w ogóle nie wzięłam pod uwagę. Na razie uganiamy się za tym, co dla mnie ważne, a w tym wszystkim przestałam się liczyć z tym, co ważne dla innych ludzi, w tym dla Liama. Gdyby za pomoc mi musiał zapłacić tak wysoką cenę jak eliminacja z *The RITE Show*, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Tym bardziej że wiedziałam, jak mu na tym od samego początku zależało.

Liam zdjął koszulkę, którą miał na sobie, i po raz pierwszy zaświecił przede mną swoją smukłą sylwetką. Wyglądał... całkiem niezłe. No ale przecież nie to było w tej chwili najważniejsze. Następnie rozerwał T-shirt jak szmatę i jedną jej częścią zasłonił sobie twarz w stylu kowbojów z Dzikiego Zachodu, którzy używali do tego celu chust, drugą natomiast obwiał wokół głowy, ukrywając pod nią część swoich włosów. Potem ściągnął mi z głowy czapkę z daszkiem i założył ją sobie tyłem na przód.

- A kto powiedział, że muszą wiedzieć, że to ja? - zapytał Liam.

- Biorąc pod uwagę, że jest nas na wyspie sześcioro, oczywiście nie licząc ludzi w tym budynku - wskazałam na miejsce, do którego próbowaliśmy się dostać - raczej nikt nie będzie miał problemu z rozpoznaniem ciebie.

Do mojego współlokatora dopiero teraz dotarło, że nie jest aż taki sprytny, jak mu się wydawało. Widziałam po jego oczach, jak posmutniał. Musiałam go pocieszyć, choć trochę.

- Ale dobre i to. A poza tym to całkiem niezła stylówka. - Uśmiechnęłam się.

- W takim razie zobaczymy, jak się sprawdzi, tym bardziej że nie ma na co czekać...

Przystaliśmy na to. Liam bez chwili zastanowienia podszedł bliżej wjazdu, kryjąc się w zaroślach, a następnie wyszedł z nich tuż przed kamerami zawieszonymi nad wejściem do budynku. Po prostu tam stał, spoglądając to w jeden, to w drugi obiektyw.

Na odzew nie trzeba było długo czekać. Obwieściła to seria jęków i zgrzytów metalu towarzysząca powolnemu otwieraniu się wjazdu. Jak na filmach, ciężkie drzwi prowadzące do środka podniosły się stopniowo, ujawniając dwie postacie stojące za nimi. Miały na sobie jasne ubrania i wszystko wskazywało na to, że to te same zaobserwowane przez nas osoby, które stały przed wejściem jakiś czas temu. Jednak gdy wjazd rozwarł się nieco szerzej, okoliczności się zmieniły. I to zasadniczo.

Najpierw dostrzegłam wyloty luf, a potem z przerażeniem patrzyłam, jak zza metalowej zasłony wyłaniają się dwa karabiny trzymane przez mężczyzn w jasnych uniformach. Broń?! Po co im broń?! W dodatku karabiny... Peter Forsley wspominał coś o dzikich zwierzętach, na które trzeba uważać po tej stronie wyspy, ale tego typu uzbrojenie chyba nie służy do ochrony przed takim zagrożeniem.

Liam był bliżej wjazdu, więc miał nieco inną perspektywę niż ja. To dlatego zauważył dużo później, że mężczyźni mają w rękach broń. Chciałam do niego krzyknąć, zrobić coś, by go ostrzec, ale to już zupełnie pokrzyżowałoby nasze plany. Miałam więc nadzieję, że chłopak jakoś sobie w tej sytuacji poradzi.

Podobno najlepszą obroną jest atak. Jednak mój towarzysz wybrał inną, znacznie bardziej adekwatną do sytuacji taktykę. Po prostu zaczął uciekać, tak szybko, jak tylko potrafił. A – jak się okazało – biegać potrafił naprawdę szybko. Mężczyźni zostali z tyłu, także dlatego, że musieli dopiero się przecisnąć przez nie do końca otwarty wjazd. A kiedy w końcu rozpoczęli swój pościg, Liam zapewnił sobie bezpieczną przewagę nad nimi. Przynajmniej na ten moment wyglądało, że nic mu nie grozi.

To była jednocześnie ta chwila, w której przyszła kolej na mnie. Mogłam tylko trzymać kciuki za to, że całe zamieszanie z Liamem odciągnęło uwagę osób obserwujących widok z kamer i tym samym pozwoli mi się prześlizgnąć do środka niezauważoną. Odliczyłam szybko do trzech, by dodać sobie otuchy, a następnie rzuciłam się biegiem w stronę wejścia. Tak długo, jak to było możliwe, trzymałam się zarośli i dopiero przed samym wjazdem wyłoniłam się zza nich

i wskoczyłam do środka. I to też był ostatni moment, by znaleźć się we wnętrzu, ponieważ w tej samej sekundzie ponownie rozległy się zgrzyty i jęki metalu, które zapowiedziały zamknięcie się włazu.

Mama J.D. była uznaną architektką. Specjalizowała się w remontach ruder – starych i rozpadających się budynków, w których nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby mieszkać. Nie zmieniała jednak fasady i charakteru budynku, tylko delikatnie je korygowała, a całą swoją energię wkładała w rekonstrukcję i renowację wnętrza. Trochę jak w programie *Dom nie do poznania* – była specjalistką, która potrafiła tak „odpicować” wnętrza, że po wejściu do środka właściciele byli w euforii. Dawniej fantazjowałam, że to ona zaprojektuje kiedyś wnętrze naszego nowego domu, w którym zamieszkamy z mamą, miałam jednak świadomość, że nie będzie nas stać na jej projekt. Teraz, po wydaniu *Impostora*, to było już możliwe i liczyłam, że niebawem stanie się rzeczywistością...

Pomyślałam o tym wszystkim w chwili, w której znalazłam się we wnętrzu budynku. Z zewnątrz bliżej mu było do metalowej rudery niż nowoczesnego projektu architektonicznego – bo właśnie tak wyglądało pomieszczenie tuż za wjazdem: jak z magazynu dekoratorskiego. Jasna drewniana ściana z jednej strony korytarza i ceglana ściana z drugiej, płytki imitujące drewno na podłodze, a do tego dobrane z gustem czarne dodatki to tu, to tam, no i niewielkie obrazy przypominające plakaty rozwieszane wzdłuż holu. Wydało mi się, że jestem w eleganckim lofcie lub poczekalni kancelarii prawniczej, a nie podziemnym kompleksie, do którego wejście stanowił metalowy wjazd. Brakowało właściwie tylko cichej muzyki, jaką zazwyczaj puszcza się w hotelowych lub marketowych windach.

Na szczęście w holu nie było nikogo poza mną. Mogłam więc spokojnie podążać w głąb budynku, aż dotarłam do rozwidlenia. Na ścianie zawieszono były dwie niewielkie strzałki i małe, choć rzucające się w oczy napisy. Podpis pod strzałką kierującą w lewo głosił „BIURA”, a ten pod strzałką kierującą w prawo „LABORATORIA”.

Laboratoria? Brzmiało to co najmniej zaskakująco. Dlaczego przywieziono tu Arena? Zabrano go do części biurowej czy

laboratoryjnej?

Zanim zdążyłam podjąć decyzję, z korytarza po lewej doszły mnie urywki zdań i odgłos kroków, które z każdą chwilą stawały się coraz głośniejsze. To pomogło mi podjąć decyzję. Bez zastanowienia skręciłam w prawo, próbując znaleźć schronienie przed tymi, którzy nadchodzili w moim kierunku.

Jak na złość, nie widziałam żadnego miejsca, w którym mogłabym się ukryć, jedynie długi, prosty korytarz. Przyspieszyłam kroku, by dotrzeć do jego końca, zanim wejdą do niego osoby będące za moimi plecami. Niestety im szybciej szłam, tym głośniejsze były moje kroki na posadzce. I właśnie przez to ktoś musiał mnie usłyszeć, bo kroki w oddali niespodziewanie ucichły. Byłam już przy zakręcie, dlatego przyspieszyłam jeszcze bardziej. Zupełnie jakby były echem moich kroków, do wydawanych przeze mnie odgłosów dołączyły dwie lub trzy pary nóg. Zbliżały się do mnie...

Schowałam się za zakrętem i zamarłam, przywarłszy do ściany. Właściwie w tym samym momencie ustało także echo kroków. Rozejrzałam się. Byłam w kolejnym korytarzu. Tym razem jednak niedaleko mnie znajdowały się drzwi – zwykłe, drewniane. Podkrađłam się do nich najciszej, jak tylko potrafiłam, a potem nacisnęłam klamkę i pociągnęłam ją ku sobie. Odetchnęłam z ulgą, gdy okazało się, że nie są zamknięte na zamek. Wskoczyłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi, słysząc, że odgłos kroków powrócił i ktoś – a nawet kilka osób – bez wątplenia zmierzał w moim kierunku.

Przed zatrzaśnięciem drzwi miałam ułamek sekundy, by przyjrzeć się wnętrzu. Zaraz obok mnie stało duże, wysokie na dwa metry urządzenie. Schowanie się za nim było teraz najlepszym – i tak na dobrą sprawę jedynym – pomysłem, jaki przyszedł mi do głowy. Kiedy więc w pokoju zapanowała absolutna ciemność, po omacku błyskawicznie przeszłam wzdłuż urządzenia i przywarłam do niego plecami, ukrywając się w kącie. Wzięłam głęboki wdech, by uspokoić serce bijące jak szalone i oddech, który także przyspieszył w odpowiedzi na stres.

Moje doświadczenia z napadami paniki w końcu na coś się przydały. Mimo emocji udało mi się uspokoić. Napięcie jednak pozostało.

Czekałam na to, co zaraz się wydarzy...

I wtedy drzwi do pokoju się otworzyły. Zaraz potem ktoś zapalił światło.

- I co? - zapytał wysoki, kobiecy głos.

- Nikogo tu nie ma. Idziemy dalej - odparł inny, który brzmiał, jakby należał do bardzo młodego mężczyzny.

Usłyszałam pstryknięcie włącznika światła i w pomieszczeniu przez moment widoczna była jeszcze łuna wpadająca tu z korytarza, a chwilę później znów zrobiło się całkiem ciemno.

Policzyłam w myślach do dziesięciu, a gdy nic się nie wydarzyło, wróciłam, idąc wzdłuż urządzenia w stronę drzwi. Ręką wymacałam włącznik światła na ścianie i zapaliłam lampy jarzeniowe wiszące tuż pod wysokim sufitem.

„aRTi Module Inside”. Ten napis na boku urządzenia, przy którym stałam, był pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, gdy zrobiło się jasno. A zaraz pod nim widniało... logo firmy GlobAI.

ROZDZIAŁ 24

To, co czułam w tamtym momencie, przypominało abstrakcyjny obraz. Zupełnie jakby malarz rozpryskiwał na płótnie losowe kolory i tworzył z nich dziwaczne esy-floresy, zachwycające krytyków sztuki, ale wprawiające w zakłopotanie zwykłych zjadaczy chleba. Byłam teraz takim zjadaczem, a właściwie zjadaczką chleba, która nie za bardzo rozumiała emocje, jakie jej towarzyszyły.

Czytałam, że są tylko trzy kolory podstawowe (czerwony, żółty i niebieski), ale aż osiem pierwotnych emocji. W dodatku tworzą one przeciwstawne pary: radość – smutek, gniew – strach, wstręt – zaufanie, zaskoczenie – oczekiwanie. Te emocje odczuwamy jak wszystkie inne zwierzęta. Ale jako ludzie funkcjonujący w cywilizacji rozwinęliśmy zdolność do odczuwania o wiele bardziej złożonych emocji. To chyba trochę jak mieszanie podstawowych kolorów, by uzyskać złożoną paletę emocji. To dlatego jesteśmy w stanie odczuwać miłość, zachwyt, rozczarowanie, żal, pogardę, szok czy lęk. W dodatku każda z tych emocji może występować w różnym natężeniu w zależności od sytuacji, w jakiej się znajdziemy.

Teraz miałam w sobie wybuchową mieszankę strachu i zaskoczenia, ale również poruszenia, szoku i niedowierzania. Czułam się tak, jakbym pewnego dnia zamiast CN Tower zobaczyła w centrum Toronto piramidy z Gizy. To byłoby coś, czego nie miałabym prawa i szans zobaczyć w tamtym miejscu, a co jednak by się tam znajdowało wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi.

Stałam i gapiłam się na te dwa napisy: „aRTi Module Inside” oraz „GlobAI”. Czy to w ogóle możliwe? Może ja śnię? Bo jakim cudem na małej wysepce na Pacyfiku, na której trwał właśnie reality show dla

młodych pisarzy i pisarek z sześciu kontynentów, znalazło się urządzenie, w którym najprawdopodobniej wbudowany był bot aRTi? Ten sam bot, z którego korzystałam, pisząc *Impostora*. To przynajmniej zdawał się sugerować napis na urządzeniu. A może to była tylko zbieżność nazw? Może wcale nie chodziło o bota i istniała na świecie jeszcze jedna firma o nazwie GlobAI? Okej, założmy, że tak właśnie było. Jakim jednak cudem na tej małej wysepce znalazł się podziemny kompleks z laboratoriami i urządzeniami, oznaczonymi w sposób, który sugerował, że jest to urządzenie wykorzystujące sztuczną inteligencję? Bo co do tego, że znajdowałam się w gabinecie lekarskim, nie było dwóch zdań. Na środku niewielkiego pomieszczenia znajdował się fotel przypominający ten, który od najmłodszych lat wywoływał mój lęk zaraz po przekroczeniu progu gabinetu dentystycznego. Na nic były znieczulenia, na nic uśmiech asystentki dentysty. Fotel dentystyczny od zawsze kojarzył mi się z narzędziem tortur. Podobne skojarzenia i odczucia miałam, patrząc na stanowisko zajmujące centralne miejsce w tym pomieszczeniu.

Przyjrzałam się mu z bliska. Z podłokietników po obu stronach zwisały skórzane pasy, zupełnie jakby... przypinano nimi czyjeś ręce do fotela, uniemożliwiając temu komuś jakkolwiek ruch. Być może więc skojarzenie z narzędziem tortur wcale nie było tak odległe od rzeczywistości, jak mogłoby się wydawać. Na samą myśl o tym przełknęłam ślinę, szczególnie że byłam tu całkiem sama i w razie czego nie mogłam liczyć na ratunek.

Mój wzrok podążył ku oparciu fotela. Przypięte do niego było małe urządzenie, z którego wychodził gąszcz różnokolorowych kabli, z których część nikięła pod ziemią, a część podłączona była do urządzenia z napisem „aRTi Module Inside”.

Nic z tego nie rozumiałam. Nie miałam pojęcia, do czego to wszystko służy i jakim cudem znalazło się na wyspie, niedaleko miejsca, w którym mieszkaliśmy i rywalizowaliśmy ze sobą w *The RITE Show*.

To nie mógł być przypadek. Zresztą, podobno „przypadki” oznaczają, że jesteśmy na dobrej drodze. Odnajdujemy to, co powinniśmy odnaleźć, spotykamy ludzi, których powinniśmy spotkać. Przypadki to

nic innego jak drogowskazy na kursie, który – często nieświadomie – obraliśmy w życiu. To te drobne okruszki, które w baśniach dla dzieci rozsypuje wszechświat, by wiodły ich bohatera do jego celu, powołania, przeznaczenia. Nieważne, jak to nazwiemy, ważne, że wiemy, o co chodzi. Przynajmniej w to wierzyła moja babcia, ona tę wiarę przekazała mojej mamie, a moja mama zaszczerpiła ją mnie.

Przeszłam wzdłuż pozostałych trzech ścian. Przy dwóch z nich na biurkach stały wyłączone komputery. Do każdego podłączone były po dwa duże, panoramiczne monitory. Na trzeciej ścianie stała wysoka, metalowa szafa. Pociągnęłam za jej drzwi, ale były zamknięte. Spróbowałam nią poruszyć, by usłyszeć, co jest w środku. Była ciężka i ani drgnęła. Podjęłam jeszcze jedną próbę i napałam na nią z całej siły. Wtedy poruszyła się nieznacznie, w środku zadzwoniło szkło.

Poza tym w pomieszczeniu nie było nic innego. Zakradłam się więc do wyjścia, które prowadziło na korytarz. Wyłączyłam światło w laboratorium i delikatnie uchyliłam drzwi. Wyjrzałam na zewnątrz. Korytarz wyglądał na pusty, nie było też słychać żadnych kroków. Innymi słowy, droga była wolna. Pytanie brzmiało: dokąd prowadzi? Do Arena, który podobno tu był, czy na zewnątrz, by przekazać reszcie, co znalazłam?

Niestety, gdy tylko ruszyłam w głąb korytarza, by sprawdzić, czy w którymś z kolejnych pomieszczeń nie znajdę wyeliminowanego uczestnika *The RITE Show*, z naprzeciwka doszły mnie urywki ożywionej rozmowy. Na chwilę zamarłam, czując, jak moje nogi zaczynają drżeć wbrew mojej woli. Po chwili dołączyły do nich ręce. Wzięłam głęboki wdech, a potem natychmiast zawróciłam i biegnąc najciszej, jak tylko potrafiłam, skierowałam się w stronę wyjścia z budynku. Teraz wiedziałam, że jeśli mam odnaleźć Arena, na pewno nie dam sobie rady sama. Potrzebowałam czyjś wsparcia. Liama, Enza, Rei lub Alice. Wszystko jedno, ale ktoś musiał tu ze mną być.

Pobiegłam z powrotem dokładnie w tym kierunku, z którego tu przyszłam. Na szczęście droga nie była skomplikowana. Wystarczyło tylko... wrócić do wjazdu. Kłopot w tym, że teraz już go ktoś pilnował. Gdy wyjrzałam zza rogu korytarza, przed zamkniętym wyjściem

z budynku stały dwie uzbrojone osoby. Najprawdopodobniej te same, które jakiś czas temu ruszyły w pościg za Liamem. Jedna z nich kręciła się, jakby nie mogła znaleźć sobie miejsca.

– Możesz przestać? – spytał wyraźnie poirytowanym głosem starszy z dwójki mężczyzn. Był po trzydziestce i miał brodę i długie włosy. Przypominał członka gangu motocyklowego, tyle że bez skórzanej kurtki, za to w jasnym uniformie.

– Dostanie nam się za tego chłopaka – mruknął ten młodszy, a ja odetchnęłam z ulgą, bo to oznaczało, że nie dorwali Liama.

– Przecież i tak wiadomo, kto to był. Nie ucieknie z wyspy. Góra zrobi z tym porządek, spokojnie. My zrobiliśmy swoje – odparł ten drugi. – A na razie idę się odlać. Przynieść ci coś?

Starszy z mężczyzn ruszył w moim kierunku, a to nie wróżyło niczego dobrego.

– Nie... Albo weź mi kawę, jeśli możesz.

– Czarną? – zapytał ten, który zmierzał w moją stronę. Teraz stanął i spojrzał w kierunku swojego kolegi. – Bo potem idziemy wiesz po co...

To była jedyna szansa, by spróbować przebiec do drugiego korytarza – tego, który wiódł do „biur”, czymkolwiek one były. Wzięłam głęboki wdech, na moment przymknęłam oczy, by się skupić, a potem pobiegłam. Co miało być, to będzie.

– Wiem. Tak, czarną... – usłyszałam jeszcze za swoimi plecami.

A to oznaczało, że jakimś cudem mnie nie zauważyli. Nie zatrzymałam się jednak. Pobiegłam do końca korytarza, tak by ukryć się za jego rogiem i zastanowić się, co dalej. Tym bardziej że moja sytuacja niespodziewanie jeszcze bardziej się skomplikowała...

Czułam teraz dwie sprzeczne emocje. Z jednej strony cieszyłam się, że mój współlokator najwidoczniej umknął pościgowi i był bezpieczny. Wołałam nawet nie myśleć, co by było, gdyby mężczyźni użyli karabinów. Liam byłby bez szans. Z drugiej martwiłam się, że jestem zamknięta w tym przeklętym budynku, bo jedyna znana mi droga ucieczki została odcięta. Trzeba było poszukać innego wyjścia.

Rozejrzałam się po korytarzu. Gdziekolwiek bym poszła, wszystko wyglądało tak samo. Z zamyślenia nad tym, co teraz zrobić, wyrwał mnie wrzask. Dobiegał z oddali, zza moich pleców, a więc z części laboratoryjnej. W odpowiedzi na ten dźwięk pojawiły się kolejne odgłosy – przede wszystkim pokrzykiwanie. A przynajmniej tak to brzmiało. Poczułam się jak w horrorze. Nie mogłam się uwolnić od tego wrażenia, a spotęgował go kolejny wrzask.

To chyba naturalne, że w mojej głowie pojawiła się gonitwa myśli. A co, jeśli jednak ktoś złapał Liama i to on tak krzyczy, bo teraz robią mu krzywdę? Jeśli nie on, to może Aren, który podobno jest tu przetrzymywany? Ewentualnie był też Zack, którego przecież ktoś mógł znaleźć i zaciągnąć tutaj, by dowiedzieć się, co robi na wyspie i co wie o tym miejscu... Nie było oczywiście szans, żebym cokolwiek wskórała tu sama. Wydostanie się z budynku było więc absolutnym priorytetem.

Wrzaski i krzyki widocznie doszły nie tylko do moich uszu. Z naprzeciwka też ktoś nadchodził, a to oznaczało, że nie miałam gdzie uciec. W korytarzu było kilkoro drzwi. Zaczęłam więc w panice naciskać klamki, by schować się w którymś z pomieszczeń. Jak na złość wszystkie drzwi były zamknięte, a sądząc po głosach, nadchodzące z naprzeciwka osoby znajdowały się coraz bliżej mnie i już za moment mogły wyjść zza rogu.

Rozpaczliwie nacisnęłam klamkę ostatnich drzwi, jakie miałam do wyboru. Chyba nigdy w życiu nie czułam takiej ulgi i wdzięczności jak wtedy, gdy zamek ustąpił, a drzwi uchyliły się do środka pomieszczenia. Myślę, że podobne uczucia mogłyby mi towarzyszyć, gdyby udało mi się pomóc J.D. – to był ten poziom emocji i adrenaliny buzującej w całym moim ciele!

Zamknęłam za sobą drzwi, przywarłam do nich plecami i spróbowałam wyrównać oddech. Był taki okres w moim – krótkim przecież – życiu, kiedy lubiłam czuć adrenalinę, a różne wariactwa z J.D. wywoływały uczucie euforii, sprawiały, że krew szybciej krążyła po organizmie i uderzała do głowy. Teraz jednak poczułam, że jestem już za stara na takie historie. Oddałabym w tej chwili wszystko, by wrócić do domu – do swojej mamy, zaparzyć dla siebie i dla niej białą

herbatę z malinami, usiąść wspólnie przed telewizorem, przykryć się kocem, odpalić Netflixa i urządzić sobie stary dobry maraton serialowy. Tak w skrócie wyglądało szczęście. Nieszczęściem była natomiast moja obecna sytuacja.

Głosy na korytarzu minęły pomieszczenie, w którym się ukryłam, odważyłam się więc zapalić światło. Byłam w schowku na miotły i mopy. No tak, żadna, nawet najbardziej zaawansowana technologicznie budowla nie może się obyć bez czegoś tak prozaicznego jak ten pokój. Kilka szafek, na nich detergenty, płyny, chemikalia, obok półki z myjkami i szmatami.

Świetnie, co teraz? Wyjście na korytarz, na którym znów mogłam na kogoś wpaść, odpadało. A jeśli nie to, co w takim razie? Mój wzrok zatrzymał się na... kratce wentylacyjnej. W *Impostorze* „Artie” wykorzystał ją w kluczowym momencie fabuły, pozwalając głównemu bohaterowi wymknąć się oblławie. Pamiętam, jak bardzo spodobał mi się ten pomysł i żałowałam, że sama na coś takiego nie wpadłam. Choć przecież to nic oryginalnego, wiedział o tym każdy, kto choć dwa razy widział jakikolwiek film akcji – bez kratki wentylacyjnych pozwalających wejść gdzieś niezauważonym lub skądś dyskretnie wyjść żadna sensacyjna fabuła nie miałaby racji bytu.

Kratka była dość spora i z miejsca, z którego na nią patrzyłam, wydawało mi się, że mogłabym się przez nią przecisnąć. Szkopuł w tym, że była umiejscowiona wysoko, niemal tuż pod sufitem. Nie dosięgałam do niej nawet po stanięciu na wiadrze od mopa. Była jednak jeszcze jedna opcja. Teoretycznie mogłam wdrapać się po półkach szafki ustawionej przy ścianie i bez problemu się do niej dostać. Pytanie tylko, czy szafka to wytrzyma i czy się nie przewróci – bo nikt niestety nie pomyślał o tym, by przytwierdzić ją do ściany.

Innej drogi jednak nie było, dlatego postawiłam nogę na pierwszej półce, podciągnęłam się na rękach i zarzuciłam nogę na drugą półkę. Szafka jęknęła i niepokojąco się zakołysała, wychylając się w moją stronę. Odruchowo zamknęłam oczy, jakby to mogło mnie uchronić przed wielkim, ciężkim meblem leącym w moją stronę. Na szczęście, gdy ponownie otworzyłam oczy, szafka stała na swoim miejscu.

Powtórzyłam tę samą sekwencję ruchów, ale już z większym wyczuciem, dzięki czemu metalowa konstrukcja ledwo się poruszyła. Pozostała ostatnia półka. Wdrapałam się na nią i sięgnęłam do kratki wentylacyjnej. Pociągnęłam ją, ale ani drgnęła – w przeciwieństwie do szafki, która zatoczyła się, jakby była pijana, a ja z trudem zachowałam równowagę.

Miałam tak naprawdę jedną jedyną szansę, by pociągnąć kratkę z całej siły i spróbować się złapać krawędzi szybu wentylacyjnego, zanim spadnę. Z moją gracją i zwinnością – to było bardzo trudne do wykonania. Z drugiej strony napisanie dwudziestu stron powieści w jedną noc też wydawało się nierealne, a jednak mi się udało.

Po raz kolejny tego dnia odliczyłam do trzech, a następnie włożyłam całą swoją energię w to, by wyrwać kratkę z szybu. Ku mojemu zaskoczeniu to naprawdę się udało. Zachwyciłam się sobą tak bardzo, że niewiele brakowało, a bym zapomniała, co dalej. W ostatnim momencie odbiłam się nogami od przewracającej się już szafki i dosięgnęłam rękami krawędzi szybu. Metalowa szafka upadła z głośnym łoskotem, a ja mogłam się tylko modlić, by nikt tego nie usłyszał.

Podciągnęłam się, ale moje ręce były za słabe. Wierzgałam nogami w powietrzu, nie mając pojęcia, co zrobić, i czując, jak mój uchwyt słabnie. W końcu udało mi się oprzeć stopy o ścianę i zyskać w ten sposób punkt oparcia. Spróbowałam zrobić krok po ścianie – to też się udało! Podobno do wielkich celów dochodzi się małymi kroczkami. Tak też właśnie teraz zrobiłam. Krok po kroku wspierałam się na tyle, by w końcu wgramolić się do szybu. Dopiero gdy to zrobiłam, poczułam, że moje ręce i nogi są jak z waty. Przez dłuższą chwilę mogłam tylko leżeć i ciężko oddychać w ciemnym szybie wentylacyjnym, w którym zresztą ledwie się mieściłam.

Powiedzieć, że byłam tym wszystkim wyczerpana, to nie powiedział nic. Chciało mi się płakać. Teraz już naprawdę chciałam do mamy, zupełnie jakbym znów miała kilka lat, a jej uścisk nadal łagodził wszelkie życiowe niedogodności. Pewnie dlatego absolutnie nie pamiętam nic ze swojej podróży szybami wentylacyjnymi. Po prostu szłam przed siebie, próbując się nie rozbeczeć. W pewnym momencie

trafiłam wreszcie na kratkę, przez którą zobaczyłam piękną, bujną roślinność wyspy. Kilka zdesperowanych kopniaków później byłam już na zewnątrz, nieporadnie próbując odnaleźć trasę powrotną do naszej willi. Nie wiem, jak długo błąkałam się po lesie, wiem tylko, że zaczęło robić się ciemno, a moje nogi i całe ciało odmówiły mi posłuszeństwa. Siadłam pod drzewem, ukryłam głowę w przedramionach opartych na nogach i zaczęłam łkać. Tylko na to miałam jeszcze siłę.

A potem usłyszałam jego głos.

– Melanie, to ty?!

ROZDZIAŁ 25

Nie, to nie był Liam, choć to jego bym się tu spodziewała. Nie był to również Zack.

- Enzo? - Nawet nie próbowałam ukryć swojego zdziwienia. - Co ty tutaj robisz?!

- Tak się cieszę, że nic ci nie jest...

Nie wiem, jak on to robił, ale zawsze - niezależnie od sytuacji, w jakiej się znajdowaliśmy - wyglądał, jakby właśnie zszedł z wybiegu dla modeli. Idealnie wystylizowane włosy, nienaganna opalenizna, no i sylwetka godna okładki magazynu mody. A teraz jeszcze błyskawicznie zdjął z siebie lekką kurtkę i mnie nią okrył. Najwidoczniej zauważył szybciej niż ja, że drzę ze zmęczenia. Bo przecież nie z zimna - na wyspie nadal panował nieznosny skwar i wieczorna duchota.

Opatuliłam się jego kurtką. Była ogrzana jego ciepłem, więc przyjemnie było zawinąć się w nią i przez moment zapomnieć o tym, przez co przesłam.

- Liam wrócił do nas i opowiedział, co tutaj znaleźliście... - zaczął Enzo dopiero po chwili, odczekawszy, aż nieco ochłonę. - Zażądał od Rei, by nic nie mówiło... No, sama wiesz o czym, bo to podobno była umowa między wami.

- Zażądał od Rei... - Mimowolnie się zaśmiałam, bo do tej pory nie wyobrażałam sobie, by od Rei ktokolwiek mógł czegokolwiek żądać.

- Taaa... To była, hm, ciekawa scena - odparł Enzo, uśmiechając się przy tym. - Potem zapytał, czy z nim po ciebie nie wrócę. Po ciebie

i tego drugiego chłopaka... – zawiesił głos, najwyraźniej próbując sobie przypomnieć imię osoby, o której mówił.

– Zacka – powiedziałam cicho, wzdrygając się przy tym. Częściowo to była jego wina, że tu się znalazłam. Gdyby nie on, nigdy nie dowiedziałabym się o tym miejscu. I może tak właśnie byłoby lepiej? Czasami (a może nie tylko czasami) ignorancja jest błogosławieństwem.
– A gdzie jest Liam?

– Poszedł po niego, ja miałem kręcić się blisko budynku i wypatrywać ciebie, gdybyś wyszła z niego bez naszej pomocy. No i jesteś!

Na twarzy Enza zagościła radość. Był autentycznie szczęśliwy, że nic mi się nie stało. To była ta sama mina, którą kilka razy widziałam na jego twarzy tamtego wieczoru, kiedy spotkaliśmy się na plaży i ze sobą rozmawialiśmy. Kto wie, jak by się skończył tamten wieczór, gdyby nie pojawili się Alice z Arenem... Wtedy może jeszcze nie do końca zdawałam sobie z tego sprawę, ale Enzo naprawdę coś do mnie czuł. Co to dokładnie było? To już inna kwestia. Może warto było się tego dowiedzieć? Tym bardziej że i ja wtedy coś poczułam. I kto wie, jak to wszystko by się skończyło, gdyby nie tamta feralna noc i gra w butelkę...

– Dlaczego z nim wróciłeś? – spytałam cichym, ledwo słyszalnym głosem, jakbym sama trochę bała się zadać to pytanie.

Enzo spojrzał mi w oczy.

– Jak to dlaczego?! Martwiłem się o ciebie – powiedział jednym tchem i zawiesił głos. – I... bałem się, że coś mogło ci się stać.

Oboje odwróciliśmy wzrok, bo chyba oboje poczuliśmy się niezręcznie. W moim brzuchu coś się działo, Enzo z kolei odkaszlnął. Po dłuższej pauzie kontynuował cichszym głosem:

– Wiem, że te ostatnie dni były dla ciebie trudne. Nie wszystko ułożyło się tak, jak pewnie byśmy sobie tego życzyli... A przynajmniej nie tak, jak ja bym sobie tego życzył. Trochę namieszałem, zresztą sama wiesz.

No tak. Enzo trochę namieszał, ale i ja przecież nie byłam bez winy.

– Co się stało, to się nie odstanie – odparłam i wyciągnęłam do niego dłoń. Enzo podał mi swoją, a ja ją objęłam.

– *Mamma mia!* Melanie, masz totalnie zimne ręce! – jęknął mój włoski przyjaciel. Błyskawicznie wysunął swoją dłoń pomiędzy moich, a następnie sam objął moje dłonie i zaczął je pocierać, by nieco je ogrzać. – Ty chyba ledwo żyjesz. Chodź, ogrzeję cię.

Enzo pomógł mi wstać z ziemi, a następnie mocno mnie przytulił. Jak zwykle było od niego ciepło, zupełnie jakby w środku zainstalowany miał mały piecyk, który niezależnie do warunków pogodowych i temperatury zewnętrznej ogrzewa każdego, kto tylko się z nim zetknie. A może to był po prostu ten jego „kaloryfer” na brzuchu. Tak czy inaczej, w moim obecnym stanie nie marzyłam o niczym bardziej niż o takim cieple. Dopiero w jego ramionach uświadomiłam sobie, że ustało mimowolne drżenie mojego ciała, które towarzyszyło mi od momentu opuszczenia podziemnego kompleksu.

– I jak? Trochę lepiej? – zapytał Enzo troskliwie, patrząc na mnie z góry. Ech, był naprawdę przystojny, to trzeba było mu oddać.

– Tak, dziękuję...

Wtedy coś nami zawładnęło. Może to była wina mojego wycieńczenia, może wpływ chwili, a może atmosfera panująca na wyspie, ale nasze usta znalazły się niebezpiecznie blisko siebie. Słyszałam wyraźnie oddech Enza, a on musiał słyszeć mój. Teraz znów patrzyliśmy sobie w oczy, które skanowały każdy ruch drugiej osoby i upewniały się, że to, co robimy, dzieje się za obopólną zgodą. I ta scena rodem z filmu zakończyłaby się pocałunkiem, gdyby nie... szelest zarośli, zza których wyłonił się Liam.

– A, tu jesteście... – Z początku mój współlokator niemal krzyknął, ale gdy tylko nas zobaczył, błyskawicznie zamilkł.

Odskoczyliśmy od siebie z Enzem, zupełnie jakbyśmy poczuli, że to ciepło, które nas ku sobie zbliżyło, tak naprawdę nas parzy i powoduje ból.

– Liam... – zaczęłam, ale w sumie nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć. Zbyt dużo myśli w głowie, za mało czasu, by je wszystkie

wypowiedzieć, w dodatku w taki sposób, by miały jakikolwiek sens i były w stanie wyjaśnić sytuację sprzed chwili.

- Też się cieszę, że cię widzę, Melanie - odpowiedział Liam i nawet przez moment po jego ustach przemknął uśmiech, ale natychmiast zniknął.

- Znalazłeś tego chłopaka? - zapytał Enzo, robiąc krok do tyłu i oddalając się ode mnie jeszcze bardziej. Oboje mimowolnie wyznaczyliśmy strefę bezpieczeństwa. Zarówno jeśli chodzi o fizyczną odległość od siebie, jak i zakres tematów, które byliśmy skłonni poruszyć w obecności Liama.

- No właśnie, gdzie jest Zack? - zawtórowałam.

- Nie mam pojęcia... - mruknął Liam. Nawet nie krył swojej irytacji. Trudno było stwierdzić, czy bardziej wiązała się ona ze zniknięciem Zacka, czy z nakryciem nas niemal na pocałunku. Czułam, że jego zdenerwowanie wynika z niespodziewanego połączenia tych dwóch czynników.

- Czyli nie było go tam, gdzie go zostawiliśmy? - dopytałam na wszelki wypadek.

- Nie. Albo jakoś się uwolnił, w co wątpię, albo ktoś go stamtąd zabrał...

Po słowach Liama przeszył mnie dreszcz, a mój oddech przyspieszył. W głowie znów usłyszałam krzyk, a raczej wrzask dochodzący z głębi kompleksu. Czy to był Zack? Tak, zalał mi za skórę i gdzieś w głębi serca po tym, co mi zrobił, życzyłam mu tego, co najgorsze - choć pewnie mimo wszystko trochę na wyrost, koniec końców ciągle sprawiał wrażenie niegroźnego, gapowatego wariata - jednak czymś zupełnie innym było usłyszeć tamten ryk.

- A co? - zapytał Liam już łagodniejszym głosem, najwidoczniej dostrzegłszy moje poruszenie.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, w oddali usłyszałam głosy. Sądząc po minach Liama i Enza, oni również. Przez chwilę nasłuchiwalismy w napięciu, patrząc to na siebie, to w stronę, skąd dobiegały. W końcu,

gdy zaczęły milknąć, Liam machnął na nas ręką i ruszył w kierunku, z którego przyszedł. Enzo podążył za nim, a ja za Enzem.

Dopiero kiedy oddaliliśmy się na bezpieczną odległość – a przynajmniej tak daleko, że uznaliśmy, że nic nam już nie grozi – Liam się odezwał:

– Wróćmy do willi i zastanówmy się, co robimy dalej.

To nie było pytanie ani sugestia. To było stwierdzenie, które wygłosił, nie zatrzymując się ani na moment. A my najwyraźniej uznaliśmy, że to dobre rozwiązanie, bo milcząco na nie przystaliśmy. Zresztą nie miałam siły myśleć. Szłam przed siebie niczym zombie – bezmyślnym, mechanicznym krokiem w stronę wielkiego, wygodnego łóża, w którym będę mogła się położyć i wypaść za wszystkie czasy.

Nie chciałam już myśleć o niczym, a już najbardziej o Enzu i Liamie, i tych wszystkich emocjach, uczuciach i zmartwieniach, które się z nimi wiązały. Sama nie wiedziałam, co powinnam teraz czuć, myśli kłębiły mi się w głowie, nie rozumiałam ani swojego, ani ich zachowania. Z J.D. to było proste, bo przyjacielskie, nawet z tym jego „kocham cię”. Z Enzem i z Liamem zaś czułam, jakbym wpadała w ruchome piaski. Każde kolejne słowo, spotkanie czy ruch z mojej lub ich strony sprawiały, że coraz bardziej zapadałam się w tym braku rozumienia, co między nami się wydarza...

Oni chyba mieli ten sam problem, bo do momentu powrotu do willi w eskorcie tych dwóch nie miałam pojęcia, jak wygląda atmosfera tak gęsta, że siekierę można powiesić. W tym absolutnym milczeniu przez kilkadziesiąt minut, w którym każda kolejna sekunda odliczana była jedynie miarowym odgłosem kroków, nareszcie pojęłam sens tego powiedzenia. Nigdy już nie chciałabym powtórzyć czegoś takiego, a przecież cała nasza trójka miała spędzić ze sobą jeszcze trochę czasu...

Nigdy też żadna podróż nie dłużyła mi się aż tak bardzo – a kiedyś z mamą zdarzyło nam się stać trzy godziny w korku w centrum Toronto sparaliżowanym przez śnieżycę. Zamknięta w samochodzie nawleczonym na sznur pojazdów ciągnący się aż po horyzont, mogłam przynajmniej liczyć na rozmowę z mamą, kilka żartów, a gdy tego

miałam dość, na muzykę w radiu. Tu była jedynie krępująca cisza, krótkie, rzucane ukradkiem spojrzenia i zabójczy zaduch.

Dlatego nasza willa na horyzoncie jawiła mi się jak ziemia obiecana po czterdziestu latach tułaczki na pustyni – o ile niczego nie pokręciłam, bo Stary Testament znałam jedynie z zajęć z literatury. W każdym razie ucieszyłam się na jej widok. Mało brakowało, a popłakałabym się ze szczęścia. Gdy stanęliśmy przed czterema budynkami, w których mieszkała nasza grupa, czułam już niemal nirwanę. Jakby zaraz całe moje cierpienie miało odejść, zastąpione przez błogi stan całkowitego uśpienia mojej świadomości w trakcie nadchodzącego odpoczynku.

– Idziemy od razu pogadać o tym, co robimy? – zapytał Liam, nieświadomie bombardując moje plany i roztaczając wizję dalszej udręki.

– Nieee, muszę odpocząć... – jęknęłam, bo tylko na tyle było mnie stać.

– Musimy dać jej ochłonąć, ona ledwo żyje – poparł mnie Enzo, kładąc mi rękę na ramieniu.

Wymknęłam się jednak jego dłoni, ruszając sennie w stronę pokoju, który współdzieliłam z Liamem.

– Potrzebuję krótkiej drzemki, przepraszam...

– Dobra, w takim razie za godzinę we wspólnym – odparł tym samym, nieustannie poirytowanym głosem mój współlokator, a następnie ruszył za mną.

Klimatyzacja. To była pierwsza rzecz, jaką zarejestrowała moja nie do końca sprawna świadomość. Po wyziębieniu związanym z moim skrajnym wycieńczeniem nie było już chyba śladu, a może to kurtka Enza miała w sobie jakąś grzewczą magię. W każdym razie cudowny, wręcz ożywczy chłód, który kontrastował z lepiącym się do mojej skóry palącym żarem – najwyraźniej stanowiącym główny składnik miejscowego powietrza – na moment przywrócił mnie do życia. Sprawił, że wyprostowałam zgarbione do tej pory plecy i odetchnęłam

pełną piersią. Jezu, ale ja się stęskniłam za tym miejscem przez te kilka godzin...

- Dzięki, że przyszedłeś po mnie z Enzem - powiedziałam nieco bardziej ożywionym głosem. No i dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że w tych emocjach nie wyraziłam nawet wdzięczności za to, że Liam wraz z Enzem mnie stamtąd zabrali.

- Nie ma sprawy... - bąknął mój współlokator. - Nie wiem, czy to, co zrobiłaś, było bardziej głupie, czy bardziej odważne.

Na oblicze Liama wrócił dobrze mi znany szyderczy uśmieszek. Akurat za nim nie tęskniłam.

- Mam nadzieję, że było warto - dodał jeszcze na odchodne, kierując się do łazienki. To był dobry pomysł, by wziąć chociaż prysznic, zmyć z siebie nie tylko lepki pot, ale przede wszystkim wspomnienie ostatnich godzin i chociaż symbolicznie oczyścić umysł. Bez tego pewnie nie będę w stanie w ogóle zasnąć...

Zamiast tego jednak zaczęłam myśleć o tym, co powiedział Liam. Czy było warto? Nie miałam pojęcia. Bo na dobrą sprawę nie miałam pojęcia, czego się dowiedziałam. Zobaczyłam urządzenie, na którym widniała znana mi nazwa, słyszałam przerażające krzyki i wrzaski, upewniłam się, że na wyspie nie jesteśmy sami i że są tu uzbrojeni ludzie, którzy najprawdopodobniej prowadzą jakieś eksperymenty. Wiedziałam więc coś, ale nic na pewno. Czy zatem było warto?

Konkret był tylko jeden: aRTi. Ale nie mogłam o nim nikomu powiedzieć bez zdradzenia prawdy o sobie. Prawdy, którą tak skrzętnie do tej pory ukrywałam i która mówiła o mnie więcej, niżbym sobie życzyła. Z drugiej strony teraz, przy tym niemiłosiernym zmęczeniu, w obliczu marsowego oblicza Liama, które zupełnie przysłoniło jego lepszą, łagodniejszą twarz, stwierdziłam, że nadszedł moment, by zrzucić ten monstrualny ciężar z pleców. A jeśli powiedzieć o tym komuś, to chyba paradoksalnie właśnie Liamowi. Zarzekałam się, że nigdy nie będziemy przyjaciółmi, ale... dawno przy nikim nie byłam tak bardzo sobą jak przy nim. I teraz mi tego zabrakło. Do Enza miałam po prostu słabość, za to do Liama chyba coś czułam. Tak, chyba naprawdę

coś czułam. Chciałam więc odzyskać jego zaufanie, ponownie się do niego zbliżyć. A by zbliżyć się do kogoś, zasłużyć na jego zaufanie, trzeba się odkryć, wyjawic prawdę o sobie. Niezależnie od tego, jaka ona jest, i tego, że może zabołec.

- No własnle, muszę ci coś powiedziec...

ROZDZIAŁ 26

Liam zatrzymał się w pół kroku i odwrócił w moją stronę.

- Jeśli to dotyczy Enza...

- Nie, przestań, to nic nie znaczyło.

Wyrwało mi się, nawet nie wiedziałam, po co wyartykułowałam to na głos, przecież ten fakt akurat nie miał tu nic do rzeczy. Ale to dobrze, że Liam miał tego świadomość. Szczególnie w perspektywie tego, co miałam mu wyjawic.

- No, okej. To o co chodzi?

- Tylko nie tutaj - stwierdziłam, rozglądając się czujnie dookoła. Przypomniało mi się to, co mówił Zack: że jesteśmy obserwowani. Że też dopiero teraz przyszło mi to do głowy! Po tym wszystkim wcale nie zdziwiłabym się, gdybyśmy byli monitorowani i podsłuchiwani jak w *Big Brotherze* czy *Love Island*. Jeśli więc mieliśmy szczerze porozmawiać, nasz pokój nie był do tego najlepszym miejscem...

- A gdzie? Przecież dopiero co wróciliśmy i chciałaś...

- Wiem, wiem - przerwałam mu, wstając z łóżka. - Ale muszę ci coś powiedzieć, a nie chcę tego robić tutaj. Z różnych powodów. Pójdziemy na plażę?

Chłopak zmierzył mnie wzrokiem. Trudno było jednoznacznie stwierdzić, o czym myśli. Musiało tego być całkiem sporo, bo na jego twarzy widać było wiele emocji. W końcu wyrzucił z siebie odpowiedź:

- Okej, ale...

„Okej” mi wystarczyło. Ruszyłam w stronę wyjścia, nie czekając na to, co jeszcze chciał mi powiedzieć. Widząc to, westchnął i podążył za mną.

– Mógłbyś usiąść? – Klepnęłam dłonią miejsce na gorącym piasku obok siebie, kiedy już dotarliśmy nad łagodnie szumiącą wodę. Pomyślałam, że jednak bezpieczniej będzie, gdy Liam usłyszy prawdę o mnie na siedząco.

Podszedł do mnie niechętnie i z rezerwą, to było widać.

– Odkryłam tam coś... – zawiesiłam głos, bo wciąż nie miałam pomysłu, jak to ująć, by moja opowieść miała sens. – Tylko nie wiem, jak to określić.

– Może po prostu powiedz, co to było? – zasugerował wciąż poirytowany Liam.

– To nie takie proste... Kurde. Muszę zacząć od wyznania.

– Wyznania? – Teraz poirytowanie ustąpiło miejsca konsternacji. – Jakiego wyznania? Tylko nie mów, że mnie kochasz!

To było dziwne stwierdzenie, nawet jak na Liama, choć spodziewałam się już po nim wiele. Jeszcze dziwniejsze było to, co poczułam. Niby nic takiego, bo w moich myślach pojawiło się zawahanie, czy rzeczywiście go nie kocham. Przez ułamek sekundy, ale jednak. A że nie wypowiedział tego żartobliwym tonem i niekoniecznie musiała to być ta jego charakterystyczna ironia, być może i dla niego w tej kwestii nie wszystko było jasne?

– To nie ja napisałam *Impostora*. – Postanowiłam na razie puścić mimo uszu żart Liama i wyłożyć kawę na ławę.

– Że co?! Jaja sobie robisz?

– No dobra, nie napisałam go całkiem sama. Pomógł mi... – kolejna pauza na zebranie w sobie odwagi – ...algorytm sztucznej inteligencji. „Artie”.

Mój współlokator zerwał się z miejsca i spojrzał na mnie z góry. Był zszokowany.

– Zaczekaj, bo chciałbym to sobie wszystko ułożyć w głowie... Twierdzisz, że to nie ty napisałaś swoją powieść, tylko pomogła ci w tym sztuczna inteligencja, którą nazywasz „Artie”? I niby po co mi to teraz mówisz?! Co niby mam ci teraz powiedzieć?

- „aRTi” – przeliterowałam nazwę algorytmu sztucznej inteligencji, by wszystko było jasne. I by nie odpowiadać na pytania Liama wprost. – Tak to się nazywało. Stworzyła go firma GlobAI, przynajmniej o ile mi wiadomo...

Gdy wydawało mi się, że oczy mojego współlokatora nie mogą być już szerzej otwarte, Liam dokonał niemożliwego.

- Czekaj, czekaj! GlobAI... Przecież ja też korzystałem z ich aplikacji! Nawet nie wiem, czy nie z tej samej, co ty.

W życiu tak to już chyba jest, że gdy myślisz, że nic cię już nie zaskoczy, wszechświat wyciąga królika z kapelusza lub asa z rękawa, a ty sobie myślisz: „Ale jak to?!”. To był właśnie ten moment, kolejna magiczna sztuczka, trik, gierka losu. Chyba że żaden „los” czy inna siła wyższa nie miały z tym nic wspólnego. Może to wcale nie był przypadek, że i ja, i Liam korzystaliśmy z tego samego algorytmu sztucznej inteligencji, a potem trafiliśmy do tego samego reality show produkowanego przez The Rite...

- Jak? Gdzie? – wydusiłam z siebie po chwili.

- Dostałem go do przetestowania, kiedy pracowałem nad swoim debiutem. Niesamowicie pomógł mi w researchu, no i – Liam ściszył głos – tylko nie mów tego nikomu, wykorzystałem go do zredagowania pierwszej wersji mojej powieści. Fajna sprawa, szkoda, że tutaj czegoś takiego nie mieliśmy.

- No właśnie... – zaczęłam, ale zawiesiłam się na moment. – Oni chyba używają tego algorytmu w budynku, który wspólnie odkryliśmy.

- Używają? Do czego?

Nie ukrywam, że fakt, iż Liam nie skupił się na moim rzekomym oszustwie w związku z *Impostorem*, był dla mnie miłym zaskoczeniem i czymś budującym. Po swoim współlokatorze – szczególnie w obliczu niedawnych wydarzeń – spodziewałam się tego, co najgorsze. A tu proszę: nawet się na ten temat nie zająknął. Przez tak wiele miesięcy żyłam w przeświadczeniu, że – gdy ktoś się dowie o tym, co zrobiłam – świat się skończy. Oczywiście nie cały świat, ale mój na pewno. Bałam się konsekwencji, a już najbardziej tego, że będzie to dla ludzi tylko

dowód na to, że jestem do niczego i nic nie potrafię. A gdy już odnoszę sukces, zawdzięczam to oszustwu. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Przynajmniej ze strony Liama. Nawet nie miał pojęcia, jak byłam mu za to wdzięczna...

- Tego nie wiem. Ale czy to może być przypadek, że i ty, i ja korzystaliśmy z „Artiego” i że teraz z tego samego algorytmu korzysta ktoś na wyspie, na której rzekomo mieliśmy być tylko my i na której mieliśmy się trzymać z dala od terenów za ogrodzeniem pod napięciem?

Mój współlokator się uśmiechnął.

- Kiedy tak to ujmujesz, sam nie wiem, czy widzieć w tobie genialnego detektywa i osobę, która z łatwością łączy ze sobą absolutnie nieoczywiste fakty, czy foliarę, która zawsze i wszędzie węszy spisek i działanie tajemnych sił...

- Najlepiej ani jedno, ani drugie. I nie patrz, z łaski swojej, na mnie, tylko na fakty. Jest naprawdę małe prawdopodobieństwo, by to wszystko się ze sobą łączyło tak ściśle. - Wstałam i podeszłam bliżej wody, następnie odwróciłam się znów do Liama. - Wiesz, ja nie wierzę w zbiegi okoliczności. A już tym bardziej, gdy jest ich tak dużo. Bo to nie wszystko... - Popatrzyłam na swojego rozmówcę i zawahałam się w obawie, że znów wyjdę na zwolenniczkę teorii spiskowych. No ale fakty były faktami, więc tu akurat nie było z czym dyskutować. - Nie mówiłam ci, ale Zack nie był tylko i wyłącznie moim stalkerem. Wcześniej prześladował Almę Olsen, przyjaciółkę Rei, która nauczyła Rei właściwie wszystkiego, jeśli chodzi o pisanie.

- À propos zbiegów okoliczności... - mruknął Liam, chociaż znów nie do końca byłam w stanie stwierdzić, czy to było mruknięcie pełne irytacji, czy aprobaty. Przy czym mój rozmówca wydał mi się nagle nieobecny, jakby myślał gdzieś daleko, w innym czasie i innym miejscu, choć fizycznie trwał tu i teraz. - Ja też muszę ci coś w końcu wyznać. - Liam wypowiedział te słowa takim tonem, że już naprawdę nie wiedziałam, co myśleć. Nie było w jego głosie ani krzty sarkazmu czy cynizmu, nie było też typowej dla niego nie do końca poważnej prostolinijności. Dominowała w nim powaga. Uroczysta i podniosła.

Coś, co zupełnie mi do niego nie pasowało. Chyba że to był finalny element, ostatni puzzel tej dziwnej układanki, która składała się na osobę Liama. W momencie, w którym stwierdził „Ja też muszę ci coś w końcu wyznać”, w moich oczach stał się całością, jakkolwiek dziwne by to zabrzmiało. Jakbym dopiero teraz mogła go w pełni zrozumieć. I to, że otworzył się tak przede mną, było dla mnie bardzo ważne, biorąc pod uwagę, że miał zamiar wyjawić mi swój sekret.

- Przede wszystkim dziękuję, że powiedziałaś mi o tym wszystkim... Przymuszam, że nie było ci łatwo - zaczął Liam, a ja ze zdumieniem odkryłam, że głos mu drży. Sprawiał wrażenie, jakby zaraz miał się rozsypać. Może powinnam coś zrobić? Jednak mój współlokator kontynuował, starając się zapanować nad swoim głosem: - Wiem, że dołożyłem ci jeszcze od siebie, rzucając ci od samego początku kłody pod nogi...

- No tak - przyznałam z uśmiechem, bo choć od tamtych wydarzeń minęło zaledwie kilka dni, po tym wszystkim wydawało mi się to wspomnieniem z odległej galaktyki i zamierzchłej przeszłości, jakby to przytrafiło nam się w innym życiu i we wszechświecie równoległym. - Było, minęło.

- W tym rzecz, że nie do końca. A ja chciałem się wytłumaczyć...

- Nie musisz - zaprotestowałam. Nie mogłam znieść widoku Liama, gdy wyjawiał mi prawdę o sobie. Kosztowało go to tak wiele sił, wręcz rozpadał się na moich oczach. Chciałam mu jakoś przerwać, ale mi nie pozwolił.

- Muszę. Muszę ci to w końcu powiedzieć. Myślisz pewnie, że jestem tu, by wygrać. Sądzisz, że jedyne, na czym mi zależy, to bycie najlepszym, zajęcie pierwszego miejsca, zdobycie dziesięciu milionów dolarów i sława, jaką może mi przynieść wydanie mojej drugiej książki w kilkudziesięciu krajach. Zresztą, nie tylko ty tak na mnie patrzysz. Zapewne wszyscy inni też właśnie tak mnie postrzegają. Jako człowieka, który nie potrafi żyć bez rywalizacji, który ciągle tylko pracuje, by wyprzedzić innych, który zawsze chce być na szczycie i w centrum uwagi.

– Liam, ja... – próbowałam znów oponować, mając nadzieję, że da mi dojsć do głosu i będę mogła powiedzieć, co naprawdę o nim myślę, ale nie dostałam takiej szansy. Był zdeterminowany, by powiedzieć to, co leżało mu na sercu. I jak zwykle był w tym niezwykle skuteczny.

– Daj mi skończyć, Mela, proszę – kontynuował, a potem sięgnął do kieszeni i wyjął z niej portfel. Nic z tego nie rozumiałam. Chce mi dosłownie zapłacić za przykrości, jakie mnie spotkały z jego strony? Tak to przynajmniej wyglądało, aż zamiast banknotu wyciągnął z portfela małą fotografię. Podał mi ją, a ja z niedowierzaniem spjrzałam na twarz na zdjęciu. To... byłam ja. No niemalże, gdybym nie była sobą i nie pamiętała siebie sprzed lat, mogłabym uwierzyć, że młoda dziewczyna na zdjęciu to Melanie Clark. Tak naprawdę jednak nią nie była – choć zaczęłam się zastanawiać, czy to nie moja siostra bliźniaczka, o której nigdy nikt mi nie powiedział i której nigdy nie poznałam. Niesamowite, ale byliśmy niemal identyczne – jak dwie krople wody.

– Kto... Kto to jest? – Zebrałam się w sobie i wydusiłam jedyne pytanie, jakie można było zadać w tej kuriozalnej sytuacji.

– Miała na imię Jenna – odparł Liam, ale niemal od razu głos ugrzązł mu w gardle; słychać było, jak przelyka łzy, które błyskawicznie napływały do jego oczu. Po chwili z trudem kontynuował: – Była o rok starsza ode mnie. Poznaliśmy się jeszcze w podstawówce.

Tyle dał radę powiedzieć, zanim z trudem zaczął łapać oddech. Moje całe wyobrażenie o chłodnym, zdystansowanym, lecz czasami empatycznym Liamie rozeszło się w szwach, pękło i rozsypało w pył. Chłopak, który teraz stał przede mną, wydawał się całkowicie bezbronny wobec targających nim uczuć. Emocji, które eksplodowały z nową, niespotykaną mocą po wielu dniach, tygodniach, a może nawet miesiącach wypierania i spychania ich do nieświadomości. Teraz całkowicie przejęły kontrolę, opanowały jego całe ciało. Stał i szlochał.

Podeszłam i go przytuliłam, a on wtulił się we mnie i płakał. Tak po prostu. Wyrzucał z siebie wszystko to, co gromadziło się w nim od dawna, a z czym nie wiedział, jak sobie poradzić.

- A teraz ona... nie żyje - jęknął, gdy nieco się uspokoił, i ponownie zalał się łzami.

- Już dobrze - szepnęłam, gładząc jego włosy. Ale przecież nie mogło być dobrze. Skoro ona nie żyje, jak mogłam powiedzieć coś tak głupiego i być tak nieczuła? Widziałam przecież, że Jenna była dla Liama całym światem, a ten cały sarkazm i cynizm były tylko mechanizmami obronnymi wobec pustki, której nie dało się niczym wypełnić, a z której wyglądał jedynie mrok. Przeczytałam gdzieś kiedyś, że jeśli za długo wpatrujesz się w otchłań, otchłań również zaczyna wpatrywać się w ciebie. Być może właśnie to był przypadek Liama w ostatnim czasie i stąd jego zachowanie i nastawienie do życia. Rywalizacja, dążenie na szczyt, bycie w centrum uwagi - wszystko to teraz wyglądało dla mnie jak rozpaczliwa ucieczka przed otchłanią, która zaczęła się w niego wpatrywać...

- Kiedy cię zobaczyłem... - powiedział Liam, z trudem wymawiając każde słowo, musiał jednak przerwać, by wziąć kolejny oddech. - Kiedy cię zobaczyłem po raz pierwszy, tam, na lotnisku, przez chwilę myślałem, że to Jenna. Że ona wróciła do mnie. Ale zaraz uświadomiłem sobie, że to chichot losu, okrutny żart wszechświata. Że ktoś lub coś po prostu robi sobie ze mnie jaja, dręcząc mnie i skazując na rozdrapywanie tych wszystkich ran, których obiecałem już sobie nie otwierać. To... to dlatego byłem dla ciebie taki, jaki byłem. Nie mogłem znieść twojego widoku.

Liam spuścił głowę i znów zapłakał niekontrolowanie.

- Bo ci ją przypominałam i wszystko wracało...

- Dokładnie tak... - wykrztusił. - Przepraszam cię, Melanie. Tak bardzo cię przepraszam.

Podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy, a ja popatrzyłam na niego. I nie mogłam oderwać od niego wzroku. Wtedy oboje to poczulśmy. W tej samej chwili. I dla nas obojga to było zbyt silne, żadne z nas nie miało siły ani ochoty z tym walczyć. Stało się to, co chyba od samego początku musiało się stać...

Moje serce zaczęło bić szybciej i szybciej, gdy usta Liama zbliżały się do moich ust. Powoli, jakby czekał na ten jeden jedyny moment, właściwy rytm oddechu, ułożenia planet i gwiazd na niebie. Jakby wszystko musiało być na swoim miejscu w tej magicznej chwili, gdy w końcu nasze wargi się spotkają. Bo drugi taki moment już nigdy się nie zdarzy. Pochylił się nieco, a ja wspięłam na palce...

Jego usta były zaskakująco słodkie i delikatne, aż zawirowało mi w głowie. Od Liama była urocza szczerłość, której tak długo nie chciał dać po sobie poznać. Teraz wszystkie mury, które tak skrupulatnie wokół siebie budował, ostatecznie runęły. Gdy lekko objął moją twarz dłońmi, na moment zapomniałam o całym świecie.

ROZDZIAŁ 27

Czytałam kiedyś, że filematolodzy – czyli specjaliści od pocałunków – nie mają pojęcia, skąd wziął się ten typowo ludzki zwyczaj. Nawet dla nich jest to zjawisko nieodgadnione i na wskroś tajemnicze, a nawet magiczne. Podobno usta ludzkie wydają się wręcz stworzone do tej jednej rzeczy: muśnięcia wargą wargi innej osoby. W ten sposób przekracza się wszelkie granice – ciała, płci, wieku, religii, statusu społecznego. Nie ma piękniejszego sposobu okazywania uczuć niż właśnie pocałowanie kogoś, niż ten uniwersalny, znany we wszystkich szerokościach geograficznych przekaz, który zrozumie każdy, niezależnie od języka, jakim się porozumiewa.

To nie był mój pierwszy pocałunek. Za pierwszym razem „nie dogadałam się” z osobą, z którą zetknęłam się wargami. Bo całowanie mówi coś o nas, ale i o tym, z kim się całujemy. Weryfikuje, czy ten drugi lub ta druga do nas pasuje i... czy jest dla nas ważny. A jeśli tak, jaka łączy nas z tym kimś relacja.

Za pierwszym razem nie znałam tak naprawdę tego, kto chciał się ze mną całować. Szkolna dyskoteka, początek liceum, chciałam to mieć za sobą. Bo kto by nie chciał? Pierwszy pocałunek, pierwszy kac, pierwszy papieros, pierwszy seks. Checklista dorastającej nastolatki jest długa, nawet takiej zbuntowanej i społecznie ograniczonej jak ja. Chciałam jak najszybciej odhaczyć choć jedną pozycję na tym zestawieniu z dorastania i padło właśnie na pocałunek.

Nie pamiętam nawet jego imienia, pamiętam tylko, że siedzieliśmy na tyłach szkoły, ja wypiliśmy tyle, by się odważyć i go pocałować, ale za mało, by mieć z głowy pierwszego kaca. On najpierw zapytał, czy chcę się całować. Liczyłam, że dopiero teraz zacznie się dyskoteka, że moje

tętno przyspieszy, a ciało dozna euforii. Przytaknęłam więc, a potem tego pożałowałam. Byliśmy jak puzzle z dwóch różnych zestawów, których krawędzie nijak do siebie nie pasowały. Było to na tyle okropne, że po prostu uciekłam do domu.

Na drugi pocałunek czekałam długo. Sylwester rok temu. Ja i J.D., nasi rodzice pojechali w góry do swoich znajomych, a my zostaliśmy we dwójkę w Toronto. Miało być super: filmy, domowy popcorn dla J.D., moje ulubione wegańskie fast foody dla mnie, no i napoje według uznania. Niestety – bo to ostatecznie zepsuło nam imprezę – J.D. dorwał gdzieś burbon, a raczej paliwo lotnicze, jak zwykłam nazywać tego typu obrzydlistwa. Po północy, zamiast szampana, każdy wziął po łyku, ja podziękowałam za dalsze dolewki, będąc na skraju wymiotów, ale J.D. najwyraźniej wziął sobie za punkt honoru, by opróżnić butelkę. Chcąc, nie chcąc, wzięłam jeszcze kilka łyków, a nad ranem od słowa do słowa i od gestu do gestu nasze usta spotkały się w pocałunku.

To miały być prawdziwe fajerwerki, których nie obserwowaliśmy zaraz po północy. Zamiast tego jednak było... dziwnie. Może przez alkohol, może przez to, że był moim najlepszym przyjacielem i... bałam się, że przez takie akcje go stracę. Na szczęście wkrótce potem zasnęliśmy i nigdy nie wracaliśmy do tego tematu. Jakby to się nigdy nie wydarzyło.

Potem był jeszcze trzeci – ten, którego nie pamiętałam i którego żałowałam najbardziej. Z Arenem. Bo to od niego zaczęły się moje problemy w *The RITE Show*, skonfliktował mnie ze wszystkimi, szczególnie z Alice... Jednak gdy się nad tym zastanowić, on też sprawił, że byłam tam, gdzie byłam. To on wrzucił mnie na tor wydarzeń, które doprowadziły mnie do tej sytuacji. Do tego czwartego pocałunku.

Innego od pozostałych. Było w nim coś alchemicznego, mistycznego. Coś, czego jeszcze nigdy z nikim nie czułam. To było połączenie, głęboka więź i bliskość. Od zawsze sceptycznie podchodziłam do koncepcji bratniej duszy. Jeśli już, myślałam, że jest nią dla mnie J.D. Głęboko w sercu spodziewałam się jednak, że w najlepszym razie – gdzieś tam daleko – czeka na mnie dusza siostrzana.

Kiedy pojawiłam się w *The RITE Show*, niemal od razu poczułam, że kimś takim będzie dla mnie Alice. Miałam wrażenie, że to moja zaginiona siostra, z którą niespodziewanie spotkałam się po latach. Rozumiałyśmy się bez słów, w dodatku była promykiem, który był w stanie rozświetlić życie każdej, nawet najciemniejszej duszy. A chwilę później – tak samo niespodziewanie – niemal zupełnie przestałyśmy dla siebie istnieć. Jedno wydarzenie i ktoś jest, drugie wydarzenie – i kogoś nie ma. Tak po prostu. Byłam zła, że wszystko ułożyło się w ten sposób. Z drugiej strony, bez tego być może nigdy nie zbliżylibyśmy się do siebie z Liamem.

Teraz, gdy go całowałam, miałam wrażenie, że on może być nie tylko moją bratnią duszą, ale również, że – w przeciwieństwie do J.D. – nie jest i nie będzie tylko i wyłącznie moim przyjacielem. Czułam, że jest kimś więcej...

I ta myśl mnie przeraziła. Dlatego równie niespodziewanie, jak go pocałowałam, teraz oderwałam usta od jego warg. Popatrzyłam na niego. W głowie miałam pustkę. Powinnam była coś powiedzieć, jakoś odnieść się do tego pocałunku. Zrobić cokolwiek – po prostu zareagować na to, co się wydarzyło! A ponieważ nie wiedziałam, co mam zrobić, zareagowałam pewnie w najgorszy z możliwych sposobów.

Uciekłam.



Mamy takie powiedzenie w mojej rodzinie: kiedy nie wiesz, co ze sobą zrobić i gdzie się podziać, weź kąpiel. Wanna pełna gorącej wody jest zawsze gościnna. Ona nie ocenia, nie poucza, nic nie każe. Ona wybacza, rozumie, koi. Jest jak przyklejany przez mamę plaster na ranę, gdy ma się trzy lata i każde otarcie skóry rodzi w głowie myśl, że to koniec świata. Kąpiel to panaceum, lek na całe zło, miejsce objawień. Nie bez powodu od pierwszych klas szkoły powtarzają nam na lekcjach matematyki tę historyjkę o Archimedesie, który brał kąpiel i wykrzyknął: „Eureka!” bo rozwiązał jakiś tam problem, a przy okazji sformułował prawo, którego teoretycznie powinnam była się nauczyć,

ale jednak tego nie zrobiłam, bo po co? Przede wszystkim jednak kąpiel była idealnym miejscem do rozmyślań.

A ja miałam o czym myśleć. Była przecież ta niedopowiedziana relacja z Enzem, pytanie o to, gdzie podział się Zack, co dzieje się z Arenem i czy jest bezpieczny w podziemnym kompleksie, czy raczej stał się obiektem eksperymentów, o których nikt z nas nie ma pojęcia. Powinnam była też przeanalizować naszą – czyli moją, Liama, Enza, Alice i Rei – przyszłość w *The RITE Show* i potencjalne scenariusze z tym związane oraz to, jak te scenariusze wpłyną na szansę zdobycia pieniędzy na leczenie J.D.

Ale ja nie myślałam teraz o żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego, choć usilnie próbowałam skupić się na czymś innym, z uporem maniaczki wracałam tylko do jednego zdarzenia: pocałunku z Liamem. Aromatyczna i rozbudzająca moje zmysły kula do kąpeli, która musowała w gorącej wodzie, nie ułatwiała mi moich wysiłków. Wręcz przeciwnie, rozluźniała mnie i zachęcała do puszczania wodzy fantazji. Pod zamkniętymi powiekami, niczym na kinowym ekranie pojawiały się obrazy, które przeplatały się z natrętnymi pytaniami o to, co teraz nas łączy z Liamem i czy to był jednorazowy pocałunek, czy początek czegoś większego.

Przed oczami znów stanęły mi wspomnienia z tamtej niezwyklej wspólnej chwili spędzonej z Liamem, by chwilę później zastąpiły je już sceny, które były efektem działania mojej – w tym momencie chyba nazbyt wybujałej – wyobraźni. Nie mogłam jednak jej powstrzymać, to było silniejsze ode mnie. Po pewnym czasie nie byłam już pewna, czy było mi gorąco z powodu wody, czy moich fantazji, w których pozwalałam swojemu umysłowi się zatopić...

Ten stan całkowitego rozmarzenia brutalnie przerwało gwałtowne otwarcie drzwi łazienki.

– Aren może być w niebezpieczeństwie, a ty nic mi nie powiedziałaś?! – krzyknęła Alice, wpadając do środka bez jakiegokolwiek zapowiedzi, niczym rozpedzone tornado, i skutecznie przyzywając mnie z powrotem ze świata fantazji do rzeczywistości.

Byłam tak zaskoczona jej pojawieniem się, że niemal wyskoczyłam z wanny na równe nogi. Zanim jednak to zrobiłam, w porę uświadomiłam sobie, że biorę kąpiel, a zatem jestem całkowicie naga. Zniknęłam więc ponownie wśród piany piętrzącej się na powierzchni wody, ukrywając się przed Alice.

– Jak mogłaś, Melanie? Jak mogłaś mi nic nie powiedzieć?! – Dziewczyna była wściekła i najwyraźniej miała zamiar zakomunikować to całemu światu.

– Najpierw chciałam sprawdzić, czy jest o czym... – zaczęłam, ale Alice nie dała mi dojść do słowa.

– Wiesz, jak się teraz czuję, kiedy dowiedziałam się o tym wszystkim jako ostatnia?! Bo wiedzieli Enzo, Liam i Rei, tylko nie ja. No bo po co mi mówić?!

Przypomniałam sobie tę pocziwą, spokojną dziewczynę, o której jeszcze kilka dni temu myślałam, że jest człowiekiem „do rany przyłóż”. Ta sama dziewczyna od tamtego czasu konsekwentnie zachowywała się jak wulkan energii (niekoniecznie tej pozytywnej) i nieustępliwa choleryczka. Żałowałam, że to ja jestem najczęściej obiektem tej furii, ale w tych wybuchach było coś niezwykłego i prawdziwego. Coś, co sprawiało, że bardzo chciałam ponownie stać się jej przyjaciółką... Nie wiem, co to mówiło o mnie, ale to w sumie nie było ważne. Ważne było, że znów byliśmy razem, w jednym pomieszczeniu, i ze sobą rozmawialiśmy. Choć nie do końca byłam przekonana, czy można to nazwać rozmową.

– To prawda, nie powinnam była tego przed tobą ukrywać, ale... – no właśnie, przypomniałam sobie o potencjalnym monitoringu w naszej willi – chyba nie powinnyśmy o tym tutaj rozmawiać.

– Bo? – Alice zmierzyła mnie wzrokiem.

– Potem ci powiem...

Chciałam powiedzieć coś jeszcze, zasugerować, że może chodzi o obserwowanie i podsłuchiwanie nas przez producentów programu, ale do łazienki wpadła kolejna osoba – tym razem był to Enzo. Jego

mina sugerowała, że czas kąpieli dobiegł końca i nie będę już mogła cieszyć się jej urokami.

– Chodźcie, szybko! – wyrzucił z siebie te dwa słowa tak gwałtownie, że ledwo zrozumiałam, co mówi.

– Dokąd? – zapytałam, jednocześnie odruchowo chowając się nieco głębiej pod wodę i pianę na jej powierzchni.

– Ktoś tu idzie, chyba już o wszystkim wiedzą...

No tak, to było do przewidzenia. Nie trzeba było być specjalnie inteligentnym, by połączyć te kropki i dojść do wniosku, że to my – uczestnicy *The RITE Show* – rozpoczęliśmy własne śledztwo i odkryliśmy sekret ukrywany po drugiej stronie wyspy. Pytanie, kto tu idzie oraz jakie ma wobec nas zamiary.

Biorąc pod uwagę, że mężczyźni stojący przed wejściem do podziemnego kompleksu mieli broń, nie sposób było przewidzieć, jak takie spotkanie mogłoby się dla nas skończyć. Oczywiście nie podejrzewałam, że ktoś jest w stanie nas zabić – przecież, na miłość boską, to reality show dla pisarzy, a nie survivalowy obóz lub program o odkrywaniu tajemnic, skrzętnie skrywanych przez moźnych tego świata. Niemniej, jakkolwiek by tego nie ująć, wsadziliśmy (a właściwie ja wsadziłam) nos w nie swoje sprawy i teraz trzeba było zmierzyć się z konsekwencjami.

– To co robimy? – zapytała Alice, a potem spojrzała najpierw na Enza, a potem na mnie.

– Liam i Rei już na nas czekają na... – zaczął odpowiadać Włoch, ale mu przerwałam.

– Nic więcej nie mów! – powiedziałam zdecydowanym głosem, który aż postawił do pionu Enza. A następnie skierowałam wzrok na sufit. – Nigdy nie wiadomo, kto słucha... Dajcie mi sekundkę, już wychodzę i pójdziemy do nich razem!

Alice i Enzo niemal w tym samym momencie skinęli głowami i wyszli z łazienki. Minutę później do nich dołączyłam. Stali w milczeniu, patrząc w moją stronę. A gdy do nich podeszłam, bez najmniejszego zająknięcia razem z Alice ruszyliśmy za Enzem.

Na plaży czekali już na nas wspomniani Liam i Rei. Rei szeptało coś Liamowi, który z kolei bacznie obserwował, co dzieje się między pobliskimi drzewami.

- Dobrze, że jesteście. Niewiele brakowało. Dosłownie minęliście się z oddziałem... Ech, sam nie wiem, jak to nazwać... W każdym razie z gośćmi z karabinami, którzy nie wyglądali na naszych potencjalnych przyjaciół.

- Co tu się w ogóle dzieje?! - wybuchła Alice, choć widać było, że z całych sił stara się pozostawać w rejestrze szeptu.

- *Exactement!* - zawtórowało jej po francusku, a jakże, Rei. - Oczywiście wszyscy sobie zdajemy sprawę, że nie byłoby tego zamieszania, gdyby nie nasza drama queen, Melanie.

Rei spojrzęła na mnie z dawną pogardą, od której już zaczęłam się odzwyczajając.

- Przestań! - przerwał Rei Liam. - I ja, i Enzo widzieliśmy budynek ukryty w głębi dżungli. To przecież nie Melanie go wybudowała i nie wpuściła do niego uzbrojonych mężczyzn.

- Jezu, to tam trzymają Arena?! - jęknęła Alice, po czym chwyciła Liama za rękę i pociągnęła ją tak, że ten musiał na nią spojrzeć. - Bo jeśli tak, musimy tam jak najszybciej pójść! Co, jeśli coś mu tam grozi?

- Mam nadzieję, że zaraz usłyszymy odpowiedzi na te pytania - odparł Enzo. - A przede wszystkim na twoje pierwsze pytanie, czyli o co tu tak naprawdę chodzi. Prawda?

Ostatnie słowo Enzo wymówił znacznie głośniej i miałam wrażenie, że w tym przypadku nie mówi do nas, a do kogoś innego. Spojrzałam na niego, ponieważ nie miałam pojęcia, jak zamierzał nam udzielić tych odpowiedzi. I dopiero wtedy, gdy przez krótką chwilę staliśmy w absolutnej ciszy, usłyszałam to. Ledwo słyszalne odgłosy. Jakby ktoś chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Tak brzmiał ktoś... zakneblowany.

- Prawda, Peterze?

ROZDZIAŁ 28

Pytanie zadane przez Liama mnie zelektryzowało. Bo przecież na wyspie był tylko jeden Peter, którego poznaliśmy kilka dni temu i który odpowiadał za koordynację całego programu. Ale to nie mógł być on, ponieważ to oznaczałoby, że...

Zanim dokończyłam tę myśl w swojej głowie, Liam w asyście Enza podszedł do dużego drzewa, nieopodal którego staliśmy, i wspólnie wyciągnęli zza jego grubego pnia związanego i zakneblowanego Petera Forsleya. Ten szamotał się i wił jak piskorz, ale nie mógł nic wskórać. Próbował też krzyczeć, ale przez knebel nikt nie miał szans go usłyszeć. W tym momencie był absolutnie bezradny.

- Czy to...? - zdołała wyrzucić z siebie Alice, ale głos ją zawiódł. I wcale jej się nie dziwiłam. Ja też nie miałam pojęcia, co powiedzieć w tej sytuacji.

- Tak, to on - odparł Liam.

- Szli tutaj z Zackiem. Chcieliśmy początkowo złapać twojego znajomego - Enzo spojrział na mnie - ale nam się nie udało. Choć może to i lepiej.

- To dlatego wysłali na nas ten cały... oddział? - wymamrotałam.

Moje ręce i nogi zaczęły drżeć. Czułam, że nadciąga kolejny atak paniki, a ja nie jestem na niego gotowa. W dodatku działo się tak dużo, że nie miałam pojęcia, co zrobić i jak zareagować. W głowie miałam totalną pustkę...

Wtedy poczułam, jak moją dłoń ktoś ściska. Spojrzałam w kierunku swojej ręki - to był Liam. Trzymał mnie i patrzył na mnie zaniepokojony.

- Wszystko w porządku? - zapytał cicho.

Wzięłam głęboki wdech i przytaknęłam pospiesznie. Nie chciałam, a nawet nie mogłam teraz skupiać na sobie całej uwagi. Nie w takim momencie. Nie kiedy już za chwilę mieliśmy się skonfrontować z Peterem Forsleyem, który - co już absolutnie mnie nie dziwiło - również pozostał na wyspie. Prawda była taka, że jeśli ktokolwiek mógł nam zdradzić, co tutaj się dzieje, to tym kimś był właśnie on.

- Jak to z Zackiem? - odniosłam się do słów Enza. - W sensie znaleźli go?

- Wyglądali tak, jakby się znali... - wtrącił Liam, zanim Enzo zdążył odpowiedzieć.

- To prawda! - przytaknął nazbyt energicznie i ciut za głośno nasz włoski przyjaciel, jak miał w zwyczaju. - Szczerze mówiąc, zachowywali się jak, bo ja wiem... - Enzo popatrzył na Petera Forsleya uważnie. - Jakby bardzo dobrze się znali i byli rodziną.

Peter tylko uśmiechnął się krzywo i już po chwili na jego twarzy po uśmiechu nie było śladu. Pokręcił głową ze wzrokiem utkwionym w ziemię.

- Na twoim miejscu jak najszybciej bym mnie wypuścił, Enzo. Jeszcze nie jest za późno...

- O czym on mówi?! - zapytałam, stając tuż przed Enzem i zadzierając głowę, by nasze spojrzenia się spotkały. Jego wzrok jednak skutecznie uniknął mojego.

- Powiedz im. Na pewno będą zachwyceni... - ciągnął Peter Forsley, szczerząc teraz do nas zęby.

- Zamknij się! - warknął Enzo, odpychając mnie delikatnie, a następnie napinając swoje mięśnie i szykując się do zdzielenia w twarz skrępowanego przedstawiciela firmy Rite.

W ostatnim momencie potencjalny cios zablokował Liam, chwytając rękę Enza i nie pozwalając mu wprowadzić uderzenia.

- Enzo, mów, o co mu chodzi - powtórzyłam na granicy opanowania.

– Jezu, no dobra! – krzyknął z furją Enzo. Jego całe ciało aż się trzęsło z emocji. Każde słowo wydawało się sprawiać mu fizyczny ból. Czymś, o czym pewnie nigdy nikomu z nas nie chciał powiedzieć, bo było powodem do wstydu. – Rite zapłaciło mi, żebym namieszał pierwszego wieczora. To oni podsunęli pomysł imprezy i tego, by znaleźć sposób na skłócenie nas... No i to zrobiłem, bo potrzebowałem kasy.

Furia zamieniła się w rozpacz. W oczach Enza pojawiły się łzy. Trudno było stwierdzić, czy był bardziej wściekły na producentów *The RITE Show*, czy na siebie za to, że zgodził się tak zachować.

– To prawda?! – Alice nawet nie kryła oburzenia w głosie. – Naprawdę zapłaciliście Enzowi, by nas skłócił?! Po co?!

– *Divide et impera*. „Dziel i rządź”. Ta dewiza z czasów cesarstwa rzymskiego nadal świetnie się sprawdza. I w naszej firmie, i tutaj.

Peter nadal świecił zębami, szczerząc się do nas w przerwach między wypowiedzianymi słowami. Poczułam teraz tę samą potrzebę, którą dosłownie przed chwilą odczuł Enzo. Miałam ochotę zacisnąć dłoń w pięść i z całej siły uderzyć między oczy siedzącego na ziemi mężczyznę. Zrobić coś, by zetrzeć mu z twarzy ten głupkowaty uśmiešek, wyprowadzający nas wszystkich z równowagi.

– Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem... – jęknął Enzo. – To znaczy wiem. Chciałem ocalić rodzinną restaurację i chcę, byście i wy to wiedzieli. – Popatrzył po nas wszystkich, na nikim nie skupiając swojego spojrzenia. Raczej uciekał nim od dłuższego kontaktu, pewnie wciąż odczuwając wstyd. – Przez tę cholerną pandemię moja babcia niemal ją straciła. Niemal straciła to, co jej ojciec zbudował od zera i co było jego spuścizną dla jedynej, wymarzonej córki. Ilekroć babcia Francesca wraca do tej historii, łzy ciekną jej po policzkach. Bo niedługo po tym, jak jej ojciec otworzył restaurację, zmarł na zawał. Nagle, zupełnie niespodziewanie. Zostawił babcie Francescę i jej matkę z biznesem, o którym nie miały zielonego pojęcia, potrafiły tylko gotować. I od przeszło pięćdziesięciu lat nasza restauracja działała niezależnie od wszystkiego. Światowe kryzysy ekonomiczne, zawirowania polityczne we Włoszech, rewolucje społeczne miały, a moja babcia, do której dołączył mój tata, prowadzili Trattorię di

Barone. A kiedy po pandemii Francesca zrozumiała, że to może być koniec... – Enzo zrobił pauzę i z trudem przełknął ślinę. My staliśmy w ciszy, patrząc na niego i słuchając jego opowieści, bo też co można powiedzieć wobec takich słów? – Kiedy zrozumiała, że to może być koniec, dostała... dostała zawału, jak jej ojciec. – Enzo ponownie przerwał. – Całe szczęście medycyna poszła do przodu od tamtego czasu i uratowano ją. Ale... nie wiem, jak długo będzie w stanie żyć, jeśli nie odzyskamy rodzinnej restauracji. Rodzice nie mają pieniędzy, ja już przeznaczyłem na ten cel to, co mogłem, jednak to wciąż za mało. Dlatego... zgodziłem się na ich propozycję. – Enzo spojrział z pogardą na Petera Forsleya. – A teraz bardzo tego żałuję.

Przytuliłam Enza. Był cały spięty – miałam wrażenie, że nie obejmuję człowieka, lecz bryłę betonu z prętami zbrojeniowymi. Dopiero pod wpływem mojego uścisku to „coś” znów stopniowo zaczęło przypominać w dotyku mięśnie i ludzkie ciało.

– *Mon Dieu*, czyli wy po prostu żerujecie na ludzkim nieszczęściu... To dlatego nas wybraliście? Z powodu naszych traum?! – wybuchło Rei, a potem zrobiło taką minę, jakby dopiero teraz odkryło jakąś tajemnicę. – Teraz to ma sens! Zack nie znalazł się na wyspie przypadkowo i wcale nie pracował dla was... To twój syn. Założę się, że to wszystko, co zrobił Almie, uszło mu na sucho, bo Rite maczało w tym palce! I dlatego i ja byłam dla was łatwym celem w rekrutacji do tego pozał się Boże programu. Jesteście obrzydliwi!

Z każdą kolejną wymianą zdań do grona osób, które chciały „przyłożyć” Peterowi, dołączał następny kandydat. Tym razem było to Rei, które ponownie powstrzymał Liam. To on urastał w naszym gronie do rangi tego najbardziej opanowanego i racjonalnego, co w sumie nie powinno nikogo dziwić.

– Posłuchajcie... – zaczął Liam, stając między nami a Peterem Forsleyem. – Na ten moment musimy się dowiedzieć, co tutaj tak naprawdę się dzieje i...

– Gdzie jest Aren, no i czy nic mu nie jest – weszła mu w zdanie Alice.

– Dokładnie. Najpierw jednak kwestie fundamentalne.

Po tych słowach Liam zwrócił się do Petera:

– Jeśli teraz nam powiesz, o co tu chodzi, istnieje jeszcze cień szansy, że jakoś się dogadamy. Jeśli nie, sam pomyśl, jaka to będzie kłapa tego całego przedsięwzięcia i jak bardzo uderzy to w waszą firmę, gdy rozpowiemy wszystkim o praktykach Rite'a.

Peter tylko się zaśmiał. W niczym nie przypominał tamtego miłego i wydawać by się mogło serdecznego człowieka, z którym spędziłam wiele godzin w środkach transportu lotniczego. Teraz znacznie bliżej było mu do stereotypowego psychopaty z filmów amerykańskich. A biorąc pod uwagę, że Zack najprawdopodobniej był jego synem, w tym przypadku psychopatia jak najbardziej wchodziła w grę.

– Stawiasz mi ultimatum? – Peter w jednym momencie przestał się uśmiechać i wbił wzrok w Liama. – Chyba zapomniałeś, że jesteście na wyspie leżącej pośrodku oceanu. Nikt tak naprawdę nie wie, nawet wasze rodziny, gdzie jesteście i co tu robicie. Wiemy o tym my. I szczerze mówiąc, możemy z wami zgodnie z prawem zrobić to, co właśnie robimy. – Peter pokręcił z niezadowoleniem głową i na chwilę znów błysnął swoimi białymi zębami, a następnie dodał nieco poirytowanym głosem: – Co próbujemy robić z Arenem, ponieważ zgodziliście się na to w kontrakcie, który podpisaliście przed dołączeniem do programu.

– Kłamiesz, jak zwykle zresztą – stwierdziła Alice.

– Sprawdźcie swoje kontrakty, szczególnie fragmenty zapisane drobnym druczkiem. Te, których nikt nie czyta.

Jeśli mam być szczerą, od zawsze nienawidziłam jednej rzeczy: gry w kotka i myszkę. Nie umiem w small talk, gardzę ludźmi, którzy wszystko załatwiają, lejąc wodę i udając, że coś mówią lub robią, by tak naprawdę niczego nie powiedzieć i nie zrobić; którzy grają na zwłokę lub mydlą innym oczy. Jeśli mam gdzieś pójść, idę prosto do celu, nigdy naokoło, bo po co? Mogliśmy się więc tutaj przekomarzać, próbować udowodnić sobie nawzajem, kto jest sprytniejszy i bardziej wygadany: my czy Peter Forsley. Problem w tym, że po pierwsze, absolutnie nie miałam na to ochoty, a po drugie, nie mieliśmy też na to czasu.

W każdej chwili mógł nas odnaleźć „oddział”, o którym mówili Liam i Rei. A jeśli nie oni, to ktoś inny, kto był na tej wyspie. Bo najwyraźniej było nas tu całkiem sporo...

- No dobrze. A gdybyśmy je sprawdzili, co byśmy w nich znaleźli? - przecięłam tę bezsensowną wymianę zdań.

- Zgodę na udział w programie badawczym, który jest częścią *The RITE Show*.

- Programie badawczym?! Dobrze! I co wy niby badacie? Jak skonstruowane są fabuły powieści dla nastolatków? - zażartowało Rei.

- Może... Przekonacie się, gdy przyjdzie czas na wasze badanie.

Peter ponownie wyszczerzył zęby i raz jeszcze nie miałam wątpliwości, że tak naprawdę to psychopata. Od kiedy „napisałam” *Impostora*, zaczęłam myśleć, czy dobrym kierunkiem dla mnie nie byłyby studia psychologiczne. W ostatnich miesiącach sporo czytałam na temat psychologii, a że to nauka, która głównie zajmuje się zaburzeniami i chorobami, chcąc, nie chcąc, czytałam też o psychopatach.

Podobno takiego człowieka można rozpoznać po spojrzeniu. Psychopaci lubią utrzymywać kontakt wzrokowy. Dzięki temu mogą łatwiej manipulować swoimi rozmówcami i robić to, co potrafią najlepiej: kłamać w żywe oczy i sprawiać, że inni ludzie czują się przy nich wyjątkowo. Wszystko po to, by ukryć swoje prawdziwe intencje i nie dać po sobie poznać, o co tak naprawdę im chodzi. Ja jednak pomyślałam, patrząc na mężczyznę siedzącego na ziemi przede mną, że równie dobrym sygnałem jest uśmiech, który wywołuje ciarki na ciele. To było połączenie Jokera i Patricka Batemana, głównego bohatera *American Psycho*.

Alice nagle rzuciła się na Petera i chwyciła go za koszulę, którą miał na sobie.

- Mów! - wykrzyczała mu w twarz. - Mów, co tam robicie!

Liam i Enzo musieli się nieźle napracować, by odciągnąć ją od Forsleya. Rozjuszona, doprowadzona do granic wytrzymałości - taka teraz była. I wcale jej się nie dziwiłam. W końcu bardzo możliwe, że

właśnie w tym momencie wspomnianemu przez Petera badaniu poddawany był Aren. Chłopak, którego – bez dwóch zdań – kochała i na którym bardzo jej zależało. Być może podświadomie czuła, że grozi mu niebezpieczeństwo. Ja zresztą także to czułam, a to przecucie dodatkowo potęgował fakt, że najprawdopodobniej widziałam miejsce, w którym Aren był poddawany badaniu – specjalistyczny fotel ze skórzanymi pasami przytrzymującymi ręce i nogi, połączone z tajemniczym urządzeniem korzystającym z modułu „aRTi”.

– To ma coś wspólnego z botem „aRTi”, prawda? – zapytałam, strzelając trochę na oślep, ale byłam ciekawa, jak Forsley zareaguje na taką sugestię.

Z J.D. czasami graliśmy w tak zwane „statki”, choć niektórzy podobno mówią na tę grę „okręty” lub nazywają ją Salvo. To on mi ją pokazał, gdy byliśmy dziećmi. Wystarczyła kartka w kratkę z oznaczonymi współrzędnymi polami od A do J i od 1 do 10, a do tego ołówek lub długopis i odrobina wyobraźni. Na kartce zaznacza się czteromasztowce wielkości czterech kratek, trzymasztowce zajmujące trzy kratki i tak dalej. Przeciwnicy ukrywają przed sobą ustawienie swoich jednostek, a gra polega na strzelaniu na ślepo i próbie trafienia, by następnie zatopić wszystkie okręty tego drugiego. Gdy trafiasz, przeciwnik mówi: „trafiony”. A kiedy trafisz we wszystkie maszty jednostki, mówi: „trafiony, zatopiony”.

Miałam wrażenie, że właśnie po raz pierwszy gram w tę grę z kimś innym niż J.D. Nie mieliśmy kartek, nie rysowaliśmy na nich okrętów. Ale toczyliśmy ze sobą pojedynek, który pod wieloma względami przypominał „bitwę morską”. Strzeliłam, a twarz Petera niemal od razu niemo powiedziała: „trafiony”.

Obawiałam się jednak, że do „zatopienia” jeszcze sporo brakuje.

– Czyli te wasze całe badania mają coś wspólnego ze sztuczną inteligencją? Korzystacie z niej w laboratoriach w waszym podziemnym kompleksie? – kontynuowałam strzelanie na oślep.

Jak widać, lata rywalizacji z J.D. nie poszły na marne. Kolejny strzał i kolejne trafienie. Mina Forsleya jeszcze bardziej zrzędła. Po hardym,

aroganckim uśmiezkowi nie było już śladu. Pojawiło się za to coś, co określiłabym mianem rosnącej niepewności. Peter nie miał pojęcia, co już wiem, a czego jeszcze nie o ich badaniach. Jednak sam fakt, że mam pojęcie, czym jest moduł „aRTi”, najwyraźniej zrodził w nim panikę. We mnie zresztą też, bo sama myśl, że przeprowadzają badania na ludziach z wykorzystaniem sztucznej inteligencji w pomieszczeniu przypominającym pokój tortur, całkowicie mnie przerażała. I sprawiała, że w głowie miałam najczarniejsze możliwe scenariusze.

– Jaka sztuczna inteligencja? O czym ty mówisz, Melanie?! – Alice spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami, a potem znów ruszyła w stronę Petera, ale Enzo i Liam raz jeszcze ją powstrzymali. – O czym ona mówi?!

Forsley najwyraźniej jednak przestraszył się na tyle, że zrezygnował z jakiegokolwiek dalszej wymiany zdań. Z kamienną miną siedział bez ruchu na ziemi, próbując – na ile był w stanie – ignorować Alice wykrzykującą w jego stronę kolejne pytania.

– No co jest, kochaniutki, nic już nam nie powiesz? – zapytało Rei, kucając tuż przed Forsleyem i zerkając mu w oczy. Peter i Zack, kimkolwiek ten drugi był dla tego pierwszego, zaszli za skórę każdemu z nas. Dlatego Rei nawet nie próbowało ukryć pogardy wobec jednego z dyrektorów The Rite. Apogeum tej nowo nabytej nonszalancji, która jednak mieściła się w spektrum typowych dla Rei zachowań, było chwycenie twarzy Forsleya. – A wydawałeś się taki wyszczekany i tak ładnie szczyrzyłeś zębki.

– Pożałujecie tego... – wycedził Peter.

– Rei, puść go, to nie ma sensu – odezwał się Liam.

– A co niby ma sens, ty przemądrzały bucu z antypodów?! – odgryzło się Rei, błyskawicznie zrywając się z ziemi.

– Przestańcie, on właśnie na to liczy – powiedziałam, wchodząc pomiędzy Liama a Rei. – Sami słyszeliście, że od początku chodziło im o to, żeby nas skłócić. A im więcej czasu tracimy na takie przepychanki, tym mniejsza szansa, że... wyjdziemy z tego cało.

No właśnie, na ten moment byliśmy w pozycji absolutnie nie do pozazdroszczenia. Aż bałam się pomyśleć, co mogło nas czekać bez wzajemnego wsparcia i zaufania. Zresztą, tak naprawdę nawet trudno było to sobie wyobrazić, bo nadal nie wiedzieliśmy, jakie badania prowadzi The Rite i co my mamy z tym wspólnego.

– Co w takim razie robimy? – zapytała Alice, która zdążyła nieco ochłonąć.

– Obawiam się, że jedyną opcją, jaką mamy, jest ucieczka – odpowiedziałam, patrząc najpierw na Alice, a potem na resztę osób na plaży. – Tylko wcześniej musimy wydostać stąd Arena.

– Wszystko pięknie, dziewczyno... – zripostowało Rei, podnosząc mi ciśnienie tą swoją „dziewczyną” – ...ale niby jak mamy to zrobić? Odlecieć nie odlecimy, bo nie mamy czym. Chyba że chcesz płynąć wplaw przez ocean. Choć ty jesteś na tyle szurnięta, że pewnie właśnie to masz na myśli. – Sądząc po tonie głosu, ta „szurnięta” to chyba był zawołany komplement ze strony Rei. A może to ja tak chciałam to odczytać.

To prawda. Czasem zachowywałam się, jakbym była „szurnięta”. Ale nie aż tak.

– Nie, nie chcę płynąć wplaw – odparłam, może nieco zbyt spokojnie, niż powinnam w takiej sytuacji. Rozwiązanie problemu naszej ucieczki podpowiedziała mi ta analogia do gry w „statki”. – Jeśli Aren tu jest, przypuszczam, że jest tu też łódź, na którą go zabrali po jego eliminacji. A skoro tak, możemy nią uciec.

– Melanie, jesteś genialna! – stwierdził niespodziewanie Liam, a mój uśmiech w odpowiedzi musiał mu zdradzić wszystkie emocje, jakie czułam w czasie naszego pocałunku. Miło było słyszeć takie słowa z jego ust. I przez chwilę pomyślałam, jak cudnie byłoby je słyszeć już zawsze, każdego dnia. By to jednak było możliwe, musieliśmy się stąd wydostać.

Następnie zerknęłam na twarz Petera. Nadal była kamienna, a jednak dało się dostrzec coś, co usilnie starał się przed nami ukryć. Gdyby mina mogła mówić, jego powiedziałyby: „trafiony, zatopiony”. Ponieważ takiego obrotu spraw chyba ostatecznie się nie spodziewał.

ROZDZIAŁ 29

Związanego i zakneblowanego Petera zostawiliśmy w takim miejscu, że odnalezienie go graniczyło z cudem. I nawet jeśli ktoś – na przykład Zack – zorganizowałby na wyspie poszukiwania, byłam pewna, że zlokalizowanie Forsleya zajęłoby wiele godzin, jeśli nie cały dzień. Po tym wszystkim jednak jego los w ogóle mnie nie obchodził. Inni też byli obojętni, jeśli chodzi o to, co może się stać z człowiekiem, który nas tu sprowadził.

Znacznie ważniejsze było wymyślenie planu, który mógł pozwolić nam wydostać się z tej przeklętej wyspy. Dzięki mnie mieliśmy już pomysł, jak ją opuścić. Był tylko mały szkopuł – trzeba było znaleźć łódź, mając przy tym nadzieję, że rzeczywiście nadal znajduje się ona na wyspie. Ponieważ jednak Zack wspomniał w rozmowie z nami, że Aren do podziemnego kompleksu został przewieziony na wózku, można było założyć, że port znajdował się niedaleko niego. Jasne, równie dobrze mogło być zupełnie inaczej, Zack mógł przecież kłamać, jednak w tym momencie i tak nie mieliśmy innej opcji do wyboru.

Odszukanie łodzi było jednym z dwóch zadań. Drugim było odnalezienie Arena. Tu sprawa była prostsza, bo z dużą dozą prawdopodobieństwa chłopak Alice był przetrzymywany – zapewne wbrew swojej woli – w podziemnym budynku, do którego już raz udało mi się dostać. Oczywiście tym razem wejście w ten sam sposób co ostatnio odpadało. Ani ja, ani Liam nie sądziliśmy, że ktokolwiek, kto pracuje w tajemniczym kompleksie, dałby się nabrać dwa razy na ten sam numer. Nie pozostawało nam nic innego, jak wymyślenie innej drogi, by dostać się do środka.

Tu na szczęście po raz kolejny ja mogłam zaproponować jedyne możliwe rozwiązanie – a przynajmniej przy naszym obecnym stanie wiedzy. Mogliśmy wejść do środka dokładnie w ten sam sposób, w jaki ja wydostałam się z budynku. Innymi słowy: szyb wentylacyjny mógł nas doprowadzić do małego składziku z miotłami, mopami i detergentami. A stamtąd byliśmy w stanie wyruszyć na poszukiwanie Arena. Gdy tylko przedstawiłam ten pomysł reszcie, ku mojemu zdziwieniu przyjęły go z entuzjazmem i bez najmniejszego protestu.

Zupełnie inaczej wyglądała kwestia tego, kto pójdzie do podziemnego kompleksu, by odnaleźć Arena. Zaczęło się od kolejnego starcia Enza i Liama, choć z boku wyglądało to jak starcie Dawida z Goliatem. Znacznie drobniejszy, ale nadrabiający swoim zawziętym charakterem Liam i wysoki, umięśniony Enzo za punkt honoru postawili sobie, że to oni zdecydują o tym, kto i za co będzie odpowiedzialny w trakcie realizacji naszego planu. Co gorsza, miałam wrażenie, że to ja byłam główną kartą przetargową. Nie, nie byłam kartą przetargową – byłam osobą, którą zarówno jeden, jak i drugi teoretycznie za wszelką cenę chciał chronić, a w praktyce uznawał, że najlepiej by było, gdybym trzymała się jak najdalej od wszelkich zagrożeń. A już na pewno żaden z nich nie wyobrażał sobie, że mogłabym udać się do podziemnego budynku i wydostać stamtąd Arena.

Szybko jednak okazało się, że chłopaki mają mocno ograniczoną wyobraźnię. Nie dość, że w ogóle nie brałam pod uwagę scenariusza, w którym to nie ja wejdę do środka i będę przewodniczką dla towarzyszących mi osób, ale również Alice nie mogła pogodzić się z myślą, że to nie ona ruszy na ratunek swojemu ukochanemu. Największą neutralność i elastyczność z nas wszystkich wykazywało Rei, któremu właściwie było wszystko jedno. Ono – jak to ujęło swoim apatycznym i pozbawionym jakichkolwiek emocji głosem – najchętniej zrzuciłoby na wyspę „atomówkę” i zapomniało o całej sprawie. Gdy mówiło w ten sposób, to były te nieliczne, krótkie chwile, w których czułam, że coś jednak nas łączy – też czasami nachodziła mnie chęć, by zrzucić na coś „atomówkę”. Niestety zaraz potem rzuciło typową dla

siebie wiązanekę po francusku i ponownie zamarzyłam, by jak najszybciej zeszło mi z oczu.

Nasze spory i kłótnie sprawiły, że stosunkowo długa i męcząca droga (choć zapadła noc, nadal było niemiłosiernie duszno i gorąco) minęła niemal błyskawicznie. To nie była jednogłośna decyzja i – szczerze mówiąc – niewiele brakowało, a doszłoby między naszą czwórką do bijatyki (Rei konsekwentnie nie ingerowało w nasze ustalenia i optowało za tym, by po prostu jak najszybciej się stąd wydostać). Ostatecznie jednak ustaliliśmy, że do podziemnego kompleksu udamy się ja i Enzo, a Liam, Alice i Rei odszukają Łódź. A gdyby udało im się to zrobić szybko i bezproblemowo, któreś z nich (choć szłam o zakład, że będą to Liam i Alice) spróbuje do nas dołączyć, wchodząc przez szyb wentylacyjny.

Skąd taki układ? Nie było siły, która powstrzymałaby Enza przed wejściem do budynku. Tym razem jednak to nie była dla niego kolejna niezwykła przygoda, do której był z nas wszystkich najbardziej entuzjastycznie nastawiony. Nie przypominał tego małego, wesołego pieska, co zazwyczaj – który zawsze jest chętny do wyjścia na spacer, biega jak szalony w tę i we w tę, zjada wszystko, co napotka na swojej drodze, uważa za dobrych partnerów do zabawy pięć razy większych czworonogów od siebie i pakuje się w największe chaszczce, choć jego sterzące uszy ledwo sięgają ponad krawężnik. Chciał tam wejść, ponieważ czuł się winny całej sytuacji i uważał, że to przez niego Aren tam się znalazł. I trudno było komukolwiek z tym dyskutować, nawet Liamowi. Ja natomiast jako jedyna znałam drogę do środka i koniec kropka.

Liam mimo wszystko nie potrafił zaakceptować tych ustaleń. Ewidentnie nie mógł się pogodzić z faktem, że nie pójdzie razem ze mną i Enzem. W ferworze wymiany zdań między nim a Enzem w pewnym momencie stwierdził nawet, że bez niego mogą być „bezbronna” i tylko on zrobi wszystko, by mnie ochronić. Nie ukrywam, że z jednej strony takie postawienie sprawy przez Liama (no właśnie: przez Liama!) było niezwykle urocze i najwidoczniej ten nasz jeden jedyny pocałunek także jemu mocno namieszał w głowie. Z drugiej

jednak nic bardziej mnie nie wkurzało niż traktowanie mnie w sposób przedmiotowy. Nieważne, czy chodziło o moje dobro, czy nie, chciałam decydować o sobie i miałam do tego prawo. A już na pewno nie potrzebowałam żadnego obrońcy. Co najwyżej towarzysza, który mnie wesprze, ale będzie traktował poważnie. Czy naprawdę prosiłam o tak wiele?

Kiedy w końcu dotarliśmy do miejsca, w którym kilka godzin wcześniej znalazł mnie Enzo, Liam milczał od dłuższej chwili. Jak zwykle jego twarz przypominała billboard – można było z niej wyczytać wszystko, i to z daleka. Teraz był rozdrażniony i zły. Pewnie dlatego, że nie walczyłam o to, by to on poszedł ze mną, skoro już miałam wejść do budynku. Jednak paradoksalnie dla własnego bezpieczeństwa wołałam, by był przy mnie Enzo. Nie dlatego, że ufałam mu bardziej niż Liamowi lub że czułam się przy Enzu pewniej. Najzwyczajniej w świecie – jakkolwiek by to zabrzmiało – zdecydowały jego mięśnie. Bo jeśli wpadlibyśmy na kogoś we wnętrzu kompleksu i musielibyśmy sobie jakoś z tym kimś poradzić, znacznie większe szanse miałam na to z wysportowanym Enzem niż pełnym dobrych chęci i wybitnie inteligentnym, choć znacznie drobniejszym Liamem. Taka była prawda. I głęboko w sercu Liam też o tym wiedział. To może nawet wkurzało go jeszcze bardziej...

- Tylko nie daj się tam zabić, okej? – mruknął do mnie cicho, gdy stanęliśmy na moment z dala od reszty. Silił się, by zachować powagę i pielęgnować w sobie wściekłość, ale głęboko skrywana dobroć i autentyczna troska o mnie zwyciężyły. Pewnie dlatego w ostatniej chwili zmienił ton, by zabrzmiało to jak żart. Jeden z tych, do których zdążyłam się już tutaj przyzwyczaić. Ten nie był jednak chamski i złośliwy. Nie wiem, czy można tak to ująć, ale zabrzmiał dość uroczo w swym makabrycznym wydźwięku. – Straciłem już jedną dziewczynę, która wyglądała dokładnie tak jak ty. Utraty drugiej mogę już nie przeżyć.

- Wiesz, że gdybyś powiedział mi to pierwszego dnia, kiedy tu przyjechaliśmy, najprawdopodobniej poważnie rozważyłabym każdy scenariusz, który prowadziłby do pozbycia się ciebie z tego świata...?

Cóż, uznałam, że jeśli Liam pozwala sobie na makabryczne żarty w takiej chwili, także ja mogę zaproponować coś od siebie.

– To prawda, byłem strasznym dupkiem. – Liam w końcu się złamał i parsknął śmiechem.

To niesamowite, jak śmiech może odmienić człowieka. Kiedy Liam się śmiał, szczerze i otwarcie, czułam, że mam w nim prawdziwego przyjaciela. Wiedziałam, że mimo wszystkich naszych upadków i wzlotów, meandrów i trudnych początków naszej znajomości to jest dobry człowiek. Gdzieś głęboko, pod grubą warstwą codziennego cynizmu i sarkazmu, ale jednak.

Co nie zmieniało faktu, że uwielbiałam się z nim droczyć.

– Strasznym kutasem – poprawiłam go, również uśmiechając się szeroko.

– Tak, tak, wiem. Pamiętam... – przyznał Liam, poważniejąc i biorąc mnie za rękę. – Słuchaj, Mel... Mogę tak do ciebie mówić?

– Teraz już tak – odparłam, spoglądając najpierw na jego rękę trzymającą moją dłoń, a potem na jego twarz. – Choć wolę, gdy mówi się do mnie Mela.

– Mela... Niech będzie. Posłuchaj. Może i wyglądasz zupełnie jak Jenna, ale chcę, żebyś wiedziała, że nie jesteś dla mnie jakimś duchem, za którym się uganiam z tęsknoty... Tak naprawdę nie przypominasz nikogo, kogo znam...

– Tylko nie mów, że jestem wyjątkowa, bo tego nie zdzierzę. – Tak, wiem, to głupie, ale teraz to ja musiałam jakoś rozładować atmosferę. Stresowałam się tym, co zamierzał powiedzieć, tak samo jak on, a może nawet bardziej.

– Chodzi o to – kontynuował Liam, zupełnie nie przejmując się moimi słowami – że nikt nigdy nie sprawił, że czułem się tak, jak czuję się przy tobie. To dzięki tobie dostrzegłem, że chciałem pisać i wygrywać tylko dlatego, że miałem niskie poczucie własnej wartości i bałem się być sam. Przez długi czas po śmierci Jenny czułem, że muszę najpierw udowodnić, że pasuję do tego wielkiego, dziwnego świata i że mogę w nim żyć, choć nigdy nie będę w nim szczęśliwy. Ale

przy tobie w końcu rozumiem, że to miłość czyni ten wielki, przerażający świat znośnym i że wcale nie trzeba nikomu niczego udowodniać...

Miałam wrażenie, że Liam wyrzucił z siebie te wszystkie słowa na jednym oddechu. A gdy skończył, zaczerpnął głęboko powietrza. Nie widziałam go jeszcze w takim stanie. Chyba drżał na całym ciele, a to oznaczało, że... naprawdę się stresował tą rozmową. Ścisnęłam nieco mocniej jego dłoń, by poczuł, że tu jestem, że jestem przy nim. Uśmiechnął się nerwowo i przełknął ślinę. Gdy tak się denerwował, był naprawdę uroczy.

- Innymi słowy... - wydusił z siebie po dłuższej pauzie - chciałem ci powiedzieć, że...

Zanim jednak Liam zdążył wyznać to, co zamierzał, nasze usta ponownie się spotkały. Nie miałam pojęcia, czy to on pocałował mnie, czy to moje wargi dotknęły jego ust. To już nie miało znaczenia. Liczył się tylko fakt, że znów czułam jego delikatne, słodkie wargi. I że chciałam, by trwało to jak najdłużej, a najlepiej nigdy się nie skończyło.

- Ja ciebie też... - wyszeptałam tak, by tylko chłopak, z którym się całowałam, mógł mnie usłyszeć.

Znaczące chrząknięcie, które dobiegło do naszych uszu od strony Enza, Alice i Rei, sugerowało, że przyszedł czas na definitywne rozstanie. Przynajmniej na razie.

- I obiecuję, że nie dam się zabić - mruknęłam, puszczając oko do Liama, a następnie ruszyłam w stronę reszty.

- Zaczekaj!

Ku mojemu zdziwieniu Liam podbiegł do mnie, a następnie sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął z niej złożoną kartkę.

- Byłbym zapomniiał... - powiedział, wręczając mi złożony w kwadrat kawałek papieru. - Tylko obiecuj, że nie przeczytasz tego, zanim nie opuścimy wyspy.

- Co to? - odparłam zdumiona, wyciągając dłoń po kartkę, jednak w tym momencie Liam cofnął swoją rękę.

- Zobaczysz. Ale najpierw obiecaj.

Mówił to z całkowitą powagą i tym razem nie było już miejsca na żarty.

- No dobra, obiecuję - burknęłam, bo nie lubiłam takich tajemnic. Teraz byłam w stanie myśleć tylko o tym, co jest w tej cholernej wiadomości. - Zresztą, skoro nie chcesz, żebym ją przeczytała, daj mi ją, gdy będziemy opuszczać wyspę, co?

Liam zamierzał coś powiedzieć, ale przerwał mu zniecierpliwiony Enzo.

- Nie chciałbym wam przerywać, ale idziemy w końcu czy co robimy?

- Tym bardziej że, moje drogie gołąbeczki, to chyba nie jest najlepsze miejsce i czas, by sobie gruchać, czyż nie? - zawtórowało mu Rei.

Liam wcisnął mi do ręki wiadomość i zacisnął na niej moje palce. Uśmiechnął się jeszcze, a potem dołączył do Rei i Alice. Miałam dziwne przeczucie, że widzę Liama po raz ostatni. I że on też to czuł, a może nawet wiedział, i to właśnie dlatego wręczył mi swoją wiadomość. Na szczęście przeczucia bywają zawodne. Bardzo chciałam, by tak było i w tym przypadku. Bardzo.

Pomachaliśmy sobie wszyscy na do widzenia. Potem ja i Enzo otworzyliśmy kratkę i weszliśmy do szybu wentylacyjnego, by odszukać Arena. Liam, Alice i Rei natomiast zniknęli pośród gęstej zieleni otaczającej podziemny kompleks, mając nadzieję, że przy odrobinie szczęścia znajdą łódź, którą będziemy mogli wspólnie uciec z wyspy.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczyłam w tamtej chwili, był księżyc i gwiazdy na czarnym niebie. Światło w ciemności. Tym chyba jest nadzieja.

I tą nadzieją, że wyjdziemy z tego wszyscy zdrowi i cali, żyłam, gdy razem z Enzem zagłębiał się w ciemność szybu wentylacyjnego przed nami...

ROZDZIAŁ 30

Ciemność i cisza przerywana jedynie głuchym, metalicznym odgłosem w odpowiedzi na każdy ruch mój lub Enza. Do tego nieustanne uczucie klaustrofobii podczas przeciskania się przez ciasny szyb wentylacyjny. Być może w takich warunkach powinno się myśleć tylko o tym, by przeżyć, dotrzeć do krańca długiego, pozornie nigdy się niekończącego, pogrążonego w mroku tunelu.

Jednak ja myślałam o czymś zupełnie innym. Nie mogłam przestać się zastanawiać, co znajduje się na tym niewielkim świstku papieru, który wręczył mi Liam. Po pierwsze, to było zagranie poniżej pasa. Szczególnie w kontekście tego, czego ostatecznie ani on, ani ja nie wypowiedzieliśmy, a co pewnie powinno wybrzmieć. Dwa słowa, które tak łatwo było wymówić J.D., które tak bezproblemowo akceptowałam, gdy padały z jego ust. Zapewne dlatego, że ostatecznie nie pociągały za sobą tego całego mętliku myśli i uczuć, który kryłby się za „kocham cię”, gdyby te słowa padły z ust Liama.

Po tych wszystkich latach, po spędzeniu wspólnie niemal całego dzieciństwa i okresu dojrzewania, wiedziałam, co znaczy „kocham cię” z ust J.D. Po tym wszystkim, co spotkało mnie ze strony Liama, nie mogłam być pewna, co znaczy „kocham cię”, gdy wypowie je w końcu, patrząc mi w oczy.

Czy to o tym napisał w swojej wiadomości? Czy padną w niej te dwa krótkie słowa, przed których wymówieniem przecież sama go powstrzymałam? Nawet jeśli, skoro miał szansę, dlaczego nie powiedział mi, co czuje, prosto w oczy? I czy w takim razie już wcześniej wiedział, że czuje do mnie coś więcej, i teraz dodatkowo

poczuł też potrzebę, by się z tego wytłumaczyć? A może nigdy wcale nie zamierzał powiedzieć „kocham cię” – może wcale mnie nie kochał.

Po drugie, a to chyba było jeszcze gorsze, sam fakt, że napisał do mnie jakąś wiadomość, sprawił, że zaczęłam analizować, co tak naprawdę czuję do Liama. I jak to się ma do moich uczuć względem J.D. Powiedzieć, że w tamtym momencie miałam mętlik w głowie, to nie powiedzieć nic. Miłość nigdy nie była dla mnie czymś oczywistym. Wręcz przeciwnie, to było obce pojęcie. Za każdym razem, gdy wymawiałam to słowo, odnosiłam wrażenie, że używam nieznanego mi języka, wyrazu, który słyszałam co jakiś czas to tu, to tam, ale nie miałam pojęcia, jak użyć go poprawnie. Czy w ogóle są jakieś reguły tego języka, które mówią, w jakich sytuacjach powiedzenie komuś „kocham cię” to błąd, a w jakich jest to jak najbardziej uzasadnione?

Szczerze mówiąc, nikt nigdy nie starał się mi tego wytłumaczyć, ani w domu, ani w szkole. Moja edukacja w tej kwestii – jak chyba każdego – sprowadzała się do lektury romansideł, kolejnych seansów komedii romantycznych i zarywania nocy w celu nadrobienia stale powiększających się zaległości w serialach obyczajowych. No i może w takim razie ktoś kiedyś powinien jednak poświęcić przynajmniej jedną lekcję na przerobienie tego tematu w szkole – myślę, że wielu osobom to znacznie ułatwiłoby życie. Mnie na pewno. Przynajmniej wiedziałabym, na czym stoję w relacji z J.D. i Liamem. No dobra, chyba po prostu jestem z tego pokolenia, które zaczęło się zastanawiać nad takimi kwestiami na poważnie, bo chyba jako pierwsze odpowiedzialnie podchodzi do miłości. A przynajmniej tak mi się wydaje, patrząc na relację moich rodziców, ale i rodziców większości moich znajomych, dla których miłość ostatecznie równała się ślubowi, kupieniu wspólnego domu i założeniu rodziny mieszkającej w tymże domu z hipoteką zaciągniętą na wieczność. Była to też miłość, która nie równała się jakiegokolwiek autentycznej próbie poznania i zrozumienia ukochanej osoby, która oznaczała życie w jednym domu, ale jednocześnie w równoległych światach, bliskości, która tak naprawdę była radykalną obcością, nierzadko zrodzoną ze wstydu, niepewności i braku szacunku dla siebie samego. Miłość, która w najlepszym razie

kończy się na terapii dla par, a w najgorszym którymś z kolei rozwodem, by podzielić wielokrotnie już dzielony majątek...

- Czyli ty i Liam, tak? - przerwał niespodziewanie nasze kilkuminutowe milczenie Enzo, zanim moje przemyślenia na dobre wciągnęły mnie w bagno stworzone w mojej głowie przez pokręcone relacje między moimi rodzicami. Podobno doświadczenia z okresu dzieciństwa mają decydujący wpływ na naszą psychikę i to, jakimi jesteśmy ludźmi: czego pragniemy, czego się boimy i czego nam najbardziej brakuje. W moim przypadku zapewne to, co zaszło między Ann i... moim ojcem, stało się przyczyną powstawania tych wszystkich dziwnych relacji w moim życiu. To pewnie stąd moja relacja z Liamem - być może dlatego dałam kolejną szansę temu na pozór sarkastycznemu chłopakowi, który na szczęście w rzeczywistości okazał się kimś zupełnie innym. Cieszyłam się więc, że Enzo wyrwał mnie z tego bagna myśli swoim pytaniem, choć odpowiedź na nie poprowadziła mnie w stronę kolejnego bagna - tym razem emocjonalnego.

- Co? - udało mi się, że nie usłyszałam pytania. Miałam nadzieję, że Enzo załapie i nie będzie drażył tematu. Przeceniłam go.

- Tego chyba nikt się nie spodziewał... Wiesz, że wy, razem.

- To był tylko pocałunek - odparłam szybko, nie wiedząc, dlaczego tak powiedziałam. To przecież nie był tylko pocałunek. Ani dla mnie, ani dla Liama.

- Nie wyglądało, jakbyście całowali się po raz pierwszy, a poza tym...

- Jest! - przerwałam Enzowi z nieukrywaną ulgą, ponieważ dojrzałam lekko uchyloną kratkę wentylacyjną, przez którą uciekałam ze składziku kilka godzin temu. Teraz dzięki niej mogłam uciec od niezręcznej rozmowy z Enzem.

Oboje znów zamilkliśmy, zbliżając się do wyjścia z szybu wentylacyjnego. Miałam rację, to był ten sam składzik z tą samą przewróconą metalową szafką. Najważniejsze jednak, że w środku nie było nikogo.

Teraz rozterki dotyczące tego, jaka relacja łączyła mnie z Liamem, zeszyły na dalszy plan. Najważniejsze było odnalezienie Arena

i wyprowadzenie go stąd całego i zdrowego. I na tym na szczęście od tego momentu się skupiliśmy.

W porównaniu do mojej poprzedniej wizyty w tym miejscu teraz zdawała się w nim panować martwa cisza. Nie było słychać żadnych głosów, kroków, niczego. Miało to dobre i złe strony. Dobre? Przynajmniej w teorii mogliśmy się szybko i swobodnie przemieszczać po wnętrzu budynku. Złe? Za pierwszym razem to miejsce wzbudzało we mnie lęk – teraz było dla mnie wręcz upiorne. Ponieważ sprawiało wrażenie opuszczonego, podświadomie czekałam na jakiegoś ducha lub zjawę, które nas zaatakują w najmniej oczekiwanym momencie. W najlepszym razie spodziewałam się po prostu jednego z pracowników, który pojawi się znikąd i włączy alarm, a my z Enzem jako obiekty złowieszczycych badań dołączymy do uwięzionego gdzieś tutaj Arena.

W dodatku towarzyszący mi Enzo najwyraźniej postanowił kusić los, sprawdzając, czy któreś z drzwi w mijanym korytarzu nie są przypadkiem otwarte. Wychodził z założenia, że skoro już tu jesteśmy, to powinniśmy dowiedzieć się jak najwięcej o badaniach prowadzonych przez The Rite. Oczywiście miało to sens, jednak znacznie ważniejsze było odnalezienie Arena, a zachowanie Enza było jak gra w rosyjską ruletkę: bo nigdy nie wiedzieliśmy, co lub kto czai się za zamkniętymi drzwiami. Mogliśmy za nimi znaleźć odpowiedzi na nasze pytania, ale mogliśmy też w ten sposób wpaść w śmiertelne kłopoty.

Szczęście jednak nam sprzyjało. Po pierwsze, wszystkie drzwi nadal były zamknięte, a więc przynajmniej tutaj nie przytrafiło nam się nic złego. Po drugie, bez najmniejszych problemów wróciłam wraz z Enzem znaną mi drogą do strzeżonego wcześniej przez dwie osoby wejścia do budynku. Teraz nie było tu nikogo, a wielki metalowy właz pozostawał zamknięty.

- Dziwnie pusto – zauważył Enzo szeptem, gdy tylko ruszyliśmy w kierunku części laboratoryjnej. – Czy mi się wydaje, czy wspomińskaś, że poprzednim razem było tu całkiem sporo ludzi?

- Tak właśnie było... – odparłam równie cicho.

Sądząc po głosie Enza, niepokoiła go ta sytuacja. Mnie zresztą też. Bo albo większość osób, które tu pracowały, opuściły budynek, by nas odszukać – i to właśnie na nich niemal nie wpadliśmy po opuszczeniu willi – albo coś tu się wydarzyło w ciągu tych kilku godzin. Była też trzecia opcja: że stało się i jedno, i drugie...

Tak czy inaczej, droga była wolna i mogliśmy bez przeszkód zmierzać w stronę pokoju, w którym stało urządzenie korzystające z modułu „aRTi”. Gdy tylko weszliśmy ponownie do budynku, moja intuicja podpowiadała mi, że właśnie tam znajdziemy Arena.

Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wcześniej. Teraz, gdy nie próbowałam się przed nikim ukryć, mogłam lepiej przyjrzeć się wnętrzu. Przede wszystkim kompleks był bardzo duży i zastanawiało mnie, jaką część wyspy zajmuje. Nie przypominał przy tym – tak jak to miało miejsce przy wejściu do budynku – jakiegoś tajnego obiektu (a przynajmniej nie wyglądał jak na filmach, gdy pokazywane są tego typu rzeczy). Wnętrze wyglądało jak biurowiec, może trochę jak ten budynek, w którym zostałam zaproszona przez Petera Forsleya do *The RITE Show*.

Nieniepokojeni przez nikogo zatrzymaliśmy się dopiero przed drzwiami, za którymi kryło się urządzenie z napisem „aRTi Module Inside”.

– To tu – szepnęłam do Enza.

– W sensie?

– W sensie to tu widziałam ten fotel i urządzenie korzystające ze sztucznej inteligencji.

– I myślisz, że Aren jest w środku? – upewnił się Enzo.

– Zaraz się przekonamy. Ale kiedy wspomniałam Forsleyowi o tym, co tutaj widziałam, odebrało mu mowę... Więc to musi być tu.

Enzo wziął głęboki wdech.

– Okej, wchodzimy na „trzy” – stwierdził z powagą.

A mnie przypominało to scenę rodem z filmu akcji lub kryminału.

– Raz, dwa... – ciągnął Enzo – ...trzy!

Na „trzy” wpadliśmy do pokoju, najpierw Enzo, potem ja. I niemal od razu zamarliśmy bez ruchu, nie wierząc w to, co ukazało się naszym oczom.

- Nareszcie jesteście.

Mina Zacka wyrażała tylko jedno: całkowite zadowolenie z samego siebie. Tym razem przynajmniej miał coś na sobie. Ba, był w pełni ubrany i zadbany. Szczerze mówiąc, już nie przypominał tego zdyszanego pucułowatego chłopaka, którego spotkałam w dżungli. I nie chodziło tylko o jego strój, który sprawiał, że wyglądał na dużo starszego niż wcześniej: dobrze skrojony garnitur, koszula, krawat, a do tego eleganckie skórzane buty. Przede wszystkim był ogolony, uczesany, miał też nienaganną cerę! Zupełnie jakbyśmy spotkali się z jego złym – ale dużo lepiej wyglądającym – bratem bliźniakiem, który mógłby się nazywać Zayn. Oczywiście to był Zack, co do tego nie było wątpliwości. No właśnie, zdawałam sobie sprawę, że dobra kąpiel i godzinka, czasami dwie sam na sam ze sobą w łazience potrafią zdziałać cuda, jednak tak radykalna zmiana w wyglądzie Zacka była wręcz niewiarygodna. Teraz budził prawdziwą grozę.

Warto dodać, że nie czekał tam na nas sam. Towarzyszyli mu trzej mężczyźni i jedna kobieta, wszystkie te osoby były dużo wyższe i lepiej zbudowane od mojego stalkera. Każda z nich miała też broń. Jakakolwiek konfrontacja nie wchodziła więc w grę. Byliśmy z Enzem na straconej pozycji i właściwie zdani na łaskę Zacka, co nie wróżyło nam najlepiej.

W pokoju był ktoś jeszcze. Dopiero po chwili za plecami otaczającej Zacka czwórki dostrzegłam Arena. Tak jak wcześniej podejrzewałam, był przywiązany do fotela, a jego głowa podpięta była przy pomocy skomplikowanego hełmu do włączonego i cicho szumiącego urządzenia z napisem „aRTi Module Inside”. Na maszynie świeciły się teraz diody, podświetlony był też niewielki monitor wbudowany w urządzenie, którego wcześniej nie dostrzegłam.

- Jezu, co wy mu robicie?! – jęknęłam, nie mogąc oderwać oczu od nieprzytomnego Arena. Jediną oznaką, że chłopak nadal żyje, były

szybkie ruchy jego gałek ocznych pod zamkniętymi powiekami oraz unosząca się powoli i rytmicznie klatka piersiowa.

Chciałam do niego podejść, by się upewnić, że nic mu nie jest, jednak niemal w tym samym momencie towarzysze Zacka wymierzili we mnie swoje pistolety.

– Spokojnie, Melanie, nic mu nie jest. Firma mojego taty prowadzi na nim badania, na które zresztą wszyscy zgodziliście się w swoich kontraktach.

– Czyli naprawdę jesteś synalkiem Petera Forsleya? – zapytał zaskoczony Enzo.

– Synalkiem... – odparł Zack, parodiując przy tym głos Enza i kiwając głową z dezaprobatą. – Co to, lata dziewięćdziesiąte?

– Posłuchaj, Zack... – zaczęłam, mając nadzieję, że jako mój stalker, czyli osoba, która ma świra na moim punkcie (choć sama myśl o tym mocno mnie przerażała), będzie mi bardziej przychylny. Niestety Zack najwyraźniej nie zamierzał słuchać.

– Melanie, to ty mnie posłuchaj – przerwał mi, robiąc krok w moją stronę. – Wszystko to, co o tobie powiedziałem w naszych rozmowach, to była prawda. – Zatrzymał się tuż przede mną, pogładził moje włosy i odgarnął kosmyk z mojej twarzy.

Zamarłam. Chyba jeszcze nigdy nie byłam tak sparaliżowana strachem.

– Zostaw ją! – warknął Enzo i chwycił Zacka za rękę.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać; dwaj mężczyźni, nie wiem nawet kiedy, powalili Enza, przyciskając jego twarz do podłogi i uniemożliwiając mu jakikolwiek ruch.

– Tak jak mówiłem... to była prawda – kontynuował Zack po krótkiej pauzie. – Naprawdę ci kibicowałem, bo uważam, że masz talent. A do tego jesteś przepiękna. Myślę nawet, że się w tobie zakochałem...

Gdy wypowiedział te słowa, patrząc mi prosto w oczy, zebrało mi się na wymioty. W tym przypadku ewentualne „kocham cię” to na sto procent byłaby sytuacja rodem z koszmaru. Tego najgorszego, z którego

człowiek budzi się z krzykiem i cały spocony. Akurat tu nie były potrzebne żadne korepetycje z teorii miłości.

Całe szczęście wypowiedź Zacka miała swoją dalszą część.

- Ale z tym już koniec. Po tym, co mi zrobiłaś, jak mnie potraktowałaś... Upokorzyłaś... - W jednej chwili twarz Zacka zmieniła się tak bardzo, że jeszcze mocniej sparaliżował mnie strach. Nie było wątpliwości, że tak jak jego ojciec, mój stalker jest psychopatą. - Teraz już mnie nie obchodzi, co się z tobą stanie. Tak jak to, co się stanie z twoimi znajomymi, bo przez was będę miał poważne kłopoty, jak wróci mój ojciec.

- Niech zgadnę, tygodniowy szlaban na stalking pisarek? - Muszę przyznać, że nie spodziewałam się po Enzu tak ciętego żartu, szczególnie w takiej chwili. Mimo całego napięcia i lęku, jaki mi towarzyszył, nie mogłam powstrzymać uśmiechu, który mimowolnie pojawił się na moich ustach. Jednak to nie był koniec ze strony Enza, który nic sobie nie robił z faktu, że jeden z mężczyzn mocno wykręcił mu rękę, niemal dokładnie w taki sam sposób, jak my wykręcaliśmy rękę Zacka. - Nie musisz się przejmować swoim tatą, on szybko nie wróci.

Teraz to mój stalker nie potrafił powstrzymać śmiechu.

- Myśleliście, że go nie znajdziemy? - Zack znów z dezaprobatą pokręcił głową. - On jest dyrektorem Rite'a, firmy, która codziennie śledzi setki milionów użytkowników na całym świecie. Sądźcie, że nie będziemy w stanie go znaleźć? Nawet nie sprawdziliście, czy ma przy sobie telefon... To od niego wiedzieliśmy, że tu przyjdziecie. On też zaraz do nas dołączy. I najpierw wy dostaniecie za wtykanie nosa w nie swoje sprawy, a potem... a potem pewnie ja.

Zack machnął ręką w stronę dwóch mężczyzn, którzy trzymali Enza. Ci podnieśli go z podłogi.

- Zanim jednak to nastąpi, wykorzystam ten czas, by zademonstrować ci, Melanie, na twoim przyjacielu, co tutaj tak właściwie robi firma mojego ojca. - Gdy Zack do mnie mówił, pozostała dwójka jego towarzyszy zaczęła odpinąć nieprzytomnego Arena

i podnosić go z fotela. – Bardzo cię to interesowało. Teraz zrobimy krótki tutorial, żebyś w końcu wiedziała, dlaczego tak bardzo was potrzebowaliśmy...

Enzo próbował się wyrwać mężczyznom, ale mimo swojej muskulatury i zwinności nie mógł nic zrobić.

– Proszę, nie... – ledwie wydusiłam z siebie. Tak bardzo chciałam, żeby to był tylko zły sen. Niestety nic nie wskazywało na to, żebym miała się za moment przebudzić. – Nie rób mu krzywdy!

– Przecież mogli być znacznie gorzej, to mógł być Liam, prawda? – Zack wyszczerzył zęby w ten sam sposób, co jego ojciec. Byli siebie wari. – A poza tym Enzo to typowy entuzjasta nowości, zawsze otwarty na nowe doznania, prawda? Chyba że do niego też coś czujesz, co, Melanie?

W tym momencie nie miałam pojęcia, czy i co czuję do Enza. Wiedziałam za to jedno: byłam gotowa powiedzieć wszystko, by Zack zostawił go w spokoju. Na razie jednak patrzyłam bezradnie, jak Aren jest wynoszony z pokoju, a Enza podpinają do maszyny. Mogłam coś zrobić, ale nie potrafiłam się ruszyć. W oczach miałam łzy, ale nawet one zamarły i nie chciały spłynąć po moich policzkach.

– Tak! Czuję, dlatego proszę, jeśli możesz, zrób to dla mnie i zostaw go w spokoju! – wykrzyczałam w odruchu rozpacz.

– Bardzo bym chciał... ale nie mogę – odparł Zack, raz jeszcze wyszczerzając zęby.

I kiedy podszedł do urządzenia i kliknął coś na ekranie, a ja przygotowałam się na scenę rodem z horroru, w którym głównym bohaterem miał być Enzo, za swoimi plecami usłyszałam dwa głośne trzaski, po których nastąpił jeszcze głośniejszy łomot.

Odwróciłam się i odetchnęłam z ulgą. W drzwiach stali Liam i Alice, trzymając w rękach broń. Mierzyli z niej do Zacka i jego dwóch pozostałych towarzyszy.

ROZDZIAŁ 31

Intuicja bywa zawodna – tak było i tym razem. Przeczuałam, że już więcej nie zobaczę Liama, że nie zapytam go o jego wiadomość. Tymczasem on stał przede mną – tu i teraz – by mnie uratować. By nas uratować.

– Rzućcie broń! – rozkazał Liam kobiecie i mężczyźnie stojącym przy Enzu. Wiem, to głupie, ale w tej całej sytuacji wydał mi się jeszcze bardziej seksowny niż wcześniej. Jasne, mężczyzna z autentyczną głębią, uczuciami i przemyśleniami to skarb. Ale gdy stawał się władcym, przejmującym kontrolę bohaterem, jeszcze trudniej było mu się oprzeć.

– Założę się, że nigdy nie strzelałeś z...

Huk wystrzału przerwał Zackowi w pół słowa. Odruchowo zamknęłam oczy i zasłoniłam uszy, lecz przeraźliwy hałas i tak zdążył mnie ogłuszyć na dłuższą chwilę. Gdy ponownie spojrzałam, co się dzieje, towarzysze Zacka spełnili już żądanie Liama i odłożyli broń na podłogę. W tym czasie Alice podbiegła do Enza i odpięła skórzane pasy, którymi był przypięty do fotela. Zaraz potem wypadła z pokoju, najpewniej by przekonać się, że Arenowi – choć nie wyglądał najlepiej – tak naprawdę nic się nie stało. Enzo natomiast podniósł broń z podłogi i wymierzył ją w mężczyznę i kobietę.

– Jesteś cała? – zapytał Liam, podchodząc do mnie i kładąc dłoń na moim boku. W jego dotyku było coś kojącego. Mimo buzujących we mnie emocji uspokoiliam się, przynajmniej na moment. Coś jednak się zmieniło. Zupełnie jakby Liam zachowywał się wobec mnie... z rezerwą. Czyżby usłyszał to, co wykrzyczałam w obronie Enza? Czy o to chodziło?

- Tak... ale skąd... - wydukałam cały czas zagubiona w tym wszystkim.

Liam przytulił mnie mocno i odezwał się cicho, mówiąc wprost do mojego ucha:

- Miałaś rację, łódź rzeczywiście była niedaleko budynku. Rei już przy niej czeka. A my z Alice pomyśleliśmy, że przyda wam się nasza pomoc.

To prawda, przydała się. Wolałam nie myśleć, co by się wydarzyło, gdyby Liam i Alice nie wrócili tu na czas...

- Wiecie, że i tak to się dla was skończy źle, prawda? Szczególnie teraz - mruknął Zack, uśmiechając się znów szeroko. To było kolejne podobieństwo między nim i jego ojcem: obaj nie do końca chyba rozumieli, w jakich okolicznościach powinni szczerzyć zęby, a w jakich nie powinni tego robić.

- Zobaczymy, dla kogo to się źle skończy. Szczególnie gdy twój tatuś się dowie, że jesteś nie tylko nieporadnym stalkerem... - odgryźł się Enzo, który pewnie najchętniej wyrównałby rachunki z Zackiem i zrobił mu coś złego.

- Alice, co z Arenem?! - krzyknął w międzyczasie Liam w stronę korytarza.

- Jest oszołomiony, ale na szczęście chyba wszystko w porządku! - odkrzyknęła Alice.

- Enzo, przytaszczysz tutaj tę dwójkę z korytarza? Zamkniemy ich razem, a my z Zackiem udamy się do wyjścia...

Enzo skinął głową i zanim zabrał się do pracy, chciał podać mi broń, której jednak nie przyjąłam. Nigdy wcześniej nie trzymałam pistoletu w dłoni i nie zamierzałam tego zmieniać. Tak, wiem, przemoc nie jest odpowiedzią, choć jest jedynym rozwiązaniem w tej sytuacji, ale broń palna mnie przerażała. Gdybym miała przyłożyć Zackowi lub komukolwiek innemu pięścią, to co innego. Choć moje niezbyt umięśnione ręce raczej nie są śmiercionośną bronią.

- Które z was ma klucze od tego pomieszczenia?

Mężczyzna spojrział na kobietę, a ta wykonała ruch, jakby po coś sięgała. Liam odruchowo uniósł broń i w nią wycelował. Kobieta już znacznie wolniej włożyła rękę do kieszeni spodni i wyjęła z niej pęk kluczy.

- Mela, możesz je wziąć? - zapytał Liam, a ja zabrałam pęk od kobiety. I pomyślałam sobie, jak ładnie w ustach Liama zabrzmiało moje imię.

Enzo dotarł do pokoju drugiego nieprzytomnego mężczyznę, a ja wyszłam na zewnątrz z Liamem, który nieustannie mierzył z broni do Zacka. Kiedy zastanawiałam się nad wzięciem udziału w *The RITE Show*, wyobrażałam sobie, że może się tu zdarzyć naprawdę wiele dziwnych rzeczy. Nigdy jednak nie wpadłabym na to, że mogę się znaleźć w takiej sytuacji. Myślę, że nawet „Artie” przy wszystkich swoich nietuzinkowych pomysłach nie wpadłby na coś takiego. Cóż, życie bywa znacznie bardziej zaskakujące niż najlepsza fikcja. Tak było i tym razem.

Enzo postanowił nie popełnić tego samego błędu co poprzednio i przed wyjściem z pokoju zażądał od pozostających w nim osób, by oddały swoje telefony lub jakiegokolwiek inne urządzenia elektroniczne. Dopiero po ich odebraniu zamknął drzwi na klucz i do nas dołączył.

Ustaliliśmy, że ja i Alice pomożemy Arenowi, któremu - przynajmniej na pierwszy rzut oka - nic poważnego się nie stało, ale był zbyt słaby, by poruszać się o własnych siłach i by w pełni rozumieć, co się wokół niego dzieje. Na samym przodzie szedł Zack wraz z mierzącym do niego Liamem, a za naszymi plecami kroczył uzbrojony Enzo.

Układ, jaki Liam zaproponował Zackowi, był następujący: on doprowadzi nas do wyjścia i pozwoli nam dołączyć do Rei, a wtedy my puścimy go wolno i pozwolimy, by ewentualnie to Peter Forsley się z nim policzył. A ponieważ mój prześladowca nie miał za bardzo pola do negocjacji, przystał na tę propozycję i obiecał wyprowadzić nas z budynku.

- Alice? - szepnął niespodziewanie Aren, który do tej pory sprawiał wrażenie, jakby nie wiedział, co się dzieje. - To naprawdę ty?

- Potem pogadamy, na razie oszczędzaj siły - odparła Alice, spoglądając ukradkiem na Arena. - Zaraz cię stąd zabierzemy...

- Chcieli to zrobić nam wszystkim. Nakarmić nami ten przekłety algorytm...

- Aren, proszę cię, nie nadwyrężaj się. Nawet nie rozumiem, o czym do nas mówisz - przerwała mu ponownie Alice.

Moja przyjaciółka nie rozumiała, jednak ja przeczuwałam, o co chodziło Arenowi. Mówił o algorytmie aRTi, tym samym, z którego korzystałam, pisząc *Impostora*. Gdy odkryłam, jak niezwykle jest „Artie”, zaczęłam czytać w internecie, czym jest sztuczna inteligencja i jakim cudem potrafi robić tak niesamowite rzeczy. Okazało się, że to nic innego jak pewien algorytm, który analizuje różne dane i zgodnie z określonymi wzorcami uczy się na ich podstawie. Trochę jak człowiek, ale jednak inaczej. No i bardzo wiele zależy od tego, jakimi danymi „nakarmi” się sztuczną inteligencję. Na ogół są to zdjęcia, filmy, teksty czy zapisy mowy. Ale co, jeśli tymi danymi są... informacje zapisane w ludzkim mózgu, z których korzystamy na co dzień, myśląc i działając?

Myśli, które przemknęły mi przez głowę kilkanaście miesięcy temu, teraz - po słowach Arena - powróciły ze zdwojoną mocą. Nie miałam pojęcia, czy takie coś jest w ogóle możliwe, ale czy nie to właśnie zasugerował?

- Podłączyli cię do modułu aRTi, by algorytm uczył się od ciebie? - Musiałam zadać to pytanie, to było silniejsze ode mnie.

- Tak - wymamrotał Aren. - Nazywali to „ekstrakcją”, cokolwiek to znaczy. Chcieli...

- Melanie, oszalałaś?! - Do naszej wymiany zdań wtrąciła się Alice.

- Alice, przecież to ważne... - zaprotestowałam, jednak dziewczyna nie chciała mnie słuchać.

- Widzisz, że Aren ledwo żyje. To wszystko musiało być dla niego traumatyczne, a ty od razu fundujesz mu powtórkę z tego piekła!

- Powtórkę?! - Najpierw się na nią oburzyłam, potem jednak pomyślałam, że ma rację.

Było chyba za wcześnie, by zadawać takie pytania Arenowi i próbować dojść do tego, dlaczego tak naprawdę wzięliśmy udział w *The RITE Show*. Bo na ten moment wszystko wskazywało, że nie chodziło tylko o stworzenie globalnego reality show, który wypromuje na całym świecie aplikację Rite. Wychodziło na to, że ukrytym celem programu było przeprowadzenie tajemniczych badań na zaproszonych do niego uczestnikach. W jakim celu? Tego jeszcze nie wiedziałam, ale miałam nadzieję, że gdy tylko Aren wróci do sił, zdradzi nam coś więcej...

Niedługo potem dotarliśmy do wyjścia - miejsca, którym wchodziłam do środka budynku za pierwszym razem, tego z metalowym włazem. Ten cały czas pozostawał zamknięty.

- Co teraz? - zapytał Liam, wciskając lufę pistoletu w plecy Zacka.

- Au! - Jak na psychopatę, syn Petera Forsleya czasami wydawał się niezwykle delikatną istotą... - Powaliło cię? To bolało.

- O to chodziło. Pamiętaj, że jeśli zrobisz coś głupiego, będzie bolało jeszcze bardziej.

Sądząc po tonie jego głosu Liam nie żartował i nikt z nas - a już szczególnie Zack - nie mógł mieć co do tego wątpliwości. Myślę, że jak wszystko inne, traktował tę całą sytuację jak wyzwanie - challenge, z którym trzeba się zmierzyć i wyjść z niego cało. A starcie z Zackiem postrzegał jako nową odsłonę rywalizacji, w której zwycięzca może być tylko jeden. Chłód i spokój, jaki od niego bił, był wręcz nieludzki, co z jednej strony mi imponowało, a z drugiej mocno przerażało. Ale taki już był Liam - pełen sprzeczności.

- Tylna kieszeń spodni - mruknął Zack.

- Melanie, mogłabyś? - Liam spojrzał na mnie i poprosił mnie o pomoc jednoznacznym ruchem głowy.

Sięgnęłam więc do tylnej kieszeni spodni Zacka i wyjęłam z niej niewielką kartę - taką, która przypominała kartę kredytową.

- Przyłóż ją do czytnika - kontynuował syn Petera Forsleya.

Tak też zrobiłam. Najpierw na czytniku pojawiło się zielone światelko, a zaraz potem usłyszeliśmy ciche brzęczenie. Właz zaczął się powoli otwierać, a to oznaczało, że już za moment będziemy mogli w końcu się stąd wyrwać i uciec z tej przeklętej wyspy.

Skwarne, mokre powietrze mimo panującej nocy w każdych innych okolicznościach wydałoby mi się czymś obrzydliwym, przed czym najchętniej jak najszybciej bym uciekła. Teraz jednak zetknięcie z nim, gdy tylko przeszliśmy przez właz prowadzący na zewnątrz budynku, miało w sobie coś z nagrody pocieszenia, bo też trudno było nazwać dotarcie do tego miejsca pełnoprawną nagrodą. Na nią trzeba było jeszcze poczekać. Musieliśmy znaleźć się w łodzi, a następnie odplłynąć nią z wyspy i dobić do drugiego brzegu, gdzie – miejmy nadzieję – będziemy znów bezpieczni.

– Dalej pójdziemy już sami – zdecydował Liam, na moment przestając mierzyć do Zacka, by po chwili znów przyłożyć pistolet do jego pleców. – Tylko nie próbuj nas śledzić!

Zack prychnął.

– I tak wiem, dokąd idziecie – parsknął. – Jak na autorów książek z zaskakującymi fabułami jesteście zadziwiająco przewidywalni...

– Czy mogę mu przyłożyć?! – zapytał Enzo, podchodząc do Zacka tak szybko, że ten odruchowo się skulił.

– Nie radziłbym!

Tak, to był głos Petera Forsleya, który wyłonił się zza drzew w towarzystwie kilku uzbrojonych mężczyzn. To musiał być ten „oddział”, o którym mówili Liam i Rei.

Liam przyciągnął do siebie Zacka i przyłożył mu pistolet do głowy. Enzo z kolei wycelował swoją broń w Petera Forsleya.

– Hej, hej! – zaprotestował dyrektor The Rite. – Przestań mierzyć z broni do mojego syna!

– Przestaną, jeśli pozwolicie nam odejść! – krzyknął Liam.

Peter posmutniał i pokręcił głową.

– Wiesz, że nie mogę wam na to pozwolić. Nie po tym wszystkim...

Liam chwycił mocniej Zacka, a ten znów żałośnie jęknął.

- W takim razie wypuść ich. - Liam wskazał głową na Arena, Alice i mnie, a potem na Enza. - Inaczej... - Kolejne wykręcenie ręki Zacka zrodziło kolejny jęk.

- Co ty robisz?! Oszalałeś?! - Teraz to ja musiałam zaprotestować. Bo co to w ogóle miało znaczyć? Najpierw nikogo z nas nie traktował poważnie, uznając, że jesteśmy tutaj, by się zabawić, a teraz jest gotów oddać za nas życie? Poświęcić się, by nas uratować? Czy może, co było jeszcze gorsze, by ochronić mnie? Jeśli tak, to było niesprawiedliwe. Bo przecież byliśmy tu przeze mnie! To ja nie potrafiłam skupić się na pracy, ciągle szukając dziury w całym - pewnie dlatego, że nie byłam tak dobrą pisarką jak reszta. A nawet jeśli byłam, nadal nie do końca w to wierzyłam. Robiłam więc wszystko, by pokazać, że *The RITE Show* nie jest tym, czym miał być. No i wyszło na moje. Super. Tylko że teraz konsekwencje moich działań miał ponieść człowiek, który pewnie wygrałby ten cholerny show. I którego kochałam. Chyba.

- Mela, nie mamy na to teraz czasu - odparł Liam, nawet na mnie nie patrząc.

- Hej! - powiedziałam, łapiąc go za ramię, a on na moment na mnie spojrział. - Nie rób tego, nie poświęcaj się! Proszę...

Ta chwila zawahania i rozkojarzenia wystarczyła. Zack szybkim ciosem głową uderzył Liama w nos i uwolnił się z jego uścisku.

- Uciekajcie... - szepnął Liam, całując mnie szybko w policzek i rzucając się w pogoń za Zackiem.

Potem usłyszałam wystrzał od strony drzew, następnie drugi już zza swoich pleców - to musiał być Enzo. Moje serce zamarło.

Alice pociągnęła mnie za rękę, a ja dałam się jej pokierować. Wciąż pomagając Arenowi, ruszyliśmy biegiem przez zarośla. Za sobą, coraz bardziej w oddali, słyszałyśmy kolejne strzały i okrzyki. W oczach miałam łzy.

Dobiegliśmy na miejsce po kilku minutach. Rei czekało już przy łodzi.

– *Mon Dieu!* – krzyknęło, stojąc na drewnianym pomoście. – Gdzie Liam i Enzo?!

– Zostali... – mruknęła pospiesznie Alice, pomagając Arenowi wejść na łódź. – Musimy stąd jak najszybciej uciekać.

– Uciekać?! A oni?! – jęknęłam. Nie możemy przecież zostawić Liama i Enza samych. Byłam gotowa po nich wracać. Jeśli zaszłaby taka konieczność, mogłam nawet sama...

Jednak to nie Alice mi odpowiedziała. Odpowiedzią był pocisk, który minął nas i utkwiał w pomoście, tuż przy łodzi.

– Melanie, wskakuj, zanim będzie za późno! – wrzasnęła Alice i pociągnęła mnie za rękę. Spróbowałam się wyrwać. – Rei, pomóż mi, jej odbiło!

Rei wepchnęło mnie na łódź, trzymając już w ręce cumę. Powietrze przeciął kolejny wystrzał, a potem jeszcze jeden. Drugi z nabojów zatopił się w kadłubie łodzi. Rei włączyło silnik, chwilę potem straciłam na moment równowagę, bo łódź ruszyła. Zza drzew wybiegło dwóch mężczyzn, w tym Peter Forsley. Widziałam go jednak tylko przez sekundę, bo Alice pociągnęła mnie za rękę i upadłam na podłogę.

Pociski świstały nad naszymi głowami, ale nie to mnie w tej chwili martwiło. Nie zawracałam sobie głowy tym, czy któryś z nich trafi mnie i zrani, a może nawet zabije. Myślam byłam przy Liamie i Enzu. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś się zobaczymy. Czy będzie nam dane powiedzieć sobie z Liamem to, czego tamtego dnia ostatecznie żadne z nas nie powiedziało...

ROZDZIAŁ 32

Dryfowaliśmy po bezkresie oceanu. A ja po tym, co spotkało nas na wyspie, w uszach ciągle słyszałam ten najbardziej znany motyw muzyczny ze *Szczęk*. Dwa dźwięki, które powtarzały się w kółko, niemal doprowadzając widza do szaleństwa. Jezu, ile ja razy widziałam ten film z J.D.! To on rozpoczął nasze comiesięczne spotkania przy horrorach klasy C, opowiadających o krwiożerczych rekinach gotowych pożreć każdego, kto znajdzie się w zasięgu ich wielkich paszcz. Przed dużym ekranem telewizora LCD, w zaciszu domowym i z fajnym nagłośnieniem, takie seanse były bardzo śmieszne, a tylko czasami trochę straszne. Bo to tylko film, w dodatku słaby. Na otwartym oceanie w małej łódce – to już co innego.

Zresztą, chyba nie o rekiny tu chodziło. Nie byłam pewna, czy one w ogóle tutaj pływają, a nawet jeśli, pewnie nic nam tak naprawdę nie groziło. Sporo czytałam o *Szczękach*, to one stworzyły nasze wyobrażenia o zabójczych drapieżnikach z morskich głębin, które tylko się czają, by nas pożreć. To po tym filmie zaczęto je zabijać bardziej zaciekle niż wcześniej. Cóż, ludzie to znacznie groźniejsze drapieżniki od rekinów. I może właśnie dlatego słyszałam te przekłete dwa dźwięki w swojej głowie... Może po prostu obawiałam się tego najgorszego ze wszystkich drapieżników. Bałam się człowieka... a raczej ludzi. Tych z Rite'a, którzy wymyślili to całe szaleństwo i którzy nadal byli dla nas wszystkich śmiertelnym zagrożeniem. Tych, z których powodu tu byłam. A najbardziej tych psychopatów: Petera i Zacka. Niech ich piekło pochłonie!

No dobra, byłam tutaj przecież tak naprawdę dla J.D... Chciałam wygrać, by mu pomóc. Ale czy na pewno? Gdy teraz wspominałam

swoje zachowanie w *The RITE Show*, równie dobrze można by uznać, że z całych sił sabotowałam to założenie. Zamiast po prostu skupić się na pracy i zdobyć tę furę pieniędzy, która mogłaby pomóc mojemu przyjacielowi, ja zajmowałam się wszystkim innym. Nie mam pojęcia, co to o mnie mówi i w jakim świetle mnie stawia. Wolałam o tym nie myśleć. Z drugiej strony wyszło na to, że życie to na ogół jedno wielkie oszustwo i mogę przestać oskarżać się o nieuczciwość. Gdybym nie użyła „Artiego”, najprawdopodobniej nikt nie ujawniłby przekrętu Rite’a.

Jednak nie wszystko w życiu jest oszustwem. Bo czy było nim to, co połączyło nas z Liamem, który tak niespodziewanie najpierw pojawił się w moim życiu, siejąc w nim chaos, a teraz równie nieoczekiwanie z niego zniknął, wcześniej mnie ocalając? I oto znów dryfowałam, tym razem dosłownie, po bezkresnym oceanie, wpatrując się w złożony w kwadrat kawałek papieru, który otrzymałam od Liama. Zastanawiałam się, czy go rozwinąć. Czy przeczytać, co napisał. Ale nie mogłam się do tego zmusić. Gdybym to zrobiła, przyznałabym przed samą sobą, że on już nie wróci. Że już nigdy sam nie będzie w stanie powiedzieć tego, co zapisał. A ja jeszcze nie byłam na to gotowa. Nadal wierzyłam i dlatego ten niewielki kawałek papieru pozostawał złożony w kwadrat...

Może nie byłam samotna, ale taka się czułam. Alice nieustannie zajmowała się Arenem, a towarzystwo Rei było czymś specyficznym – ono żyło we własnym świecie, do którego zwykli śmiertelnicy tacy jak ja nie mieli wstępu.

Po kilku, a może jednak kilkunastu godzinach zdawania się na litość oceanu ktoś w końcu nas zauważył. To była mała łódź rybacka. Zapadał już zmrok i jeśli mam być szczerą, każde z nas było tak wycieńczone, odwodnione i głodne, że początkowo wzięliśmy pływającą w naszą stronę obiekt za złudzenie optyczne. Dopiero gdy łódź podpłynęła na tyle blisko, byśmy zobaczyli twarze czterech mężczyzn w średnim wieku znajdujących się na pokładzie, uwierzyliśmy, że to się dzieje naprawdę. I że ostatecznie nie umrzemy z pragnienia lub głodu.

Nie mówili po angielsku, japońsku, francusku, hiszpańsku i nigeryjsku, więc mimo intensywnych prób nawiązania z nami kontaktu nie dowiedzieli się, skąd przybyliśmy i kim jesteśmy. Ewidentnie przejęli się naszym widokiem i tym, że uratowali nas od śmierci. Sami starali się nam coś przekazać, ale nikt z nas nie rozumiał, o co może im chodzić. Może tak było lepiej? Zresztą, i tak nie moglibyśmy im niczego zdradzić.

A przynajmniej tak postanowiliśmy we czwórkę podczas pierwszej godziny dryfowania. Wspólnie zdecydowaliśmy, że jeśli ktoś nas uratuje, będziemy milczeć lub przedstawimy temu komuś spójną historyjkę o sztormie i zagubieniu na morzu, która nie miała nic wspólnego z rzeczywistością. To był oryginalnie pomysł Liama, który omówił podobno z Alice i Rei, gdy szukali łodzi. Przewidując, że coś może pójść nie tak i z jakiegoś powodu rozdzielimy się w trakcie ucieczki z wyspy, zasugerował też, byśmy ustalili datę i miejsce spotkania, na które wszyscy spróbujemy dotrzeć za jakiś czas. Wtedy mieliśmy ustalić, co robimy dalej.

Liam, jak widać, musiał zawsze być we wszystkim najlepszy – nawet w planowaniu strategicznym. I dobrze, że był w tym tak dobry, bo dzięki temu istniała szansa, że jeszcze się zobaczymy. O ile tylko uda im się z Enzem jakimś cudem opuścić tę przekłętą wyspę. Najchętniej sama bym tam wróciła i spróbowała mu pomóc, ale przy mojej zerowej orientacji w przestrzeni i mizernej wiedzy z geografii nie było szans, żebym odnalazła miejsce, z którego dopiero co udało nam się uciec.

Alice, Rei i Liam, gdy ja i Enzo próbowaliśmy odnaleźć Arena, uzgodnili, że spotkamy się równo pięć dni po naszej ucieczce – a zatem w dniu zakończenia drugiej rundy *The RITE Show* – w Hale Koa Barefoot Beach Bar w Honolulu na Hawajach. Dlaczego Liam zakładał, że przez cały czas byliśmy niedaleko Hawajów i to właśnie tam najłatwiej będzie nam się dostać, by spotkać się ponownie? Nie miałam zielonego pojęcia. Oczywiście równie zagadkowe było to, że zna Hale Koa Barefoot Beach Bar, czymkolwiek było to miejsce. Równie imponujący wydał mi się fakt, że w stresie i emocjach, jakie towarzyszyły nam

w trakcie ucieczki z wyspy, Rei zapamiętało tę – powiedzmy to sobie otwarcie – długą i dość skomplikowaną nazwę.

Potencjalne spotkanie po tygodniu, by sprawdzić, czy Enzo i Liam zdołali wydostać się z pułapki zastawionej na nas przez Rite'a, to był jeden z tematów naszych rozmów. Drugim było to, czego dowiedział się Aren, gdy był obiektem tajemniczych badań w podziemnym kompleksie na wyspie. Alice wprawdzie do samego końca dbała o komfort swojego chłopaka, prosząc nas – a właściwie mnie – bym nie zamęczyła go pytaniami, ale widziałam, że i ona czeka na odpowiedzi. Chyba wszyscy pragnęliśmy zrozumieć, o co w tym wszystkim chodziło i dlaczego tak naprawdę zostaliśmy zaproszeni do *The RITE Show*.

Aren nie znał żadnych stuprocentowo pewnych odpowiedzi. Mógł się z nami podzielić tylko tym, co usłyszał i co sam sobie dopowiedział do zasłyszanych informacji.

– Wiem, jak to zabrzmiało, ale wygląda na to, że ten program był tylko przynętą. Rite chciało zwabić autorów i autorki literatury dla młodzieży, czyli takie osoby, które najlepiej rozumieją nastolatków i potrafią opowiadać historie w sposób zachęcający miliony młodych ludzi na całym świecie do sięgnięcia po ich powieści – wyjaśnił Aren, gdy w końcu odzyskał siły na tyle, by opowiedzieć, co wie.

– Zwabić, ale w jakim celu? – dopytałam od razu. Przez długi czas czułam, że z *The RITE Show* coś było nie tak, że było w nim jakieś drugie dno. I miałam rację!

– Rite chciało wykorzystać nową technologię, która pozwala sztucznej inteligencji uczyć się bezpośrednio od człowieka...

– Chodzi o moduł „aRTi”? – weszłam Arenowi w słowo.

– Być może. Wykorzystywali do tego to urządzenie w pokoju, w którym mnie znaleźliście. Dzięki niemu dokonywali czegoś, co nazywali „ekstrakcją danych bezpośrednio z ludzkich mózgów”.

– I to nie były jakichś mózgów – wtrąciło tym razem Rei.

– Chodziło raczej o to, że nasze mózgi to mózgi twórców i twórczyni historii kochanych przez nastolatków na całym świecie. Dane miały zostać wykorzystane w dalszej ekspansji Rite'a i w jak najszybszym

przejęciu dominującej roli na rynku mediów społecznościowych. A przynajmniej tyle udało mi się zrozumieć z podsłuchanych rozmów, kiedy myśleli, że jestem nieprzytomny...

- Czyli na szczęście coś im nie wyszło? - zapytała w końcu Alice, która w napięciu słuchała naszej wymiany zdań, zatroskanym wzrokiem wpatrując się w Arena.

- Jak na ironię, zawiodła ich technologia... - odparł Aren z nieznacznym uśmiechem.

Jak dla mnie brzmiało to trochę jak nowa wersja Matrixa, ale tylko dla mnie - ku mojemu zdziwieniu nikt inny z naszej czwórki nie widział tego kultowego obrazu. Najwidoczniej tylko my z J.D. jeszcze oglądaliśmy takie starocie z poprzedniego wieku... W naszym przypadku na szczęście technologia nie była niezawodna.

- Urządzenie ciągle się psuło, podobno negatywnie wpływało też na „obiekt poddawany ekstrakcji danych” - wyrecytował Aren, jakby przybliżał nam definicję z instrukcji obsługi maszyny - czyli mnie. To dlatego nie mogłem wziąć udziału w wywiadzie tuż po odpadnięciu z *The RITE Show*. Podobno badanie miało być krótką formalnością, planowali je przeprowadzić w znieczuleniu, tak żebym niczego nie pamiętał. Coś jednak poszło nie tak. - Aren aż się wzdrygnął na samo wspomnienie tamtej chwili. - Dostałem drgawek, pozostając przy tym w pełni świadomy. To właśnie wtedy i przy kolejnych, także nie do końca udanych próbach badań usłyszałem tak dużo o tym, co tak naprawdę robiono na wyspie.

- Czyli *The RITE Show* było zasłoną dymną dla tego wszystkiego? - zapytałam.

- Nie. Ono chyba jak najbardziej było prowadzone na poważnie. Po prostu Rite założyło, że może upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: wypromować się dzięki wyjątkowemu przedsięwzięciu, jakim był *The RITE Show*, a przy okazji zdobyć bezcenne i niedostępne dla nikogo innego dane, które następnie wykorzysta w swojej działalności.

Jak ludzie z Rite chcieli ich użyć? Odpowiedź na to pytanie była już tylko naszą spekulacją. Rei uważało, że Rite chciało skorzysta z naszej

wiedzy i talentu, by nauczyć sztuczną inteligencję jeszcze lepiej rozumieć nastolatków i komunikować im określone treści. Dzięki temu mogłoby łatwiej i szybciej wciskać im swoje produkty w postaci mediów społecznościowych i całego gigantycznego handlu, jaki się z nimi wiąże, lub proponować swoją technologię innym firmom – na przykład w postaci inteligentnych reklam zarządzanych przez sztuczną inteligencję – czyniąc sprzedaż określonych produktów nastolatkom bardziej efektywną. W końcu żyjemy w czasach, w których targetem większości firm jest właśnie młodzież – stale żądna nowości i jednocześnie często pozbawiona skutecznych mechanizmów obronnych, by bronić się przed wciskaniem im kitem.

W pewnym sensie tak było od zawsze, ale ostatnimi czasy przekroczyliśmy Rubikon i wydaje się, że nie ma od tego powrotu: dorośli najpierw wciskają coś nastolatkom, byle na tym zarobić, a potem narzekają na to, że nastolatki piją energetyki i dziwaczne alkohole, ćpają dopalacze, palą elektryki, jedzą fast foody i ciągle siedzą w necie, ogrywając gry online lub wiodąc alternatywną, wirtualną egzystencję w social mediach.

Hipoteza Rei brzmiała prawdopodobnie i nikt z nas – przede wszystkim z powodu zmęczenia – nie miał ani chęci, ani sił, by podać ją w wątpliwość. Jednak na jej weryfikację musieliśmy wszyscy zaczekać – co najmniej do chwili pojawienia się Enza lub Liama, którzy mogli, choć wcale nie musieli, mieć więcej informacji na ten temat.

A na powrót mieli cztery dni. Cztery długie dni...

Gdy dopłynęliśmy do portu, okazało się, że jesteśmy na Hawajach, choć nie na tej wyspie, na której powinniśmy być. W jaki sposób Liam przewidział, że tu trafimy, o to trzeba pytać jego. Mężczyźni, którzy dowieźli nas na miejsce, bez wątpienia chcieli nam pomóc. Nie chcieliśmy jednak, by ktokolwiek dowiedział się, kim jesteśmy i po co tu przyplłynęliśmy. Dlatego gdy tylko nadarzyła się sposobność, zniknęliśmy im z oczu, szukając dogodnej okazji, by dostać się we właściwe miejsce.

Ponieważ przybyliśmy na wyspę we czwórkę, uznaliśmy, że lepiej będzie się rozdzielić, by nie zwracać na siebie uwagi. Tym bardziej że

Aren i Alice chyba bardzo potrzebowali trochę czasu na osobności. Stwierdzili zresztą, że dadzą sobie radę sami i pojawiają się w wyznaczonym miejscu o wyznaczonym czasie.

A to oznaczało, że zostałam sama z Rei, któremu z początku nie uśmiechała się ta sytuacja – podobnie jak i mnie. Jednak po jednym wspólnie spędzonym dniu okazało się, że – gdy trzeba – jesteśmy w stanie się dogadać. Wprawdzie Rei, od kiedy je poznałam, było i nadal pozostało ekscentryczne i nieznośne, jednocześnie jednak okazało się niezwykle obrotne i skuteczne w zapewnianiu nam dachu nad głową i jedzenia. W jego rodzinie hołdowano zasadzie, by nie ruszać się z domu bez tysiąca dolarów na drobne wydatki. Cóż, w mojej rodzinie to byłoby nie do pomyślenia i nikt nigdy nie przekazał mi tak przydatnej życiowo rady. Ani takich pieniędzy. A dzięki nim w takich sytuacjach jak ta nie miałabym problemu z opłaceniem biletów na prom, pokoju w tanim, obskurnym motelu, gdzie pokój dla dwojga dostaje się bez zbędnych pytań, oraz zakupów w lokalnym dyskoncie. Ostatecznie cieszyłam się, że zostałam z Rei, bo mogliśmy sobie na to wszystko pozwolić. A jakby tego było mało... nawet trochę się polubiliśmy. Ale tylko trochę.

Nadszedł wreszcie dzień, na który czekaliśmy. No dobrze, na który ja bardzo czekałam. Razem z Rei zajęliśmy mały stolik na zewnątrz, wśród bujnej roślinności – przed słońcem osłaniały nas palmy, po bokach rosły wielkie, piękne rośliny, z których część była zielona, a część bordowa; oczywiście nie znałam nazwy żadnej z nich. Hale Koa Barefoot Beach Bar było urokliwym miejscem, w którym najchętniej spędziłabym sporą część wakacji na Hawajach z mamą, gdybyśmy tylko kiedykolwiek tu przyjechały. Siedząc tam, rozglądając się dookoła i chłonąc hawajski klimat, zagłębiałam się w rozważaniach, skąd Liam wiedział o tym barze. Bo jeśli chciał wybrać na nasze spotkanie jakieś prawdziwie magiczne miejsce, nie mógł trafić lepiej.

Po blisko godzinie czekania, gdy zarówno ja, jak i Rei wypiliśmy po jednym drinku bezalkoholowym, pojawili się Aren i Alice. Czwórka uciekinierów była więc w komplecie. Pytanie brzmiało, czy dołączy do nas ktoś jeszcze. Przez kolejne trzy godziny się na to nie zapowiadało.

Początkowo próbowaliśmy rozmawiać, ale wyglądało na to, że wszystkie tematy, jakie mogliśmy przegadać we czwórce, wyczerpaliśmy na łodzi. A im dłużej tak siedzieliśmy, tym bardziej rosła irytacja w każdym z nas. Pierwsze pękło Rei.

- Dobra, koniec! *Moi* ma tego dosyć! - Rei wskazało na siebie ręką. - Tu kończy się nasza historia. Ani Enzo, ani Liam nie wrócą. A przynajmniej nie dzisiaj. Płacę za drinki i znikam, wracam do swojego życia. I nie powiem, że było miło. Było... jak było.

Gdy Rei zniknęło w środku, by uregulować rachunek, spojrzałam na Alice i Arena.

- A wy co myślicie?

Mój głos zabrzmiał tak smutno, że Aren natychmiast objął swoją dłonią moją rękę.

- Wiem, że bardzo wierzyłaś w to, że tu wrócą. Że będziecie razem z Liamem.

Uśmiechnęłam się odruchowo, a potem - nie bez trudu - wysunęłam dłoń z jego objęć.

- Czyli myślisz, że nie wrócą? - zapytałam dla pewności, bo w sumie nie wiedziałam, co mam myśleć o wypowiedzi Arena.

- Melanie, oni mieli broń i było ich znacznie więcej. W dodatku nieźle daliście popalić Zackowi. Od początku nie miałam nadziei, ale nie chciałam nic mówić, bo sama wiem, jak się czułam, gdy myślałam, że coś mogło się stać Arenowi - powiedziała Alice, po czym wstała, podeszła do mojego krzesła i mnie przytuliła. - Pamiętaj, że zawsze możesz na nas liczyć.

- Święte słowa - dodał Aren.

- Ja po prostu... - zaczęłam, ale mój głos się załamał, a w oczach znów miałam łzy. Powoli zaczynało do mnie docierać, że to naprawdę koniec. Że zaraz się rozejdziemy, każdy w swoją stronę, a ja wrócę do domu, do Ann i J.D., któremu będę musiała przekazać złe wieści.

Alice objęła mnie mocniej i przytuliła. Zaczęłam łkać. To było silniejsze ode mnie.

– Melanie... – odezwał się po dłuższej chwili Aren, ale nie chciałam, by mnie pocieszał. To było na nic.

– Spokojnie, zaraz dojdę do siebie – odparłam z trudem, połykając łzy.

Zapadła między nami cisza. Dopiero teraz zaczęliśmy słyszeć rozmowę toczącą się przy sąsiednim stoliku. Trójka ludzi mniej więcej w naszym wieku wpatrywała się w ekrany swoich smartfonów, rozmawiając podnieconymi głosami o *The RITE Show* i o tym, kto będzie kolejnym wyeliminowanym z programu autorem lub autorką.

Gdy zauważyli, że się im przyglądam, zwrócili uwagę najpierw na mnie, a potem na Alice i Arena. Jeden z chłopaków natychmiast wytrzeszczył oczy.

– Jezu! Aren Umaru?! Ty jesteś Aren Umaru?! – wykrzyknął, nie dowierzając temu, co widzi. Jego kompani się ożywili. Jeden z nich przymierzył się do zrobienia zdjęcia.

– Chodźmy stąd... – zaproponowała zaniepokojona Alice, a ja jej przytaknęłam.

Otarłam łzy i już miałam ruszyć za Alice i Arenem, gdy usłyszałam głos Nigeryjczyka.

– Melanie, on wrócił... – powiedział tonem osoby, która nie może uwierzyć w to, co widzi.

Odwróciłam się błyskawicznie, by sprawdzić, czy naprawdę tam jest. Tak, naprawdę. Jednak nie Liam. Przed nami stał Enzo. Wyglądał jak siedem nieszczęść. Opierał się o krzesło przy wolnym stoliku obok nas.

– A gdzie Liam?!

Tak, wiem, to było nie na miejscu, biorąc pod uwagę stan Enza, a przede wszystkim fakt, że udało mu się do nas dotrzeć na czas. Cieszyłam się na jego widok. To cud, że przeżył i uciekł z wyspy. Jednak przy tym wszystkim nie mogłam nie myśleć o Liamie – o tym, że oddałabym mu jego wiadomość, by mógł zacząć wieść resztę swojego życia...

Enzo posmutniał, a ja w głowie miałam najgorsze możliwe scenariusze. Ale tego absolutnie najgorszego nie mogłam i nie chciałam sobie nawet wyobrazić.

– Nie dał rady... – wydusił z trudem Enzo. Wskazał na drinka stojącego na stole za nami i wychrypiał: – Mogę?

Błyskawicznie pokiwałam głową. Obraz przed moimi oczami był zamazany przez łzy, które znowu do nich napłynęły. Z wściekłości moja ręka zacisnęła się na wiadomości Liama, którą trzymałam w lewej kieszeni spodni. Zgniotłam ją tak mocno, jak tylko byłam w stanie. Nie mogłam wybaczyć Liamowi, że nie dał rady. Jeśli już miał o coś walczyć z całych sił i coś osiągnąć, to właśnie to. Dla nas. A akurat w tym poniósł porażkę... Cały czas nie mogłam w to uwierzyć.

Enzo łąpczywie wypił całą zawartość szklanki.

– Ale chyba wiem, gdzie możemy go znaleźć – dodał cicho.

W ułamku sekundy moja ręka przestała zgniatać kawałek papieru w kieszeni.

Rei się myliło. To nie był koniec. A ja w tej chwili zadecydowałam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by odnaleźć Liama. I by Peter Forsley wraz z całym Rite'em zapłacili za piekło, jakie nam wszystkim zgotowali...



You&YA

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF sp.j.](#), Bydgoszcz